
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
1496
Colour Chart #13
Inches
Centimetres
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

1496

Rok 1848

DRAMAT DZIEJOWY.

BIBLIOTEKA

Warszawa, Druk Piotra Laskauera i S-ki.

1496

JAN SCHERR.

Rok 1848

DRAMAT DZIEJOWY.

TŁUMACZYŁ

H. Wernic.

Tom II.

Z KSIĘGOZBIORU
Nr
ROMANA FRJANSA

WARSZAWA
REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Nowy-Świat Nr. 41.
1903.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Felit. Wychow.

323.3(Wiśnie Dud.) 94/99

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Марта 1903 года.

5989/1
L.inw. 8178
BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

I.

Dziki parlament.

1.

Zwykle przedstawiają czas w postaci węża kąsającego swój ogon, który jednocześnie zrzuca z siebie skórę; wszakże materjał i barwa skóry jego wiecznie pozostają też same. Czy Tacyt gniewając się, czy Rabelais śmiejąc się piszą komedję ludzką „Comoedia humana“, zawsze jest ona jednakowa, powtarza się z tą samą, niezmienną monotonnością, z jaką nasz system słoneczny toczy się w przestrzeni nieskończonej.

Gdy 20-go marca, 1848-go roku obywatele Kolonji zatknęli czarno-czerwono-złotą chorągiew na katedrze swego miasta, to może stara katedra przypomniała sobie, że przed czasy nosiła także francuską, trójbarwną chorągiew. Wszak katedra miała nieraz sposobność przekonania się, że ten słomiany ogień, jakim jest wia-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

ra w te kacerskie trójbarwy, istnieje od niedawna, a czarna chorągiew nierozsądku po wszystkie czasy skupiać będzie około siebie największą liczbę wyznawców.

Istotnie wąż zrzuca wciąż z siebie skórę, ale materjał i barwa skóry wężowej zawsze pozostają też same. Słodkie nawyknienie do niedorzeczności było już przed tysiącem lat tak potężne, jak będzie po tysiącu latach. Napozór najjaskrawsze przeciwieństwa i sprzeczności są rzeczywiście tylko zmiennemi warjacjami na temat głupstwa ludzkiego, które tak bywa nienasycone, jak u Bawarczyków pragnienie piwa, a rozciągliwe, jak cięciwa barania, albo jak wierność przekonania liberała zwyczajnego pokroju. Jaka zachodzi różnica pomiędzy Sankulotami i bezkoszulnymi dziewczętami z 1793-go roku, które tańczyły kankana w Nôtre-Dame, około ołtarza „Déesse de la raison“, a ich wnukami i wnuczkami, którzy w drugiej połowie XIX-go wieku całemi rzędami pełzali na kolanach około czarnej bogini Maria-Einsiedeln? Kształy zmieniają się, głupstwo pozostaje, dekoracje i kostjumy ulegają zmianie, sztuka zawsze jest jednakowa: Jestto praca Syzyfa, mozół Danaid, gra cieni na ścianie. Popychamy się i dręczymy przez chwilę na tej pięknej ziemi, a gdy o ile możności wzajemnie sobie zakwasimy to życie, zmiata nas śmierć wszystkich razem tak, jak zmiatamy śmiecie. Tak żyły miljardy przed

nami, tak będą żyły miljardy po nas, aż wreszcie niespodziewany jaki pijany kometa pchnie naszą kulę, tę małą nicość ziemską, która zniknie w wielkiej powszechnej nicości.....

Tymczasem jednak przyjrzyjmy się postępowi naszego dramatu dziejowego.

Dobre miasto Kolonja nad Renem było od dawna uprzywilejowaną skrzynkę rzadkich osobliwości. Prawdziwą też osobliwość można było widzieć w Kolonji 22-go marca 1848 r., gdyby oczywiście towarzyszono świeżo upieczonym przywódcom świeżo upieczonej gwardji narodowej miasta, panom: Wittgenstein i Raveaux do *domu komendantury*, gdzie rezydował jenerał dywizji i komendant twierdzy, hrabia von Kanitz. Obu wydelegowano do jenerała z prośbą, ażeby rozkazał zaopatrzyć gwardję narodową orężem z Celhauzu; — to arcy-okropne żądanie dziwnie dźwięczało w uszach jenerała pruskiego owego, absolutnego państwa żołnierskiego. Oficerowie gwardji nikogo nie zastali w domu, a po licznych poszukiwaniach znaleźli wreszcie służącego, który ich zameldował komendantowi fortecy. Po chwili hrabia w pełnym mundurze wszedł do pokoju, w którym oczekiwali na niego dwaj oficerowie gwardji obywatelskiej. Oficerowie, ujrzawszy go, skłonili się w milczeniu, jenerał odkłonił się również w milczeniu. Zdawało się, iż pan hrabia i jenerał widział tylko jedno: kolor czarno-czerwono-złoty, jaki ci

dwaj panowie nosili w driurce od guzika. Jakto, barwy rewolucyjne, że tak powiemy, wstęga orderowa rebelji nawet tu w kwaterze komendanta królewsko-pruskiego miasta i twierdzy? Djabelski figiel! W najwyższym stopniu obrażone, zabójczo rażone oczy jenerała chcą poprostu ze zdziwienia i oburzenia wyskoczyć z oczodołów. Jenerał opiera się plecami o konsolę zwierciadlaną, a jednocześnie dotyka jej dłonią. Oficerowie opowiadają cel, w jakim przybyli: „Jako nowo wybrani przywódcy nowej gwardji narodowej przychodzimy prosić Pana, panie jenerale, iżbyś raczył polecić, ażeby nam wydano około 4 tysiące karabinów z cekhauzu! Biedny pan von Kanitz, osłupiały-skamieniały otwiera usta, chcąc pochwycić powietrza:

— Czy tak, czy tak!—Tak, tak, z trudnością wreszcie wybąkał. Wzrok, którym ustawicznie spogląda na okropne trójkolorowe wstążki zamienia się na bezmyślny, bladość pokrywa mu lica, ręce jego kurczowo czepiają się konsoli wtem nagle zawahał się, a nie wydawszy żadnego głosu, pada jak długi na wznak na podłogę. Pada na ziemię, jak mumja oparta o ścianę, którą niespodzianie uderzył silny przeciąg powietrza.

Tą mumją była niemiecka potęga niemieckich książąt, którą przewróciła burza marcowa z roku 1848-go. Mumja sztywna, sparaliżowana leżała na ziemi, liberalizm podniósł ją, namazał

jej skroń wodą: „Eau de mille servilités,“ postawił w przyzwoitej pozycji, przykleił jej maszynę doktryny konstytucyjnej do strony przeciwnej twarzy, i puścił ją w ruch za pomocą pary powszechnego zaufania. Po kilku miesiącach mumja znów szczęśliwie przyszła do siebie, powróciło jej dawne życie tak, iż ze swej wysokości raczyła, i mogła powiedzieć do usłużnego, liberalnego Muley-Hassana.“ Racz pan sobie przypomnieć, iż są jeszcze książęta w Niemczech. W miesiącu liberalizmu każdy rozumny człowiek mógł ostrzegać: „że prawdziwa rewolucja musi albo zmienić moralny porządek rzeczy, to znaczy religję, albo materjalny, to znaczy stosunki własności.“ Innemi słowy prawdziwa rewolucja musi być taka, jaką zrobiło chrześcjaństwo, albo taka, jaką ją zrobiły wędrówki narodów. Jakże można było przypisać niemieckiej uczuciowości, iż jest zdolna choćby do bladej idei tej radykalnej kuracji, nie mówiąc już o czynie? Zresztą nerwy nowożytnego społeczeństwa nie wytrzymują takiego napięcia.

Zatem zamiast całkowitej rewolucji, zdobyto się na połowiczną: Była to najwierutniejsza niedorzeczność, gdyż połowiczna rewolucja wszystko wzrusza, nic nie obala, wstrząsa wszystkiem, a nic nie usuwa. Drażni i rozgorycza udaną chętką niszczenia ludzi korzystających z istniejącego porządku rzeczy, ale nic wytworzyć nie może, gdyż nie chce nic obalić. Połowiczna

rewolucja to cała bezczelność i niemoc! Niemiecki liberalizm na wiosnę 1848-go często przytaczał biednego Szyllera aż do zbytku; ale zapomniał o najpiękniejszem słowie, jakie ten wielki idealista powiedział:

Myśli łatwo obok siebie przebywają
Lecz rzeczy w przestrzeni ostro na siebie uderzają.
Gdy jedna rzecz zajmie jakie miejsce, druga ustąpić musi.
Kto nie chce, żeby go wygnano, wyganiać musi."

Panuje tam kłótnia, a siła tylko zwycięża. Istnieją ważne przyczyny do przypuszczenia, że liberalni odurzeni pozornem zwycięstwem, byli o tyle niedorzeczni, iż pozorną swą siłę wzięli za rzeczywistą, a swe ministerja marcowe uważali za trwałe. Przytem wielu z tych Eisenmannów i Biedermannów, z urodzenia głowy słabe, popadło już w dzieciństwo starości, nie byli już poczytalni. Nie ulega zatem wątpliwości, że byli zbyt niedorzeczni. Innym znów przeszkadzała wrodzona im niewolniczość; nie mogli tego zrozumieć, iżby prawdziwy *Niemiec* mógł się wznieść do myśli niezależnej.

2.

5-go marca 1848-go r. liberalizm niemiecki, którego reprezentantami byli jego przywódcy zebrani w Heidelbergu, trwonił czas napróżno, wreszcie postanowił zwołać parlament wstępny

(Vorparlement—porównaj tom I str. 262) i flirtował bardzo widocznie z panią rewolucją. Takiego flirtowania wymagały w owym czasie jego interesy, a przytem dopomagało to do zrobienia karjery. Byłoby zupełną niedorzecznością ganić z tego powodu liberalnych matadorów. Zgromadzenie heidelberskie wyznaczyło komitet złożony z siedmiu mężów, któryby wykonał jego postanowienia, a z tych siedmiu trzech: Pan Gagern tegoż samego 5-go marca został ministrem darmsztadsko-hesskim; pan Römer 8-go ministrem wirtemberskim, pan Welcker 14-go badeńskim posłem przy związku Rzeszy. Ściśle rozważając wszystkie okoliczności, te zmiany w niemieckich ministerjach były zupełnie niepotrzebne, gdyż nawet najbardziej reakcyjni przedmarcowi ministrowie ogłaszali i okazali prawdziwie wzruszającą gotowość hołdowania duchowi czasu z roku 1848-go, i byli gotowi go słuchać, dopóki byłby w modzie. Podobnież uczynili, jak wszystkim wiadomo panowie ministrowie marcowi. Mówiąc o tych zmianach osobistych, przychodzi nam na myśl stara trywialna anegdota o fotelach: „Powstań, ażebym ja mógł usiąść!“ lub to, co Göthe w Wiecznym Żydzie powiedział o reformacji:

„Sie nahm den Pfaffen Haus und Hof
Um wieder Pfaffen, nein zupflanzen
Die nur in allem Grund der Sachen
Mehr schwatzen und Grimassen machen.“

Komitet siedmiu rozesłał zaproszenia do „*parlamentu wstępnego*“, który miał zebrać się we Frankfurcie na Menem 31-go marca. Przedewszystkiem zwrócono się do tych osób, które były członkami różnych zgromadzeń prawodawczych, lub dawniej w nich zasiadały. Lecz ponieważ w dwóch największych państwach niemieckich nie istniały dotąd zgromadzenia prawodawcze, — wszak połączonego sejmu w Prusiech nikt nie zechce nazwać ciałem prawodawczem — stąd wynikało, że skład tak zwanego wstępnego parlamentu musiał być zupełnie dowolny. Wszak pan von Gagern i jego pomocnicy ostatecznie wybrali całe kopy filistrów z księstwa darmsztadzko-hesskiego i nassauskiego, ażeby przy ich pomocy przecisnąć w zgromadzeniu postanowienia konstytucyjne. Same cyfry przekonywają, że w tem zgromadzeniu nie mogło być nawet mowy o mandacie narodowym. Było tam naprzykład tylko dwóch austrjaków, prusaków 141 (po większej części z prowincji nadreńskich i deputowanych miast); 9-ciu hanowerczyków, 84 darmhessów; z Królestwa Saskiego i z księstw saskich razem 47, z Baden 72, z czterech miast wolnych 26, — z Wirtembergu 52, z Szlezwig Holsztynu 7, z Elektorstwa Hesskiego 26, z Bawarji 44 i t. d. Razem 574. Nie ulega wątpliwości, że zebranie się wstępnego parlamentu było aktem czysto-rewolucyjnym. Zgromadzenie nie miało żadnego pełnomocni-

ctwa oprócz tego, jakie samo sobie nadało. Można było brać udział w tym wstępnym parlamencie, jako deputowany Stanów, zgromadzeń, wieców ludowych, a nawet być poprostu przedstawicielem samego siebie. Był to zatem wiec ludowy w cylindrze, zamiast w czapce i szlafmycy. Jako zebrany dowolnie i przypadkowo, bez należytego kierownictwa, odbywał się zgiełkliwie; nie bez słuszności też nazwano go *dzikim parlamentem*. Był on niejako wstępem polegającym na czczej gadaninie do następującego po nim parlamentu, który streścić się da w trzech wyrazach--„zupełnie nieudatne gadulstwo“.

Natychmiast ukazały się dwa przeciwieństwa źle wróżące: przeciwieństwo pomiędzy liberalizmem a radykalizmem, oraz pomiędzy południowemi, a północnemi Niemcami. Pierwsze przeciwieństwo dałoby się jeszcze pokryć i zatynkować, gdyby się znalazły zręczne ręce, któreby umiały niem pokierować; drugie jednak było dotkliwsze. Okazało się bowiem, że Niemcy północni pod względem wykształcenia politycznego pozostali znacznie poza Niemcami południowemi. Pierwsi wlekli jeszcze za sobą łupiny od jajek skruszonego państwa policyjnego, albo szczątki żelaza feudalnego, krępującego ich szyję. Wprawdzie w południowych Niemczech świadomość ludu i świadomość swobody były zale-

dwie dzieckiem, — ale w północnych Niemczech były one w samym zarodku.

Ludzie myślący mogli stąd przewidzieć nieudanie się całego ruchu niemieckiego; wszakże tak wówczas, jak i po wsze czasy było bardzo niewielu ludzi myślących, a zresztą nie zważanoby na ich proroctwa i śmianoby się tylko z ich niedorzeczności, jak mniemano. Liberalna poczciwość polityczna okazywała pewność siebie zachwycającą filistrów, — a były ich legjony; — w każdym niewierzącym w dogmat kretyniczny *„rewolucja na gruncie prawnym“* widzieli obłąkańca, lub nawet świętokradzcę, który śmiał nazywać *zdobycze marcowe* tem, czem istotnie były — zabawką dla dzieci politycznych. Głupota była, jest i będzie zawsze najpotężniejszą na świecie. Gdy raz się poruszy, próżną a nawet śmieszną jest rzeczą stawać z nią do walki.

Dobre miasto Frankfurt, które bardzo poczciwie myślało o sprawie narodowej, — to stare miasto cesarskie ze swą ludnością inteligentną i gościnną przystroiło się uroczyście na przyjęcie pierwszego wiecu narodu niemieckiego. Wszędzie stały drzewa wolności, bramy tryumfalne, czarno-czerwono-złote chorągwie i flagi, wszędzie wyrazy „ojczyzna“, górnolotne hasła, powitania pełne nadziei, salwy radosne, śpiewy i dźwięki patrjotyczne. Gdy reprezentanci narodu przechadzali się po ulicach miasta, rozgrzani wesołemi spojrzeniami pięknych dziewic i ko-

biet, odurzeni pośród ogólnego odurzenia, mogli na chwilę przypuszczać, że wszystko pójdzie ładnie i składnie. Był to ostatni sen marcowy.

3.

Marzenie to jednak rozwiało się już na pierwszych zebraniach poprzedzających otworzenie wstępnego parlamentu; przynajmniej u wszystkich, którzy mieli wolę i siłę przetrzeć sobie oczy, i otrzeźwić się z odurzenia. Od miesiąca aż do znudzenia powtarzana litanja o niemieckiej jedności i braterstwie zniknęła, jak dym, a przy ostrych, niezgodnych ze sobą dźwiękach poczęto budowę wieżę Babel — konstytucji niemieckiej.

Zaraz wyskoczyło pytanie drżące na wszystkich językach: — Rzeczpospolita czy monarchja? Dziś musi się nam to zdawać dziwnem, a nawet arcy-komicznem,—że można było je wogóle wygłosić, gdyż faktycznie było ono już rozstrzygnięte. Rozstrzygnął je już komitet heidelberski siedmiu, zabrawszy ze sobą do Frankfurtu program, gdzie już główne zarysy przyszłej ustawy Rzeszy dosyć jasno były skreślone. Jedynie o cesarstwie, a nawet o cesarstwie pruskiem nie było tam żadnej mowy.

Przyszła ustawa Niemiec miała według tego programu luźny związek państw zamienić na

ściśle zjednoczone państwo związkowe, na którego czele miała stać *głowa państwa* z odpowiedzialnemi ministrami. Naród miał wykonywać swe prawa konstytucyjne za pomocą parlamentu o dwóch Izbach: — (Senatu pojedyńczych państw i domu ludowego; ostatnie miało się dokonać za pomocą pierwotnych wyborów (tak, ażeby na każde 70 tysięcy dusz wypadł jeden deputowany). Pojedyncze państwa miały zrzeczeniem się większej części swych praw zwierzchniczych podnieść i wzmocnić siłę związkową Rzeszy tak, iżby Niemcy odtąd miały tylko jedną siłę wojskową, jedną tylko reprezentację względem zagranicy, system narodowy handlu, komunikacji i ceł, kanałów, kolei żelaznych i poczt; a wreszcie jednakowe miary, wagi i monety. Nadto jednakowe miały być całe prawodawstwo cywilne i karne, i jeden najwyższy trybunał państwowy. *Prawa i swobody narodu* miały być zabezpieczone silnemi poręczeniami-- (z tego frazesu powstała następnie nieskończona śruba rozpraw o zasadniczych prawach ludu). Wreszcie nakreślono program wstępnego parlamentu jego przeznaczenie i zadanie, ażeby na podstawie wzmiankowanych postanowień zwołać zgromadzenie narodowe, samo jednak zwołanie miało nastąpić przez dotychczasową władzę związkową, to znaczy Sejm Rzeszy, który wszakże wzmocnić należy mężami zaufania. Jednocześnie parlament wstępny miał wyznaczyć komi-

tet, który zasiadając w Frankfurcie bezustannie miał pilnować wykonania postanowień i nadzorować sejm, który wprawdzie nie był tak mądry jak słoń, ale tak ociężały. Miał więc być kornakiem, który go kłuł i kierował nim. (Biedne zwierzę bardzo pojętnie robiło wszystkie te zwroty, jakich wymagano).

Trzeba przyznać, że podstawy i zarysy wieży babilońskiej, to znaczy program siedmiu wcale nieźle wyglądał. Niestety rzecz ta miała nadzwyczajne podobieństwo do słynnego konia Ariosta, szalonego Orlanda. Koń ten, jak wiadomo, posiadał wszystkie doskonałe przymioty, tylko, że był martwy. Fundamentem liberalnej wieży ustawy Rzeszy musiała być przecie dobra wola, oświecona wolnomyślność, patrjotyczna gotowość do ofiar książąt niemieckich; tem mogli się złudzić i oślepić jedynie najlepsi i najzacniejsi mężowie narodu niemieckiego. Tego mogli spodziewać się tylko ci, którzy wskutek nadzwyczajnej mądrości poprostu zgłupieli. Lecz ci panowie chcieli mieć swą wolę. Nie pomogło tu żadne przypomnienie, żaden fakt. A przecież cały przebieg historji niemieckiej mógł posłużyć za dowód przeciwny,— a jaki bolesny! a jaki przeciwny temu, — w co wierzyli najlepsi i najpoczciwsi ludzie, i chcieli, żeby wszyscy wierzyli, ale to ich nie przekonywało.

Przepowiadali to liberałom mówcy, których radykalizm wysyłał do Frankfurtu, już 29 mar-

ca wieczorem w „Weidebusch“, w którego wielkiej sali znalazło się także kilku posłów Rzeszy wśród mnóstwa przedstawicieli ludu. Tym biednym, liberalnym dyplomatom musiało nie przypaść do gustu, gdy zastanawiano się nad tem, co wybrać monarchję, czy rzeczpospolitą? w bardzo niedyplomatycznych mowach stołowych, to znaczy ze stołów, na których stawali mówcy. Musiało im się wydawać, że słyszą baśni Hofman'a. W przednich szeregach republikanów mówili: Gustaw Struve i Fryderyk Hecker. Obaj oni w walkach opozycyjnych swego rodzinnego kraju Badenu zasłużyli sobie na ostrogi,—pierwszy więcej, jako publicysta, drugi jako mówca klubowy. Najzjadliwsi nieprzyjaciele Struwego i Heckera nie odważyli się temu zaprzeczyć, że obaj oni byli mężami otwartymi, i wiernymi swemu przekonaniu. Na to zgadzali się ich dawni badeńscy współrepublikanie, którzy później przeszli do obozu monarchicznego. Przytem jednak obaj byli tem, co Filip hiszpański Szyller'a zwykle nazywał „*dziwnemi marzycielami*“, lubo różnemi drogami doszli do swego marzycielstwa. Struve, drogą logicznej abstrakcji; Hecker ścieżką fantastycznej intuicji. Dziwna rzecz, suchy, oderwany Struve, który żył tylko roślinami, jak indyjski Jogi, przefantazjował wysokiego wzrostu Hecker'a, który tak ze względów fizycznych, jak moralnych był ucieleśnionym ideałem wesołego chłopca lub typem renomistycznego seniora związ-

ku studenckiego. Miłość jego dla rzeczypospolitej uchodziła za żarliwą i była taką. Był to zupełny obraz romantyka. Przez czerwone frazesy jego mów wiło się często i nagle blade zwątpienie. Struve, który całkiem znikał w wierze w swój ideał, i aż do końca palców był przekonany, że parlament wstępny nietylko powinien był postanowić niemiecką rzeczpospolitą, lecz i z zupełnym skutkiem ją zadekretować, daleko mniej znał ziemię i ludzi, aniżeli Hecker, który z obywatela z Wolkenkukusheimu bez wielkiego trudu z czasem znów stał się praktycznym mannheimskim adwokatem, i wyznał, że było to czcze i próżne zuchwalstwo chcieć zrobić republikanina z filistra niemieckiego. Dlatego też tylko tak od niechcenia w chwilach wolnych oddawał się iluzji, że wstępny parlament przechyli się na stronę rzeczypospolitej, lub że pod koniec marca, w Niemczech da się jeszcze coś uczynić dla zasady republikańskiej. Wszakże uważał za swój obowiązek, wstawiać się za swym ideałem w każdej okoliczności, a to uczucie obowiązku, które szło w parze ze szczerą dozą próżności pchnęło go później do owego huczku republikańskiego,—podniesienia broni, którego bezskuteczność może sam tak dobrze przewidywał, jak ktokolwiek inny.

Daleko odpowiedniejszym na przewódcę i kierownika demokracji na gruncie parlamentarnym, niż Hecker i Struve był Robert Blum z Lip-

ska, — był to najbrzydszy człowiek swego czasu i bezwątpienia najlepszy, — naturalnie nie w znaczeniu *najlepszych i najzacniejszych* poczciwców. Ci nienawidzili w Blumie urodzonego trybuna, tymbardziej go nienawidzili, że wiedzieli, iż znał z gruntu wszystkie liberalne wybiegi i sztuczki, a ci najlepsi i najzacniejsi po jego zamordowaniu tajemnie się radowali, a nawet źle ukrywali swą radość albo wcale jej nie ukrywali. Blum z wyglądem i gestami proletarjusza łączył poglądy i przekonania frakcji demokratycznej obywatelstwa. Blum także nie przechodził ponad średnią miarę charakteryzującą ludzi z 1848 roku, lecz zwróciwszy uwagę na różne przeszkody, jakie to dziecko proletarjatu spotkało na swej drodze życia, trzeba podziwiać ten delikatny, wszechstronny takt, z jakim umiał postępować w tym politycznym zamęcie. Był on bardzo wymowny; mowa jego lubo niezupełnie pozbawiona górnolotnych frazesów, przemawiała do wykształconego rozumu, a jednocześnie sympatycznie potrącała o drażliwe struny serca ludu. Jako republikanin ze skłonności i przekonania, sądził, że odrazu musi uczynić pewne ustępstwa konstytucyjnym liberałom, że jeśli wogóle rzeczpospolita jest możliwa, to dojść do niej można jedynie za pomocą monarchji konstytucyjnej. O jego wartości, jako człowieka i obywatela, o jego wierności swej idei i poświęceniu się za nią, świadczy wymownie jego mogiła w Brigit-

tenau. Nawet Windischrätz pojął, że nadarzyła się mu sposobność uśmiercenia głównego przywódcy w osobie Bluma.

Jedynie ograniczenie stronnicze może zaprzeczyć, że ci trzej przywódcy radykalni byli ludźmi poczciwymi, bezinteresownymi. Toż samo da się powiedzieć i o liberałach, ale tylko o większości, gdyż byli i tacy, którzy politykowali bardzo interesownie, uczynili z biednej — patria dojną krowę o obfitych wymionach. Pierwszym przywódcą konstytucyjnych po otworzeniu parlamentu był pan Henryk von Gagern, syn owego pana Hannes'a von Gagern, który wsławił się, jako wybitny *niemiecki patrjota*, gdyż na kongresie wiedeńskim starał się swemu panu, królowi holenderskiemu dorzucić jaknajwięcej ziemi niemieckiej. Pana Henryka von Gagern można było uważać tak co do zdolności, wykształcenia, nastroju i zachowania się za najdoskonalszy typ opatentowanego liberała, który umiał reprezentować go z wielką wykwintnością. Poza tem życie tego męża było zwyczajną prozą; słowem oprócz wielkich brwi jego nic innego nie zasługiwało w nim na uwagę. Wielkim człowiekiem uczyniło go uszanowanie profesorów niemieckich dla jego tytułu baronowskiego i jego herbu. Każdy liberalny filister był bardzo zadowolony, że mógł przyznać mu patent na wielkiego człowieka, i widział w nim pierwotyp własnej swej osoby, uważał go zatem za

najlepszego i najzacniejszego z *najlepszych i najzacniejszych*, cieszył się widokiem oddawanej mu czci, i radował się, że i on także czcić go może.

Ufność w siebie pana Henryka von Gagern oraz napięcie jego skromnych sił musiało znacznie się powiększyć przy powiewie nieograniczonego zaufania, jakiem go darzyło jego stronnictwo. Tak więc przez czas pewien, był takim, za jakiego uchodził. Był on jakoby jenerałem, którego komendzie wielu było posłusznych. Pierwszy, który kawałek ziemi otoczył ogrodzeniem i rzekł do ludzi: To jest moją własnością", znalazł jak wiadomo głupców, którzy mu uwierzyli. Cała sztuka panowania nad ludźmi polega na ujęciu berła z całą stanowczością, jakgdyby rozumie się miano do tego prawo. Sztukę tę znał gruntownie pan von Gagern. Zresztą czyni mu to zaszczyt, że w swoim kraju i w ubiorze domowym, nie odgrywał roli wielkiego człowieka. 2-go kwietnia zrana o 9-ej napisał stary Hannes von Gagern z Frankfurtu do najstarszego i najznakomitszego swego syna Fryderyka: „Wogóle synowie (Henryk i Maksymiljan) są zadowoleni z przebiegu dnia wczorajszego; każdy w swoim rodzaju. Henryk podczas umywania się wyrzekł nagle to zdanie: „Co za czasy! Jaki brak ludzi, że taka mierna głowa, jak ja, odgrywa tak wielką rolę!" Przeczyć byłoby niegrzecznie, zatem zupełnie i serdecznie zgadzamy się na to zdanie. Ale świadczy to

przytem o dobrym i otwartym charakterze człowieka, że tego świadectwa ubóstwa, wypływającego z poznania samego siebie nie obawiał się ogłosić w jednej z wydanych przez siebie książeczek [1]). Ach uczynił to dlatego, żeby wywołać zaprzeczenie, uśmiecha się złośliwie Mefistofeles. Nie, to przyznanie się do swej niewielkości przynosi więcej zaszczytu panu von Gagern w oczach ludzi zdolnych do wydania sądu, i nieskończenie więcej przekonywa, iż jest poczciwym człowiekiem „vir integer“, aniżeli naiwne pochlebstwa jego stronników, których nierozsądek podniósł bardzo wysoko barona, ażeby wszyscy widzieli, jak nikłe było jego światełko. Ależ ciężko on odpukotował za najmilszą ze swych śmiałych sztuczek, to znaczy za przecenianie siebie, za to, że chciał więcej znaczyć, niż mógł znaczyć. On, którego przez czas pewien uważano za przewodnika narodu, znalazł się wreszcie w takiem położeniu, iż jakiś Dalwigk śmiał mu ofiarować synekurę darmstadt-hesskiego posła. Ach, życie ze swemi trywialnemi wymaganiami nieraz bardzo surowo z nami postępuje, a w naszych czasach wygodnej, realnej polityki, która wszystko uwzględnia, i wszystko usprawiedliwia, wyszło już z mody, żeby osobistości publiczne przedstawiały się, jako szczere złoto i wówczas

[1]) Życie jenerała Fryderyka von Gagern przez Henryka von Gagern. II—668.

gdy błyszczeć już przestały. To, co mówi Horacy:

„Et cuncta terrarum subacta
Praeter atrocem animum Catonis“.

w czasach dzisiejszych bardziej jest niezrozumiałe, aniżeli staroperskie pismo ćwiekowe i staro-peruańskie pismo Quipus, a głupi *„jeźdźcy na konikach zasad“*, jak Demostenes i Kato, są w oczach również realno-politycznej młodzieży tylko śmiesznemi figurami. Dlatego pan Gagern dobrze uczynił, uznawszy śmieszność *„jazdy na zasadach“*, i nie chcąc cierpieć z tego powodu, za swe zasługi dla ojczyzny niemieckiej dozwolił panu von Dalvigk mianować się posłem. Hornau nie jest Kalaurią--a Darmsztad nie jest Utyką.

4.

Zrana 31 marca zagajono dziki parlament w cesarskiej sali zwanej Römer pod przewodnictwem burmistrza Szmidta z Bremy, jako najstarszego. Gdyby wizerunki starych cesarzów, wiszących na ścianach mogły mówić, powiedziałyby zapewne do zgromadzonych: „Nie zadawajcie sobie tej pracy“. Nic nie zrobicie, jak i my w swoim czasie nic nie zrobiliśmy“. Germania confusione regitur“.

Bezwłocznie też wyszła na jaw konfuzja niemiecka, gdy szło o urzędzenie biura. Pan Szmidt przedstawił na prezydującego pana von Gagern. Szemranie z lewej strony: „Nie chcemy ministrów!“ Uwagi z prawej: „Siedmiu zgodziło się, że żaden z nich nie przyjmie przewodniczenia. „Nastąpiło obecnie bardzo niemiłe sprawdzenie wyborów. Głosowanie w niewielkiej sali wypadło nader niewyraźnie, gdy na wniosek jednego z obecnych postanowiono go dokonać za pomocą usunięcia się na prawo i na lewo. Wreszcie z wielkim trudem wybrano na prezydenta pana Mittermajera, a na wice-prezydentów panów: Icsztein, Bluma, Dahlmann'a i Jordana. Mittermajer był doskonałym protesorem, który, gdy miał mówić o drastycznych lub o niemile pachnących rozdziałach prawa kryminalnego, wchodząc na katedrę, zwykle brał świeżą różę, a cytując mordercze artykuły Karoliny orzeźwiał się zapachem róży. Był to także dobry człowiek i patrjota, lecz zły prezydent. Niezgrabniej jeszcze wywiązałby się ze swego obowiązku, gdyby nie miał pod ręką Roberta Bluma, jednego ze swych pomocników, który wyprowadzał go na razie z wszelkiego kłopotu. Około dziesiątej godziny zrana wyszedł uroczyście ten *zaimprowizowany parlament*, jak go zupełnie stosownie nazwano z sali Römer, przez szpaler milicji frankfurtskiej, przy odgłosie dzwonów i huku armat, przy okrzykach:

„Hurra!“ na miejsce właściwych swoich posiedzeń, do kościoła świętego Pawła. W kościele tym, otoczonym kolumnadą, o wysokiej kopule, rotundą ozdobioną barwami czarno-czerwono-złotemi, Mittermajer, uczony profesor ze srebrną brodą i srebrnemi włosami, wygłosił przemowę. Mówił wiele *o olbrzymim duchu narodu*, więcej o miljonach niemieckich braci, a najwięcej o wolności ludu, i jego życzeniach, ale o panujących nie wspomniał ani słowa. Nie podobało się to widocznie większości zgromadzenia, i zniechęciło ją do prezydenta, co bardziej mu jeszcze utrudniło i tak trudne jego zadanie.

Liberalni przewodnicy większości porozumieli się ze sobą, że przedewszystkiem trzeba rozwiązać palące pytanie: monarchja czy rzeczpospolita? Obecność ludzi z żelazną półobręczą z północy i nadreńskich mężów lubiących życie wraz z licznem uczestnictwem bojaźliwych filistrów, poręczała im przeprowadzenie ich poglądów monarchicznych.

Niebawem podała do tego sposobność radykalna mniejszość uczestników parlamentu, przedstawiając swój program republikański, gdy przewodniczący złożył na stole, jako porządek dzienny program monarchiczny komitetu siedmiu. Wówczas Struve wchodzi na mównicę i rozwija manifest demokracji ujęty 15-tu artykułami, który mówi o wszystkiem jasno i dokładnie. Sprawiło to takie wrażenie, że każdy członek

większości; szczególniej każdy północno-niemiecki może o sobie powiedzieć ze skromnym bohaterem Wirgiljusza w drugiej pieśni:

„Przestrach mnie ogarnia, włosy stają na głowie
A głos mi odmawia“.

gdyż treścią wniosku Struve'go jest to, żeby rewolucją połowiczną zamienić na całkowitą, znieść monarchję, a Niemcy zamienić na federacyjną rzeczpospolitą. Praktyczny tego początek miał zaraz nastąpić, — do chwili zebrania się *wolno obranego parlamentu*, miał parlament wstępny odbywać swe posiedzenia we Frankfurcie, i że tak powiemy, jako konwent niemiecki miał wziąć w swe ręce kierownictwo spraw publicznych, mianowicie za pomocą *komitetu wykonawczego*.

Niema żadnej wątpliwości, że w tym programie była myśl, logika i konsekwencja, ale trzeba było być prawdziwym Wolkenkukusheimerem, ażeby uczynić taki wniosek z nadzieją przeprowadzenia go w zgromadzeniu, którego znaczna większość z góry postanowiła utrzymać monarchję, t. j. niemieckich książąt, ponieważ osobiście była w tem zainteresowana, oraz dlatego, że na serjo obawiała się rzeczypospolitej. W porównaniu z tym wnioskiem, za praktyczniejszą należy uważać myśl tych badeńskich republikanów, którzy utrzymywali, że zamiast udać się do Frankfurtu należało ogłosić rzeczpospo-

litą we Freiburgu, Offenburgu lub Mannheimie. Hecker był w tych dniach prawdziwym fantastą; — spodziewał on się Bóg wie czego od wstępnego parlamentu:

— Cóż do djabła, powiedział mu jeden z niewielu południowo-niemieckich demokratów, któremu burza marcowa nie sprawiła zawrotu głowy — czy pan spodziewa się czego od zgromadzenia, którego większość składa się z radców dworu i innych.

— Będę ich teroryzował odpowiedział Hecker.

„*Teroryzował*“ czego też sobie nie wyobrażali? Taki naprzykład uczuciowy mannheimczyk wyobrażał sobie, że siedzi w nim materjał na członka komitetu bezpieczeństwa z roku 1793-go. Teroryzować? Gdyby Hecker i Struve zebrali razem swój teroryzm, nie wystarczyłoby to nawet do steroryzowania pchły jednej.....

Pan Schaffrath z Saksonji żądał wyznaczenia komitetu dla przejrzenia programu republikańskiego, ale stronnicy książąt zaraz zmiarkowali, że to znaczyło, iż ten program miał stanąć obok monarchicznego, jako przedmiot równouprawniony do narady. Zatem *paląca kwestja* znów spłonęła, jak prawdziwy djablik ognisty. Trzeba było czemprędzej go przygasić! Jego Ekscelencja von Gagern doskonale władał swoim młynkiem ministerjalnym, służącym do badania kierunku wiatru; i wypuścił

na wniosek Struve'go, chłodną wodę bojaźliwego liberalizmu, czem przekonał, iż był prawdziwym mężem po sercu burżuazji, kładąc nacisk na to, że ogłaszanie zasad rozwiniętych przez pana Struve'go nie może w żaden sposób przyczynić się „*do przywrócenia kredytu*“. Przytem nie zaniedbał zamigotać nieco po narodowemu. Z tym patosem *poczciwców*, w którym był bardzo silny, zaklął ostatecznie *Zgromadzenie*: Wypowiedzcie, że trzymamy się monarchji. Powiedzcie, że wniosek Struve'go dotyczy tylko mniejszości, chwytającej się niepodobnych do urzeczywistnienia problematów, i dąży do rzeczy niedoścignionych.

— Wypowiedzcie, że wprawdzie tworzymy zgromadzenie, które zebrało się ze względu na lud i popiera jego zwierzchnictwo, lecz wierne jest zasadzie monarchicznej, a jednocześnie hołduje zjednoczeniu całych Niemiec.

Liberalizm „locutus est!“ Wprawdzie zdrowy rozum ludzki, usłyszawszy to, załamuje ręce nad głową, i pyta ze zdumieniem:

— Jak może człowiek, posiadający 5 zdrowych zmysłów, mówić bez wytchnienia jednocześnie o zwierzchnictwie ludu i monarchji? Ten darmsztadzko-heski minister plecie zupełnie tak, jak ów chłop darmsztadzko-hesski:

— Chcemy rzeczypospolitej, ale chcemy także naszego wielkiego księcia. Co to jednak znaczy? Kto będzie w podobnych wydarzeniach

dbał o biedny zdrowy rozum ludzki! Prawdziwie realna polityka spekuluje nie na rozum, lecz na głupotę. Najgłębsza głupota staje się najwyższą mądrością, objawieniem, gdy ludzie w nią uwierzą. Większość wstępnego parlamentu, a z nią ogromna większość niemieckiego narodu wierzyła niedorzecznościom Gagerna,—zatem pan Gagern miał słuszność, i był wielkim człowiekiem w oczach narodu, który wygodnie pozwala sobie pochlebiać, iż jest narodem „*myślicieli i krytyków*“. Gdyby nie było istotnych dokumentów o tej całej historji zwierzchnictwa ludu i monarchji, to słusznie uważanoby ją za niedorzeczną bajkę. W *szalonym* roku wszystko było możliwe, wyjąwszy coś rozsądnego.

Oprócz pana von Gagern mówili jeszcze za monarchją ze szczególną gorączką panowie: Welcker i Eisenmann. Ostatni przypomniał, że wbrew wszelkiemu prawu przez lat 15 więziono monarchję konstytucyjną, poczem z natchnieniem zawołał:

Żyję, i umrę za monarchję konsytucyjną! Szkoda, że monarchja konstytucyjna jeszcze przez długie lat 15 swego więzienia, nie przekonywała tego mikrekofalosa o swej doskonałości. Wszak to niedawno, gdy pan Welcker z Heidelbergu w napadzie demokratycznej wściekłej ekstazy wołał:

— Ludzie ci zejść muszą ze swych tronów,

zejść natychmiast! Tak było to bardzo niedawno. Ale nowo-mianowany poseł do sejmu Rzeszy nie mógł przecie tak mówić ze względów przyzwoitości. Vogt z Giesen chciał w zręczny sposób zwrócić uwagę na tę niezgodność, mówiąc:

— Pan deputowany, a raczej pan poseł sejmu rzeszy Welcker.....

Lecz tu podniósł się hałas; z jednej strony potakiwali mu śmiejący się, z drugiej ganili gniewający. Wiadomo, że prawda działa na stronnictwa, jak kolor czerwony na bawołu. Większość w dzikim parlamencie wychowana w czci panujących mocno się gniewała na tę aluzję Vogt'a o liberalnych wietrznych chorągiewkach. Nastąpiło takie zamięszanie, że prezydent musiał zawiesić posiedzenie na pół godziny. Blum wymownymi słowy zachęcał wszystkich do zgody; przypominając w zgromadzeniu, że stanowisko jego i godność nie pozwalają na takie niesnaski. Chłodniejsze głosy radykalne starały się odroczyć rozstrzygnięcie głównego pytania. Vogt uczynił wniosek, że należy się postarać o szybkie zwołanie rzeczywistego parlamentu, i dlatego przedewszystkiem parlament wstępny powinien pomyśleć w jaki sposób mają odbywać się wybory. Wesendonk dokładniej to przedstawił mówiąc, że zarówno jest niewłaściwe narzucać zgromadzeniu monarchję, jak rzeczpospolitą. Nie mamy żadnego mandatu do zadeklarowania pierwszej lub drugiej. Rozwiązać to pytanie mo-

że jedynie zgromadzenie narodowe zwołane przez cały naród. Usuńmy zatem tymczasowo pierwszy paragraf programu siedmiu. Wszak nie można rozpoczynać budowy od dachu, nie można naradzać się nad prawami panujących, przed rozważeniem praw ludu. Zatem przedewszystkiem zgromadzenie narodowe. Jeśli zechce ono rzeczpospolitą, przyjmiemy ją,—jeśli zechce monarchję, również ją przyjmiemy, gdyż na to przynajmniej zgodzić się trzeba, że nasze osobiste poglądy należy podporządkować woli narodu, którego przedstawicielem będzie Zgromadzenie Narodowe.

Wniosek ten przeszedł; postanowiono, że zwołanie Zgromadzenia Narodowego musi być pierwszym przedmiotem narady. Po rozpoczęciu narad uczuciowość niemiecka wynajdywała wszelkiego rodzaju fantasmagorje na tle niebieskich frazesów i iluzji obywatelskich; wreszcie postanowiono, że każda grupa złożona z 50 tysięcy Niemców powinna przysłać jednego przedstawiciela do parlamentu narodowego, oraz, że mieszkańcy Szlezwigu, Prus wschodnich i zachodnich, krajów, które nie należały dotąd do Rzeszy niemieckiej, powinny się z nią połączyć.

Całe wrażenie ogólne, jakie otrzymali ludzie mający sąd wytrawny niezawodnie było takie, że rzeczpospolita przegrała swą sprawę, a monarchja wygrała. Dlatego też było zupełną niedorzecznością, że republikanie, którzy chcieli

urzeczywistnić swój ideał za wszelką cenę, i pomimo wszelkich przeszkód, brali i nadal udział w Zgromadzeniu, od którego według doświadczenia z 31-go marca niczego się już spodziewać nie mogli. Jeśli chcieli zrobić to, co później zrobili, to powinni byli natychmiast rozpocząć. Wszakże hołdy składane rzeczypospolitej przez stowarzyszenia gimnastyczne i ognistookie dziewczęta w „Mainlust“ i innych miejscowościach, śpiewy Arndta, sławiące ojczyznę i melodje marsyljanki, mówki demokratyczne wygłaszane przy kufelkach piwa przez frankfurckich obrzynaczy kuponów i uściśnienia rąk przez proletarjuszów, a dalej toasty wychylone winem, a wreszcie powiewanie chorągwiami i pochodniami wieczorem tegoż dnia i nocy, obudziły w dobrych obywatelach Wolkenkukusheimu marzycielskie przypuszczenie, że klęska, jaką ponieśli 31-go marca da się pomścić, i naprawić 1-go kwietnia. Ależ to był uprzywilejowany dzień zwodzeń dla tych, którzy zwodzić się dają.

5.

Z początku jednak ten pierwszy kwiecień nie wróżył nic złego. Zdawało się, że przebyto już stan embrjoniczno-chaotyczny dzikiego parlamentu; również zdawało się, że drugie posiedzenie otwarte o 10-ej godzinie zrana przemi-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

nie łagodnie, prawidłowo. Po południu dnia tego panowała w zgromadzeniu bardzo miła, orzeźwiająca temperatura, jakby wionęło powietrze demokratyczne z pierwszych dni marca, które zawisło w oddaleniu i niespodziewanie wcisnęło się do kościoła św. Pawła. Rozpatrywano, zastanawiano się nad trybem wyborów do zgromadzenia narodowego, postanowienia następowały po sobie szybko i rzecz dziwna jednogłośnie. Za najwyższą zasadę przyjęto, wybory bezpośrednie. Sposób odbywania wyboru pozostawiono uznaniu każdego państwa; wszakże pod następnemi warunkami: wybranym może być każdy pełnoletni według praw obowiązujących w jego kraju, wybieralność zupełnie niezależna od wiary, stanu i majątku. Wybrany nie potrzebuje koniecznie należeć do kraju, w którym został wybrany. Wreszcie zbiegowie polityczni, którzy wrócą, i zechcą korzystać ze swego prawa obywatelstwa, mogą wybierać i być wybieralnemi. Prawo to było w zupełności wolnomyślne i narodowe.

Po południu jednak znów wybuchło palące pytanie, nie rozniecilo się jednak na płomień parzący, napełniło wszakże kościół św. Pawła nieznośnym dymem i czadem.

Jednomyślnie postanowiono, żeby miasto Frankfurt zostało i nadal rezydencją parlamentu, który miał być zwołany, gdyby się dało, 1-go maja. Dotąd wszystko dobrze. Później jednak

przyszła kolej na rzeczy nieco zamysłowate. Liberalni chcieli czemprędzej uporać się z *dzikim parlamentem*. Miano zatem wyznaczyć z niego komitet złożony z 15—50 członków, który miał zawiązać stosunki z sejmem rzeszy, i wspólnie z nim najwyżej kierować sprawami narodowemi do chwili zgromadzenia narodowego. Z sejmem rzeszy, twierdzili rojaliści łatwo sobie poradzimy. Pozwoli on sobą kierować, i ma dobre maniery, nie jest też niebezpiecznym, wszak rozpoczęła się już jego puryfikacja a tymbardziej, że ze strony rządów przysłano *mężów zaufania*. Jednym takim był Ludwik Uhland; byli oni jakby nadzorcami. Jasny był zamiar liberałów; chcieli oni wprowadzić w życie swój kretynizm: „*rewolucja na gruncie prawnym*“ przy pomocy maszyny, jaką przedstawił: sejmu rzeszy, a to z dwóch względów: raz maszyna ta miała przygotować *prawną podstawę* parlamentowi; powtóre użycie tej maszyny miało być gwarancją dla książąt i wszystkich ich stronników, że liberalizm posiada szacunek poddańczy dla całego dotychczas istniejącego porządku rzeczy. Całe to przygotowanie dawało do poznania, że wszelkie ustępstwa w sprawie wyborów poczynione były tylko lekkiem przepierzeniem, poza którem już obecnie myślano o sparaliżowaniu zwierzchnictwa zgromadzenia narodowego, ponieważ w ten sposób, zdawało się, że wypłynęła ona z dotychczasowej konstytucji sejmu rzeszy i jakoby

przez niego utworzona została. Jakie to było bezczelnie tkliwe, — kierunek *rewolucji niemieckiej* złożyć w ręce wstecznikow, a dziecię parlament oddać na mamki związkowi rzeszy.

Radykalni, nie znając liczby i usposobienia swoich przeciwników, potępili zamiar przywrócenia czci sejmowi rzeszy z należną mu pogardą, i postawili swój wniosek, ażeby parlament wstępny ogłosił się za nieustający, i kierował losami Niemiec do chwili zgromadzenia narodowego. Wyraził tem nadzieję, że tą drogą może uda się ogłupiały ruch niemiecki sprowadzić jeszcze na właściwe tory.

Oczywiście na samą myśl nieustającego parlamentu przeszły ciarki po skórze *najlepszych i najpoczciwszych mężów;* toż samo zaszło z czułemi w jednej ósmej i dwóch ósmych częściach demokratami barwy Beneday. Zdawało się im, jakoby tym wnioskiem chciano zapowiedzieć rząd terroryzmu à la Konwent, zdawało się im nawet, że słyszeli już zdala mordercze uderzenia padającego noża gilotyny.

Liberalni wypchnęli najprzód pana Welcke'ra, ażeby wyjaśnił ich zamiar i powód, co ten wykonał z taką gorliwością, jakgdyby był posłem związku nie od 17 dni, lecz od lat 34. Twierdzenia jego zbijali ze szczególnym zapałem stary Jesztein, Hecker, Raveaux i Jakobi. Raveux rzucił większości liberalnej prawdę w oczy:

— „Jesteście zgromadzeniem rewolucyjnym,“

i sądził, że takie zgromadzenie powinno mieć chęć i odwagę wysnucia konsekwencji ze swego stanowiska. Hecker zakończył swą mowę wypowiedzianą z zapałem apostrofą do konstytucyjnych:

— Kto powiedział Alfa, musi powiedzieć Omega", w tem błądził. Według konstytucjonalizmu, kto wyrzekł *A*, niekoniecznie musi powiedzieć *B*, nie mówiąc już o *Z;* albowiem czarodziejska tabliczka konstytucjonalizmu niezawsze zgadza się na to, że dwa razy dwa jest cztery, lecz czasem trzy, czasem pięć i t. d. Od absolutnej nielogiczności, nie można spodziewać się konsekwencji. Wbrew przedstawieniu Welcker'a, iż komitet, jaki parlament wstępny miał wyznaczyć, może użyć sejmu rzeszy, jako organu *już istnicjącego*, powiedział Hecker:

— Gdyby komitet zaproponował choćby najlepszy środek, a sejm Rzeszy usankcjonował go, lub poparł wniosek komitetu, to ten najlepszy środek obudzi nietylko podejrzenie, lecz przyjęty nie zostanie. I to rozumowanie niesłuszne. Wszak dobry biedny Michałek niczego bardziej nie żądał w swem poczciwem zaufaniu, jak pokładać ufność we wszystkich, których jego *najlepsi* i *najzacniejsi* mężowie przedstawią za godnych zaufania. Romantyk Hecker miał wkrótce na swą szkodę przekonać się, o ile lud niemiecki idąc za wskazówką swoich najlepszych i najzacniejszych ufał nawet związkowi Rzeszy mniej lub

więcej czynnemu. Wreszcie pan von Gagern wystąpił ostatecznie przeciw nieustającemu parlamentowi, tak więc wniosek ten 368 głosami przeciw 143 odrzucono.

Radykalni zatem 1-go kwietnia, na który tak liczyli dnia wczorajszego haniebnego doznali zawodu, jak to zwykle się dzieje pierwszego kwietnia. Powinni oni byli obecnie wystąpić z parlamentu, jeśli nie chcieli bezwarunkowo podporządkować się woli większości. Pozostali jednak, chwytając się ostatniego źdźbła nadziei. Dziwna to rzecz, spodziewali się, iż ze strony konstytucjonalistów otrzymają ustępstwo, a przynajmniej pozorne ustępstwo. Byłaby to rzecz niepojęta, gdyby nie wiedziano, że konstytucjonalizm nie kieruje się logiką.

6.

Nawet liberalni przyznali po przyjęciu wniosku większości: „Że komitet z 50-ciu mający wejść w stosunki ze związkiem rzeszy, i wspólnie z nim radzić o sprawach narodowych jest niedorzecznością, przyznał się, iż nie umieli korzystać ze swego zwycięstwa. A przecież mogli, i powinni byli zamazać szczerbę pomiędzy liberalizmem a radykalizmem, i zniewolić radykalizm do wspólnej ze sobą pracy — zaliczając jego najniebezpieczniejszych naczelników do

komitetu 50-ciu. Zamiast tego liberalizm postępował ze zwyczajną wyłącznością panujących stronnictw, a jego przywódcy dali hasło później cofnięte do połowy, że mniejszości nie należy uwzględnić przy wyborze komitetu. Czy było to prosto głupotą liberalną, a może chciano złośliwie tym brutalnym wyzwaniem pobudzić najzapaleńszych demokratów do kroków rozpaczliwych, ażeby szybko i gwałtownie usunąć wszelkie przeszkody działalnoości liberalnych? Pytania tego nie można na pewno ani potwierdzić, ani zaprzeczyć; wszakże wyznać trzeba, że później ujawniło się we Frankfurcie, iż panowie Mathy i Bassermann, którzy przecie w drugiej połowie marca 1848-go z najradykalniejszego radykalizmu przerzucili się do wiernopoddańczego liberalizmu, i u których w pierwszych dniach kwietnia ukazał się już pierwszy puch piór ministerjalnych,— tak jest panowie Mathy i Bassermann podali radę Gagernowi i konsortes, ażeby śmiertelnie obrazili próżność Hecker'a przy wyborze komitetu przez jego pominięcie, co pobudziło go i jego stronników do szalonego czynu, tak więc cały *pęcherz republikański* można by zgnieść odrazu. Wiadomo, że w takich razach nie spisują się protokuły, dlatego pomijamy to podanie, jako niezupełnie pewne pod względem historycznym, i odsyłamy je do mglistych regjonów niepewności.

Jeśli rzeczywiście istniała ta pułapka, to

trzecie posiedzenie okazało, że ci, na których była zastawiona, niezawodnie się złapią. Nierozsądni, radykalni spróbowali współubiegać się ze swemi przeciwnikami w parlamentarnych wybiegach i wykrętach, albowiem za pośrednictwem Zitz'a podali wniosek: „ażeby zgromadzenie oświadczyło *zanim* sejm rzeszy weźmie w swe ręce sprawę zgromadzenia narodowego konstytucyjnego, powinien najprzód uchylić się od przeciwnych ustawie (postanowień karlsbadzkich i wiedeńskich) i wydalić ze swego grona mężów, którzy pracowali nad temi postanowieniami, oraz je wykonywali. Cel tego wniosku był bardzo wyraźny; albo znicwolić większość do ustanowienia nowej władzy związkowej, albo też tę większość, jako pozostającą w porozumieniu ze starym sejmem rzeszy, rzucić na pastwę pogardy publicznej.

Pan Bassermann postanowił eskamotować myśl podanego wniosku za pomocą jednej z owych sztuczek kuglarskich, które doktrynie konstytucyjnej chustawki zawsze pozostają do rozporządzenia. Nie polega ono na żadnem czarodziejstwie; lecz poprostu na *szybkości!* Ta prosta szybkość tego 2-go kwietnia polegała na tem, że pan Bassermann zaproponował przyjąć wniosek Zitz'a, ale postawić na miejscu wyrazu *zanim* wyraz *„gdy to uczyni,“* a na miejscu wyrazu *może wziąć* wyraz *„bierze“*. Obywatel Kapp z Heidelbergu, stary, poczciwy Kapp, który po-

przednio tak zgromił romantycznego obskuranta Schellinga, iż ten musiał odrzucić maskę filozoficzną, zrozumiał zamiar, i w tak zły wpadł humor, że bez wszelkiego względu nazwał tak zwany związek *Bund* i sejm związkowy (Bundestag) a buntując się przeciw wszelkiemu porządkowi, zawołał rozwiązując to pytanie: „Pokaże się, kto staje po stronie djabelskiej“. Na te słowa roześmieli się panowie liberalni litościwie ze *starego hałaśnika*, który o tej szlachetnej sztuce przystosowania się prawdopodobnie nie miał żadnego wyobrażenia. Baron von Klosen z Bawarji zauważył, *że nie lubi walczyć z umarłymi*, że metternichowski sejm związkowy rzeszy umarł w dniach marcowych Wiednia. Coby też powiedział ten dobry baron 2-go września 1850-go roku, gdy sejm Rzeszy zmarły w *sławnych dniach marcowych* 1848 roku wstał znów zmartwych po szwarcenbergowsku? O prawdopodobieństwie takiego zmartwychwstania przepowiadał Blum ostrzegając, lecz rozumie się, że jego przezorna mądrość w oczach poczciwców była jeno zbyt czarno widzącą głupotą. Więcej oklasku znalazło votum pana Wenedey: sejm Rzeszy będzie sprawował obowiązki naszego listonosza, i dlatego jest nam potrzebny. Obywatel Struve uderzył w główkę gwoździa, mówiąc:

— Projekt Bassermann'a różni się od projektu Zitz'a, jak wyraz od czynu. Dosyć poczy-

niliśmy gorzkich doświadczeń, nie powinniśmy już dać się omamić wyrazami.

Byłoby jednak dzieciństwem liberalnych poczciwców, gdyby żądali czynu, który mógłby być tylko rewolucyjnym; większem jeszcze dzieciństwem było silniej jeszcze obrazić czczą groźbą większość liberalną pewną zwycięstwa. Wniosek Zitz'a jest ostatnią próbą uczynioną z naszej strony, czy możemy nadal pozostać w tem zgromadzeniu, i z niem wspólnie pracować.

„Majster od balad Uhland“ mówił poetycznie za bassermańskim *wnioskiem*, zwracając uwagę na złotą zorzę ukazującą się *na wschodzie* (*Wiedniu*) i zakończył:

— Sądzę, że gdy wiosna puści nowe odrostki, stare liście same z siebie opadną.

Mistrz Ludwik po upływie 14-tu miesięcy i kilku dni przekonał się bardzo widocznie i naocznie, jakiego gatunku był liść nowy ten wyrosły po *starym* liberalnym, liść 48-letni, a właściwie marcowy liść ministerjalny. Pan Gagern przypomniał, że rozpoczęto już *oczyszczenie* Sejmu Rzeszy, gdyż rządy odwołały niektórych swych posłów najmniej lubionych i zastąpiły ich ludźmi godnymi zaufania. Na to odrzekł Hecker ze zwyczajną swą zaciętością i podeptał nogami rzuconą przez liberalnych przynętę podczas rozpraw dnia tego, zastrzegającą, iżby w komi-

tecie 50-ciu wybrano mężów różnych barw politycznych:

— Nie chcemy należeć do rzędu wybranych dlatego, żeby mężów stronnictwa republikańskiego nie posadzono obok starych posłów Sejmu Rzeszy, ażeby tem zjednać sobie popularność u ludu. Ale stary Icsztein zrozumiał doskonale, że kuglarskie *gdy* otrzyma górę znaczną większością, i dlatego chciał sam ogłaszając się za tem koniecznym *gdy*, oszczędzić swoim stronnikom powtórnej klęski przy głosowaniu. Nie zrozumiano tej wyraźnej wskazówki, albo też na nią nie zważano. Nastąpiło głosowanie, — rezultatem jego było to, co łatwo dało się przewidzieć, że *zanim* zostało znaczną większością odrzucone. Zwołanie Zgromadzenia narodowego, mającego ułożyć *konstytucję* złożono zatem w ręce sejmu rzeszy, a puryfikacją sejmu pozostawiono przypadkowi i dowolności.

Po tem postanowieniu nastąpiła wielka wrzawa w kościele Ś-go Pawła. W Zgromadzeniu pienił się i szumiał gniew pokonanej mniejszości, na galerjach szemrała i tupała *opinja publiczna*. Hecker i Struve powstali, i wyprowadzili swój hufiec,—był to mały hufiec, gdyż teraz jawnie się okazało, jak swojskim był tak zwany dziki parlament: za jenerałami republikańskiemi poszła cała armja, okrągło licząc 40 — 50 ludzi. Byłaby to zresztą wielka naiwność, gdyby Hecker i Struve wyobrazili sobie, że większość

zgromadzenia, a może tylko pewną część jego członków porwą za sobą. Wszakże ponieważ postanowili ustąpić, to raz opuściwszy podwoje Ś-go Pawła, nie powinni byli ich już przekraczać. Rzeczywiście postąpili jak prawdziwi chłopcy, że dopiero wskutek postanowienia większości powiedzieli:

— „Teraz nie będziemy z wami pracowali“, a potem za pomocą frazesów, o których rady,— kalni wiedzieć musieli, że były to czcze frazesy; dali się namówić znów do wspólnej pracy. Dziś powodowani śmieszną iluzją, że to ostre wystąpienie będzie niejako odwołaniem się do ludu, przy którego pomocy będzie można zdmuchać całe to szachrajstwo i rozpędzić na cztery wiatry parlamentarną bojaźliwą większość stronników panujących i zająć ich miejsce jakby nowy konwent, a nazajutrz wskutek zapewnienia sejmu rzeszy, tak jest sejmu rzeszy, dalej prowadzić szacherkę parlamentarną, jakaż to polityka? Polityka tych, o których napisano: *Puerilia tractant!*

Blum, Icsztein, Jakobi, Raveaux i Vogt byli tak rozsądni, iż nie przyłączyli się do swych kolegów opuszczających kościół. Dwaj pierwsi z pomiędzy wzmiankowanych starali się gorliwie nakłonić ich do powrotu, ponieważ obawiali się, że secesja wykaże tylko bezsilność rzeczywistości. Wśród zamieszania i wrzawy wywołanych sceną wyjścia, powstało pytanie, którego rozwa-

żanie myślącym ludziom musiało wykazać wyraźnie, że liberalizm w swoich ewolucjach parlamentarnych teraz i później ma na celu jedynie gadaninę, a nie czyn. Glaubrecht z Moguncji wniósł, żeby zgromadzenie raczyło postanowić, że komitet jaki miało wybrać, będzie uważał za jedno z pierwszych swych zadań — uzbrojenie ludu. W tym wniosku odzwierciedliła się zupełnie słusznie myśl demokratów, ażeby nadać idei parlamentu trwałą podwalinę zorganizowanej milicji obywatelskiej, czyli innemi słowy wolę idealną reprezentowaną przez przyszłe zgromadzenie narodowe przekształcić na potęgę realną.

Zresztą liberalizm zachował się w tej okoliczności prawdziwie po liberalnemu: wykręcił się słowami od obowiązku działania. Większość bowiem postanowiła, ażeby komitet popierał uzbrojenie ludu we wszystkich krajach niemieckich — i na tem sprawa się skończyła. Wspomnieć wszakże należy, ze względu na sprawiedliwość dziejową, że poraz ostatni zabrzmiał przy tej okoliczności głos pana Mathy w kierunku swego lepszego przedmarcowego ja, przemawiał bowiem *za koniecznym, niezbędnym uzbrojeniem ludu.* Musimy przeprowadzić uzbrojenie ludu, tak ze względu obrony od nieprzyjaciół zewnętrznych, jako też, iż stanowi ono jedynie pewną gwarancję przeciw wewnętrznej reakcji.

Jeśli w rozprawach, dotyczących uzbrojenia

ludu gminny liberalizm okazał swój nierozum i tchórzostwo, to okazał prawdziwą swą ignorancję i brak serca, gdy rozprawy przeszły zakres szablonowej liberalnej polityki, i weszły na dziedzinę pytań społecznych. Nastąpiło to, gdy pan Jaup z Darmstadu w imieniu 68 członków przedstawił 12 punktów niemieckiej *karty ludowej*. Blum i inni ujęli się gorąco za *biedną klasą* robotniczą zalecając, ażeby wciągnięto do zarysu głównych *praw podstawowych* ludowy system kredytowy z kasami rolniczemi i robotniczemi; opiekę nad pracą, zabezpieczenie od nędzy niezdolnych do pracy, dostarczenie zajęcia robotnikom nie mającym pracy, a robotę rękodzielniczą i fabryczną zastosować do potrzeb czasu, dostarczeniem nauki szkolnej klasom rzemieślniczym ze środków państwowych. Liberalizm, jako polityczne wyrażenie burżuazji w najgorszem znaczeniu tego wyrazu starał się tymczasem za pomocą frazesów przejść ponad niemiłą przepaścią, jaką utworzyły przed nim pytania społeczne. Było to dla niego tym fatalniejsze, że on sam przez tyle lat od roku 1815-go podniecał i burzył przeciw istniejącym władzom robotników, proletarjuszów w imię wolności i równości, w imię prawa natury i głodu. Lecz liberalizm, który nie zna logiki umiał sobie i w tym razie poradzić. Pan minister Römer ze Stuttgartu stanął na mównicy i rzekł:

— Moi panowie, zapewne wy wszyscy ży-

wicie sympatję dla tych ludzi, proszę więc przez powstanie ją okazać.

Liberalizm powstał jak 400 marjonetek pociągniętych na drucie, i—koniec. Sądził, że tem rozwiązał kwestję społeczną.

.... *Ci ludzie*... ...Dopóki chodziło o zburzenie wałów i murów państwa feudalnego, i absolutnego państwa policyjnego, ażeby po ich minach liberalni metadorowie mogli przejść do foteli urzędowych, nazywali ci najlepsi i najzacniejsi proletarjuszów *kochanymi braćmi i dzielnymi współobywatelami*, teraz jednak gdy ci kochani bracia i dzielni współobywatele poza rzeczonemi wałami i murami wyprostowali się w całej swej wysokości, i poczęli pytać: Gdzie nasze zdobycze marcowe? - wtedy dla liberalizmu byli tylko *tymi ludźmi*, których się pozbywało tanim okazaniem sympatji przez *powstanie*, z zastrzeżeniem, że gdyby to nie było dostateczne, to wezwanoby do pomocy bagnety i kartacze przeciw *kochanym braciom i idealnym współobywatelom*....

Tymczasem *wysoki* sejm Rzeszy tak nędznie się zachował, jak można było się spodziewać od tej prześwietnej władzy. Jeszcze wieczorem, 2-go kwietnia odbył on posiedzenie w swym pałacu Thurn-Taxis, przy ulicy Eschenheim, który był celem niezliczonych przekleństw. Rezultat narad był tak haniebny, tak nikczemny, że wszyscy się przekonali, jak sromotną rolę przyjął na sie-

bie liberalizm, postępując ręka w rękę z tylokrotnie osławioną i zbezczeszczoną władzą. Pan hrabia Kolloredo, wówczas prezydent sejmu Rzeszy, zawiadomił pana Mittermajera, że zgromadzenie sejmowe, stosując się do postanowień wstępnego parlamentu, uzna komitet 50 oraz i ci posłowie, którzy odgadywali, że uchwała powzięta z drugiego kwietnia miała ich na myśli, poprosili już o uwolnienie, lub bezwłocznie o nie poproszę; wreszcie, iż wszystkie poselstwa radziły usilnie swoim rządom przetworzyć na nowo sejm rzeszy, ażeby budził powszechne zafanie.

Przy zagajeniu posiedzenia z 3-go kwietnia, prezydujący zakomunikował wstępnemu parlamentowi postanowienia pałacu Thurn-Taxix.

Papa Icsztein, który wczorajszego dnia już się postarał o powrót Secesjonistów, dodał, że postanowienia sejmu Rzeszy *usunęły powody, jakie zniewoliły* radykalnych do secesji. Z różnych mów, jakie później nastąpiły, sądził Icsztein, że należy wyprowadzić ten wniosek, iż zgromadzenie upoważnia go lubo niezupełnie wyraźnie do zaproszenia secesjonistów do powrotu. Tak samo rozumiał tę sprawę Hecker, gdy powołany przez Icsztein'a znów ukazał się ze swymi stronnikami w kościele Ś-go Pawła, i z mównicy oznajmił:

— Ponieważ zgromadzeni postanowili zaprosić nas, iżbyśmy znów wzięli udział w nara-

dach, i ponieważ wczorajsze postanowienia sejmu Rzeszy usunęły powód naszej secesji, uważaliśmy, za nasz obowiązek ze względu na miłość ojczyzny, powrócić do zgromadzenia.

Parlament przyjął oklaskami powrót demokratów. Niewiadomo jednak z jakich powodów, czy to, że samochwalcza odpowiedź Hecker'a uraziła większość, czy też poprostu z nierozsądku stronniczego, liberalni dopuścili się wielkiego głupstwa. Przy wyborach komitetu 50-ciu, postanowili pominąć ognistych radykałów, zamiast wciągnąć ich do niego, i tem uczynić *nieszkodliwymi*, tak jak i poprzednio powziąwszy zamiar nie zważania podczas wyborów na mniejszość, cofnęli to obecnie chytrze, a tak uczynili przecie *nieszkodliwymi* właściwych strategów i taktyków demokracji: Bluma, Icszteina, Raveax i Jakobiego. Hecker wyszedł z urny wyborczej zaledwie 171 głosami jako 51, Struve tylko 100 głosami jako 62. Wrażliwemu Hecker'owi musiało się wydać gorzkiem szyderstwem, iż wybrano go do komitetu 50-ciu jako 51-go. Zachodzi jednak wielkie pytanie czy bez tego szyderstwa Fryc Hecker dałby powód do następnej śpiewki:

Hecker blus in hellen Zorn
In sein groses Putscher=Horn.

Hecker zatrąbił w wielkim gniewie
W swój ogromny róg huczkowy.

Dziwnie kontrastował z nieprzychylną wyłącznością, jaką większość liberalna przy wyborach komitetowych okazała demokratom napozór silny podmuch demokratyczny, który nagle ujawnił się w rozprawach tego czwartego i ostatniego posiedzenia parlamentu wstępnego z 3 kwietnia. Wpuścił go pewien badeńczyk, który równie, jak wielu innych jego ziomków badeńskich w tych czasach przeklętego radykalizmu przedarł się do patentowanego liberalizmu. Był to pan von Soiron z Mannheim, który nie przyzwyczaił się jeszcze do swego nowego opierzenia, a któremu także przypomniało się może, że zaledwie przed 14-tu dniami, jeszcze 19-go marca w Offenburgu wnosił ogniste toasty na cześć Rzeczypospolitej. Pan von Soiron wniósł mianowicie; żeby zgromadzenie raczyło ogłosić, iż naradę nad przyszłym urządzeniem Niemiec należy powierzyć zgromadzeniu narodowemu wybranemu przez lud. Motywa wnioskodawcy uzupełniły szczegóły.

— Jestem, powiedział tego zdania, że wreszcie lud niemiecki musi zaufać sobie samemu, i powinien w tem krytycznem położeniu. Jestem zdania, że dziś głośno i otwarcie, wypowiedzieć powinniśmy wobec ludu zasadę zwierzchnictwa ludowego w najwyższym stopniu.

Poczciwy nosiciel obróżki z Hannoweru, pan Siemens oburzył się na tę propozycję rewolucyjną i powiedział, że nie można jej zastosować

do północnych Niemiec. Dla nas stosownem może być to tylko, co oparte jest na porozumieniu się panujących z ludem. Pan Assmann z Brunswicku postawił przeciwny wniosek; iż zgromadzenie narodowe ma skreślić szkic ustawy niemieckiej i rokować z panującymi w Niemczech o jej przyjęcie.

Tak więc naprzeciwko zasadzie zwierzchnictwa ludu postawiono wyraźnie zasadę porozumienia się wzajemnego; Welcker w swój sposób chciał obu przeciwieństwom odtrącić ostre końce, i doszedł aż do śmieszności mówiąc:

— „Są to pytania właściwe tylko do rozpraw uczonych," co sprawiło większe jeszcze zamieszanie i wywołało w Zgromadzeniu anarchiczne burzenie się i pienienie. Przestraszyło to pana von Soiron, a w przestrachu zapomniał o swych toastach w Offenburgu z 19 marca, i w pośpiechu powiedział, że przyjrzawszy się dokładnie jego strasznemu wnioskowi odrazu poznać można, że jest on tylko dwuznacznym frazesem gatunku patentowanego liberalizmu, a raczej liberalizmu kauczukowego:

— Proszę panów, objaśniał, nie przeoczcie, że w moim wniosku stoi; jedynie i wyłącznie zgromadzeniu narodowemu pozostawia się narada i ostateczne postanowienie, i wyobraźcie sobie panowie, że *pozostawia się* jest drukowane bardzo dużym szryftem. A przekonacie się, że ten wniosek nie chce bynajmniej przymuszać

zgromadzenia narodowego, — lecz w zupełności pozostawia to jego woli, po załatwieniu swego interesu, i rozpocząć o tem rokowania z panującymi, lub wcale ich nie rozpoczynać. Cały więc hałas był sprzeczką o brodę cesarską, liberalną zabawką, konstytucyjnem migotaniem. Po takiem wymotywowaniu nawet największy wsteczник mógł się zgodzić na wniosek, nastąpiła też zgoda zgromadzenia wśród welkiej radości i wesołości. Wszak ludzie są nadzwyczaj zadowoleni, gdy z niejaką przyzwoitością mogą się okazać nędznikami.

O 4-tej wieczorem minister odbył swą mowę pożegnalną i zamknął posiedzenie „dzikiego parlamentu“.

7.

Jeden z raków o najostrzejszych kleszczach, jacy w kościele Ś-go Pawła wpełzali wówczas i wypełzali, pan Jürgens z miasta Oldendorf sądził:

— W zwołaniu i zachowaniu się parlamentu wstępnego była wówczas tylko myśl i konsekwencja, gdyby albo przez ustanowienie Rządu tymczasowego rozpoczął rewolucję w wielkim stylu, albo też silnie i niewzruszenie stawał po stronie władzy prawnej. Zdanie to zupełnie jest słuszne. Co zamiast tego czyniła, i czego chcia-

ła większość wstępnego parlamentu tak obecnie jak i później w zgromadzeniu narodowem? Chciała pomiędzy tem albo owem wynaleźć średnią drogę, którą ukochana liberalna miernota uważała za drogę najlepszą. Chciała wymyć futro bez zmaczania go, chciała krajać nożem, któremu brakowało klingi, chciała urzeczywistnić swój kretynizm, zrobić rewolucję bez rewolucji.

Stąd pochodziła ta haniebna, niegodna, wstrętna niemoralność konstytucjonalizmu, owo widoczne kłamstwo i oszustwo, w jakie zaplątali się liberalni.

Bawili się prawnością i nieprawnością, legalnością i nielegalnością, prawami ludu, i prawami panujących, jak kuglarskiemi piłkami gumowemi. Głośno proklamowali zwierzchnictwo ludu, a po cichu szeptali do junkrów, księży, panujących: „To tylko żart, sposób wyrażenia się.“ Rozdrażnili panujących górnolotnymi słowami, a pozostawili rozdrażnionym wszystkie środki zemsty. Tak postępowali jakgdyby najwyższe dowództwo do nich należało, a jednak pozostawili przy panujących dowództwo nad wojskiem, i rozporządzanie się skarbem. Wyrzucali sejmowi rzeszy, iż jest trupem, dozwalali mu jednak dalej być czynnym. i weszli z nim nawet w stosunki. Słowem takie okłamywanie się i nierzetelność jaką rozwinął liberalizm w parlamencie wstępnym i później, taka potworność

złożona z nierozumu, zarozumiałości, taki szczurzy król zarozumiały i bezsilny, chytry i głupi, chełpliwy i tchórzliwy rzadko kiedy obrażał oczy ludzi myślących.

Lecz i radykalną mniejszość członków parlamentu wstępnego dotyka wyrok dziejowy, i uznaje ją za winną. Komedja wystąpienia z parlamentu i pozornego wejścia do niego była czystym wybrykiem dzieciństwa. Lecz ponieważ z tą komedją łączyło się prawne uznanie zgromadzenia, to nie można było po jej odegraniu, po ponownym powrocie republikanów, nie wypadało podawać w wątpliwość tego parlamentu,—nawet i wówczas, gdy naczelników demokracji nie pomieszczono w komitecie 50-ciu. Przedewszystkiem sam Hecker powinien sobie był przypomnieć swe własne słowa o Alfie i Omega, że kto parlamentarnie powiedział A, powinien powiedzieć także B, i tak dalej aż do Z. Kto raz uznał parlamentaryzm, nie powinien, jeśli parlamentaryzm zrobił tak, jak to jego natura i sposób wymagały, nie powinien był apelować od parlamentaryzmu do huczku. Było to niepoczciwie i niepolitycznie, a powiedziawszy z największą łagodnością, było wyrazem kaprysu chłopięctwa, burszostwa, romantyczności.

Stało się to jednak głównie dlatego, że Hecker nie był człowiekiem charakteru, lecz człowiekiem chwilowego nastroju, a takim był zawsze i wszędzie. Nie ulega wątpliwości, że był

to człowiek czysty i zacny, wzniosłych myśli, i przejęty szczerą miłością ojczyzny. Nigdy nawet we śnie nie wyobrażał sobie, żeby dla zostania ministrem można stać się zdrajcą swego własnego przyjaciela, albo też, żeby można było napisać nikczemną książkę dla otrzymania zwyczajnej profesury lub czego podobnego, napisać o pokonanem stronnictwie, do którego samemu poprzednio się należało, pod tytułem „Pamiętniki“ ze źle ukrytą radością z mordów dokonanych według wyroku wojennego. Wszakże równie nie mógł innych ludzi pojąć, i osobistością swą mierzył każdego przeciętnego człowieka, a przecież tacy ludzie stanowią przeważną część społeczeństwa ludzkiego. Kto narzuca się ludziom na przewodnika, powinien ich znać, to jego pierwsza powinność i obowiązek. Hecker nie znał ludzi. Z prawdziwie zadziwiającą naiwnością, opowiadał po nieudaniu się swego huczku (zbrojnego powstania):

— Codziennie przybywały na początku kwietnia listy, adresy i deputacje do mnie, i do Struvego, z których można było być przekonanym, że przygotowano się do działania. Żądały one, żebyśmy ogłosili Rzeczpospospolitą, i z orężem w ręku poszli naprzód. Co godzina mnożyły się uroczyste przyrzeczenia stanowczego współdziałania obywateli i żołnierzy; co godzinę manifestowała się coraz energiczniej wola ludu, i oznajmiono nam, że jeśli nie staniemy na czele, to

lud sam działać pocznie, gdyż niepodobna go dłużej powstrzymywać. Czy można było przypuszczać, że z tych zgłaszających się, piszących listy i osobiście przybywających, w chwili działania większa część nikczemnie się cofnie, lub działać będzie otwarcie, i potajemnie przeciw powstaniu. Ależ na wszystkich bożków! nie można się było temu dziwić! Wszak ten naiwny człowiek przez lata całe zajmował miejsce w Izbie deputowanych przez całe lata wraz z innymi praktykował humbug konstytucyjny, a nie wiedział jeszcze, że on demoralizuje ludzi i narody, nie wiedział, że od wyrazu do czynu, od życzenia do działania jest nieskończenie wielka odległość, której większa część ludzi pokonać nie może i nie chce. Widzimy stąd, że Hecker był marzycielem i iluzjonistą, a tacy ludzie nie robią dziejów. Czynią to tylko wielcy bohaterowie i wielkie łotry, a mówiąc nawiasem oba te przymioty często mieszczą się w jednej osobie.

Niewielka chorągiew republikanów skupiona około Heckera i Struvego we wstępnym parlamencie, którego cała polityka streszczała się w wyrazie *uderzyć*, wskutek ciągłego ścierania się ze sobą i liberalnymi politykami coraz bardziej się burzyła. Po wyborze komitetu 50-ciu, nie było już żadnej wątpliwości w Woffseck, głównej kwaterze republikanów, iż nastała chwila uderzenia.

Kto na poufnych, poufniejszych i najpoufniej-

szych naradach *heckerlingów* i *struvelperterów*, jak ich nazywali *najlepsi* i *najzacniejsi* poczciwcy, okazywał pewną wątpliwość przekonania, że gdy chorągiew republikańska powiewać będzie w polu, to lud całemi masami powstanie w południowo-zachodnich Niemczech, powtarzamy raz jeszcze, kto ośmielał się temu wątpić, — musiał być dobrze znanym republikaninem, w przeciwnym razie spoglądano na niego bardzo z ukosa. Gdy na jednej z tych narad zapytano, gdzie najprzód uderzyć trzeba, wymieniono Würtemberg. Obecny obradom jakiś szwab, nie chciał wierzyć temu, co słyszał, a dla uchronienia Szwabji od tej klęski opowiadał dlaczego w Wirtembergji wcale się udać nie może, a za dowód przytoczył, iż kochani ziomkowie zajęci są właśnie radowaniem się pozłoceniem, ocukrzaniem niedorzeczności tak zwanych zdobyczy marcowych, jak dzieci ozdobą chinki; oraz, że znajdują się w najwyższem stadjum, w prawdziwem delirjum zaufania do swoich nowo-upieczonych *marcowych ministrów*. Republikańskie zbrojne powstanie w Wirtembergji musiałoby haniebnie się zakończyć; albowiem — tak mówił mąż ze Szwabji, — „moi kochani ziomkowie spostrzegają zwykle trochę za późno, że ich zdradzono i oszukano, i dlatego też dużo jeszcze wody upłynie w Neckarze zanim zrozumieją jakie właściwie znaczenie mają marcowe zdobycze i marcowi ministrowie“. Potem nastąpiło drugie pytanie: „Czy najprzód

zatknąć chorągiew republikańską w Odenwaldzie, czy też w badeńskim okręgu jezior, i rzeczywiście miejscowość ta była najwłaściwsza, jeśli wogóle na próbę, nie roszczącą z samego początku żadnej nadziei, była wogóle jakakolwiek właściwa miejscowość. Gdyż tam na granicy Szwajcarji oddawna upowszechniał zasady republikańskie ten mąż, który w Niemczech prawdziwym był mistrzem w sztuce przemawiania do ludu; za pomocą mowy i słowa pisanego pracował z całem zaparciem się i wytrwałością. Był nim Józef Fickler, urodzony *agitator*, którego, gdyby udały się jego plany nazywanoby wielkim człowiekiem, a ci sami prorocy miernoty o wysuszonym mózgu i sercu, którzy mówią dziś o nim z pogardą nazywając go agitatorem oberży, składaliby mu hołdy, jako wielkiemu człowiekowi. — Józef Fickler był człowiekiem rozumnym i sercowym. W całej dzielnicy, w której odbywał się ruch niemiecki nie było człowieka, któryby tak pod względem myśli, jak i uczucia w mowie i czynie był tak ludowym, jak on. Znając dokładnie lud, jego myśli i uczucia wpływał na niego z Konstancji, miejsca swego pobytu, zarówno przez swoje pisma *Seeblätter*, jako też przez częste podróże przedsiębrane w celach agitacyjnych. Nadzwyczajna była jego popularność w całym okręgu jezior, w Szwarcwaldzie aż do Wiesenthal w Bryzgowji (Breisgau). Gdyby za-

mierzone powstanie zbrojne republikańskie miało mieć jakąkolwiek nadzieję powodzenia, to naczelnym jego dowódcą powinien być Fickler. Posiadał on zupełnie inne przymioty i zdolności, aniżeli romantyk Hecker i doktryner Struve. Rozsądny Mathy wiedział zatem doskonale, co czyni, gdy swego przyjaciela i dobroczyńcę Ficklera zdradził i oddał policji Wielkiego Księstwa, w godzinie, gdy ten miał jechać z Konstancji do Karlsruhe. A gdy po trzynastomiesięcznem uwięzieniu i śledztwie nie można mu było dowieść, że chciał ze swemi towarzyszami przygotować zbrojne powstanie, został wypuszczony na wolność.

Powróćmy do Frankfurtu, i spojrzyjmy na to, co zrobił parlament, a przekonamy się, że uczynił zupełne zamieszanie (Konfuzją). Zgromadzenie to, nie chciało tego, co mogło, a nie mogło tego, czego chciało.

Prawa jego strona chciała, żeby liberalizm i konstytucjonalizm tryumfowały nad feudalizmem, absolutyzmem i klerykalizmem, to znaczyło, iż pod pokrywką demokratycznych frazesów, chciała dopomódz burżuazji do trwałego panowania, jednocząc się z panującymi, szlachtą i duchowieństwem. Lewa strona chciała *rewolucją proklamowaną przez swych przeciwników na gruncie prawnym* zwrócić na tory demokratyczne nie wiedząc, że w ten sposób stawała

się współwinną kretynizmu mamiącego lud. Wreszcie najskrajniejsza lewica samym tym faktem, iż dotąd pozostawała w parlamencie uznawała, że przedstawiał on *legalne zwierzchnictwo ludu*, a pomimo tego obecnie postanowiła apelować do nielegalnego huczku. Konfuzja! Konfuzja! Konfuzja!

II.

Idylla Huczku.

1.

Wieczorem, 7-go kwietnia opozycjoniści sejmu badeńskiego poraz ostatni spijali piwo w swej zwyczajnej knajpie w Karlsruhe. Palili fajki i rozmawiali. Ciż sami opozycjoniści mieli nazajutrz, jako śmiertelni nieprzyjaciele stanąć naprzeciw siebie.

Niezliczona moc podobnych zdarzeń w owych czasach powtarzała się w społeczeństwie niemieckiem. Ludzie, którzy jeszcze w marcu poważali się i serdecznie się lubili, już w kwietniu warczeli na siebie, jak dzikie zwierzęta. Polityczna nienawiść przybrała trujący charakter fanatyzmu religijnego, tak, iż łatwo można byłoby wnosić, że znajdujemy się wśród samych księży, i że asystujemy zaciętej sprzeczce o katolickie lub protestanckie dogmaty, Z obu stron

wyszły na jaw najgminniejsze instynkty, najzłośliwsze namiętności. Gdyby kłamstwa, sfałszowania, oszczerstwa i złorzeczenia, jakie wówczas duch stronniczy wynalazł i dozwolił urosnąć, położono na sobie, stanowiłyby górę dochodzącą do Syrjusza. A to wszystko z powodu Hekuby! Z powodu osób, mniemań, barw, formułek, wyrazów, liter, o nie--gdyby mianawicie głupstwo ludzkie było niczem! to ludzkość byłaby bardzo ładna, gdyby nie składała się z ludzi..... Towarzystwo w oberży pod nazwą; „Pariser Hof“ powstało. Większa część tego towarzystwa była już za drzwiami, gdy człowiek niskiego wzrostu, przysadzisty, na którego szerokim karku siedziała okrągła głowa o ciemnych oczach, i energicznym wyrazie twarzy pociągnął za sobą kilku obecnych do okna:

— Dziś jeszcze muszę odjechać, powiedział szybko.

— Dlaczego?

— Ach, czy nie widzieliście, jakim wzrokiem spoglądał na mnie Mathy, gdy wychodził? Mówię wam, że był to wzrok Judasza, Mathy zdradzi mnie.

— Ależ, ależ co mówisz? Mathy miałby być Judaszem? Chimera! Idź spać, gdy się prześpisz zniknie twe niedorzeczne podejrzenie.“

Fickler dał się namówić, lecz gdy miał już wejść do swego sypialnego pokoju, rzekł raz jeszcze do odprowadzających go przyjaciół:

— Powtarzam wam, że lepiej byłoby, gdybym dziś jeszcze odjechał.

Gdy nazajutrz stanął na dworcu kolei, ażeby wsiąść na pociąg wyjeżdżający o 8-ej godzinie do Oberlandu, zastał już pana Mathy. Fickler siedział w wagonie, gdy zdradziecki przyjaciel z policjantami i służbą kolejową zbliżył się do drzwiczek, a wskazując na Fickler'a, kazał aresztować *zdrajcę kraju*. Policjanci nie chcieli na razie go posłuchać, i żądali rozkazu sądowego. Mathy przygotował się i na ten wypadek. Wojsko było niedaleko, sprowadził je:

— Na moją odpowiedzialność, jako członka izby deputowanych aresztujcie tego człowieka. To zdrajca kraju.

Ficklera wyproszono z wagonu, i zaprowadzono do aresztu na ratusz.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że pan Mathy tym figlem przyczynił się wielce do nie udania się powstania republikańskiego. Historyczna prawdomówność wymaga, iż trzeba powiedzieć, że nie brakowało mu prawnego pozoru odgrywania roli zbira. Sąd nadworny w Bruchsal wyprowadził śledztwo przeciw Ficklerowi za to, że w Achern 2-go kwietnia na wiecu narodowym namawiał do wygnania panujących, oraz że miał utrzymywać stosunki z Niemcami przebywającemi w Szwajcarji i we Francji, którzy zamierzali wkroczyć do Niemiec. Oczywiscie gorliwość prawna pana Mathy nie mogła unik-

nąć swej nagrody. Wbrew temu potępieniu liberalni podnieśli Mathy'ego czyn zbirowski pod obłoki. Głośno z tego radował się liberalny filister w południowych Niemczech, i przyznał panu Mathy koronę obywatelską, stawiał go na wzór, jako prawdziwie „*antyczny charakter*“, który, ażeby uchronić ojczyznę od anarchji i wojny domowej, przytłumił „*swe najdroższe uczucia*“.

Po uwięzieniu Ficklera, pośpieszył świeżo „*upieczony antyczny charakter*“ pełen nadziei kandydat na ministra do swego rodowitego miasta Mannheimu, dla przyjęcia korony obywatelskiej. Poprzedziła go sława jego wielkiego czynu; wszakże krewki lud Manheimu, tak go nie pojął, iż na serjo czynił giesty, jakgdyby chciał go rozerwać na sztuki. Trzeba było zwołać całą milicję obywatelską dla strzeżenia jego domu i osoby, a wreszcie zawezwano wojsko z Karlsruhe. Pan Mathy, pod opieką zbrojnej burżuazji, przytłumił swe najdroższe uczucia i jako *najlepszy i najzacniejszy* przemawiał do zgromadzonych na rynku: „Fickler był zdrajcą kraju! konspirował z cudzoziemcami, z francuzami, i pobudzał ich do zbrojnego wtargnięcia do Badenu. Rozpatrzyłem u Mittermajera, prezydenta izby deputowanych, wszystkie akty stanowczo o tem przekonywające.“ Oczywiście teraz odważnemu zbawcy ojczyzny włożono uroczyście na głowę koronę obywatelską. Ale, ach, jaka to niepojęta kańczasta głowa tego niemieckiego pro-

fesora! Prezydent Mitermajer oznajmił w pismach publicznych, iż pan Mathy skłamał, że on, Mittermajer, nic nie wie o wzmiankowanych dokumentach. To *beztaktowne* wyznanie prawdy obudziło gniew najlepszego, najzacniejszego pana Bassermann'a, który zaszedł do mieszkania nieszczęśliwego profesora i prezydenta, i tak go zbezcześcił słowami, że zachorował ze zmartwienia.

Prawdopodobnie zachęciło pana Mathy do tego postępowania wstecznicze go, i tej wspaniałej mowy wydarzenie, jakie miało zajść z 25-go na 26-ty marca w południowo-zachodnich Niemczech, które wszyscy wstecznicy podjęli, powiększyli i roztrąbili, jako grożące całości ich ojczyzny. Ludzie nie ślepi i nie głusi byli już wówczas przekonani, że ten niedorzeczny hałas, jakoby Francuzi całą ławą Ren przekroczyć mieli, ażeby w Niemczech plądrować, palić i łupić, wynaleźli nieprzyjaciele ruchu niemieckiego, iżby za pomocą tego straszydła, wzbudziwszy w całym kraju pomiędzy Renem a Dunajem śmieszny niepokój, bieganinę i hałas, rzucić postrach na filistrów miejskich, i obudzić w biednym Michałku tęsknotę do spokoju i porządku, jaki dotąd panował w tem dobrem, starem, pobożnem państwie policyjnem. Pan Bekk, ówczesny naczelny minister badeński, powiedział prawdę mówiąc: *że ślepy*

hałas o Francuzach przeniesiono z Wirtembergu do Badenu. Rzeczywiście sfabrykowano go w Wirtembergu.

Pierwsza pobudka do tej myśli mogła powstać w tej okoliczności, że po rewolucji lutowej Niemcy, przebywający w Paryżu,—głównie zaś robotnicy niemieccy pod przewodnictwem Jerzego Herwega utworzyli związek demokratyczno-republikański, i zorganizowali się po wojskowemu, a następnie utworzyli legjon niemiecki złożony z dwóch bataljonów. Mieli oni przybyć do Niemiec na pomoc swoim braciom. Dziwna rzecz, że głównemi członkami tych wolnych hufców, wyjąwszy Herwega, byli sami panowie *von*, to jest szlachta niemiecka: — pan Adelber von Bornsledt, pen Reinhart von Schimmelpennink, pan Otto Julius Bernhart von Korwin. W czasie miodowego miesiąca rzeczypospolitej w Paryżu czyniono różne konszachty na temat solidarności ludów. Dlatego też rząd tymczasowy popierał projekt Niemców, przebywających w Paryżu; w czem, drugorzędnym, a może głównym jego celem było wydalenie z Francji znacznej części robotników pozbawionych zajęcia. Rząd francuski, przez usta swego członka Flocon, ofiarował naczelnikom legjonu pieniądze potrzebne do uzbrojenia się, a Herweg zamiast z tego skorzystać i uzbroić się jak należy, popełnił wielką, bajeczną niedorzeczność, żądając zaledwie dwóch tysięcy franków, na co oburzył

się praktyczny jego towarzysz Korwin, i nazwał to *kolosalną głupotą*. Słusznie bowiem utrzymywał, że lubo pobudka Herwega do nieprzyjmowania subsydjum ze strony rządu francuskiego, wypływała ze szlachetnego jego uczucia, lecz ponieważ je przyjął, to suma przyjęta powinna była odpowiadać celowi". Zaiste było to poetycznie ale nierozsądnie chcieć uzbroić legjon złożony z 1000 ludzi za pomocą 2 tys. franków. Ci legjoniści jednak mieli silną wolę udania się do Niemiec dlatego sami po większej części postarali się o swe uzbrojenie, a w ostatnich już dniach marca legion mógł wyruszyć z Paryża do Strasburga dwoma hufcami. Wszakże już w czasie pochodu tak dalece dały się we znaki zupełna niezdolność i brak doświadczenia większej części dowódców, bezkarność terminatorów rzemieślniczych, iż można było na pewno przewidzieć nieudanie się całego tego przedsięwzięcia. Gdy legjon stanął w Strasburgu, zaraz się dowiedział, że rząd francuski wcale się o niego nie troszczył. Gdyby Strasburczycy nie przyjęli nas gościnnie — użala się Homer tej smutnej Odyssei, pan von Korwin, to musielibyśmy umrzeć z głodu w tem mieście."

Oczywiście rząd badeński zwrócił zaraz uwagę na te *hordy republikańskie* przybyłe do Strassburga, a z tą samą obawą spoglądał na Szwajcarję, gdzie, jak mówiono w Bernie i w Biel, niemieccy robotnicy również utworzy-

li legjon, który miał się oddać do rozporządzenia obywatela Hecker'a, jako zwierzchnika badeńskich związków ludowych, albo też pod komendę wolnych hufców, przybywających z Paryża. Liberalne filisterstwo niemieckie zadrżało na samą wzmiankę o tych legjonach, które były tak niepokaźne i nędzne, że Herweg z zupełną słusznością powiedział:

— „Jak można było podnosić takie krzyki o parę tysięcy Niemców—(nie było nawet tylu) którzy z obczyzny chcą powrócić do swego kraju, a w tym celu i w sprawie porządku czynią to, co wszyscy obecnie czynią, to znaczy jednoczą się, aby, jak wspólnie cierpieli, tak i teraz wspólnie przybyli do ojczyzny, a nie dlatego, ażeby wspólnie przeciw niej walczyli. Czy dlatego chcecie ich przyjąć strzelbami i działami, ogniem i mieczem, że przybywają uzbrojeni? Albo na serjo myślicie o powszechnem uzbrojeniu ludu, a wówczas żadnego ze swoich braci nie możecie od tego wyłączyć, albo obawiacie się uzbrojonego ludu, a wówczas jesteście tylko obłudnikami, którzy mówią o uzbrojeniu ludu, ażeby dopomódz do wzmocnienia się waszej wahającej popularności". Oczywiście tak było. Wszak „uzbrojenie ludu" było tylko frazesem, którego liberalni używali tak, jak używali wszystkich swoich górnolotnych frazesów. Rzeczywiście uzbrojonymi być mieli oprócz żołnierzy i policjantów tylko sami tchórzliwi filistrzy, aż po zę-

by uzbrojeni być mieli radcy dworu i tajni radcy; wszak nadworni krawcy i nadworni kucharze należeli bezwarunkowo do najkomiczniejszych postaci szalonego roku. Hasłem ich było wycie, a szczękanie zębami ich krzykiem bojowym.

Łatwo zrozumieć, że wstecznicza burzuazja miejska i wiejska obawiała się najwięcej wolnych hufców — nie odpowiadały one bowiem ich taktyce. Ale, że demokraci, którzy widzieli nędzny koniec huczku, przedsięwziętego w najbardziej sprzyjających okolicznościach w chwili istnienia Zonderbundu, czego świeża pamięć jeszcze nie wygasła, trudno wyobrazić sobie, żeby spodziewali się, iż wolne hufce cośkolwiek ważnego uczynić zdołają, powtarzamy trudno byłoby pojąć, gdybyśmy nie wiedzieli, że z głupstwem nawet bogowie próżną podejmują walkę, a tym mniej pojedyńczy jasnowidzący ludzie. Kto w owych czasach, jako demokrata musiał walczyć w zgromadzeniach demokratycznych z najwyższym nierozsądkiem, potwierdzi, że na to wszystko trzeba było powiedzieć amen.

Rząd badeński miał ze swego stanowiska, albo raczej ze swego punktu chwiejnego, słuszny powód uderzać tak silnie w bęben obawy na sejmie rzeszy w Frankfurcie i gdzieindziej. Nie mógł on się oprzeć ani na wojsku stojącem ani siedzącem, ani na swych urzędnikach, ani na żołnierzach. Prawie nigdzie w całym kraju

wskutek agitacji nie uznawano już powagi prawnej, była ona sparaliżowana, a w wielu okolicach nie miała już żadnego znaczenia, o czem świadczy sprawozdanie samego ministra Bekka. Wojskowość była zardzewiała. Niewykształceni oficerowie zdolni byli tylko do zwyczajnej służby. Junkierstwo protegowane z góry nie umiało obchodzić się z żołnierzami, i uczyniło ich bardzo wrażliwemi na nauki wygłaszane przez demokratów, które miały dla nich wielki powab. Stąd to rząd badeński musiał oglądać się na pomoc zewnętrzną. Za jego staraniem sejm Rzeszy w Frankfurcie postanowił, iżby 7-my i 8-my korpus armji związkowej (Bawarczykowie, Wirtemberczykowie, Darmhessowie i Badeńczykowie) zostały zmobilizowane, ażeby w razie potrzeby można było ich użyć w południowo-zachodnich Niemczech. Postanowienie to bezwłocznie weszło w wykonanie, a już w pierwszych początkach kwietnia rozkwaterowano wojska, które były zupełnie dostateczne, i mogły natychmiast doprowadzić do bankructwa wszelki interes rozpoczęty przez huczek i kompanję. Rząd badeński, który nie posiadał odpowiednich jenerałów, gdyż ci, co dowodzili byli znienawidzeni przez żołnierzy, powierzył dowództwo nad wojskami badeńskiemi jenerałowi Fryderykowi von Gagern, uważanemu za człowieka energicznego, który dotąd pozostawał w służbie holenderskiej.

2.

Tymczasem iluzjonista Hecker 8-go kwietnia wyjechał z Kalsruhe do Mannheimu tejże samej zatem soboty, gdy pan Mathy z balkonu przemawiał do dobrych mannheimczyków, żądając korony obywatelskiej. Całe miasto uroczyście się z tego powodu radowało. Była to niemiła temperatura dla człowieka, który miał zatknąć chorągiew republikańską. Atmosfera ta była zupełnie nieodpowiednia. Według zamiaru badeńskich republikanów Fickler miał operować w okręgu jeziornym i Szwarcwaldzie, Struve w Bryzgowji, Hecker nad Renem i Neckarem. Ale Fickler był aresztowany, a miasto Mannheim z okolicą było w owej chwili gruntem, na którym człowiek w bluzie republikańskiej, w palonych butach, i z piórkiem czerwonem na kapeluszu heckerowskim nie mógł uważać się za bezpiecznego.

Dlatego opowiada Hecker [1]) pożegnałem się w niedzielę o świtaniu z żoną, która wiernie

[1]) Hecker; „Die Erhebung des Volkes in Baden für die Deutsche Republik zweite Auflage Strassburg 1848.“ Poniżej w tekście przytoczone wyrażenia Hecker'a wyjęte są z powyższego dziełka. Dla napisania niniejszego rozdziału przewertowałem cały fascykuł prywatnych niedrukowanych i drukowanych korespondencji, w których oba stronnictwa opisują przebieg działań republikanów w kwietniu. Najcel-

dzieliła dotąd moją radość i przykrości, przy której boku w niczem niezamąconem szczęściu domowem tak często znajdowałem spokój i wypoczynek po przykrościach życia publicznego. Złożyłem pocałunek na czołach trzech śpiących moich dzieci, i opuściłem dom z ufnością, jaką przejmuje wiara w słuszną sprawę, postanowiwszy zwyciężyć w walce albo poledz za oswobodzenie naszego dobrego ludu, i przyczynić się do jego wybawienia z tysiącletniej niewoli.“

Nie ulega wątpliwości, że mąż ten wierzył

niejsze sprawozdania ze strony republikanów zostały napisane przez Hecker'a, Struve'go, Möglinga bezpośrednio po nieudaniu się powstania. Bardzo cenne sprawozdania Möglinga i jego pamiętniki (Briefe an meine Freunde Salothurn 1851-go r.), gdyż poczciwego Hannes'a uważałem przez całe życie za człowieka bardzo prawdomównego. Również wielkie znaczenie mają sprawozdania Korwina (über die herwegsche Expedition von 1848 über den badischen Aufstand von 1849) aus dem Leben eines Volkskämpfers Amsterdam 1861). Najwiekszy przyczynek do dziejów ruchu badeńskiego przez L. Haüsser Heidelberg 1851 r. jest jaskrawem pismem stronniczem profesora liberalnego. Zresztą wierny postanowieniu, jakie wyraziłem w pierwszym tomie, ażeby nie obarczać tej książki balastem notat z wyjątkiem konieczności, przytaczać będą pod tekstem tylko oryginalne sprawozdania wyjęte z archiwum związku szwajcarskiego. Rozumni i sprawiedliwi czytelnicy poznają bez przytoczenia cytat i dowodów, że staralem się być sumiennym, kierowałem się tylko prawdą i słusznością; ignoranci zaś i niepoczciwi nie nabyliby rozsądku, i nie oddaliby tej słuszności autorowi, gdybym nawet przytoczył niezliczone cytaty i dokumenty.

temu, co mówił, a zamiar jego był poczciwy i zacny. Wogóle tylko głupia wściekłość stronnicza ośmieliła się odmówić republikanom z 1848 i 1849 roku poczciwości i bezinteresowności. Nie przeczymy jednak, że osad tego stronnictwa był mętny! — lecz gdzie i kiedy odkąd istnieją stronnictwa, istniało jakiekolwiek, któreby nie miało mętnego osadu? Zresztą największy nawet łotr z pośród demokratów nie dochodził do tej gminności, egoizmu i interesowności, jaką się odznaczył niejeden z przywódców liberalnych. Ci liberalni nieraz musieli doskonale na swej miłości ojczyzny robić dobry interes. Ponieważ teraz przyszło nam o tem mówić, to słuszność nakazuje zapytać: Jakie i gdzie były osobiste korzyści, — które osiągnęli przywódcy demokracji? Udziałem ich były: śmierć z wyroku wojennego, udręczenia procesowe, katusze więzienne, wygnanie, oszczerstwa, troski i niedole, przykrości i cierpienia wszelkiego rodzaju. Panowie liberalni mieli się na baczności, nie podnosili swego patrjotyzmu do stopnia narażającego ich na ryzyko, albo niebezpieczeństwo. Umieli łączyć „utile z dulci“, dobrze płatne i wysokie urzędy z wysokiem uczuciem, iż są *najlepszymi i najzacniejszymi mężami*. Udziałem ich były posady ministerjalne, państwowe i nadworne, sekretarjaty stanu, prezydentury i ambasady, profesury i fotele akademickie, bezczelnie wysokie djety, synekury i pensje. Ale na

co ten gniew? Wszak było to w zupełnym porządku, że przebiegłość odnosiła zwycięstwo nad zapałem, a fałsz nad prawdą. To odwieczny paragraf „Magna Charty“ istnienia ludzkiego. — Hecker'a oślepienie było tak gruboskórne, że nawet opłakany koniec jego przedsiewzięcia nie mógł usunąć mu z oczów katarakty. Przypisywał on jedynie i wyłącznie nieudanie się swego „*huczku*“ machinacjom swoich dawniejszych towarzyszów, którzy zbiegli do obozu rządowego, i może utrzymywał, że we właściwej godzinie rozpoczął powstanie, że zupełnie sprawiedliwie ocenił położenie rzeczy, pojechawszy 9-go kwietnia z Mannheimu do Palatynatu bawarskiego, a potem przez Szwajcarją do Konstancji. Był zatem zupełnie przekonany, że nadeszła chwila, z której skorzystać wypadało. Był on zupełnie pewny, że niepotrzeba nawet wyjąć z pochwy pałasza i ani jednej kuli z tornistra, oraz że jego pochód będzie uroczystym marszem, za którym pójdą całe Niemcy.

Czemże są wszystkie *fantazie* wypowiadane w różnych baśniach w porównaniu z tym huczkiem? A jednakże cały ten mglisty obraz, że można było ponieść bez przeszkody chorągiew republikańską choćby od Bodensee do Karlsruhe, powinienby zniknąć w oczach Hecker'a, gdy przybył do Konstancji 11-go kwietnia, i trzeźwo przyjrzał się stanowi rzeczy i ludziom. Tak, powinien był uznać, że w starem mieście słynnem

z konsyliów wyglądało tak, jak gdzieindziej, to jest tak, iż niemiecki filister zawsze był gotów do stoczenia stu, a nawet tysiąca walk o wolność przy kuflu piwa lub szklance wina, ale nie w polu, – tam ani jednej nie byłby stoczył.

Hecker zastał w Konstancji w oberży zwanej „Badischer Hof“ swoich przyjaciół i współuczestników przedsięwzięcia: Struve'go, Willich'a, Mögling'a, Sigel'a, Bruhn'a i Doll'a, którzy czekali już na niego, a wieczorem tego samego dnia, 11-go kwietnia, zabrał się ochoczo do rzeczy, lubo opowiada on: „usposobienie Konstancji nie odpowiadało temu, o jakiem wzmiankowały pisma publiczne, ustne i piśmienne sprawozdania, które żądały, ażeby czemprędzej przybyć do okręgu jeziornego, i zatknąć chorągiew republikańską, – tak jest, spodziewałem się, że znajdę tu więcej zapału i ochoty.“ Było to rzeczą naturalną, gdyż szło teraz już o czyn, nie o frazesy, a zaraz się pokazało, że czyn kulał i utykał nędznie. Jak wszędzie, tak i tu ukazała się nowa warjacja na temat powstania. Amüller pójdzie, jeśli Bemüller pójdzie, Cemüller pójdzie, jeśli Demüller pójdzie.

A ponieważ żaden nie chciał zezwolić,
Żeby drugi poszedł bez niego,
Przez to żaden nie poszedł.

Zrana następnego dnia Struve pojechał do Uberlingen, ażeby tam w Egen i Donau-Eschingen

zwołać wiece ludowe i namówić do stawienia się w uzbrojeniu pod chorągwią republikańskę. Po odjeździe Srtuvego, Hecker i jego towarzysze naradzili się z matadorami demokracji Konstancyeńskiej, a ci panowie: Hüetlin, Würth, Kuenzer, Peter, Zogelmann i Vanotti jasno przedstawiali niepodobieństwo republikańskiego powstania. Hecker, który mniemał, że widzi w nich tylko tchórzliwych odstępców od świętej sprawy, rzekł:

— „Lud jest lepszy i odważniejszy niż wy! Do widzenia, dziś po południu na wiecu ludowym.“

Rzeczywiście wiec rozpoczął się po południu o 4-tej godzinie, a gdy Hüetlin i Kuenzer przytoczyli dowody, iż to przedsięwzięcie udać się się nie może, Hecker oburzył się i z całym zapałem swej wymowy pokonał ich dowody. Zatknięto zatem chorągiew niemieckiej rzeczypospolitej, i postanowiono przy ogólnym zapale zbrojne powstanie. Oczywiście lud przyklaskiwał mówcy, gdy ten oznajmił, iż nazajutrz wyruszy z Konstancji z orężem w ręku, zachęci lud do łączenia się ze sobą i pójdzie przodem a z coraz bardziej powiększającym się swoim hufcem bez jednego strzału przybędzie wreszcie do stolicy.

W przybliżeniu nawet nie można obliczyć, ile wzniesiono wiwatów: „Niech żyje“ na cześć Rzeczypospolitej urodzonej na rynku w Konstancji, ile wychylono kufelków za jej pomyśl-

ność; pewną jest jednak rzeczą, gdyż są na to dowody, że nazajutrz rano we czwartek, 13-go kwietnia maszerował chorąży wzmiankowanego powstania obywatel Fryderyk Hecker na czele 57 ludzi, licząc w to jenerałów i oficerów,—mówię wyraźnie na czele 57 ludzi, wyruszył z bram miasta Konstancji, i przeszedł most na Renie, w kierunku Wollmadingen. Pewnego poranku— mówi Mögling poczciwy „Hannes“—wyruszyliśmy z Konstancji w sile 57 ludzi, przy odgłosie bębna. Towarzyszyła nam liczna gromada ludu, który z podziwieniem spoglądał na maleńki nasz orszak. Muszę przyznać, że sam dziwiłem się sobie.“ Miałeś powód do tego, biedny Hannesie! Sam zaś Hecker mówi:

— We czwartek, 13 zrana uderzono pobudkę.. Uzbrojeni stanęli na rynku; lecz nie przybyło wielu, poprzedzającego dnia powiedzieli, iż pójdą z nami, ale byli tacy, którzy przyrzekli, że później z nami się złączą, a jeszcze inni objaśniali, że najprzód musi się zebrać komitet Stowarzyszenia Ojczystego, który powinien głosować w tej sprawie; nakoniec byli i tacy, którzy nie stanęli z powodu słotnej pogody. Odważniejszemi i bardziej zapalonemi niż mężczyźni były kobiety i dziewczęta. Ostatecznie, jedynie tylko 57 mężów wystawiło swe piersi na niebezpieczeństwo. W najbliższych wioskach dzielne chłopstwo przyjęło mały ten hufiec republikański zapytaniem: Ale gdzież są mieszkańcy Konstancji

i ich działa? Mieszkańcy Konstancji muszą wyruszyć najprzód. Kiedo powtarzało się to w każdej wsi, do której przybywało, wesoły chłopak idący z niemi, śmiejąc się, zaśpiewał klasyczny ustęp z farsy szwabskiej:

Hannsele, gang du fora
Du hast die längste Wesserstiefel'a
Das di der Has nit beisse ka.

Tymczasem minął deszcz i wiatr, a 57-miu śmiało maszerowało brzegiem jeziora do Högau. Romantykowi Heckerowi jakoś dziwnie było romantycznie na sercu:

— Błękitne niebo uśmiechało się przez rozdarte obłoki, z boku leżało jasne, wspaniałe jezioro, przed nami Hohenstaffeln, Hohenhöven, Hohenkrähen i Hohentviel, przed nami leżał cały świat starych pieśni, i starych podań, i postępowaliśmy z chorągwią Rzeczypospolitej niemieckiej, chcieliśmy zniszczyć resztki despotyczne wieków średnich, i założyć wolne państwo ludowe.

Tak rozpoczęła się kwietniowa idylla, tak zwanego huczku Hecker'a! Zielono bardzo zielono!

3.

Wiosenny wiatr, który w Alpach skupiał lawiny i zniewalał je do toczenia się na dół, lawiny, które wszystko obalając przed sobą, z hukiem grzmotu dążą na doliny, wieje wprawdzie przez Ren i przez Bodan do Szwabji, ale zatrzymuje się tu, i śwista tylko na ostatniem wzgórzu.

Burza wiosenna wolności i uniesienia z 1848 roku uczyniła to samo. Już w marcu strwoniła swe siły i nie mogła w kwietniu w okręgu jeziornym, i w Szwarcwaldzie skupić ludowej lawiny, i zniewolić jej do toczenia się wdal.

Ogromna masa, która według proroctwa Hecker'a w Konstancji w kwietniu 12-go miała się zebrać około chorągwi republikańskiej i potoczyć do Karlsruhe, pozostała śniegiem, suchym śniegiem, który poprostu nie chciał skupić się w większą bryłę. Wszystkie oddziały powstańcze, które zgromadziły się w różnych miejscowościach pod dowództwem Hecker'a, Sigela i Weishaar'a wynosiły, licząc w to legjon niemiecki, republikański w Strasburgu niecałe 10 tysięcy ludzi, a ta siła zmieniała się literalnie jak pogoda słoneczna i deszcz. Według świadectwa Möglinga ilość ludzi kolumny Hecker'a podczas pogody podnosiła się nieraz do dwóch tysięcy ludzi, ale podczas deszczu zmniejsza-

ła do 800 ludzi. Najliczniejsza była kolumna Sigel'a, który był żołnierzem z rzemiosła, gdyż służył w wojsku badeńskim w stopniu porucznika. Rdzeniem tej kolumny, która nabrzmiała do trzech tysięcy ludzi była milicja obywatelska w Konstancji, która we dwa dni po wyruszeniu Heckera wyszła pod dowództwem Sigel'a. Posiadała ona znaczną liczbę ludzi dobrze uzbrojonych i dwie armaty. Chwalebne uczucie wstydu, honoru i wierności swemu stronnictwu pognało ich za Hecker'em. Byli to po większej części zamożni obywatele, których widok ściągnął do szeregów bogatych wieśniaków z okręgu jeziornego Szwarcwaldu. Kolumna, jaką zebrał Weishaar, piękny pocztmistrz z Lottstetten wyglądała również dosyć pokaźnie, składała się bowiem z zamożnych wieśniaków. Obie te kolumny były najlepiej zaopatrzone w amunicję i prowiant. Oddział Hecker'a, który wyprzedził obie wspomniane kolumny o półtora dnia drogi, składał się po większej części z młodych ludzi, i stanowił, że tak powiemy awangardę. Uzbrojenie jego było najsłabsze, a organizacja wojskowa równa zeru. Zresztą całemu temu przedsięwzięciu brakowało planu strategicznego, i karności taktycznej. Żaden dowódca nie wykazał talentu wojskowego, najwięcej wojskowego talentu okazał dobry „Hannes“ lubo dotąd był spokojnym radcą ekonomicznym w Hohenheim, — i odznaczał się hodowlą jedwabników, stąd po-

chodziło jego nom de guerre „Seidehannes“. Wszakże Mögling był zbyt flegmatyczny i dobroduszny, nie mógł zatem przeprowadzić swych planów, które często były bardzo trafne wobec powagi, jaką się cieszył Hecker i inni przywódzcy badeńscy. Najgorzej szły rzeczy, gdy dotkryner Struve uważał się za powołanego do odegrania roli jenerała. Wszakże krzyczącą było niezręcznością, wołającą o pomstę do nieba, że dowódcy oddziałów nie starali się usilnie o połączenie wszystkich swych oddziałów, co jednakże było możliwe; przeciwnie trzymali je w znacznej od siebie odległości, i pozwolili napadać na nie, pobić je i rozproszyć większym siłom wojskowym. Wskutek tych odrębnych działań odczuwano wielki brak jednego głównego dowódzcy.

Jeśli później upowszechniło się mniemanie, że rząd badeński naumyślnie dozwolił urosnąć huczkowi Heckera, ażeby wstecznictwo miało dostateczny pozorny powód do swego postępowania, to odrzucić je należy jako zdanie stronnicze. Historja nie może podzielać tego mniemania, za to prawdą jest niezaprzeczoną, iż powstanie nie doszłoby nawet do tego niewielkiego rozmiaru, jaki dosięgnęło, gdyby biurokracja badeńska nie była tak niezdolna i tchórzliwa. W odwet za to w jesieni zemściła się za niedołęstwo okazane w 1848 roku na wiosnę za pomocą chytrego podstępu i bezsercowej surowości. Z tem niedołęstwem ze strony monarchicznej można po-

równać tylko lekkomyślność fantastyczną ze strony republikanów, z jaką nastąpiło zbrojne powstanie w kąciku Niemiec, bez odpowiednich środków i nadziei powodzenia. Działo się to w tym czasie, gdy poza tym kącikiem szachrajstwo parlamentarne wszędzie grasowało z siłą, której nic oprzeć się nie mogło a filisterstwo niemieckie okazało swą nicość polityczną, zupełną niezdolność do skorzystania *ze zdobyczy marcowych*, i ukrywało to pod hałaśliwą gorliwością swego postępowania, becząc z baranią ufnością: „wszak minister marcowy myśli i działa za nas".

Gdyby w kwietniowym huczku Hecker'a nie przelano krwi, gdyby nie spowodował tyle nieszczęść i biedy, gdyby tej idylli nie towarzyszyło tyle scen tragicznych, chętka by nas wzięła do traktowania całego tego huczku na sposób Hudibrasa Butlera. Sam Hecker, w którego romantyzmie, jak wiemy, wiła się nić humorystyczno-sceptyczna musiał zdawać się sam sobie nieraz arcykomiczny, kiedy tak przodował swojemu awanturniczemu hufcowi w dziwnym swym ubiorze z długą blond brodą w niebieskiej bluzie, pistoletami za pasem, z brzęczącą szablą, z piórami koguciemi na popielatym kapeluszu. Śpiewano wówczas o nim następną piosnkę:

Seht, da geht der grosse Hecker,
Eine Feder auf dem Hut,
Seht, da geht der Volkserwecker,
Lechcend nach dem Tyrannenblut.

Thut euch schnell zusammenraffen
Gebt mir Mannschaft, Pferde, Waffen
Oder ich bring alles um
Rumbidibum, dumdum dumbum [1]).

14 kwietnia wydał Hecker ze Stockach rozmaite postanowienia, mające na celu uorganizowanie *Rzeczypospolitej*. Ogłosił rozwiązanie rządu okręgu jeziornego, i zastąpił go republikańskiem namiestnictwem, na ten urząd mianował dotychczasowego dyrektora rządowego Petera i zmusił go do przyjęcia tego urzędu łagodnym naciskiem, ale Rzeczpospolita zorganizowana w Konstancji istniała 24 godzin, czyli była Rzecząpospolitą tak trwałą, jak mucha jednodniowa. Gdy w dzień po jej *orgonizacji* przyszła wiadomość, że bawarskie wojska związkowe maszerują do Konstancji, zbiegł biedny namiestnik Peter do Szwajcarji, odległej zaledwie o kilkadziesiąt kroków. Podobnie opłakanie zakończyło się zrepublikanizowanie miasta Offenburga. Te usiłowania zasługują na wzmiankę tylko dla tego, iż przekonywają, jak wpływa na ludzi sam fakt powagi urzędowej, a nawet tylko jej pozór. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wezwanie wysłane pod firmą i pieczęcią urzędową, jakie Hecker

[1]) Patrzcie oto wielki Hecker z piórem na kapeluszu, Patrzcie oto wielki budziciel ludu, Zbierzcie się prędzej, dajcie mi ludzi, koni, oręż, broń, a nie, to wszystko zniszczę—rumbidibum, dumdum dum—bum.

w imieniu *rządu tymczasowego* w Stockach i Geisingen wysłał, oraz przez jednodniową władzę w Konstancji i Offenburgu, pomnożyło liczbę powstańców, i znacznie powiększyło chorągiew republikańską przybyciem okolicznych wieśniaków. Dziwne też było, że naczelnicy rewolucjonistów unikali wszelkiego przymusu i gwałtu aż do smieszności. Gdy porównamy tę ludzkość z jaką postępowali Heckerlingi z opornymi urzędnikami, podstępnymi przeciwnikami, a nawet znanymi szpiegami, to musimy przyznać, że ci uczuciowi huczkowie w głębi swego serca wyznawali to samo kretyniczne kredo: *Rewolucja na gruncie prawnym.* Wszak prawnemi środkami, jak to wiadomo, nie robi się rewolucji—a uczuciowością huczku. Gdy zatem raz postanowiono zrobić huczek, to powinni byli rzeczywiście go zrobić, nie oszczędzając nikogo, a nawet teroryzować, gdzie było potrzeba. Nietylko przyjęłoby to obawą i postrachem całych i półwstecznikow, lecz imponowałoby masom, bardziejby ich pociągnęło do powstania niż wielka łagodność, względność i wspaniałomyślność; gdyż tak powiedział jeden z głębokich niemieckich poetów, nieuznanych w swym kraju:

Niewolnik szanuje tylko gwałtownego
W boskość wierzą tylko ci,
Którzy postępują po bosku.

a siła przyciąga gromady, jak magnes przyciąga żelazo, bez względu na to, czy siła żąda dobrego, czy złego. Ludzie nie chcą się uczyć, lecz chcą, by ich okłamywano; a kto chce nad nimi panować, powinien ich zdradzać i maltretować. Powstanie Heckera było bezsilną połowicznością; to najsurowszy wyrok, jaki wydać o niem można.

Zgęściły się szeregi wolnego hufca w czasie marszu ze Stockach do Engen, i podczas postoju w tem miasteczku,—ba, podniosły się nawet do 1800 ludzi. W Engen Willich starał się zaprowadzić jaki taki porządek wojskowy. Podzielono całe hufce na oddziały, liczące od 120 do 200 ludzi, które następnie obierały sobie dowódzców. W tem mieście zaopatrzono się także w działa, mianowicie w dwa małe działa, które zabrano z zamku nieprawego syna wielkiego księcia Ludwika. „Kawalerja“, opowiada Mögling, składała się z jednego, *jedynego konia*, na którym jechał jego właściciel. Podczas gdy w Engen *organizowano* powstanie ukazała się w głównej kwaterze nieznana kobieta, oznajmiając, iż jest Emmą Herweg, przybyłą ze Strassburga, ażeby powiedzieć, że niemiecko-republikański legjon, stanąwszy w Alzacji, oczekuje jedynie na rozkaz Heckera, a przekroczy Ren i połączy się z jego oddziałem. Niepodobna zrozumieć, dla czego Hecker z nieznanych nam skrupułów nie wydał tego rozkazu, chyba nie chcąc przerazić wszystkich tchórzów, którym

przedstawiono legjonistów Herwega za bandę złożoną z rozbójników, morderców, słowem złoczyńców wszelkiego rodzaju. Pani Herwegh odjechała zatem z listem, w którym oznajmiono, że Hecker wyda żądany rozkaz, gdy ze swą kolumną stanie nad Renem.

Dalszy pochód wolnego hufca, który w południe 19-go kwietnia opuścił Engen, miał pójść w kierunku wschodnio-północnym ku Szwarcwaldowi; najprzód wszakże miał on wstąpić do Donaueschingen, gdzie spodziewano się znaleźć większy oddział powstańców. Nic jednak tam nie znaleziono. Wojsko wirtemberskie obsadziło nietylko wąwozy Szwarcwaldu, lecz zajęło także Donau-eschingen przed przybyciem wolnych hufców. Na pół godziny odległości od tego miasteczka, mówi Mögling, ujrzeliśmy wchodzące tam wojsko wirtemberskie. Po krótkiej naradzie, czy uderzyć na Donaueschingen, czy je obejść, postanowiliśmy je okrążyć, a tak odrazu rozumniejsi z nas przewidywali, że całe nasze przedsięwzięcie pójdzie na marne. Po bardzo uciążliwym pochodzie, podczas gwałtownej zamieci śnieżnej, wolny hufiec przybył do Riedböhringen, a nazajutrz okazało się, iż z 1800 powstańców, którzy dnia wczorajszego wyruszyli z Engen, pozostało zaledwie 800. Ci, którzy nie zbiegli cichaczem, powiedzieli, oddalając się: „Nieznośna pogoda! powrócimy, gdy pogoda się ustali“.

Ponieważ niepodobna było dostać się do Szwarcwaldu, postanowili przywódcy oddziału Heckera'a poprowadzić go na dolinę Renu, co tem było lepsze, że tam można było się spodziewać jedynie wojsk badeńskich, zatem złożonych z ziomków, którzy prawdopodobnie walczyliby bardzo słabo, a może nawet przyłączyli się do powstania. Po wielce uciążliwym marszu, bez wytkniętej marszruty, stanęliśmy podczas wielkiej słoty w Stühlingen, a stąd przez Bonndorf podążyliśmy do Lenzkirch. W Bonndorf Struve opuścił hufiec, z którym połączył się pod Donauchingen, i wyruszył, ażeby zjednoczyć się z Weishaarem, który z okręgu Jestetten, Waldshut i Säckingen, miał go poprowadzić na dolinę Renu dla połączenia się z kolumną Hecker'a. Z Lenzkirch Hecker zamierzał uderzyć na Freiburg; wszakże wojsko wirtemberskie w dolinie Höllen zamknęło mu drogę, zatem wolny hufiec — musiał zboczyć z Lenzkirch, i po ścieżkach górskich przedostać się do Glasshütte, a dalej przez Bernau pójść w kierunku Wiesenthal. W pobliżu Menzenschwand napotkał kolumnę jeźdźiec z Lenzkirch z zawiadomieniem, że przybyli tam dwaj deputowani komitetu 50 z Frankfurtu, którzy chcieli rozmówić się z Heckerem. Rozmowa rzeczywiście nastąpiła 17-go kwietnia wieczorem w oberży Bernau. Właśnie dowódcy wolnych hufców, zmieniwszy swe przemokłe szaty na te, jakie znaleźli w oberży, siedzieli przy stole prze-

kąsając wino suchym chlebem, gdy weszli wysłańcy komitetu 50-ciu panowie: Spatz i Wenedey. Byli oni nieco zakłopotani, zarówno z powodu posłannictwa, z jakiem przybywali, oraz widoku, jaki ujrzeli, którego nie przewidział katechizm liberałów. Posłowie chcieli najprzód pomówić na osobności z Hecker'em, a gdy się ten nie zgodził, oznajmili, że napominają powstańców w imieniu komitetu 50-ciu, iżby zaniechali rebelji, i porzucili rewolucję orężną, a powrócili do rewolucji słownej. W tym razie komitet 50-ciu upewniał ich — kto upoważnił go do tego i kto mu dał prawo? — całkowitą amnestję za to, czego się dopuścili. Hecker odpowiedział, że jedna grzeczność warta drugiej, i dlatego chcą oni (republikanie) ze swej strony w imieniu ludu niemieckiego dać zupełną amnestję 34 ojcom kraju, byleby ci w przeciągu 14 dni wypchani należycie w pieniądze i kosztowności wydalili się, i wycofali do spokojnego, domowego zacisza.

— Zresztą — dodał — najrozsądniej byłoby, gdybyście zamiast tam we Frankfurcie młócić pustą słomę, pozostali tu, i połączyli się z nami. Sprawiłoby to w całych Niemczech olbrzymie wrażenie, gdyby dowiedziano się, że Spatz i Weneday przywdzieli na siebie bluzy powstańcze. Cóż myślicie — hę?

Niebardzo się to jednak podobało wysłańcom komitetu, dlatego wciąż dalej żartując, jeden z dowódców wolnego hufcu dorzucił:

— Cóż myślicie, a gdybyśmy obu tych panów zatrzymali u siebie, jako zakładników?

— Byłoby to bardzo praktyczne, — rzekł Hecker, śmiejąc się;—obawiam się jednak, że my nie jesteśmy dostatecznie opatentowani dla tych panów polityków.

— No, no, nie marszczcie się tak. Chodźcie, wypijcie z nami za zdrowie rzeczypospolitej, a potem idźcie, skąd przybyliście.

Tak skończyła się próba powstrzymania kwietniowego pochodu niemieckich republikanów.

Nazujutrz wyruszył oddział Hecker'a wzmocniony w nocy, przybyciem licznych wieśniaków ze Szwarcwaldu. Z Bernau zeszedł po spadzistych ścieżkach do Breg, a stąd postępując wzdłuż doliny Wiezentalu przez Schönau i Zell do Schopfheim, bogatej osady fabrycznej. Tu powitał ich i ugościł w swoim domu fabrykant Gottschalk, dawny kolega Hecker'a w badeńskiej izbie deputowanych i jak on republikanin, i błagał ich usilnie, ażeby wyrzekli się swego zamiaru. Szczerze on lubił Hecker'a, i ubolewał, że tak dobry człowiek stawił na kartę swoje życie i przysłość swoją w sprawie, którą trzeźwy rachmistrz i przemysłowiec uznawał za nieudatną. Zresztą niepodobna było nawet przypuścić, żeby udało się to przedsiewzięcie przy tak nędznej organizacji.

Trzy wolne hufce stały niedaleko siebie, ale działały zupełnie niezależnie, nie stosując się

jeden do drugiego. Gdy Hecker wyruszył do Schopfheim Sigiel pomaszerował w kierunku Sankt-Blasien i Todtenau, a Weishaar i Struve poszli wzdłuż Renu do Lörrach i Steinen. Mogli się zatem bardzo łatwo połączyć ze sobą, albowiem nieprzyjaciel, to znaczy jenerał von Gagern stał dalej, w kierunku zachodnio-północnym, pomiędzy Blauen a Renem, na czele dwóch bataljonów badeńskich i jednego hesskiego, kilku szwadronów kawalerji i sześciu armat w pobliżu Schlingen i Kandern, w górę doliny Renu. Zamiast zatrzymać się w Schopfheim, oczekując na połączenie się z kolumną Sigela i Weishaara, dowódcy hufca Hecker'a postanowili wyruszyć do Kandern. Wprawdzie natychmiast posłano posłów do Weishaara i Siegela z żądaniem bezwłocznego ich przybycia; lecz nie upewniono się, czy te poselstwa dojdą miejsca swego przeznaczenia. Rzeczywiście nie doszły, a przynajmniej nie we właściwym czasie. Sigel, dowódca głównego oddziału dowiedział się dopiero wieczorem 20-go kwietnia w Gschwend, że kolumna Hecker'a pomaszerowała z Schopfheim do Kandern, a jednocześnie z tą wiadomością przyszła wiadomość hiobowa o rozbiciu jego kolumny. W środę 19-go kwietnia, o 2-ej po południu wyruszył hufiec Hecker'a w sile 900 ludzi z Schopfheim i pociągnął przez Steinen do Kandern. Z drugiej strony Schopheim, gdzie wolne hufce gościnnie były przyję-

te, a gdzie dowódca stary jego przyjaciel i kolega mieszkania Scheffelt błagał go usilnie, ażeby się nie narażał. Poza Steinen droga idzie pod górę do lesistego grzbietu Scheideck, skąd przez las znów biegnie po spadzistości. Idąc do Scheideck, zamierzali pomaszerować stąd dalej do Schliengen, ażeby przedostać się na dolinę Renu, i otworzyć sobie drogę do Freiburga. Kiedy hufiec wolny zstępował z wysokości oddzielającej Scheideck, napotkał wieśniaków z Kandern, którzy namawiali niechętnie widzianych gości do dalszego pochodu, i powiedzieli, że wojska zajęły Kandern. Wszakże wywiady dokonane przez Möglinga i Doll'a przekonały, iż kłamali, dlatego też wolny hufiec wszedł do miasteczka, chcąc tam przenocować. Gdy jenerał von Gagern stojący w Schliengen, dowiedział się o tem wieczorem tego samego dnia, i postanowił nazajutrz zrana uderzyć na Kandern trzema bataljonami piechoty, trzema szwadronami dragonów, i sześciu działami, co czyniło razem 2,400 ludzi. Czwarty bataljon badeński sprowadzony koleją pośpiesznie z Freiburga miał pozostać w Schliengen, i służyć za rezerwę. Zatem jenerał miał do swego rozporządzenia prawie trzy razy większą siłę wojskową, przeciw której bardzo znużone marszami górskiemi siły powstańców niewyćwiczonych i nienależycie uzbrojonych, były zupełnie niedostateczne.

Zaledwie Hecker przybył do Kandern, gdy

pani Emma Herwegh ponownie przed nim stanęła prosząc o wydanie rozkazu jej mężowi, żeby ze swym legjonem przybył do Kandern. Hecker, który podzielał bardzo upowszechnione mniemanie w badeńskiem, lubo zupełnie kłamliwe, że większość tego legjonu niemiecko-republikańskiego składała się z Francuzów, wzbraniał się wydać żądanego rozkazu, wskutek czego pani Herwegh opuściła w nocy jego główną kwaterę. Odbyto naradę wojenną, gdyż z ust dwóch dragonów badeńskich ujętych przez forpocztę powstańców, otrzymano wiadomość o stanie rzeczy w Schliengen. Charakterystyczną cechą idylicznego huczku Hecker'a jest, że „terorysta“ Hecker lubo wiedział, że można było bardzo dobrze spożytkować broń i konie dwóch dragonów, nie zatrzymał ich, lecz kazawszy ich posilić, pozwolił z końmi i bronią powrócić do Schliengen, w przekonaniu, że tą wspaniałomyślnością zjedna sobie przychylność wojska. Podczas narady przybyła depesza od Sigela, w której meldował, że stanął ze swym oddziałem w Wiezenthal, oraz, że kolumny Weishaara i Struve'go znajdują się w jego pobliżu. Dlatego Sigel radził i życzył, iżby Hecker czemprędzej zawrócił, i połączył się z dwoma wzmiankowanem hufcami. Hecker powinien był posłuchać tej rady, gdyż sam jego hufiec nie mógł przedrzeć się pod Schliengen, i nie mógł przeszkodzić pochodowi Badeńczyków i Heseńczy-

ków do Kandern, chyba, że chciał wąwóz przed miasteczkiem uczynić tak sławnym, jak Termopile. Termopile jednak nie bardzo przystają do miejscowości idylicznych sławionych przez allemańską muzę Hebla, a walki w Termopilach wraz z innemi nieużytecznemi osobliwościami np. polityką idealną, wiernością przekonania i wiarą w zasady mieszczą się w ciemnym zakątku dziejów, w oddzielnej izbie różnych osobliwości. Niestety Hecker niedosyć energicznie przeprowadzał zamiar cofnięcia się do Steinen, lubo odwrót swój począł o godzinie 2-ej. Gdyby to się udało, to wojska manewrujące dnia następnego do Kandern nie doścignęłyby tam powstańców, a zatem nie odbyłaby się potyczka na Scheideck.

4.

O godzinie 8-ej zrana 20-go kwietnia wyruszył hufiec Hecker'a z Kandern do Steinen, i postępował ścieżką pochyłą przy Scheideck. Sam Hecker i Willich, Mögling i Bruhn maszerowali z awangardą, ale straż tylna pod Kaiserem i Dollem pozostała jeszcze na miejscu zajęta zebraniem dwóch małych działek i bagażu. A gdy otrzymano niezbędne konie, wyruszył Kaiser ze swym oddziałem. Był to czas największy, gdyż z rana jenerał von Gagern roz-

kazał swemu wojsku pomaszerować ze Schliengen do Kandern, a czoło jego kolumny dotarło już do zachodniej części tej miejscowości w chwili, gdy hufiec wolny opuszczał ją na wschodzie. Wojska poprzedzał badeński komisarz rządowy, Stephani, jako parlamentarz w towarzystwie hesskiego trębacza, który gdy spotkał dowódcę tylnej straży Kaisera oznajmił, iż chce rozmówić się z Heckerem:

— Hecker wymaszerował przed nami, rzekł Kaiser.

— Czy tak? Czy mogę przemówić do pańskich ludzi?

— Jak się panu podoba.

Pan komisarz rządowy stanął w pozycji, odczytał akt buntu, i zawołał do powstańców:

— Przekroczyliście prawo, lecz wiem, iż namówiono was tylko do buntu, jesteście zatem uwiedzeni. Otrzymacie przebaczenie, bylebyście zaraz broń złożyli. Czy dobrze?

—Nie!

Po tej jednogłośnie wydanej odpowiedzi zawrócili, i podążyli za swemi towarzyszami.

Tymczasem towarzyszów ich ustawił Willich w szyku bojowym na ścieżce otoczonej z obu stron lasem, poza mostem zarzuconym nad strumieniem. Postanowiono bronić drogi wiodącej do Scheideck. Wojska związkowe wyruszyły z Kandern, i stanęły również w szyku bojowym, gotowe do ataku. Od powstańców dzie-

liła ich zaledwie przestrzeń wynosząca paręset kroków. W przednich szeregach jechał konno człowiek poważny o szlachetnym profilu w brunatnym, cywilnym ubiorze, i zielonej czapce, był to jenerał Fryderyk von Gagern, który zasługiwał na to, iżby walczył w lepszej sprawie. Zaiste, był on więcej wart, aniżeli ten nędzny rząd badeński ocenić go umiał, który po śmierci jego, chcąc go otoczyć większą jeszcze aureolą i bardziej potępić powstańców, rozgłaszał, że jenerał poległ z ręki skrytobójcy, tymczasem von Gagern, jak sami jego oficerowie twierdzili, zmarł *śmiercią poczciwego żołnierza*. Fryderyk von Gagern był mężem rozumnym, wykształconym, doświadczonym i pełnym miłości ojczyzny. Uchodził za zręcznego wojownika, i mógł mieć nawet pretensję, żeby go zaliczono do literatów [1]). Ale 20 kwietnia 1848-go roku nie był na swem miejscu; albowiem jego charakterowi brakowało tej wymowy, przy pomocy której uniknąłby krwawego starcia. Tymbardziej, że powstańcy, co nie ulega żadnej wątpliwości, starali się ze swej strony uniknąć krwi rozlewu, a bądź co bądź nie chcieli go wywołać.

Pan von Gagern nawykł w rajtszuli, i na

---

[1]) Do prób jego literackich należy bardzo udatne dzieło „Das Journal meiner Reise nach Russland i. J. 1839 zamieszczone w życiu jenerała Fryderyka von Gagern III—336.

placach ćwiczeń do krzykliwego tonu koszarowego i kapralskiego postępowania, jakie według powszechnego mniemania koniecznym są przymiotem rzemiosła żołnierskiego, a taki styl i ton niemile dźwięczały w uszach republikanów. Wszak wogóle u ludzi znaczenie ma nie to, co do nich mówią, lecz to, jak mówią.

Jenerał uczynił chwalebne usiłowanie powstrzymania rozlewu krwi; oczywiście w swój sposób. Posłał porucznika dragonów Kieffer'a na most z poleceniem, ażeby zaprosić Hecker'a na rozmowę, która miała się odbyć na moście. Hecker otrzymał to zaproszenie na spadzistości leśnej, stojąc przed frontem jednego oddziału wolnego hufca, i zaraz zeszedł na drogę w towarzystwie Willicha, Möglinga i Kaisera. Hecker, zostawiwszy swych towarzyszów na 20 kroków przed mostem, sam poszedł dalej. To samo uczynił z drugiej strony jenerał, i kazał zatrzymać się swemu sztabowi, w którym znajdował się pułkownik Hinkeldey, i major Kunc, zeszedł z konia i wszedł na most. Na środku mostu spotkali się obaj:

— Pan powinien złożyć broń, i rozwiązać swe hufce! Czy pan chce skompromitować wielkość ruchu niemieckiego — taką zbrodnią? Żądam, żeby pan natychmiast broń złożył.

Tak mówił jenerał, ale Hecker oczywiście odmówił temu żądaniu, jak opowiada.

— Panie Hecker, rzekł Gagern, jesteś pan rozsądnym człowiekiem, lecz fanatykiem.

— Panie jenerale, jeśli poświęcenie się za swobodę wielkiego narodu jest fanatyzmem, to niech pan tak go nazywa; ale także jest i fanatyzm z drugiej strony, której pan służy. Wreszcie nie po to przyszedłem, żeby się sprzeczać. Czy ma pan jeszcze mi co do zakomunikowania?

— Tylko to, że natychmiast z całą surowością wystąpię przeciw panu.

— Dobrze, postaramy się przyjąć natarcie. zapewne pan pozwoli mnie i moim oficerom powrócić do naszego orszaku.

— Niezawodnie, daję panu 10 minut czasu.

A kiedy Hecker odwrócił się, ażeby odejść, zawołał do niego major Kunc, który się tymczasem zbliżył do mostu:

— Zaklinam pana, porzuć pan swój zamiar.

Podczas całej tej rozmowy, stała tylna straż wolnego hufca około 80 kroków na wschód od mostu. Dalej reszta *powstańców* po obu stronach spadzistości leśnej. Z drugiej strony mostu na zachód stał najprzód heski bataljon. Była to awangarda wojska związkowego. Poza nim ustawione były frontem do mostu dwa bataljony badeńskie, a z prawej strony szwadrony dragonów i konna artylerja z dwoma działami. Jenerał postawił Hessów na przodzie, ażeby uni-

knąć bezpośredniego zetknięcia się badeńskich wojsk z ich buntowniczemi ziomkami.

Po bezowocnej rozmowie na moście, okazał się brak jednolitego umiejętnego kierownictwa w hufcu powstańców. Willich, który, że tak powiem, był pułkownikiem, wskazał odwrót w górę ścieżki leśnej, ale niektórzy dowódzcy, mianowicie Mögling, uważali za zupełnie niewłaściwe opuszczenie dotychczasowego stanowiska, i na razie chcieli się oprzeć dalszemu odwrotowi hufca. Dopiero po kilkakrotnej komendzie Willicha — (Hecker w następnych wydarzeniach nie odgrywał już żadnej roli) — ulegli z niechęcią, a tak wolny hufiec cofnął się pomału do szczytu wzgórza. Po upływie 10-ciu minut jenerał rozkazał swemu wojsku pomaszerować dalej. Wciąż Hessi tworzyli awangardę. W odległości 150—160 kroków szło czoło ich przedniej straży, kompanje strzelców bataljonu heskiego w górę ścieżki za tylną strażą wolnego hufca i po spadzistości lasu. Żołnierze palili fajki, rozmawiali, i śmieli się, a jenerał był zupełnie pewny, że powstańcy porzucili wszelką myśl stawienia oporu. Dlatego jaknajusilniej zakazał swej awangardzie użycia broni palnej. Lecz gdy jego awangarda zbliżyła się na 600 kroków do wierzchołka, porucznik Becker spostrzegł, że wolny hufiec zatrzymał się, rozwinął na prawo i na lewo jak do bitwy, i armaty przygotował do strzału. Zatem *powstańcy* chcieli stawić czynny

Tak, istotnie chcieli. Albowiem, gdy wolny hufiec doszedł przesmyku, skąd droga obniża się do Steinen, Mögling i inni dowódzcy oparli się dalszemu cofaniu, twierdząc, że gdy nieprzyjaciel zajmie Scheideck, z całą siłą uderzy na oddział republikanów, i może łatwo ich rozbić. Tak zwany pułkownik Willich nie mógł narazić małego oddziału na atak przeważny siły wojskowej, i przygotował się do walki; wbrew woli swych podkomendnych, nie tak niezgrabnie, jak przez długi czas mu zarzucano. Na prawem skrzydle stanęły małe oddziały pod rozkazami Möglinga i Willmann'a, były to oddziały strzelców. Środek stanowiła chorągiew muszkieterów pod Bruhnem. Przed nim stały dwie armatki, na lewo od środka nieco w tyle stała chorągiew kosynierów, którzy po pierwszych strzałach mieli uderzyć na nieprzyjaciela. Lewem skrzydłem złożonem z muszkieterów i strzelców celnych dowodził doktór Kaiser. Hecker'a stanowisko w walce na Scheideck według jego własnych i innych relacji było zupełnie nieoznaczone i mgliste. Zapewne, gdy gotowano się do walki, łudził się jeszcze nadzieją, że wojsko da się przeciągnąć od chorągwi książęcej do republikańskiej.

Pominąwszy to *przypuszczenie* w dziejach tego dnia wszystko dotąd jest jasne i dokładne. Lecz w zamięszaniu, jakie w jednej chwili powstało, gdy starły się oba hufce ginie nić prze-

wodnia, i trudno ją pochwycić z faktów uznanych przez obie strony. Dlatego pomimo wszelkich poszukiwań, niepodobna napewno powiedzieć, kto pierwszy począł strzelać na Scheideck republikanie czy rojaliści? Obie strony uporczywie się o to oskarżały. Najprawdopodobniej jednak z obu stron wystrzelono w jednej i tej samej chwili. Wielka pani, historjo! ileż to razy odgrywa twą rolę dziewczyna do dzieci Fabula! raz poprzedza cię, to znów idzie za tobą. Jeśli niepodobna napewno twierdzić, żeby można było z matematyczną dokładnością opisać przebieg walki pod Kendern 20 kwietnia 1848-go roku, to czy można żądać jakiej takiej dokładności o wydarzeniach, jakie odbyły się przed dwoma tysiącami lat? Napoleon miał pewną słuszność mówiąc, że dzieje świata są „fable convenue“. Ach! gdyby zresztą ta dobra fabuła nie opowiadała staremu dziecku ludzkości tej odwiecznej litanji o krwi przelanej i łzach wylanych, i nudną jednostajność o niedorzecznej winie i pokucie.....

Porucznik Becker kazał donieść jenerałowi, że wolne hufce przygotowały się do walki na wysokości wąwozu, wskutek czego pan von Gagern kazał dalej maszerować swej kolumnie, dopóki nie stanie na małej płaszczyźnie, z której będzie mogła wprost już uderzyć na nieprzyjaciela, i polecił jej stanąć tuż przed szeregiem wolnych hufców. Zdaje się, iż nie uważał za po-

trzebne ustawianie swych wojsk w szyku bojowym. Może sądził, iż samem posunięciem swej kolumny przerazi słabego przeciwnika.

— Nie strzelajcie, niemieccy bracia! Przejdźcie do naszych szeregów! wołali republikanie do żołnierzy, gdy ci stanęli tuż przed niemi. Żołnierze zdumieli. Krew niemiecka poruszyła się w ich żyłach; wszak i oni coś o tem słyszeli, co miała znaczyć ta powiewająca czarno-czerwona chorągiew.

Na przodzie całą szerokość drogi zajmował oddział porucznika Becker'a. Za nim stała kompanja strzelców tego samego heskiego bataljonu pod kapitanem Keim. Potem postępowały wzmiankowane powyżej oddziały wojska: piechota, kawalerja i artylerja. Jeden z adjutantów Gagerna, nadporucznik Heisler, sądził, że okrzyk wolnych hufców jest poprostu dawnem hasłem wojennem Germanów; potem zdawało się mu, iż słyszy wołanie:

— Jenerale, naprzód! i rzekł do jenerała:

— Panie jenerale! wołają cię!

Gagern zsiadł z konia i w towarzystwie kapitana Keima stanął przed frontem wojska. W tejże chwili naczelnik sztabu, jenerał-major Kuntz z kompanją badeńskiego pułku piechoty zeszedł z drogi na prawo, chcąc odeprzeć republikanów, i nie dozwolić, ażeby zaprzyjaźnili się z żołnierzami badeńskimi.

Wtem z szeregu republikanów występuje

doktór Kaiser w bluzie niebieskiej na spotkanie jenerała i kapitana, i woła nie tak do nich, jak raczej do żołnierzy:

— Nie strzelajcie do współbraci! Nie strzelajcie! Wszak chcemy tego samego, czego chcą wasi ojcowie i wasi bracia, jeśli strzelać będziecie, to na starość, będziecie z rozpaczy wyrywali sobie siwe włosy.

Na to jenerał krótko i ostro:

— Złóżcie broń i idźcie do domu.

W szeregu wolnych hufców coraz liczniejsze i wyraźniejsze dają się słyszeć głosy do żołnierzy. Oficerowie spostrzegają, że nawet w szeregach Hessów powstaje niepewność, wahanie się. Jenerał widząc, że trzeba szybko działać, wraca do kompanji strzelców heskich, gdzie kapitan Keim mówi do niego:

— Ci chłopcy nie dadzą się namówić. Co pan każe?

Na co Gagern:

— No, w Imię Boże, naprzód!

Dziwna rzecz, że ilekroć ludzie przystępują do mordowania się masami, zachęcają się do tego chwalebnego czynu: „W Imię Boże!“ albo raczej to nie dziwne, lecz zupełnie prawidłowe. Wszak biedna ludzkość od tylu tysięcy lat napróżno męczyła się o przyswojenie sobie jako tako przyzwoitego pojęcia o Bogu, a ciągle i wszędzie tronuje na ołtarzu krwistym Baal-Moloch jako najwyższe bóstwo....

Major Kuntz powrócił na drogę, w chwili, gdy jenerał wsiadł na konia, i pyta się co robić? Jenerał wyciąga szablę, spina konia i woła

— Naprzód!

Kapitan robi uwagę:

— Panie jenerale, pan się zbyt naraża.

Na co Gagern do majora:

— Kochany przyjacielu, to nasze stanowisko!

Kapitan każe maszerować swej kompanji i prowadzi ją do ataku. Opowiada on o tem, co później nastąpiło w ten sposób:

— Stanąwszy w odległości 25 kroków od powstańców, wyjąłem pałasz i zakomenderowałem: Na bagnety! Moja kompanja uczyniła zadość rozkazowi. W tejże chwili nadporucznik Becker rozkazał celnym strzelcom bataljonu utworzyć łańcuch z prawej strony. Zbliżyłem się na 8 kroków do powstańców, i z porucznikiem Beckerem stanąłem przed bagnetami, chcąc przeszkodzić, iżby wojsko wbrew rozkazowi jenerała nie dało pierwszego strzału.

Powstańcy zawołali:

— Nie cofniemy się!

Na co odrzekłem:

— Kazano mi iść naprzód! słucham danego rozkazu—a zbliżywszy się, do bagnetów przeciwników zawołałem: Złóżcie broń?—wyrwałem kilku powstańcom karabiny. Wtem z szeregu powstańców, na prawo odemnie wypadł

pierwszy strzał, i trafił mnie w lewą rękę powyżej łokcia; a jednocześnie usłyszano kilka strzałów ze strony lewej. Przypuszczam, że te strzały śmiertelnie zraniły jenerała Gagerna. Teraz, gdy ja i porucznik Becker wróciliśmy do szeregu naszego oddziału, strzelił pierwszy szereg naszych strzelców. Cała kolumna powstańców zachwiała się, i po części uciekać zaczęła. Poszliśmy naprzód, nacieraliśmy pałaszem, bagnetem i kolbami, wskutek czego powstańcy poczęli rozpraszać się i uciekać. Gdy to działo się w centrum, nadporucznik Becker uderzył na lewe skrzydło nieprzyjaciela, złożone z kosynierów i strzelców i zupełnie je rozproszył.

Temu szanownemu świadkowi, który jasno przekonywa, że jenerała trafiła kula dopiero po rozpoczęciu walki, a zatem nie, jak kłamano urzędownie, iż został zabity *zdradziecko* przed walką podczas parlamentowania, — naprzeciw temu świadectwu poczciwego żołnierza stawiamy równie cenne świadectwo z szeregu powstańców Möglinga, który, o czem sam milczy wśród zgiełku powstania na Scheideck, miał sposobność okazać, jak dobre ma serce. Przypadkiem biedna wieśniaczka z okolicy znalazła się w środku tego zamięszania, a poczciwy Hannes zasłonił ją swojem olbrzymiem ciałem, ażeby kula jej nie ugodziła, za co później jego przyjaciele nazwali go „żywą barykadą.“

Mögling w ten sposób opowiada: „Zaledwie

ustawiliśmy się w szyku bojowym, gdy rojaliści ukazali się na wysokości zwanej Scheideck. My, dowódcy wyszliśmy zaraz naprzeciw nich, namawiając, ażeby się z nami połączyli, gdyż idzie tu o wolność całego ludu. Żołnierze ze zdziwieniem wysłuchali naszej mowy, i zrazu zachowali się spokojnie, poczem przednie szeregi rozwiązały się, ściskaliśmy ręce żołnierzy, i znów namawialiśmy, ażeby się z nami połączyli. W tej stanowczej chwili, Gagern wsiadł na konia, kazał oficerom odciągnąć od nas żołnierzy, przez chwilę wyrywaliśmy sobie wzajemnie żołnierzy i podoficerów. Oficerowie wepchnęli do szeregu żołnierzy. Adjutant Gagerna stanął na ich czele, zamierzając uderzyć bagnetem na nasz środek, który oczekiwał ich z opuszczonym karabinem.

Obie strony stały naprzeciw siebie prawie dotykając się bagnetami; żadna nie chciała uderzyć, gdyż wydaliśmy surowy rozkaz naszym ludziom, ażeby pierwsi nie uderzali, ponieważ wielu żołnierzy powiedziało nam, że jeśli pierwsi nie rozpoczniemy walki, to i oni nie użyją broni. Ale Gagern szybko działając sprowadził hyżą i krwawą walkę, gdy ujrzał wahanie się żołnierzy, wystrzelił z pistoletu na nasze centrum, wołając:

— Jacyście wy bracia! Wy tałałajstwo! Jednocześnie jego adjutant ciął pałaszem jednego z naszych artylerzystów. Żołnierze, usłyszawszy

strzał, dali ognia, który z powodu nadzwyczajnej blizkości wyrządził nam wielką szkodę. Poległo około 20 z naszego hufca. Oczywiście na ogień odpowiedzieliśmy ogniem z wielką żywością. Nigdy nie przypuszczałem, żeby nie przyszło do walki, i zaraz gdy gotowaliśmy się do bitwy, powiedziałem moim ludziom, żeby skoro ogień się rozpocznie, na cel brać oficerów. Przy mnie stało dwóch celnych strzelców; rzekłem do nich, wskazując na jenerała: ubranego po cywilnemu:

— Ten tam w brunatnym palcie, i zielonej czapce, to jenerał, celujcie do niego!

Zaledwie rozpoczął się ogień, gdy rzeczywiście jenerał trafiony w piersi przez jednego z moich strzelców, zachwiał się na koniu. Koń ściągnięty lejcami stanął dęba, i otrzymał również kule w piersi. Gagern, upadając z koniem, zawołał:

— Sprawiedliwy Boże!

Całe to zdarzenie było dziełem kilku sekund, i szybciej nastąpiło, niż słowa, które to opisują. Działanie pierwszych strzałów było wielkie, a dla mnie, który po raz pierwszy to widziałem zupełnie zadziwiające. Gdy rozwiał się dym, ujrzałem kłąb ludzi leżących na ziemi; pomięszani byli tu republikanie i rojaliści. Jenerał leżał tuż obok mnie pod koniem, dotknąłem się jego pulsu, już nie był czynny; lecz z leżących na ziemi powstańców i żołnierzy, większa

część znów powstała. Spojrzałem naokoło: z jednej strony biegli rojaliści, z drugiej nasi ludzie, szczególniej kosynierzy. Na nich zwrócono całą salwę plutonu, lecz kule szły zbyt wysoko, i uderzyły tylko w kosy; skutkiem tego nastąpił wielki hałas, którego kosynierzy tak się przerazili, że porzucili kosy, a sami, albo położyli się na ziemię, albo uciekli. Przez chwilę powstał na pobojowisku zgiełk wielki i ręczna bójka; jedni podnosili się z ziemi, drudzy biegli na wsze strony. Zatrzymałem się przy zwłokach jenerała, znalazłem się w samym środku zgiełku. Jednemu rojaliście wyrwałem karabin, a drugiego, który bagnetem przedziurawił mój burnus, uderzyłem pałaszem po czaku. Wkrótce wystąpił kapitan rojalistów, a powiewając białą chustką, zwrócił się do mnie i rzekł, ażebyśmy przestali strzelać [1]). Odpowiedziałem, że uczynimy to, jeśli i wy przestaniecie:.

Kapitan rozkazał powstrzymać ogień i ja także. Poczem znów wystąpił i rzekł:

— Dosyć przelano krwi, rozejdźmy się, i dodał: Mieliśmy tylko rozkaz zajęcia Scheideck, obecnie zawrócimy, a wy idźcie dalej.

---

[1]) Tym kapitanem rojalistów był kapitan Keim, który według własnego opowiadania po nastąpionej katastrofie zawołał do powstańców:

— Przestańcie strzelać; dosyć już ofiar, przecież nic wam to nie pomoże.

Odpowiedziałem, że przystaję na to. Kapitan chciał jeszcze zabrać zwłoki jenerała, które leżały na naszym terenie. I na to przystałem, gdy jeden z naszych dowódców, powiedział mi, że podczas tego zgiełku rojalista wyrwał naszą chorągiew chorążemu kosynierów. Po otrzymaniu tej wiadomości dodałem, że wydamy zwłoki jenerała dopiero po zwróceniu nam chorągwi. Żołnierz z wielką niechęcią przyniósł chorągiew, i w gniewie rzucił ją na ziemię. Powiedziałem, że w ten sposób nie przyjmujemy chorągwi, żołnierz musiał ją podnieść, a podoficer wręczył ją jednemu naszemu szeregowcowi, poczem zwróciliśmy zwłoki jenerała [1]). Cóż więc jest prawdą?

---

[1]) „Briefe an meine Freunde“ S. 87 i następne. Mögling opowiedział to w okolicznościach, w których chodziło mu o życie; mianowicie przed sądem wojennym pruskim 20 października 1849 roku. To jego sprawozdanie o potyczce na Scheideck uczynione w powyższych okolicznościach tak wszystkich przekonało, że przewodniczący sądu wojennego pruski major Besekow powiedział poczciwemu Hannes'owi, iż może być pewnym, że cały sąd wojenny tak zupełnie jest przekonany o prawdzie tego, co powiedział, że nie powołałby wcale świadków, gdyby forma tego nie wymagała“. Mögling oburzał się wobec sądu wojennego za to, że rząd badeński namówił pułkownika Hinkeldey do rzucenia oszczerstwa na Hecker'a, jakoby ten podczas pokojowej rozmowy zabił zdradziecko jenerała Gagern'a.“ „Zamieściliśmy, mówi on, we wszystkich pismach nam dostępnych fałsz tego oszczerstwa; lecz ponieważ rząd wielkoksiążęcy badeński nietylko pozostawił pułkownika Hinkeldey na czele swego

zapytałby się znów wobec tych sprawozdań nieżyjący Poncjusz Piłat. Lecz kto, jak jego ekscelencja, niegdyś nadprezydent Judei nie jest zbyt leniwy i obojętny do szukania prawdy, nietrudno ją odnajdzie z załączonych świadectw; gdyż te sprawozdania dopełniają się wzajemnie w rzeczach głównych. Prawdą jest zatem, że jenerał von Gagern zginął w walce przez siebie rozpoczętej, oraz że po jego zgonie nastąpiło krótkie zawieszenie broni. Rezultatem potyczki na wysokości lasu poza Kandern była klęska nie wojenna, lecz raczej polityczna republikanów, gdyż krótka potyczka na Scheideck zakończyła życie 12 ludzi, ale przekonała, że iluzja przeciągnienia

---

pułku dragonów, lecz i cały korpus oficerski znosił pośród siebie człowieka, którego w pismach publicznych przekonano, że z wiedzą dał fałszywe słowo honoru, przeto uważałem za potrzebne wobec kilkuset świadków opowiedzieć prawdę, jako naoczny świadek i jako główna przyczyna tego wydarzenia. W sali było obecnych wielu oficerów badeńskich, a żaden nie ośmielił się zaprzeczyć mojemu twierdzeniu. Zawstydzeni spuścili oczy, i nie śmieli spojrzeć, ani w oczy swoich pruskich towarzyszów, w których znaleźliby zapewne pogardę, ani spojrzyć mi w oczy, gdy opowiadałem wydarzenie na Scheideck. Nawet nadworni historycy, i nadworni publicyści zwykłego liberalizmu nie ośmielili się zaprzeczyć prawdziwemu męskiemu zachowaniu się Möglinga przed sądem wojennym, ale usiłowali ze zwykłą poczciwością zupełnie o tem przemilczeć. Być sprawiedliwym względem przeciwnika, to przechodzi poziom *liberalnych* płaskich głów i serc skórzanych.

żołnierzy do chorągwi powstańców, była mrzonką. Karność wojskowa okazała się tu niemniej potężną, jak wiara u ludu w monarchją. Lud nie uczynił nawet giestu, nie mówiąc już o tem, żeby chciał powstać masami za Rzeczpospolitą, a żołnierze ze swej strony strzelali, jak tylko zakomenderowano, bez względu na namowy republikanów. Przypuszczenia zatem, na podstawie których Hecker rozpoczął fantastyczny huczek, okazały się zupełnie błędnemi, wskutek tego całe zbrojne powstanie republikańskie można było uważać za chybione.

5.

W takich improwizacjach studenckich, jak kwietniowe wystąpienie niemieckich republikanów w r. 1848, wszystko zależy od pierwszej potyczki. Gdyby pierwsze wystąpienie udało się, to znaczy, że gdyby powstańcom udało się przeciągnąć na swą stronę heskich i badeńskich żołnierzy, lub, gdyby mu się poszczęściło stanowczo ich pokonać, to cała sprawa wzięłaby inny obrót. Wszakże po przegranej na Scheideck naturalnem następstwem pierwszego nieudania było drugie, trzecie i czwarte.

Ten, od którego cały huczek nosi nazwę, musiał pod Kandern przyjść do poznania samego siebie, i uznać, że nie posiada ani źdźbła ta-

lentu wodza. Zniknął on z pola bitwy wraz z dzielnie uciekającymi kosynierami, zbłąkał się w lasach, i następnej nocy przewiózł go przez Ren jakiś chłop na grunt szwajcarski. Jako prawdziwy sangwinik zamienił się on 20-go kwietnia nagle na zupełnego melancholika, i smutnie szydził ze zdolności niemieckiego ludu do zrobienia rewolucji, a wciąż sadził się na dowcipy, które bardziej przystałyby komukolwiek innemu, ale nie jemu, który jeszcze przed kilku dniami wierzył temu z prawdziwie dziecinną ufnością. Zresztą Hecker, sprzykrzywszy sobie rolę emigranta, jaką odegrywał w Muttenz w kantonie Bazylei, uczynił to, co mógł *najrozsądniejszego* uczynić: zrzekł się niewdzięcznej swej roli republikanizatora Niemców przywiązanych do swych panujących i udał się do Ameryki, gdzie został farmerem na *dalekim zachodzie*. W następnym roku 1849 przybył do Europy na czas niejaki błędnemi ognikami zwabiony, lecz zatrzymał się w Strasburgu, i znów powrócił do Ameryki.

Zniknięcie Hecker'a ze sceny położyło kres idylli huczkowej; wszak jego osobistość była nicią spajającą całe przedsięwzięcie, gdy tej ubyło,—sprawa upadła.

Już na Scheideck poczęły się rozpraszać hufce Hecker'a. Reszta cofnęła się do Steinen, ażeby się połączyć z przybyłą tam kolumną Weishaar'a i Struve'go. W trop za niemi poszły

wojska związkowe pod dowództwem pułkownika Hiukeldei'a, który objął dowództwo po śmierci Gagern'a. Przednia straż jego przez krótki czas biła się z walnym hufcem, którego dowódzcy podczas tej potyczki przerazili się wiadomością, że obywatel Struve także zawarł kapitulację, na mocy której rojaliści bez żadnej przeszkody mieli się udać na dolinę Renu, a republikanie cofnąć poza Wiesenthal. Poczem w wolnym hufcu wybuchła zupełna anarchja. Zakradła się tu niechęć i nieufność, wskutek czego stajała kolumna Weishaar'a, jak śnieg po deszczu. Struve, uciekając do Szwajcarji, wpadł w ręce oberamtmana Säckingen, który ośmielił się go aresztować dla tego, iż w miasteczku znajdował się szwadron wirtembergskich ułanów. Lecz gdy dzielny Hannes dowiedział się o aresztowaniu Struve'go uwolnił go z rąk rotmistrza wirtemberskiego za pomocą bardzo zręcznego podstępu wojennego. Uwolniony Struve zwrócił się do kolumny Sigel'a, ale nie wyszło to na jej dobro, gdyż natchniony optymista, i sumienny jarosz, pomimo najlepszej woli, najlepszej chęci podczas całego huczku kwietniowego wszędzie sprawiał zamieszanie. I jego oswobodziciel z pazurów Säekling'a, energiczny Mögling, wyruszył do oddziału Sigel'a, pod którego chorągwią stało jeszcze 3 tysiące ludzi.

20 kwietnia Sigel zajmował ze swym oddziałem kwatery w Todtenau i okolicy, gdy dowie-

dział się o wypadku w Scheideck. Posłaniec, który mu wręczył tę wiadomość, prosił go usilnie, ażeby pośpieszył na pomoc hufcowi Hecker'a, który, jak utrzymywał, miał się cofnąć do Zell, — Sigel pomimo, że uważał, iż byłoby najlepiej wyruszyć na Freiburg, uległ temu żądaniu, i cofnął się do Schopfheim i Zell, gdzie dowiedział się o zupełnem rozwiązaniu się kolumny Hecker'a i Weishaar'a. Wiadomość ta wraz z kilku godzinnym uciążliwym marszem podczas wiosennego upału nie zdołała powiększyć zaufania do sprawy, która i tak była już bardzo problematyczna. Nadto oddalenie się od tak ważnego punktu, jakim był Freiburg dozwoliło wojskom książęcym otoczyć go ze wszech stron. Oddalenie to tym było szkodliwsze, że jego mieszkańcy wahali się pomiędzy rzecząpospolitą a monarchją, jak Buridena znany osioł pomiędzy dwoma wiązkami siana. Entuzjastyczna młodzież tego miasta z gimnastykami na czele gotowa była podnieść broń za Rzeczpospolitą. Wszakże już obozowały pod miastem znaczne siły książęce: około 3 tysiące piechoty wojska badeńskiego, nassauskiego i hesskiego, pułk konnicy i artylerja z 4-ma działami. Na domiar niepowodzeń republikanów kolumna Hinkelday'a zwróciła się od Lörrach w dół doliny Renu do Freiburga. Od Szwarcwaldu zbliżyli się Wirtemberczykowie przez dolinę Alb i Höllenthal.

Kiedy Sigel pośpiesznym marszem powrócił

z Schöpfheim do Todtenau, otrzymał 22-go kwietnia po południu wiadomość, która nie dozwoliła mu wątpić, iż niepodobna było już uderzyć na Freiburg, lecz jako człowiek odważny postanowił spróbować, ażeby przynajmniej stoczyć jedną bitwę za Rzeczpospolitą, tymbardziej, że nie wypadało pozostawić bez pomocy stronników swoich w Freiburgu, którzy zabarykadowali miasto dla powstrzymania wojska książęcego; nie chciał zatem ich narażać na zemstę nieprzyjaciela. Gdy więc różne jego chorągwie z Schopfheim i Zell z nim się połączyły, i po uciążliwym marszu nieco wypoczęły, pomaszerował do Freiburga.

Na Wielkanoc, 23-go kwietnia, awangarda Siegel'a, chorągiew w której Struve się znajdował, była już niedaleko wsi Günthersthal, zatem w milowej blisko odległości od Freiburga, ale tylna straż jego przebywała jeszcze w Todtenau, a pomiędzy obu temi punktami maszerowały inne kolumny. Siegel, który nakreślił odpowiedni plan ataku, i dlatego zabronił stanowczo wszelkich oddzielnych ruchów, chciał bardzo rozsądnie nietylko zebrać wszystkie swe siły, jakiemi rozporządzał, lecz także celnych strzelców kolumn Hecker'a i Weishaar'a, które po bitwie pod Kandern i Steinen rozproszone miały się zebrać tu pod dowództwem Becker'a i Bruhna, Doll'a i Möglinga. Dlatego wydał rozkaz awangardzie, ażeby nie przekroczyła Günther-

stal, gdzie miała się połączyć z innemi oddziałami. Ale Struve wmieszaniem się swojem pokrzyżował zamiary Siegel'a. Struve głęboko przekonany, że posiada prawdziwy talent wodza, a może ufając swojej wymowie, iż zdoła nakłonić *kochanych braci* do przejścia na swą stronę, rozkazał awangardzie iść dalej, która na nieszczęście była mu posłuszna. Prowadził więc swą chorągiew po otwartej drodze do Freiburga. Zaraz nastąpiły niezbędne następstwa tego genialnego pomysłu. Oddział jego spotkał na krańcu doliny, przy oberży „Zum Waldhorn" wojsko ustawione w szyku bojowym: badeńską piechotę i heską artylerję. Biednemu Struve'mu, który gwałtownie powiewał białą chustką, nie pozwolono nawet wypowiedzieć jego litanji braterstwa. Badeński jenerał Hoffmann odpędził parlamentarza Kuenzer'a przysłanego przez Struve'go słowami: „Precz psie!", a zaraz potem zagrzmiały heskie działa, obrzucając kartaczami powstańców. Cała awangarda rozproszyła się oprócz kompanji strzelców, która stanąwszy na brzegu lasu, chciała pokryć ucieczkę kosynierów. Jenerał Hoffmann poprowadził swe wojska do Günthersthal, tu wszakże dalszy jego pochód powstrzymało przybycie Sigel'a z nową chorągwią; nastąpiła potyczka, w której Sigel dzielnie się bronił, a Hoffmann, widząc niepodobieństwo przedarcia się przez jego oddziały, cofnął się do Sankt-Georgen. Tym-

czasem republikanie usiłowali wyjść z miasta i uderzyć z tyłu na wojsko, wszakże to się nie udało. Struvego zapoznany genjusz wojskowy zniszczył tak dobrze obmyślany plan Sigel'a i unicestwił jego zamiary.

Sigel spędził noc w wiosce Horben, poniżej Günthersthal, oczekując na przybycie nowych posiłków pod Möglingiem. Istotnie Mögling wkrótce tu przybył. Wszakże cały hufiec wolny zmalał do szóstej części wczorajszej swej cyfry. Pomimo tego Sigel i Mögling postanowili dnia następnego, 24-go kwietnia przyjść z pomocą swoim stronnikom w Freiburgu, który dnia tego zajęły wojska książęce. Zebrawszy w Horben 500—600 ludzi, przedarli się z nimi przez las do bramy miasta, zwanej szwabską bramą. Wszakże brama ta przed ich przybyciem została już zajęta przez wojsko książęce po dzielnej obronie republikanów i garstki studentów pod dowództwem studenta Langsdorfa. Najzaciętszą walkę stoczono tu na barykadach przy bramach: Zäringer i Breisecher. Zatem zbliżający się orszak Sigel'a powitały kartacze i kule karabinowe wojska książęcego. Sigel, nie chcąc narazić swego oddziału na zupełne rozproszenie, dał rozkaz do odwrotu pod dowództwem Doll'a. Oddział ten rozbiegł się w góry. Podczas tego odwrotu odcięto Sigel'a, Möglinga i czterech ludzi, którzy zbyt nieostrożnie naprzód się wysunęli, i nie mogli przyłączyć się do reszty, mo-

gli zatem łatwo być pochwyceni, wyszli jednak cało, dzięki nędznemu dowództwu wojska badeńskiego. Mögling i Sigel ośmielili się wdrapać na niestrzeżony mur miasta, ażeby jak dzielny Hannes się wyraził, *przekonać się, czy nie możnaby spłatać jeszcze jakiego figla wojsku książęcemu.* Nie można było jednak nic tam zrobić, kontenci zatem byli, że mogli powrócić do swoich bez wszelkiego szwanku. Udali się w góry, ażeby odszukać kolumnę Herweg'a, gdyż dowiedzieli się, że Ren przekroczyła, ale to się nie powiodło. Po wielu niebezpieczeństwach obaj przepłynęli Ren na łodzi kontrabandzistów, i stanęli na brzegu francuskim.

6.

Niemieccy republikanie z kwietnia 1848-go zrobili w Badenie zupełnie tak samo, jak Prusacy w 1806 r. w Jena. Rozpoczynali walkę pojedyńczemi pułkami, zamiast zebrać wszystkie swe siły, i uderzyć masą całą, i dlatego zdarzyło im się to, co niegdyś Prusakom pod Jena.

Ze stanowiska powstańczego Hecker postąpił dziecinnie, nie przywołując Herwega ze Strasburga. Zważać w podobnych okolicznościach na zdania filistrów, znaczy przekonać wszystkich o braku swego uzdolnienia do buntowania się i rewolucjonizowania. Ponieważ w kolumnie

Herwega znajdowało się około tuzina bluz francuskich, przeto nie pomyślano wcześnie o przywołaniu tych posiłków.

Gdy wreszcie 23-go kwietnia Sigel i Mögling przysłali do Herwega rozkaz, ażeby się z nimi połączył, było już za późno, a oddziałowi Herwega groził ten sam los jaki poprzednio spotkał oddział Hecker'a, Weishaar'a, Sigela. W tych okolicznościach oddział jego mógł tylko odegrać ostatni akt idylli huczkowej zakończonej tragicznie.

Nocną porą, z pierwszego święta Wielkiejnocy na drugie, legjon Herwega przeprawiał się na łódkach przez Ren, i wyszedł na brzeg niemiecki pomiędzy wioskami Rheinweiler i Kleinkembs. Liczył on po ustawieniu się w szeregach zaledwie 650 ludzi. Uzbrojenie jego było bardzo niejednostajne i niedostateczne, toż samo można powiedzieć o jego wyekwipowaniu. Pozostawał on pod dowództwem Börnsteina i Korwina. Legjonem dowodził Lövenfels, a 4-ma bataljonami Schimmelpennink, Bornstedt, Hörter i Delaporte (Francuz). Hervegh na razie miał sobie powierzoną misję polityczną. Naczelnicy legjonu dowiedzieli się już o tem, co nastąpiło pod Kandern, ale nic jeszcze nie słyszeli o wydarzeniach pod Günthersthal i Freiburgiem; spodziewali się zatem, że będą mogli wziąć udział w wyprawie na to miasto. Gdy legjon uporządkowany o tyle o ile maszerował wpoprzek doliny nadreńskiej,

dążąc do Szwarcwaldu, zdarzyło się, że powstaniec idący na czele awangardy, zwał się Hergott, co powitano ze śmiechem, jako dobrą wróżbę; wszakże okazało się tak ułudnem, jak może żadna wróżba.

Pochód wolnego hufca, w którym nie było ani śladu francuskich *zabójców i podpalaczy* lecz dobroduszni ziomkowie, okoliczni wieśniacy z radością powitali i wszędzie gościnnie ich przyjmowali. Legjon zwrócił się najprzód do Kandern, a stąd do Todtenau. W drodze na pierwszym noclegu, który nastąpił we wsiach Vogelbach i Marzell, przybył posłaniec rządu francuskiego do głównej kwatery, ażeby zbadać, jak się powodzi legjonowi. Zachowanie się rządu tymczasowego rzeczypospolitej francuskiej z roku 1848-go względem tego wolnego hufca wykazuje w mniejszym zakresie i szczegółach tę samą nędzotę, charakteryzującą działalność tego rządu wogóle i w całości. Ci połowiczni mężowie, a na przodzie ich trzcina cukrowa liryczna Lamartine, chcieli nibyto zrepublikanizowania Niemiec, lecz nie odważyli się przyłożyć do tego ręki, śledzili tylko zdaleka, ażeby pochwalić powstanie, gdyby się udało.

Następnego dnia, dowódcy legjonu, który zatrzymał się w Muttenz, otrzymali niezawodne wiadomości o zupełnem nieudaniu się wyprawy Sigela na Freiburg. Okoliczni wieśniacy utrzymywali, że Sigel z trzema tysiącami ludzi stał

jeszcze pod niedaleką górą Sztoren, lecz okazało to się wkrótce mylne. Legjon zdziwiony tem, wyczerpany marszem podczas bardzo słotnej pory i dosyć zdezorganizowany wyruszył z Muttenz do Vieden, gdzie jasno się okazało, iż sam tylko na siebie musi liczyć, gdyż dwa inne wolne hufce zupełnie się rozproszyły. Oczywista, iż niepodobna było dłużej utrzymać w polu chorągwi republikańskiej, przynajmniej tak sądzić musiał każdy zdrowy człowiek, posiadający pięć zmysłów. Wobec niewielkiej naszej liczby, niedostatecznego uzbrojenia i nieporządku, jaki się zakradł do legjonu—mówi Korwin, nie mogłem myśleć o stoczeniu potyczki; postanowiłem zatem przeprowadzić legjon wśród otaczających go nieprzyjaciół przez granicę szwajcarską, nie wymieniwszy z wojskiem ani jednego strzału. Zadanie to było tym trudniejsze, iż wojsko, dowiedziawszy się zapewne o słabej naszej sile, wszędzie nas poszukiwało, a ponieważ nie było już innych oddziałów powstańczych, mogło uderzyć na nas większą masą. Postanowiłem zatem pomaszerować przez Belchen do Zell w Wiesenthalu, i tu przekroczyć granicę szwajcarską.

Haniebne oszczerstwa, jakie historycy wstecznictwa i liberalizmu rzucili na republikańskie wolne hufce, trzeba odeprzeć z naciskiem, że „Duch Nieporządku“, o którym wspomniał dopiero co Korwin, dotyczył się tylko względów techniczno-wojskowych. Powstańcy przemokli

i przeziębli, napół zgłodniali, znużeni ciągłą obawą nawet jeszcze podczas swego odwrotu zachowywali się wzorowo względem ludności: „Muszę, powiada nasz sprawozdawca, — który w swem sprawozdaniu raczej potępia swych towarzyszów, niż ich broni—muszę powiedzieć na pochwałę naszych ludzi, że pomimo głodu nie pomyśleli nawet przez chwilę o plądrowaniu chat wieśniaczych, a gdy jeden maruder, zatknąwszy na swój bagnet kilka skradzionych bochenków chleba, chełpił się ze swej kradzieży, i zachęcał innych do naśladowania, koledzy jego żądali, ażebym kazał natychmiast rozstrzelać tego człowieka, jak to czyniono w Paryżu podczas trzech dni lutowych.

Po różnych przygodach legjon bardzo zmniejszony dosięgnął wioski Zell 26-go kwietnia, a stąd po uciążliwym marszu nocnym, podczas którego ludzie upadali ze znużenia, następnego dnia do Niderdosenbach, odległego na godzinę drogi od Renu. Pani Emma Herwegh opisała w swem sprawozdaniu usposobienie powstańców zrana 27-go kwietnia krótko i dobrze w ten sposób: „Większa część ludzi pożądała wypoczynku, było to prawdziwą ich namiętnością. Chcieli tylko spać, spać tylko; wszystko inne było im obojętne,“ ale Korwin dowiedziawszy się o dążących tu wojskach wirtemberskich, zachęcał energicznie do dalszego pochodu, ażeby czemprędzej stanąć nad Renem.

O dziesięć minut od Dossenbach poczyna się las, który szerokim pasem dochodzi do Renu. Gdy legjon przebył las, Korwin kazał zatrzymać się na dużej polance, z której lewej strony ciągnie się gościniec, ażeby ułatwić pozostałym w tyle połączenie się z oddziałemi i uporządkowanie się do dalszego marszu. Wielu ludzi rzuciło się na ziemię, i zaraz zasnęło, inni zdjęli podarte obuwie dla ulżenia swym zbolałym nogom. Wtem usłyszano strzały od strony wsi, i rozproszone bluzy wypadły z lasu na polankę, wołając:

— Wirtemberczycy!

Krzyk ten *ożywił wszystkich*, jak Korwin się wyraża: „Wszyscy zapomnieli o swych zbolałych nogach, o głodzie i znużeniu, i podnieśli się! Z prawdziwą radością przyznaję, że pomimo tak wielkiego znużenia i wyczerpania powstańcy okazali w tej chwili istotne męstwo. Chwycili za broń, i przebiegli przez pas lasu, który przekroczyliśmy na otwarte pola na spotkanie nieprzyjaciela dążącego z Dossenbach. Naprożno wołaliśmy, żeby się zatrzymali, byli oni tak rozgoryczeni, i tak chciwi walki, że niektórzy nawet grozili śmiercią oficerom, starającym się ich powstrzymać, ażeby jako tako uszykować się do boju. Nie brakowało zatem odwagi powstańcom, ale brakowało jej jenerałowi Börnstein, który zachował się bardzo tchórzliwie. Na nic zatem nie przydało się to ich męstwo wobec ataku,

z jakim natarł kapitan wirtemberski Lipp, na czele oddziału liczącego 300 ludzi dobrze uzbrojonych, wywczasowanych i wyćwiczonych w karności wojskowej. Kapitan wirtemberski dowodził swym oddziałem zręcznie i umiejętnie. Pomimo tego powstańcy, z których 30 zabito lub śmiertelnie raniono utrzymywali ogień przez półtora godziny, to znaczy dopóty, dopóki starczyło im amunicji. Szczególniej po bohatersku walczył i zginął Reinhart von Schimmelpennink. Prowadząc oddział kosynierów na wirtemberczyków, ujrzał, że zaledwie kilku ludzi idzie za nim wówczas, gdy stał już na długość karabina naprzeciw szeregu nieprzyjacielskiego zastanawiał się przez chwilę, czy nie lepiej się poddać, i zawołał do żołnierzy:

— Czy postąpią ze mną według obyczaju wojennego?

Odpowiedziano mu na to przekleństwami i strzałami karabinowemi. Wówczas rzucił się z wydobytą szablą na szeregi nieprzyjacielskie, poszukując dowódcy. Kapitan Lipp był równie mężnym człowiekiem. Obaj krzyżują ze sobą szable, ale Schimmelpennink, jako silniejszy i zręczniejszy zranił go w rękę, i miał już zadać mu cios śmiertelny szablą, gdy kula karabinowa przeszywa mu piersi. Schimmelpennink pada na ziemię, a kiedy oddawał już ostatnie tchnienie, żołnierz wbił mu bagnet w usta.

Korwin kazał rannych składać na wozy,

a gdy nie mógł już dłużej walczyć, cofnął się w porządku do lasu. Wszakże jego starania były bezskuteczne, tymbardziej, że wirtemberczycy otrzymali nowe posiłki, szczególniej jazdę. To rozstrzygnęło los legjonu pod Dossenbach został on rozbity, szczątki jego zginęły podczas ucieczki, utonęły w Renie, lub zostały ujęte. Znaczna mniejszość tylko dostała się na brzeg szwajcarski; zdarzały się przytem różne przygody dosyć komiczne, jeśli spoglądać na nie będziemy przedmiotowo. Herwegh i jego żona zbiegli w ubiorze chłopa i chłopki; Korwin przebrany za czeladnika kowalskiego, inni w innych kostjumach. Tak więc idylla huczkowa z r. 1848-go zakończyła się maskaradą.

Korwin opowiada: „Wirtemberczycy byli oburzeni na nas z powodu dosyć znacznych strat, jakie im zadaliśmy i dlatego zapewne postępowali z nami tak okrutnie, co bardzo mnie uderzyło, gdyż Szwabi są zwykle bardzo dobroduszni. Jeden wóz z rannemi wpadł w ich ręce. Zamordowali nietylko nieszczęśliwych rannych, lecz i biednego chłopa, woźnicę, a nawet przebili bagnetem konie.“

III.

Batrachomyomachja.

1.

Zatem udała się nędznie obmyślana, słabo poczęta i bez wszelkiej energji prowadzona próba zatknięcia na niemieckiej ziemi chorągwi republikańskiej. Konstytucjonalizm uważał to tanie zwycięstwo za swą wyłączną zasługę, i wybuchł tak głośną radością, którą trzeba było słyszeć, ażeby mieć wyobrażenie, do jakiej bezczelności ludzie posunąć się mogą, ilekroć idzie o potępienie upadłej sprawy.

Wówczas, jak wogóle po roku 1848-ym, służalstwo, które w niemieckiej literaturze zawsze zajmowało, i zajmuje tak poczesne miejsce, pokazało znów swe zęby. Najwstrętniej służalczemi okazali się odszczepieńcy niegdyś *młodych Niemiec*, którzy odrazu z radykalizmu przeskoczyli do brutalizmu szabli. Jasnem też było, jak

czczą i kłamliwą była po większej części *polityczna poezja* 40-lecia, gdyż prawie wszyscy liryczni poeci, antyrojalistyczni śpiewacy, w prozie stali się w mgnieniu oka Judaszami republikańskiego *credo* i śpiewali, tańczyli, i kadzili przed *monarchją na najszerszej podstawie demokratycznej*. Wszyscy ci literaccy próżniacy opozycji, pasożyty i mówcy toastowi czuli, że przeszkodzono ich zwyczajom, i że ich pokrzywdzono w ich interesach, gdy czyn robił giest, że chce wystąpić na miejsce frazesu. W kobiecej obawie przywoływali policję, ażeby ta broniła ich od stracha, dla zażegnania którego przez tyle lat używali atramentu, czernidła drukarskiego i papieru. Noweliści salonowi, kantorowi, i ludu wiejskiego okazali się teraz równie gorliwymi sprzymierzeńcami konstytucjonalizmu i wyzwali do szranków na walkę rzeczpospolitą.

Niedorzecznym byłby, ktoby chciał ganić ten brak charakteru niemieckich literatów. Literatura była wówczas już tylko przedsiewzięciem handlowem; a handel musi być prowadzony bez względu na okoliczności, i za wszelką cenę. Dopóki rewolucja znajdowała się w mglistej oddali, i w stadjum frazeologicznym, można było wcale niezły robić interes na liryce republikańskiej i demokratycznej nowelistyce; albowiem *synowie i córy wykształconych warstw* kupowali taki towar z wielką ochotą. Wszakże po wybuchu szalonego ruchu fabrykanci republi-

kańskiej blaszanej liryki i demokratycznej mrocznej nowelistyki spostrzegli, że przestano ich czytać. Dlaczego? Lud nie kupował i wogóle nie kupuje książek, a burżuazja ze swej strony nie chciała już kupować książek, które flirtowały z rewolucją i demokracją. Interes literacki— najprzód interes, potem przyjemność patrjotyczna. Zajęto się zatem innemi gałęziami fabrykacji, i zaczęto robić interes na liberalizmie, legitymizmie, korporalizmie, obskurantyzmie i filisteryzmie.

Tak być musiało, gdyż rynek reguluje popyt, tylko więc utopiści mogli wystąpić przeciw temu, że autorowie pisali takie dzieła, jakich wymagali ich nabywcy. Czy mogli być niepolitycznymi, czy mogli chcieć posiadać charakter? Wszakże wiedzieli, że zarówno wykształcony, jak niewykształcony gmin prędzej przebaczy brak talentu, aniżeli charakter i konsekwencję.

Rzeczywiście byli to utopiści, którzy zniechęceni całym dotychczasowym przebiegiem ruchu, odwrócili się od niego, i szybko przerzucili na dziedzinę Hagia Eironea, skąd dalszemu przebiegowi wydarzeń wtórzyli tylko komentarzem gorzko humorystycznym. Przyjrzawszy się jednak zupełnie prawidłowemu faktowi, że gdy konstytucjonalizm pokonał republikanizm, masy stanęły po stronie zwycięzcy, a ten powiedział do demokratów: „Ten wasz lud! Uważając go abstrakcyjnie to ideał, ale konkretnie, — to pa-

kuły.“ Później nic już nie mówili, lecz wzruszali ramionami, i sardonicznie się uśmiechali. Tylko najgenjalniejszy z ironików wciąż dalej mówił na przedmieściu Poissonière w Paryżu, i rzucał swe rakiety pryskające pogardą w najpiękniejszych kolorach swego dowcipu, ażeby, jak umierający Aristofanes drażnić mieszkańców niemieckiej Filistei.

Wszak liberały byli teraz górą, czego im nikt zaprzeczyć nie mógł, o czem świadczyły wyraźnie wybory do parlamentu, gdyż większość wyszła z urny wyborczej była, to nie ulega wątpliwości, wyrazem liberalnej burżuazji, której przedstawiciele tym łatwiej mogli powstrzymać mniejszość demokratyczną, że we wszystkich pytaniach podjętych przeciw wolności, i środkach podjętych przeciwko ludowi mogli liczyć na ścisły związek z drugą mniejszością: junkrami, jezuitami, absolutystami i pietystami.

Absolutyzm i partykularyzm, stronnictwo junkierskie, stronnictwo mandarynów i bonzów, słowem całe wstecznictwo przyjęły w milczeniu, i napozór z zupełnem poddaniem się radość ze zwycięstwa i ufność w swoją potęgę liberalizmu. Wszystkie powyższe stronnictwa uważały za potrzebne udawać, iż umarły, iż już nie żyją, ażeby kretynizmowi konstytucyjnemu, którego szczytem były *ministerya marcowe*, nie dać poznać przed czasem, że wszystko, co zrobił, zro-

bił tylko dla nich. Wszakże już za ścianą szeptały, mruczały, i poruszały się kółka dworskie, biurokratyczne, hierarchiczne i pietystyczne, podkopując wspaniały gmach liberalizmu. Tylko ideologowie mogli się dziwić, że wzmiankowane stronnictwa nie gardziły najnikczemniejszemi intrygami, najniemoralniejszemi środkami Biedni oni nie przypuszczali nawet, że obrońcy trona i ołtarza z dawien dawna posiadają przywilej niemoralności. Wszakże liberalni nie mogli nie dostrzedz tych machinacji stronnictw, którym one służyły za parawan i ochronę. Lecz próżność nie pozwalała im się przyznać, ze omylili się w tych „*wykwintnych*“ dworakach, oraz w potentatach kościoła, którzy w przeciągu jednej doby zostali konstytucyjnemi, a ich ograniczenie i bojaźń ludu wzbroniły im użycia wielkich i stanowczych środków, które na razie byłyby zupełnie dostateczne do osiągnięcia istotnej władzy. Ponieważ niewielką posiadali inteligencję, i niewielki charakter, zatem przypuszczali, że pokonają intrygę—intrygą; i kopane przeciw nim miny uczynią nieszkodliwemi za pomocą kontrmin. Zamiast śmiałe, silne zadawać ciosy, prowadzili nędzną wojnę żab i myszy. Wszakże w tej wojnie żab i myszy, i w jej figlach i sztuczkach przewyższali ich dworacy i mandaryni, bonzowie i mukrowie. Zatem przyszło do tego, że liberalizmowi, podczas gdy walczył za tron i ołtarz przeciw śmiesznemu strachowi *rzeczy-*

pospolitej czerwonej posiadacze tronu i ołtarza wykopali dołki pod ich nogami. Do zguby swego wiernego sługi liberalizmu, skoro ten załatwił się z demokracją, bardzo dopomogły wstecznictwu różne okoliczności; w północnych Niemczech ignorancja polityczna ludu, a w południowych okropne zamieszanie pojęć. Owa ignorancja i to pomieszanie pojęć zapewniły bogate żniwo, szczególniej państwom pietyzmu i ultramontanizmu. Przytem wielka była niedola materjalna, a starania o najpierwsze potrzeby do życia przeszkadzały wszędzie idealnym poglądom i wymaganiom. Kapitał cofnął się do świątyń-banków, lub ukrył się drżąc ze strachu w prywatnych szkatułach, skutkiem czego w przemyśle i handlu nastąpił zastój, co szczególniej dało się odczuć proletarjuszom, a nieco później klasom mieszczańskim. Otworzyło się tu wydatne pole wstecznictwa szukającego prozelitów, a jeśli kto nie dał się nawrócić do absolutyzmu, ten dał się uwieść liberalnym tchórzom. Najgłośniej wyjący za pokojem, i najbardziej przesadzony fanatyk porządku mógł jeszcze sobie pochlebiać, że należy do stronnictwa ludzi najlepszych, i najzacniejszych.

Kto miał oczy, musiał wcześnie nabyć przekonania, że z nędznej połowiczności, na jakiej zatrzymał się ruch niemiecki, nie może powstać nic dobrego, żadna całość. Niepodobna, żeby w tych okolicznościach nastąpiło odrodze-

nie, oswobodzenie i zjednoczenie narodu. Wszak Niemcy znudzili sobie zmianę, już wówczas zanim się właściwie rozpoczęła, a lud o tyle, o ile na niego zważano, był zadowolony pozornemi zdobyczami. Małostkowość poglądu, i sparaliżowanie energji podnosiły wszędzie na prawo i na lewo, tu i tam zamiast rewolucji batrachomjomachję, wojnę żab i myszy, w której ludzie i stronnictwa zupełnie na sposób pseudo-homerowskich bohaterów wydawali wiele krzyku, walcząc ze sobą.

2.

Podobnie szalała Batrachomjomachja w Wiedniu i Berlinie. W stolicy różnokolorowego despotyzmu, którą zwano Austrją, przez cały marzec, aż do końca kwietnia panowała dziecięca, że nie powiem, dziecinna radość z powodu udania się rewolucji, która bynajmniej nią nie była. Rzeczywiście nic nie przeprowadzono, oprócz upadku i ucieczki Metternich'a, za którym poszli dwaj jego główni pomocnicy, naczelnik policji Sedlnicki, i wiedeński burmistrz Czapka. Wszakże zbiegły kanclerz państwa pozostawił po sobie swój system; gdyż w Austrji nie było innej szkoły politycznej, i innego poglądu, innej rutyny państwowej, jak meternichowska. Gdzie można było znaleźć tych ludzi, którzyby zdołali

nowy czas, *nową Austrję*, o których tyle śpiewano, mówiono i bajano podnieść i utrzymać na nogach. Może w głównej kwaterze przedmarcowej opozycji, w stowarzyszeniu jurydyczno-politycznem?

Oczywiście dowcipni wiedeńczycy przylepili na jego drzwiach, gdy chodziło o utworzenie nowego, odpowiedzialnego ministerjum: „Tu można znaleźć dobrych ministrów“. Lecz, później gdy rzeczywiście poczęto ich tam szukać, i pan Aleksander Bach został mianowany ministrem, zaraz się okazało zgodnie z konkordatem, że w naczelniku przedmarcowej liberalnej opozycji, przebywał daleko gorszy wstecznik, niż stary Metternich. W Austrji owoce przedmarcowego liberalizmu należały do gorszego gatunku, albowiem Bach, Pillesdorf, Schmerling i consortes okazali to najwyraźniej, że ich cały pogląd i pojęcie nie przekracza pojęcia drewniano-papierowego biurokratyzmu.

A gdy na ulicach Wiednia śpiewano na wszystkie tony *o wolności*, o której nikt właściwie nie wiedział, czem była, i co z nią zrobić? postanowiono ostatecznie na dworze zamianowanie ministerjum *odpowiedzialnego*, ponieważ trzeba było coś uczynić, i ponieważ nie można było w danej chwili rządzić po dawnemu despotycznie, zatem musiano rządzić *konstytucyjnie*. Z dawnej konferencji państwowej wzięto hrabiego Kolowrata i zrobiono pierw-

szym ministrem; skarbowość powierzono baronowi Kübeck, sprawiedliwość hrabiemu Taaffe, sprawy zagraniczne hrabiemu Fiquelmont, a sprawy wewnętrzne baronowi von Pillersdorf. Nieco później powierzono ministerjum oświaty panu von Sommaruga, a ministerjum wojny jenerałowi Zanini, poza którym, jako człowiek słomiany, a wkrótce, jako prawdziwy minister wystąpił hrabia Latour, mianowany wówczas, gdy szło o urzeczywistnienie planów dworu. Wkrótce ustąpili Kolowrat i Kübeck; ostatniego zastąpił pan Kraus, który bardzo zręcznie utrzymywał równowagę na swym wahającym się urzędzie, dopóki wzmożony na siłach absolutyzm nie potłukł na kawałki konstytucyjnego teatru marjonetek.

Ale kto rzeczywiście rządził? Prawdę powiemy w pierwszych dniach i tygodniach po 14-ym marca,—właściwie nikt. Oczywiście nie mogło być mowy już o biednym epileptyku Ferdynandzie. Biedny chory cesarz po gorączkowych wzruszeniach dni marcowych wpadł znów w zwyczajny swój stan niejasnej świadomości, a jego czynności, a raczej nieczynności umysłowe były takie, jak przed laty, gdy do profesora Endlichera, który uczył z urzędu Jego Cesarską Mość botaniki, rzekł dnia pewnego:

— Patrzaj, król Ernest-August hanowerski nie podoba się nam zupełnie, zupełnie. Ale powiedz, powiedz, gdzie właściwie leży Hanower?

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

Nawet najbardziej ślepa wiara monarchiczna nie mogła uwierzyć tej fikcji, że cesarz Ferdynand trzymał ster rządu w swych rękach, lubo przez cały kwiecień miewał chwile względnie zdrowe i jasne, podczas których radował się z oznak życia konstytucyjnego [1]). Arcyksiąże Ludwik uważał, że jego kościana powolność nie może się pogodzić z hałasem, jaki wywołuje radowanie się wolnością, a ponieważ był zbyt sztywny, pod powiewem wiatru marcowego pochylił się nieco, jak to inni uczynili, poczem wycofał się ze służby publicznej. Wszakże były już ręce, które chciwie chwytały ster rządu, były to ręce kobiece. Arcyksiężna Zofja, dama bardzo stanowcza, uważała za swój obowiązek, jako matka przypuszczalnego dziedzica tronu, stanąć na czele rządu, i jak wiadomo trzymała go w swych rękach przez pewien przeciąg czasu. Księżniczka bawarska zatem wzrosła w katolickiej i szeroko absolutystycznej atmosferze, jako energiczna gospodyni domu wymie-

---

[1]) Depesza Effingera z 12 kwietnia 1848: „Ministrowie starają się, o ile umieją i mogą wprowadzić w życie zasady rządu konstytucyjnego. Przyczem sam cesarz bardzo im jest pomocny; znajduje on wielkie zadowolenie w konstytucyjnych widowiskach, chorągwiach, okrzykach: „Niech żyje!“ i t. d. I kilkakrotnie miał się wyrazić, że dawniej błędnie go informowano, i dopiero od obywateli Wiednia dowiedział się o prawdzie.

rzająca silną rączką policzki swoim domownikom, uznała za swe powołanie wzmocnienie dynastji lotaryńsko-habsburskiej na dawnych podwalinach. Nienawidziła arcyksięcia Ludwika i Metternicha nie z powodu ich systemu rządowego, lecz dlatego, że ci panowie rządzili, i nie chcieli jej przypuścić do rządu. Obecnie odważnie przystąpiła do swego zadania, ażeby przeprowadzić austrjacką nawę państwową trzeszczącą i drżącą ponad burzliwym prądem rewolucyjnym, i doprowadzić do portu sztywnego mandarynizmu. Chciała jeszcze bardziej ukwasić rząd przez księży, bardziej go przystroić romantycznym feudalizmem, aniżeli za czasów Metternicha. Za ten zamiar i wolę księżniczki spotkał ją zarzut ze strony liberalnej, a nawet demokratycznej, co było bardzo niesłuszne. Była to kobieta namiętna i chciwa panowania. Dlatego skupiły się około tej arcyksiężniczki wszystkie pierwiastki ultramontanizmu, żołnierstwa, wszystkie arystokratyczne i biurokratyczne wstecznictwa, próbując tymczasem sił swoich w dobrze urządzonej wojnie żab i myszy, mającej na celu obalenie wszelkiej nowości, dopóki nie nadejdzie czas, gdy będzie można zrzucić niedorzeczną, a tak uciążliwą maskę konstytucjonalizmu.

3.

Kto w Austrji posiadał aparat myślenia o polityce, i chciał go w ruch wprowadzić, musiał z góry powiedzieć sobie w rozpaczy, że świeżo odbudowane państwo na podstawie nowożytnej wolności, że konstytucja ojczyzny, jak brzmiał mglisty frazes proklamacji cesarskiej z 15-go marca, jest bardzo trudnem zadaniem, a nawet może zupełnie niemożliwem. Albowiem zaledwie usunięto podwójne ciśnienie sprawione pompą pneumatyczną systemu Franciszka i Metternicha z opornych narodowości, z których składała się Austrja, gdy przeciwny naturze skład jej, opierający się jedynie na średniowiecznem prawie pięści, kupna i ożenku, począł oddalać się od środka, a dwa główne grzechy lotaryńskich-habsburgów, nie mówiąc już o dawniejszych, strasznie się pomściły.

Pierwszym grzechem było to, że rozliczne usiłowania światłego, Józefa Drugiego, który chciał przeprowadzić Austrję z wieków średnich do nowożytnych, zostały zaniedbane, zniweczone, a nawet zamienione na przeciwne. Drugim *ten,* ażeby wszelkiemi możliwemi środkami powstrzymać od dzielnic austrjackich prąd niemieckiej kultury. Gdyby utorowano drogę temu prądowi, albo gdyby mu tylko zostawiono bieg wolny, to z naturalną koniecznością w prze-

ciągu jednego stulecia, nastąpiłoby zgermanizowanie olbrzymiej większości ludów austrjackich, a cywilizacja niemiecka, język niemiecki, poglądy niemieckie, literatura i sztuka stałyby się trwałą spójnią jedności państwowej. Habsburgowie jednak zamiast postępować, jak prawdziwa dynastja niemiecka z rodu i pochodzenia, i germanizować Austrję, co było ich obowiązkiem, za pomocą hiszpańsko-włoskiego jezuityzmu, prześladowali w Austrji niemiecką kulturę, a potem Lotaryńczykowie, wyjąwszy Józefa II-go, przywoływali, pobudzali i szczuli wszystkie te całkiem, lub napół barbarzyńskie narody swego kraju na pomoc przeciwko niemieckiej kulturze, ażeby przy ich współdziałaniu powstrzymać ideje nowożytne, przylatujące na skrzydłach niemieckiej literatury, albo zakneblować te, których powstrzymać nie było można.

Jak szkodliwem, i jak krótkowzrocznem było takie postępowanie, okazało się najwyraźniej w chaotycznem zamięszaniu, jakie zapanowało po dniach marcowych w Wiedniu i w Austrji. Teraz w Wiedniu spostrzegli wszyscy, którzy zdolni byli coś spostrzegać, którzy nie mięszali polityki z intrygą, i którzy myśleli nietylko o jutrze i pojutrze, ale i o przyszłości, że stanowisko Austrji na świecie zależy od tego, o ile się za niemiecką uważa. Ale na co przydało się to spostrzeżenie kilku myślących i poczciwych?

Grzechy przeszłości nie dały się naprawić, trzeba było za nie odpokutować.

Większość ludności Wiednia, i większość Niemców austrjackich wogóle pojmowała przynajmniej instynktowo, że przy mającej nastąpić *konstytucji ojczyzny* chodzi o istnienie lub zatracenie ich narodowości. Dlatego Niemcy w Austrji uczynili głównem artykułem *credo* marcowego ścisłe połączenie się ze wspólną niemiecką ojczyzną, a ich żądanie, ażeby byli reprezentowani w niemieckim parlamencie znalazło w ministerjum, a nawet przy dworze żywy odgłos, i chętne przyjęcie. Oczywiście nie ze względów niemiecko-patrjotycznych, albo względów swobody, lez ze względów dynastycznych i politycznych, wielkopaństwowych. W tych sferach nie chciano zrzec się w Niemczech dotychczasowego stanowiska Austrji, do czego posłużyła jeszcze za ostrogę zazdrość względem Prus. Wszak Fryderyk Wilhelm IV okazał w Berlinie słabe i chwiejne zakusy objęcia przewodnictwa nad Niemcami, co w Wiedniu, i w apartamentach Burgu, jako też na przedmiejskich knajpach wywołało jednakowy gniew i chęć oporu.

Przyznanie się do niemczyzny niemieckich Austrjaków wywołało natychmiast najżywsze protesty ze strony Madziarów, Czechów i Polaków, Kroatów, Serbów i Słowaków. Węgrzy zastawiali się swą autonomją zgodną z konstytucją korony ś-go Stefana; Czesi wołali głośno

o przywrócenie dawnych świetnych czasów, i ich przynajmniej równie świętej korony ś-go Wacława. Południowi Słowianie chcieli się uwolnić od gniotącego ich ucisku węgierskiego. Wszystkim słowiańskim plemionom rozesłano z Pragi, z gabinetu uczonego Palackiego hasło: „My Słowianie jesteśmy najliczniejszą narodowością Austrji,—zatem powinniśmy być narodowością panującą,—Austrja zaś musi stać się państwem słowiańskiem. Odpowiedzialne ministerjum wciśnione pomiędzy te pretensje niemczyzny, madziaryzmu i słowiańszczyzny stało, jak na igłach, i na początek starało sobie dopomódz frazesami. Gdy „*najszanowniejsi*“ mężowie prosili hrabiego Fiquelmonta o objaśnienie, jakie stanowisko polityczne zamierza rząd zająć, minister—jak o tem wspomina w swych objaśnieniach od 20-go marca do 4-go maja 1848-go roku, dał następną odpowiedź: „Rząd Austrji był od najdawniejszych czasów niemieckim, i nie zmieni tego charakteru. Lecz ponieważ państwo austrjackie jest szczególnej natury, rząd musi przy zmianach, jakie obecnie nastąpią w Niemczech zastrzedz, ażeby polityczne zjednoczenie z Niemcami nie przeszkadzało stanowisku cesarza do jego własnego państwa. Musimy pozostać Niemcami, i nie przestać być Austrjakami. Ostatnie zdanie jest jedną z tych wyroczni, tak często wydawanych w *szalonym* roku:

W którym próżne ze czczem
Tak mile się łączą".

Wszakże ukrywała się w jednym kącie tych słownych orzeczeń dosyć wyraźnie połowiczność, ażeby, o ile możności powstrzymać zdala od Austrji ruch niemiecki. Dwór i ministerjum bardzo krzywem okiem patrzały na udział niemieckich krajów związkowych w parlamencie frankfurckim, i chciałyby nawet temu przeszkodzić, gdyby, jak wyrażał się hrabiaFicquelmont — „ten dobrowolny odpadek od Niemiec nie dał się uważać za stanowcze zerwanie z Niemcami", i gdyby, — powinienby dodać, Prusy nie byłyby się już zgodziły na wybory do parlamentu, i nie byłyby ich zarządziły. Oczywiście w tym razie, i Austrja powina była to uczynić.

9-go kwietnia zarządziło ministerjum wybory do niemieckiego parlamentu we wszystkich krajach związkowych Austrji. Oczywiście nastąpiło to w tem przypuszczeniu, że dekret związku Rzeszy z 30-go marca, na mocy którego mają odbyć się wybory przedstawicieli narodu we wszystkich krajach niemieckiego związku zwykłym trybem konstytucyjnym, a dalej, że ci przedstawiciele narodu zajmą się ułożeniem konstytucji pomiędzy ludem, i rządami niemieckiemi, a taka konstytucja otrzyma sankcję, wejdzie w wykonanie. Wszakże to nie nastąpiło, jak wiadomo, ponieważ komitet 5-ciu dalej odgrywając swą je-

zuicką zabawkę z dogmatem zwierzchnictwa ludowego odrzucił ten dekret sejmu Rzeszy a przestraszywszy się 7-go kwietnia powziął nowe postanowienia, na mocy których konstytucyjny charakter sejmu niemieckiego wyraźnie został przyznany, a uprawnienie wyborcze do zgromadzenia narodowego zostało ogłoszone, jako niezależne od przywilejów stanowych i wszelkiego cenzusu. Ministerjum austrjackie, wobec istniejącego stanu rzeczy, zniewolone było ugryźć to kwaśne jabłko i wyznaczyło wybory do niemieckiego zgromadzenia narodowego na 29-go kwietnia. Prowincje austrjackie należące do związku Rzeszy, miały posłać 190-ciu deputowanych do Frankfurtu, wszakże tej liczby nigdy nie osiągnięto, dlatego że Czesi nie chcieli należeć do wyborów, a nawet unicestwili wybory pomiędzy Niemcami.

Zresztą ruch wyborczy jasno okazał, że i w sferach liberałów austrjackich barwa czarno-żółta przeświecała pomiędzy barwą czarno-czerwono-złotą. Ogromna większość kandydatów do parlamentu nie chciała wiedzieć o rozpłynięciu się Austrji w Niemczech, i uznawała zdanie: „Zwierzchnictwo i całość Austrji nie może i nie powinno być zniesione przez zjednoczenie się Austrji z Niemcami.“ Na mocy tego wyznania wiary znaczna większość deputowanych austrjackich została rzeczywiście wybrana do parlamentu, a ten wypadek wyborów można było

z taką pewnością przewidzieć, że ministerjum nabrało otuchy już 21-go kwietnia ogłosić urzędowo *w wiedeńskiej gazecie*: „Austrja przejęta życzeniem ścisłego zjednoczenia się z Niemcami z radością skorzysta z każdej sposobności, ażeby wykazać jej należność do wspólnej sprawy niemieckiej.“ Nigdy jednak nie nastąpiło zrzeczenie się szczególnych interesów jej różnych dzielnic należących do związku Rzeszy, zrzeczenie się samodzielnej administracji, co się nie zgadzało z jej oddzielnem stanowiskiem, i bezwarunkowo zastrzegała sobie każdorazową zgodę na wszelkie postanowienia powzięte przez sejm rzeszy. Austrja oczywiście nie mogła przyjąć takich postanowień, które nie zgadzały się z istotą państwa związkowego.

Łatwo to pojąć, że rząd austrjacki w kwietniu 1848-go tak musiał mówić. Ale pomijając frazesy znaczyło to tylko, iż oznajmia: „Jesteśmy Niemcami, i idziemy z Niemcami, dopóki to się zgadza z naszemi interesami austrjackiemi; w przeciwnym razie nie stosujemy się do nich.“

4.

Wszakże nie wystarazało to dla komitetu bezpieczeństwa przebywającego w Burgu z łaski Bożej junkierskiego i lojolaitycznego. Albowiem dla tej „Kamarylli“ jedno i toż samo znaczyło

„*po niemiecku*“ co „*rewolucyjnie*“ a barwy czarno-czerwona i złota były zarówno farbami kacerstwa religijnego jak politycznego. Tymczasem jednak trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Nawet pobożna niecierpliwość arcyksiężny Zofji i cesarzowej Anny musiała nauczyć się cierpliwości. Lombardo-Wenecja odpadła, Węgry tylko cienką wstęgą połączone z dynastją, Słowianie grożący powstaniem, Niemcy austrjaccy konstytucyjni. Trzeba było pozwolić zarówno w Wiedniu, jak i w Peszcie nienawistnemu konstytucjonalizmowi tymczasem wyprawiać swe skoki błazeńskie, i przed nim snuć skromnie nici wstecznictwa, i przywiązać je tam, gdzieby znaleziono najpewniejsze punkta do ich zaczepienia.

Czy takim punktem zaczepnym i trwałym była armja? W ciągu lata wskutek włoskich zwycięstw Radeckiego stała się ona istotnie najpierwszym, i najsilniejszym ale jeszcze w kwietniu i maju zdawało się, że armja znajduje się w stanie zupełnego rozprężenia. Nie nadszedł jeszcze czas, kiedy czarno-żółci poeci mógliby śpiewać staremu marszałkowi: „W twoim obozie jest Austrja,“ Radecki tymczasem po wyjściu z Medjolanu, stojąc poza Mincio i Adygą, szturmował do bezradnego ministerjum o ludzi, broń i pieniądze. Że nie został wówczas pokonany zawdzięczał to bardziej jawnej niezdolności i brakowi energji króla Sardynji, Karola Alberta, niż własnej zręczności i wytrwałości, niż dzielności

i męstwu swego wojska, iż czarno-żółtej chorągwi nie wymieciono z Włoch.

Z Madziarami Kamarilla na razie nic zrobić nie mogła. Musiano się pogodzić z myślą, iż trzeba było walczyć o śmierć lub życie; gdyż Węgrzy od 10-go kwietnia byli faktycznie niezależni, i tylko dynastycznie połączeni z Austrją mniej osobistą.

We wspomnianym dniu, cesarz Ferdynand, jako król węgierski uroczyście potwierdził postanowienia sejmu węgierskiego, który poraz ostatni odbywał swe posiedzenia w Presburgu. Były to postanowienia czysto rewolucyjne, albowiem najważniejsze z nich zapewniały coroczne powtarzanie się posiedzeń sejmu, utworzenie izby deputowanych przez quasi ogólne prawo wyborcze, zniesienie ciężarów feudalnych, i sądownictwa właścicieli, połączenie Siedmiogrodu z Węgrami, i wreszcie powołanie własnego, niezawisłego, narodowo-węgierskiego ministerjum. Ostatnie, w którym zasiadali Kossut, Batyanyi i Szechenyi, jako naczelnicy przedstawicieli różnych stronnictw madziarskich, weszło w życie 14-go kwietnia. Bądź co bądź, nowa konstytucja węgierska, jako też wogóle cały ruch węgierski, tam nawet, gdzie powierzchownie przybierał barwy demokratyczne, był natury wskroś arystokratycznej. Madziarowie nienawidzili Niemców z całej duszy, pomimo wszelkich frazesów zbratania się wygłaszanych

przez Kossuta i innych mówców. Z obu tych przyczyn, uważał dwór wiedeński za rzecz możliwą traktować i rokować z Węgrami. Wszakże nie udało się to, ponieważ arystokracja madziarska wyglądała w oczach wiedeńskiej Kamarylli za zbyt wolnomyślną, Węgrzy, tak obliczano, daliby się przy odpowiednich okolicznościach użyć do zniszczenia szacherki konstytucyjnej i niemieckiej Austrji; lecz tym silniej dzierżyliby i utrzymywali swe dotychczasowe zdobycze. My, Kamarilla, musimy się zatem obejrzeć za innymi sprzymierzeńcami i pomocnikami, takimi, którychby po użyciu ich przysługi możnaby zbyć czemkolwiek, gdyby żądali przypadającej im części za udział, albo pozbyć się w jakikolwiek inny sposób.

Dwór wiedeński mógł tymczasem zaufać czarno-żółtym stronnikom swoim, którzy w Wiedniu byli dość liczni, lubo dotychczas siedzieli zupełnie cicho. Ci wyznawcy ścisłej reguły absolutyzmu znajdowali się w armji, w klerze, w szlachcie, w procentowiczach i w świecie urzędniczym. Wszakże na razie stanowili tylko nadzieję przyszłości, a w obecnej chwili nie mogli przedstawiać żadnego oparcia. Więcej można było już liczyć na Tyrolczyków, nie dotkniętych jeszcze zarazą myślenia, byli oni zawsze gotowi do okazywania swej dziecięcej wiary w swego „Koazers“, (jak zwali cesarza) wiwatami, śpiewem, i ślepą salwą z fuzji. Wszakże po-

trzeba było nietylko podpór lecz siły zaczepnej, ażeby *zwalczyć kołowaciznę wolności* w Austrji i niezależność Węgier.

Takiej siły dotąd nie znaleziono, lecz Kamarilla nie wątpiła, że ją stworzy, stworzy za kulisami, podczas gdy przed niemi kazała swemu odpowiedzialnemu konstytucyjnemu ministerjum wywracać bezpłodne koziołki. Materjałem odpowiednim do tego byli Czesi i południowi Słowianie, a za narzędzie, którym obrabiali ten materjał do swoich celów, służyła cicha nienawiść Czechów do Niemczyzny, i niemniej dzika nienawiść Słowian południowych do Madziaryzmu. Słowiańscy politycy przeczuli wkrótce, że wspólna nienawiść łączy ich z wiedeńskim Burgiem, i postanowili skorzystać ze związku, jaki powstał pomiędzy nimi, a wiedeńską Kamarillą, ażeby słowiańszczyznę w całem państwie naddunajskiem uczynić warstwą panującą. Nie może ulegać wątpliwości, że jako ostateczny cel świadomy lub nieświadomy, przywódzcy słowiańscy uważali panslawistyczne, uniwersalne państwo. Późniejsze wydarzenia zupełnie o tem przekonały. Cały świat słowiański miał się ostatecznie rzucić w objęcia matki Moskwy, jak rzeki wpadające do oceanu. Na wiosnę 1848-go roku trzeba było mieć na względzie bliższe cele; dlatego też uważano za najkorzystniejsze dla spraw słowiańszczyzny podać rękę rękom wyciągniętym z tylnego okna Hofburgu.

Dotąd unosi się gęsty mrok nad przygotowaniami i przysposobieniami się do tego związku. Ciemności te może nigdy rozjaśnione nie będą. Bardzo też jest prawdopodobne, iż z początku żadna strona nie postępowała według ścisłego planu. Wszakże same okoliczności zbliżyły Burg i Słowian—z wyjątkiem zawsze Polaków—i coraz więcej zbliżały, a niektóre daty i fakty dozwalają wnosić, że już w miesiącu marcu, lubo z początku raczej instynktowo, niż według nakreślonego planu, pracowano nad porozumieniem się dynastji z południowemi Słowianami i Czechami przeciw Niemcom i Madziarom. 13-go marca wygłosił Palacky uznany naczelnik Czechów w Pradze, w czeskim komitecie narodowym, którego członkowie niemieccy, jako przeciętni Niemcy w Czechach zachowali się względem pretensji czeskich „*bardzo nędznie*“,— wydał hasło „Czarno-żółte“ ogłaszając uroczyście: „Że gdyby państwo austrjackie nie istniało oddawna, to w interesie Europy należałoby je stworzyć. 10 dni później, 23-go marca, cesarskim rozkazem gabinetowym, pułkownik pogranicza Józef Jełłaczyc został mianowany banem Kroacji. Obecnie zaczęto się już lepiej rozumieć w Burgu wiedeńskim, w Pradze i w Agram.

5.

Kto w marcu, kwietniu i maju 1848-ym roku mieszkał w Burgu, ten miał słuszne powody wyciągać ręce do Czechów, Hannaków, Słowaków i Kroatów, jako wybawicieli.

Albowiem rewolucyjna wojna żab i myszy przyjęła stopniowo w mieście naddunajskiem bardzo niepocieszające kształty, i wykazała zieloną polityczną niedojrzałość i niewykształcenie ludności, która z naiwności wkrótce stanowczo popadła w niedorzeczność i gminność.

Wszystkie te grzechy systematu Franciszka i Metternicha wybujały teraz na jadowite, rewolucyjne trucizny. Ucisk polityki „*strzyży wełny*“ tak nielitościwie gniótł ducha ludzkiego od 30 lat, i tak go biczował, że teraz nagle oswobodzony nie mógł przekroczyć poziomu dziecięcych fantasmagorji, ciemnych instynktów, i niejasnych pojęć. Cały zasiew nierozsądku, surowości uczuć, złości i rozpusty, jakie zasiał „*ten systemat*“ gotował się, warzył i fermentował, i na wsze strony rzucał swą obrzydłą pianę, swe miazmaty zaraźliwe. Jak niemiłą woń roznosiły one w prasie, mowach klubowych i ulicznych! — Kluby i gazety wyrastały, jak grzyby po deszczu, i mnożyły się jak pluskwy. Wiedeń miał sto pism i pisemek, a wszystkie chciwie pożerali czytelnicy. W tej stolicy, którą nikczemny *sy-*

stem uczynił miastem, o którym jego najgenialszy mieszkaniec Franciszek Grillparzer powiedział:

Tak uczniowi, jak mistrzowi,
Zgubę roznosi twój oddech letni,
Ty Kapuo duchów!"

Tak, w tym Wiedniu, który jesze przed dwoma tygodniami był ulubioną ojczyzną leniwo myślącej muzyki, i bezmyślnych teatralnych widowisk, miejscem do którego wszyscy artyści żarłoczności i wirtuozi rozpusty, uśmiechając się stosowali wiersze Horacego:

„Ille terrarum mihi praeter omnes angulus ridet" [1]).

w tym samym Wiedniu, w przeciągu jednej nocy zaspokojenie nieokiełznanej żądzy politycznej słuchania i czytania, stało się główną przyjemnością klas wszystkich. Wyglądało to tak, jakgdyby biedni wiedeńczycy chcieli powetować w kilku dniach lub tygodniach, to, co zaniedbali w przeciągu tylu lat dziesiątek. Zajęcie się sprawami publicznemi, poczęło stanowić dla nich potrzebę codzienną, gorączkę, namiętność.

A z jakichże to półmisków, misek, słojów i kadzi czerpali to pożywienie polityczne, którego od dawna nie mieli? — Chcąc otrzymać

[1]) Ten kącik najmilszy mi na świecie.

o tem wyobrażenie, trzeba przysłuchać się kwiczeniu wieprzy, które jeden malarz narysował w piśmie p. t. „*Der Freimuthige*“, a pismo to rozchodziło się w 60 tysiącach egzemplarzy; albo może przyjrzeć się, jak Hefner karykaturując Jakobinizm, rozpisywał się w swej „*Konstytucji.*“ Wszakże byli też publicyści bardzo dowcipni, pięknie stylizujący, jak Jellinek, Becher, Stifft, Engländer i Heller. A co się tyczy mówców ludu i mędrków, poczynając od Tausenau, aż do Schütte i Chaises, to z wyjątkiem, co najwięcej tuzina ówczesnych wiedeńskich dziennikarzy, wyjąwszy ulicznych Mirabeaux, i knajpowskich Robespierre'ów, innych można bez obawy pomieścić w rubryce motłochu, a mianowicie w najgminniejszem znaczeniu tego wyrazu. Godne też uwagi i to, że całe $^2/_3$ tego motłochu należały do domu Izraela. Ci żydzi (żydzi w najgorszem znaczeniu tego wyrazu) rzucili się w ruch wiedeński, nietylko pragnąc zemsty, lecz i łaknąc interesu. Zajmowali się polityką, jak interesem szachrajskim, przyczem rozwinęli bezustanną szybką czynnność żydowską, połączoną ze znaną im śmiałością, i bardzo się przyczynili do zjudaizowania Niemców, i całej prasy europejskiej. Odtąd wiele już mówiono o tem zjudaizowaniu, oczywiście tylko z powodu zazdrości literackiej.

Nie od nich też zależało, jeśli „*spokojna anarchja*“, jaka od 15-go marca panowała w Wie-

dniu, dotąd zachowała swój dobroduszny charakter [1]). Głębokość nienawiści żydowskiej zahartowanej w ogniu kilkuwiekowego prześladowania, nie przesiąknęła wiedeńskiej niedbałości o jutro, i flegmy austrjackiej. Wprawdzie polityka uliczna i szynkowna bardzo obfitowała we frazesy krwią zionące, musiała jednak wciągnąć w siebie najprzód trujące wyziewy wstecznictwa machinacji, zanim dała się porwać od krwią ziejących frazesów do krwawych czynów.

Dotychczas wolność wiedeńska była szalonym, wyuzdanym karnawałem, wprawdzie bardzo hałaśliwym, zgiełkliwym i niemiłym, ale spokojnym i niegroźnym. Ta wolność strasznie szczekała, ale nie gryzła. Prawda, że ten hałas i krzyk były niemiłe, a dla delikatnie zbudowanych uszu, zupełnie wstrętne. Codzień ukazywały się nowe okropności, lubo tylko słowne. Cynizm był atutem, a kopjowany sankulotyzm zdjął w Wiedniu i koszulę. Aula robiła dzieje świata, a lud Feaków rozkoszował się w zbiegowiskach ulicznych i kocich muzykach, tak, jak poprzednio w tingl-tanglach i walcach Strauss'a.

---

[1]) Depesza Effinger'a z 12-go kwietnia: „W Wiedniu panuje, dzięki dobroduszności Wiedeńczyków spokojna anarchja."

6.

Jakże wyglądało tymczasem w stolicy Prus? W szczegółach mniej chaotycznie, mniej cynicznie, bardziej po cywilizowanemu, czyściej; ale wogóle nie o wiele lepiej. Berliński marcowy filister nie przewyższał ani na włos wiedeńskiego pod względem politycznego rozumu. Gdy Franciszek Raveaux 19-go marca zwrócił uwagę pewnej liczby *bardzo rozsądnych berlińskich mężów*, że potrzeba żądać i zyskać istotnych gwarancji, któreby prawa ludu zapewniły, te *rozsądne osoby* dały mu dosłownie tę odpowiedź: „Wszak mamy wszystko, czego chcemy. Sami jesteśmy u steru rządu, któżby miał nam zabrać naszą wolność?“ Napróżno walczyliby bogowie z taką pewnością zwycięzców i tą świadomością amatorów białego piwa. Kluby i potop gazet, djarja ust i pamflety rozgościły się wówczas w Berlinie, jak wszędzie. Lecz *batrachomjomachja* przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy łagodniej odbywała się nad Spreą, niż nad Dunajem. Niebawem okazało się, że ograniczony rozum pruski poddańczy wgłębi duszy rozpaczał i martwił się, iż ośmielił się urządzić rewolucyjkę, i starał się zawrócić w bruzdy posłuszeństwa poddańczego. W Berlinie nie wniesiono nawet na serjo pytania: „monarchja czy rzeczpospolita?“ a jeśli i uczyniono, niedługo nad niem debatowano

W Prusach tak się przyjęła i zaszczepiła monarchja, że o tem pytaniu mowy być nawet nie mogło. Tylko *cudzoziemscy emisarjusze, złoczyńcy lub żydzi* ośmieliliby się mówić w Berlinie o zniesieniu monarchji. Rodowici Prusacy byli usposobieni monarchicznie aż do szpiku kości, a gdyby najczerwieńszych demokratów, jak np. najbardziej utalentowanego, najulubieńszego, najbardziej wpływowego mówcę klubowego, brodatego bohatera rozpłatano, to znalezionoby jego serce i serca wszystkich ostemplowane królewsko-pruskim herbem. Dlatego też pośród wszystkich nowo-utworzonych klubów, pierwsze miejsce zajął wkrótce klub konstytucyjny.

Zresztą przerzucając akty berlińskiej wojny żab z myszami z wiosny 1848-go roku, nieraz roześmiać się trzeba. Berliński dowcip dozwalał już wówczas odgadywać przyszłe czyny bohaterskie „Kladderadatschu“. Przy ulicy Breiten, w nocy z dnia 18.go na 19-ty marca, utkwiła kula działowa w pewnej studni, a pod tą kulą humor ludu przylepił królewską proklamacją: „Do moich kochanych Berlińczyków“. Był to zaiste jeden z najlepszych tych niby dowcipów Straszne jednak było polityczne rymotwórstwo, opiewające *zwycięstwo ludu*. I damy wylewały *ze swych piersi*, w pismach ulotnych przepełnionych wierszami, wykrzyknikami i myślnikami swe uczucia. Poetka, która walczyła na *baryka-*

dach, Łucja Lenz śpiewała w ten sposób o studentach:

Kto widział, jak ci bohaterscy chłopcy
Podczas świtania po krwawej nocy,
Podawali ręce mężom z ludu
Ten wierzy w przyszłą wspaniałość zbratania się!

a krawiec Gustaw Worch sam sobie napisał patent szlachectwa, i tak prawił:

Swobodna myśl, to moje szlachectwo,
Śmiało spoglądam w oczy najsilniejszemu.

Nawet oficerowie zjednoczyli swe głosy w wielkim koncercie ludowym z powodu zwycięstwa. Tak np. porucznik artylerji Oelze, wołał do swych kolegów: „Nie był to bunt! lecz szturm wspaniale powstającego ludu. Dawniej całowano czarno-czerwono-złotą wstęgę potajemnie w domu, obecnie powiewała ona wysoko z królewskiego zamku i z każdego domu. Uradowany naród tłumił się na ulicach. Czy to może kanalja? Biada nam, gdybyśmy spróbowali oprzeć się prądowi czasu. Porzućmy sztywną dawną wojskową zarozumiałość, i przyłączmy się ochoczo do ruchu“. Tego przyłączenia próbowali rzeczywiście i szczerze młodzi oficerowie, lecz na złe im to wyszło.

Z tą śpiewką zbratania się i pogodzenia łączył się od czasu do czasu ton, który przypominał rzeczywisty stan rzeczy. Myślący ludzie

wyrażali swe przekonanie słowy, że wszystko to co śpiewano o zjednoczeniu się, i zbrataniu obywatelstwa z żołnierzami jest tylko niedorzecznością, dopóki istnieje stan żołnierski. Z tego też powodu nie udał się ruch z roku 1848-go zarówno w Prusach jak gdzieindziej, że w godzinie zwycięstwa nie zniesiono natychmiast tego stanu. Wojsko stałe i państwo ludowe wyłączają się wzajemnie, a jedną z wielu cech kłamliwości i konszachtów ówczesnego liberalizmu było, iż starał się niewiedzieć o tej prawdzie, którą spotykał na każdym kroku.

Oczywiście z czasem bardziej uwydatnić się musiała przepaść powstała między burżuazją a proletarjatem. W jednym artykule „Zeitungshalle“ z 23-go marca Julius położył palec na wielkiej ranie nowożytnego społeczeństwa, mówiąc pomiędzy innemi: „Prawdą jest, że tak u nas, jak we Francji i w Anglji, rozłom pomiędzy klasą obywateli, a klasą robotników jest już zupełny. Niemasz już wojny pomiędzy monarchją, a rzecząpospolitą, lecz pomiędzy właścicielami a tymi, którzy swą pracą chcą dorobić się własności. Nasi obywatele czują to doskonale, i dlatego już teraz, po pierwszych dniach naszej sławnej rewolucji, poczynają ze wszech sił myśleć o odwrocie. Rzeczywiście tchórzliwe filisterstwo poczęło już wyć i płakać, a jakby dla sprawdzenia ostatniego przytoczonego zdania drugiego kwietnia zawołał jakiś wartogłów

w gazecie Spenera do ministrów: „Katylina przed waszemi bramami „a wy śpicie!“ Katylina, to najgorszy nieprzyjaciel, najgorsza zasada, o jakiej tylko pomyśleć można przed waszemi bramami. Gorzej jest jeszcze, szaleje on na waszych ulicach i uliczkach, w waszych domach, we wszystkich rodzinach, szaleje we wszystkich gałęziach waszej administracji, a wy śpicie? Tym najgorszym nieprzyjacielem, który od 14-tu dni wszystko, wszystko pochłania jest ślepa, — szalona anarchja, która im łatwiej wszystko niszczy, tym mniej zdolna jest do wytworzenia czegoś nowego, albo przekształcenia starego.

Jeśli wartogłowy już teraz tak wyły w stolicy, jakże spoglądano na prowincjach na tę sławną rewolucję, szczególniej w tak zwanych starych prowincjach? Wprawdzie mieszkańcy miast w całych Prusiech powitali sympatycznie przewrót tyle obiecujący, lecz po wsiach, gdzie feudalizm kwitnął w całej sile, junkrowie i duchowni mogli rozpocząć odrazu wojnę wspólną przeciw ruchowi. „*Zeitungshalle*“ już poczynając od 29-go marca ustanowiła oddzielną rubrykę pod napisem: „*Reakcja na prowincji*“ i pomiędzy innemi wybrykami tej reakcji wymieniła adres, jaki krążył w okolicy Magdeburga. Z góry przeklinał on niegodziwy motłoch *stolicy*, który uwiedziony i za nos wodzony przez Polaków, Żydów i Francuzów zbuntował się przeciw naszemu panu i królowi. Obecnie gro-

zi niebezpieczeństwo, żebyśmy się nie stali pastwą tego motłochu. Nasze życie, własność nasza, nasza ojczyzna, i nasza wiara są w najwyższym stopniu zagrożone. Lecz Berlin to nie Prusy; nie chcemy tego, żeby Berlin ze swemi Francuzami, Polakami i Żydami panował nad nami i utrzymywał nas w niewoli, i my chcemy mówić!“ W stolicy Prus albo wcale, albo mało zważano na te cienie przyszłości. Naiwna radość ze zwycięstwa trwała jeszcze przez czas niejaki, tym bardziej, że wstecznicy uważali za właściwe tymczasem skurczyć się, milczyć, a nawet wspólnie śpiewać psalm zwycięstwa.

Taki naprzykład pietysta Krummacher piłował na cześć barykadzistów słodką lukrecję. Poczciwiej i godniej postąpił sobie bonza luterski i ortodoksyjny przywódca Hengstenberg, który zachował swą barwę i w swej ewangelicznej kościelnej gazecie, w stolicy pruskiej walczył mężnie, nazywając przewrót, jaki nastąpił na sposób francuski *płodem niewiary*: a dla odpokutowania tej zbrodni wnosił, żeby w całym kraju ogłoszono dzień pokuty, modłów i postu. Taka odwaga należała jednak do wyjątkowych. Większość, ubolewając nad mandarynami i żołnierzami, wydalonymi na kilka tygodni z Berlina, przybrała swój protest przeciw temu, co się stało w cichą formę emigracji. Skutkiem tego Potsdam stał się pruską Koblencją. Giermkowie upadłego systemu: Bodelszwingowie, Eichhorno-

wie, Savigny'owie et consortes wyjechali niepostrzeżenie, a także doktrynerzy chrześcijańsko-germańskiego szachrajstwa. Stahl, Huber i romantycy strząsnęli ze swych nóg pył grzesznej stolicy, ażeby w feudalnym spokoju prowincji przygotować cudowny dokokt naukowego zawrotu, lub odwróconej nauki.

7.

Gorączkowo ruchliwy Berlin przedstawiał pomimo tego w oczach pruskich uderzającą próżnię i czczość. Wielka ilość pięknych mieszkań stała pustkami, balet miał wakacje, ładne ekwipaże coraz większą stawały się rzadkością, brakowało guzików mandaryńskich, brakowało mundurów, a przedewszystkiem brakowało żołnierzy. Wszak Berlin bez żołnierzy nie był już właściwym Berlinem, przynajmniej tak twierdziły stowarzyszone służące, i jeszcze inne ogniste patrjotki. Wprawdzie gwardja narodowa czyniła wszystko co mogła, ażeby pokazać, że jeszcze istnieje dwojakie sukno, i siła zbrojna w Berlinie. Wszakże dobra gwardja narodowa pomimo wszelkiego egzercytowania się, patrolowania i paradowania już wcześnie poczęła się zaniedbywać. Zabawa z beczką wielorybią *„uzbrojenia obywateli“* pozostała tylką zabawą, a instytut gwardji obywatelskiej już w swym zaczątku został

zamieniony na czysto policyjną instytucję. Nie potrzeba było tego twierdzenia bezpodstawnego ze strony wstecznictwa, że gwardja obywatelska wskutek zbytecznego, ustawicznego zwoływania na apel, zniechęciła się do służby, nie potrzeba zastawiać się tym pozorem, ażeby zrozumieć, że przepowiednia dworaków i oficerów, iż obywatelom wkrótce się znudzi *gra w żołnierzy* musiała się spełnić.

Nie uczyniono żadnej poważnej próby położenia kresu żołnierstwu. Jakże więc stolica państwa żołnierskiego mogła istnieć bez żołnierzy. Bezwłocznie też ujawniła się tęsknota do wojska i pierwsze usiłowanie udobruchania wojska rozgniewanego za upokorzenia i hańbę, jaka je spotkała nastąpiło już 24-go marca, w którym odbył się pogrzeb żołnierzy poległych w walce ulicznej, na cmentarzu Inwalidów. Uroczystości tej towarzyszyli deputowani związku studenckiego i gwardji obywatelskiej. Gdy na zakończenie pogrzebu jenerał von Natzmer dziękował w imieniu armji za szczere współczucie obywateli, obecni wznieśli gromkie: „Hurra! na cześć wojska.

Zdaje się wszakże, iż ten okrzyk nie przedarł się jeszcze do gwardji kwaterującej w Potsdamie, przynajmniej król uważał za stosowne udać się dnia następnego do Potsdamu, zwołał cały korpus oficerski do zamku, i tak do niego przemówił:

— Przybyłem, ażeby zwiastować pokój moim kochanym Potsdamczykom, i pokazać im, iż pod wszelkim względem jestem wolnym królem, a jednocześnie przekonać Berlińczyków, że nie potrzebuję obawiać się reakcji z Potsdamu.

To, co udzieliłem i uczyniłem, jest wynikiem zupełnego mego przekonania. Wielkie wydarzenia przyśpieszyły tylko wykończenie tego, co oddawna zamierzałem, obecnie żadna potęga nie zdoła mnie zmusić i nie zmusi mnie do cofnięcia tego, co dałem. Nabyłem przytem przekonania, że dla pomyślności Niemiec koniecznie trzeba, iżbym stanął na czele ruchu. W Berlinie panuje tak wyborne usposobienie w obywatelstwie, jakiego nigdzie nie znajdujemy w dziejach. Dlatego też życzę, żeby i korpus oficerski przejął się tym duchem czasu, jakim ja się przejąłem, i żebyście odtąd okazali się zarówno wiernymi obywatelami państwa, jak byliście wiernymi żołnierzami.

Panowie z gwardji przyjęli przemówienie królewskie *z cichą rezygnacją*. Może myśleli, że trzeba czekać, dopóki Jego Królewska Mość nie powróci do dawnej swej sztywności, wówczas będzie można więcej powiedzieć, a raczej działać.

Niebawem znalazł się bardzo pożądany środek dla rehabilitowania wojsk, które walczyły w Berlinie, — była nim wojna z Danją, na której Papa Wrangel zebrał już wawrzyny, który-

mi ozdobiony, miał stać się bohaterem epoki *zerwania z rewolucją* i *zbawczych czynów*.

Wojnę tę zwiastowaną 24-go marca znanym listem Fryderyka Wilhelma IV-go do księcia Szlezwig - Holsztyńsko Augustenburskiego przyjęło pruskie stronnictwo wojskowe z niejednakowemi uczuciami; słowem z dość kwaśną miną. Łatwo to zrozumieć dlaczego? albowiem absolutyzm i militaryzm musiały, to co się zdarzyło w Kiel w nocy z 23-go na 24-ty marca uważać za rewolucję i rebelję. Bezstronnie rozważając, należy ta sprawa raczej do wojny żab z myszami, aniżeli do kategorji rewolucji. Wszak sprawa szlezwicko-holsztyńska ma od początku do końca obok swej strony bardzo zaszczytnej narodowej, światłej strony, stronę odwrotną szarą, złożoną z junkierstwa i filisterji dosyć wstrętną. Odwrotna ta strona ukazała się już we wzmiankowanej nocy, kiedy bez wielkiego krzyku, ale z wielkiem uniesieniem zadekretowano oderwanie się Szlezwigu od Danji; i ustanowiono rząd tymczasowy złożony z panów: Beseler, Szmita, hrabiego Rewentlow i księcia Szlezwig-Holsztynu Noer [1]). Z początku źle się powodziło księstwom z powodu niezdolności, bra-

[1]) Przeczytaj co mówi Otto Fock w swych przypomnieniach Szlezwicko-Holsztyńskich (1863 r.), jako naoczny świadek i współdziałacz o tym wypadku w Kiel, i porównaj odnośne miejsca w Aufzeichnungen z r. 1864 księcia von Noer.

ku zgody i niestanowczości rządu tymczasowego. Duńczykowie działali szybko i energicznie. Napadli z większą siłą na małe, źle urządzone i źle uzbrojone wojsko szlezwicko-holsztyńskie 8-go kwietnia pod Bau, i pomimo jego dzielnej obrony, do której przyczynili się szczególniej wolni strzelcy, studenci i gimnastycy zadali im ciężką klęskę. Wszak trzeba było coś zrobić dla Szlezwig-Holsztyńczyków, coby nosiło charakter narodowy, trzeba było wysłuchać ich błagań o pomoc we Frankfurcie i w Berlinie. Tymbardziej, że rząd duński 19-go kwietnia rozkazał swej marynarce chwytać wszystkie niemieckie okręty, zatem wojska pruskie i inne niemieckie wojska związkowe, dziesiąty korpus wkroczyły do księstw, 23-go kwietnia gwardje pruskie zdobyły Dannewirke niedaleko Szlezwigu, a następnego dnia Duńczycy zostali pokonani przez Hanowerczyków pod dowództwem Halkett'a pod Oversee. 18-go maja Wrangel przekroczył granice Jutlandji, dręcząc mieszkańców groźbami i kontrybucjami. Nikt nie przypuszczał, że cała ta sprawa weźmie wkrótce taki zwrot opłakany, wyjąwszy tych, którzy w zamku w Berlinie, lub w Potsdamie powzięli i wykonali ten zamiar.

W tym samym czasie, gdy wojska pruskie w księstwach nad-elbiańskich walczyły po stronie powstania narodowego, rozkazano ich kole-

gom przytłumić podobne narodowe powstanie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

Demokratyczni fantaści poza granicą zdziwili się wielce, że jak o tem przekonały wojna w Szlezwig-Holsztynie i pokonanie powstania w Poznańskiem, pruska maszyna wojenna jeszcze tak dobrze funkcjonowała, oraz, że nigdzie żołnierze pruscy nie przechodzili do nieprzyjaciół, jak tego od dawna się spodziewano. Szkoda, że nie wiedzieli, iż pruska służba wojskowa dla wielu, wielu biednych i najbiedniejszych ludzi była względnie bardzo dobrym kawałkiem chleba. Wiejscy proletarjusze z Litwy, Poznańskiego, z Kaszub, Wschodnich i Zachodnich Prus, Pomorza, a nawet granic Danji, którzy może przez całe życie nie spożywali dobrze wypieczonego chleba, albo należycie przygotowanego kawałka mięsa, i nigdy nie spoczywali na dobrze posłanem łóżku, znajdowali w koszarach pruskich życie, które w porównaniu z poprzedniem musiało im się wydawać rajem, i budziło nieznacznie w nich przekonanie, że i oni są także ludźmi. Przypuszczenie, że na takich ludzi górnolotne hasła: „Wolność, równość, braterstwo i t. d. mogły cośkolwiek wpłynąć było jednem z tych dzieciństw demokratycznych, jakie w dziennikach demokratycznych z roku 1848-go licznie spisane zostały.....

W oczach większości obywatelstwa berlińskiego było zresztą zupełnie zbytecznem, że woj-

sko zanim powróciło do Berlina, rehabilitowało się w Szlezwigu, w Poznaniu, lub gdziekolwiek indziej. Już 27-go marca zebrano 14 tysięcy podpisów obywateli berlińskich, którzy życzyli sobie, i żądali powrotu wojska. Podpisy te były przeważnie podpisami przemysłowców, oberżystów i kramarzy, których interesy bardzo ucierpiały przez wydalenie się wojska, a po części bogaczów, którym czerwone straszydło spać nie dawało, i dopiero wówczas spokojnie zasypiali, gdy się dowiedzieli, że ich kasetki pełne pieniędzy, znajdują się pod opieką rzeczywistych, prawdziwych, nie zaś naśladowanych dyletanckich bagnetów.

Wszakże nie można tego brać za złe bogatej burżuazji i baronom giełdy. Bogactwo przejmuje ich według słów Szyller'a ustawiczną trwogą. Są to ci dorobkowicze, którzy nigdy nie są tak pewni swego posiadania, jak dawni ziemscy właściciele, a ustawicznie siedzą na swych papierach wartościowych pełni obawy i niepokoju wciąż trwogą przejęci, ażeby nie poszły z dymem. Dzień i noc chrzęści im w uszach ich bogactwo papierowe: „Szacherka mnie dała, szacherka zabrać może.“ Pomimo zbytku, w jakim żyją, nie jest im dobrze, ponieważ lotny piasek, na którym opiera się ich cały dobrobyt ustawicznie drży i trzeszczy pod ich nogami. Przeraża ich wszystko: jeden wyraz, powiew wiatru, słowem drobnostka. W najlżejszym, politycznym

szmerze zdaje się im, iż słyszą głos trąb Jozuego, które grożą zawaleniem się giełdowego Jerycho. Tchórzostwo czyni ich podejrzliwymi; obawa, — okrutnymi. Wciągają w siebie bojaźń, a wydychają nikczemność. Korporalizm jest ich całym ideałem, a ich cała moralność i polityka streszcza się w tem zdaniu: „Spokojność za wszelką cenę, ażeby nam nie przeszkadzano w naszej szacherce!

Nie potrzeba było bynajmniej szerokich machinacji pana von Minutoli, człowieka ludu Urbana, i innych konszachtów, ażeby żądaniu powrotu wojska do stolicy nadać znaczenie życzenia całego Berlina. Wszak to żądanie przesycało całe pruskie powietrze; orkan marcowy poruszył je wprawdzie nadzwyczajnie, lecz nie zmienił jego części składowych. Polecono naczelnikom gwardji obywatelskiej *w imieniu ich cyrkułów*, ażeby wyrazili, iż życzą sobie powrotu wojska; co zresztą nastąpiło bez wielkiego trudu. Toż samo uczynił magistrat Berlina 28-go marca, a 29-go stowarzyszenie deputowanych miasta. Wprawdzie klub polityczny ośmielił się coś przebąknąć przeciw powrotowi wojska, ale tylko przeciw „*przedwczesnemu*“. Jego uwagi przebrzmiały bez śladu w ogólnem pożądaniu. Później nieczyste figury, jak Ohm i jego towarzysze rozpuszczały wieści, iż demokraci napróżno usiłowali podburzyć lud przeciw powrotowi wojska. Prawdą jest tylko, iż wiec ludowy, który

odbył się u namiotów 31-go marca, postanowił protestować przeciw zbyt pośpiesznemu przywołaniu wojska, zatem była to tylko czcza formalność.

Oczywiście wojskowe otoczenie króla nie mogło posiadać tak kamiennego serca, ażeby oprzeć się błagalnemu głosowi magistratu, deputowanych miasta i obywateli stolicy. Już 21-go marca po południu wszedł do Berlina 24-ty pułk piechoty wprowadzony uroczyście przez gwardję obywatelską i stowarzyszenie robotnicze. Dowódzca pułku, Erhardt odpowiedział w pobliżu ogrodu botanicznego na powitanie wojska przez berlińczyków następnemi słowy:

— „Przyjaciele, przybywamy do was, ażeby wraz z wami przyczynić się do utrzymania spokoju i porządku, i dopomódz do rozwoju nowego ducha“. Słowa te przekonywają, że i dowódzcy pułków przyswoili sobie od kilkunastu dni modny „*façon de parler*“. Następnego dnia weszły 2 bataljony 9-go pułku, a 3-go kwietnia 3-ci pułk ułanów.

Zatem znów byli żołnierze: „Prusy odnalazły się!“

IV.

Król wyszływniony, cesarz uwięziony.

1.

Niedługiego wymagają opisu dzieje pruskiego ministerjum marcowego, zwanego też ministerjum uspakajającem, do którego jeszcze w kwietniu wszedł pan von Petow, jako minister handlu. Treścią ich jest: niewiele talentu, a żadnego charakteru; wiele krzyku, mało rzeczy; wielkie słowa—małe czyny.

Ci panowie ministrowie z 29-go marca byli bezwarunkowo wybornymi ludźmi prywatnymi; ale niestety nie byli zrobieni z tego materjału, z jakiego wielki czas robi wielkich mężów stanu. Można ich było wszystkich mniej, lub więcej nazwać liberalnymi, a zatem ich polityka była to mięszanina zarozumiałości doktrynerskiej, i niewolniczej praktyki. Byli oni usłużni w mowie, stronniczy w działaniu, jak każdy

liberalny przedmarcowy: „In omnibus aliquid, in toto nihil.“

Uważano za coś wielkiego, niebywałego w rocznikach pruskich, jakoby za faktyczne uznanie rewolucji przez koronę, że dwóch mieszczan Kampfhausen'a i Hansemann'a oderwano od ich kantorów, i ku wielkiemu zdziwieniu pruskiej biurokracji przeniesiono do ministerjum Fryderyka Wilhelma IV-go. Lecz gdy panowie Kampfhausen i Hansemann okazali się zbyt niezdolnymi i niestanowczymi, i nie zdołali przełamać sztywności, i żelaznego ucisku pruskiej biurokracji i militaryzmu, a nawet klęczeli przed niemi na kolanach, to każdy posiadający zdrowy rozum, musiał powiedzieć, że daleko byłoby lepiej, gdyby obaj ci panowie pozostali i nadal w swoich kantorach w Akwizgranie i Kolonji. Stojąc na czele pruskiego ministerjum marcowego, okazali oni tylko smutną nieudolność burżuazji.

Z całem zadowoleniem, jakie właściwe jest liberalizmowi, nazwał pan Kampfhausen ministerjum swoje w mowie mianej w zgromadzeniu narodowem 26-go czerwca *zupełnie odpowiedniem* do poprowadzenia państwa bez groźnych wstrząśnień ponad przepaścią dzielącą stary system od nowego. Ale czy rzeczywiście przeprowadził je ponad tą przepaścią? Nie. Czy rzeczywiście miejsce starego systemu zajął nowy? I to nie,—gdyż panowie Kampfhausen et con-

sortes nie ośmielą się kazać wierzyć nikomu, chyba mniej lub więcej liberalnym swoim nawpół bourgeois, że obramowanie i ozdobienie starego systemu jakimś świecidełkiem konstytucyjnem utworzyło nowy system? Zaiste, nic nie przewyższa próżności impotencji, która sądzi, że tworzy zarówno w polityce, jak i w literaturze, ponieważ gada o twórczości. Wszędzie i po wszystkie czasy charakterystyką jest połowiczności, iż chce przedstawiać całość.

Panowie Kampfhausen i jego koledzy dawali poznać przy każdej okoliczności, a nawet nieokoliczności, że przedewszystkiem czują się powołani do zasłonięcia tronu, gdyż są jego tarczą. Zaiste było to zarówno łatwe, jak wdzięczne zadanie, gdyż komu przyszło kiedykolwiek do głowy w Prusiech na wskroś monarchicznych na serjo grozić tronowi? Jaki to widok komiczny, że ci bardzo prozaiczni marcowi ministrowie, ci zupełnie liberalni, albo pół liberalni junkrowie i baronowie handlowi odgrywali rolę prawdziwych Donkiszotów i z lancą legitymizmu uderzali na wiatrak anty-rojalistyczny. Zaprawdę odwaga ta wcale nie była niebezpieczna. Niebezpieczniej byłoby zamiast zapalać się po donkiszocku dla monarchji, której nic nie groziło, wystąpić w obronie bardzo zagrożonych zdobyczy marcowych.

2.

Oczywiście nie brakowało pięknych frazesów. W mowie, którą minister Kampfhausen zagaił 2-go kwietnia sejm zebrany, powiedział „że lud pruski, rozpocząwszy w prasie swobodne narady nad swemi najwyraźniejszemi sprawami i na zgromadzeniach publicznych nie może przeoczyć, że tylko z walki poglądów wyłania się prawda, że dla utrwalenia wolności każdy może i powinien wygłosić swe mniemanie bez żadnej przeszkody.

Jakże się miała do tej liberalnej teorji praktyka liberalna? Jak zwyczajnie.

Dla gruntownego poznania potrzeb ludu uznało ministerjum Kampfhausena sejm zjednoczony za reprezentację poglądów i potrzeb ludu zupełnie właściwą i upełnomocnioną. Świadczyło to o całkowitem niezrozumieniu ruchu marcowego, ich tchórzliwości, lub niechęci do wyciągnięcia konsekwencji z tych rezultatów. Wszak marcowi pruscy ministrowie żądali zwołania tego sejmu, który po wydarzeniach marcowych miał tylko znaczenie osobliwości historycznej, oraz, że ten średniowieczny płód mrzonek królewskich uważali jeszcze obecnie za reprezentacją narodu. Oczywiście połączony sejm uczynił tak, jak czyniły wówczas różne zgromadzenia w Niemczech, to znaczy, że nietylko zgadzał się we wszyst-

kiem z ministerjum liberalnem, lecz okazał się bardziej liberalnym, niż liberalne marcowe ministerjum. Sejm ulepszył nietylko podany sobie zarys prawa wyborczego do zgromadzenia, jakie miało być zwołane w celu obmyślenia konstytucji w sposób bardziej wolnomyślny, niż ministrowie, lecz przyjął je ogromną większością. (Z mniejszości powstał przeciw temu tylko odważnie pan von Bismarck Schönhausen i pan Thadden-Trieglaff w sposób komiczny, opierając się na swych staro-pruskich feudalnych poglądach). Wystosował on adres do króla, w którym zalecał zachowanie pośrednich wyborów opartych wszakże na wyborach pierwotnych; a nadto żądał swobody pracy, wolności zgromadzania się i stowarzyszania, aktu „Habeas Corpus“, niezawisłości stanu sądowniczego, jawnego i ustnego sądownictwa z przysięgłemi w sprawach karnych, równouprawnienia wyznawców wszystkich religji w państwie i gminie, ogólnego uzbrojenia ludu z wolnym wyborem przywódców, stanowczego głosu reprezentacji ludu pod względem prawodawstwa i wydatków na państwo, odpowiedzialności ministrów, przysięgi wojska na konstytucję; wreszcie przemiany Niemiec ze związku państw na państwo związkowe z reprezentacją ludową przy sejmie Rzeszy. Nie można było żądać więcej!

Istniało wówczas obrzydliwe bałwochwalstwo, jakie bezmyślna, uliczna demagogja oka-

zywała abstrakcyjnemu pojęciu „*lud*“ lub konkretnemu „*proletarjat*“. Lecz obrzydliwszą jeszcze była szybkość błyskawiczna, z jaką w Prusiech jak i w Austrji i w reszcie Niemiec niewolnicze kreatury, najupartsi wstecznicy udawali, jakgdyby w przeciągu jednej nocy stali się szybkobiegaczami postępu. Za taki wzór w jednej chwili zupełnie zmienionego posłużyć może pan naczelny ober-prezydent von Meding, który, jak to oznajmił na sejmie, swoje odmienne osobiste poglądy poddał temu, co uważał za wolę króla i kraju dodając:

— Dlatego przyłączam się co do mej osoby do systemu konstytucyjnego otwarcie i szczerze, i uczynię to, dopóki Jego Królewska Mość król i ojczyzna będą sobie życzyli odwoływać się do moich usług.

A smutną komedyą takiego nawrócenia się do nowożytnych ideji, jaką okazała większość połączonego sejmu dali się olśnić Kampfhausen i Hansemann, lecz tylko na podstawie istniejącego *gruntu prawnego*, chcieli bowiem oprzeć na tych idejach swoje znaczenie. Była to niedorzeczność bardziej bajeczna, niż wszelka bajka z *Tysiąca i jednej nocy*—i nie zasługiwałaby na wiarę,—gdyby nie potwierdzały jej dowody.

Lecz mistrzowską ich sztuką w rzemiośle polityki państwowej było właściwie to, co robili panowie ministrowie marcowi, urządzając wybory do parlamentu niemieckiego. Trzeciego kwietnia wniesiono

do parlamentu orędzie królewskie, które na podstawie postanowienia sejmu Rzeszy, 30-go marca rozpisywało wybory: „*Przedstawicieli narodu*,“ którzy w jaknajkrótszym czasie mieli się zebrać we Frankfurcie nad Menem dla ogłoszenia konstytucji niemieckiej, do której zarówno rządy jak i ludy stosować się miały. Wskutek czego wezwano członków połączonego sejmu, a najprzód zasiadających w nim członków prowincji należących do związku Rzeszy, ażeby wyznaczyli 113 członków z prowincji, należących do związku Rzeszy. Było to najchytrzejszą sztuką ze wszystkich chytrych sztuk liberałów, że polecili wybierać deputowanych Prus do niemieckiego zgromadzenia narodowego, które miało zająć się nowem upostaciowaniem Niemiec na zupełnie nowożytnych podstawach, czyli mówiąc wyraźnie na podstawie rewolucyjnej, za pomocą przedmarcowego, czyli feudalnego zgromadzenia. Zaiste! Było to najwyższym stopniem niedorzeczności marcowych ministrów; a niedorzeczność ta stąd wynikła, iż obawiano się, żeby we Frankfurcie nie wytworzyła się większość demokratyczna, a nawet rewolucyjna. Bądź co bądź, ta niedorzeczność, jak to zwykle się dzieje musiała pójść swoim torem. 6-go kwietnia istotnie członkowie połączonego sejmu wybrali z krajów pruskich, należących do Rzeszy, z każdej prowincji oddzielnie deputowanych do parlamentu. Jednocześnie zaś rzucili nagle rolę postępowców, i uczynili

wybory takie, jak owego żyda, Stahl'a, który się zmienił na fanatycznego chrześcijanina, i pana von Keller, który z radykała züricbskiego zamienił się na pruskiego prawdziwego junkra. Dalej jednak nie poszła haniebna machinacja. Wszystkie jeszcze drgnienia rewolucyjne, jakie pozostały w Berlinie oburzyły się na to postępowanie przy wyborach do parlamentu, które zresztą zostało unieważnione postanowieniem sejmu Rzeszy 7-go kwietnia. Wskutek tego pruski rząd czuł się obowiązanym zarządzić nowe wybory deputowanych do niemieckiego zgromadzenia narodowego zgodnie z postanowieniami wstępnego parlamentu. Zapewne rząd pruski uległ temu żądaniu z tego powodu, iż w tym czasie temperatura w Berlinie, i wszystkich większych miastach monarchji, nie sprzyjała jeszcze wstecznictwu.

W dniach od 1-go do 10-go maja w Berlinie, i w całych Prusiech stoczono pierwszą wielką walkę wyborczą, prowadzoną z całą niezwykłą dotąd zaciętością. Pierwszego maja zebrali się prawyborcy, ażeby wybrać wyborców: 8-go maja wyborcy wybrali deputowanych do pruskiego zgromadzenia, mającego ułożyć konstytucją, 16-go maja mianowano przedstawicieli Prus w parlamencie niemieckim. Wybory te, szczególniej wybory do pruskiej izby deputowanych, nie wydały votum zaufania dla ministerjum marcowego. Klasy mieszczańskie przepro-

wadziły po większej części swoich kandydatów, zatem te wybory przekonały, że na razie usposobienie tych klas było raczej radykalne niż liberalne. Innemi słowy mieszczańska średnia klasa w Prusiech, wówczas jeszcze nie wyczerpana nie pozbyła się ufności w siebie, — nie była tak tchórzliwa, jak później. Świadczyły o tem jej wota, a żądała więcej stanowczości i gorliwości przy nowem odbudowaniu Prus i Niemiec. Obywatele bardzo wyraźnie dali do poznania swemi wyborami, że nie życzyli sobie, ażeby ministerjum marcowe służyło dłużej intrydze dworskiej za błazna i pomocnika, przestało nosić płaszcz na dwóch ramionach, a postępowało w myśl i duchu dni marcowych.

Jaką dali na to odpowiedź panowie Kampfhausen i Hansemann i consortes? Popełnili nowy gruby błąd, który był jednocześnie zbrodnią względem Niemiec. Ministrowie zdziwieni rezultatami wyborów, dali się tak olśnić podszeptami dworskiemi, że widzieli już w Berlinie wyraźnie djabła anarchji, a tam we Frankfurcie djablą matkę—rewolucją. Chcąc zażegnać to mniemane niebezpieczeństwo postanowili walczyć z djabłem za pomocą jego matki i odwrotnie, to znaczy sparaliżować Berlin Frankfurtem, a Frankfurt Berlinem; niemiecki parlament za pomocą berlińskiego, a berliński za pomocą frankfurckiego doprowadzić do omdlenia. Innego znaczenia nie mogło mieć postanowienie ministerjum,

że jednocześnie z niemieckiem zgromadzeniem narodowem, powinno zasiadać pruskie zgromadzenie narodowe. Postanowienie to, które parlamentowi niemieckiemu przecięło jeden z najżywotniejszych nerwów, może nawet sam nerw życia, było haniebną zdradą narodu. Ale może kto powie, że panowie z ministerjum Kampfhausen'a nie przewidzieli doniosłości tego niedorzecznego postanowienia? Być może, lecz ludzie, którzy pozbawieni są wszelkiej przezorności, i nie umieją przewidywać, nie powinni kierować państwem, a gdyby nawet utrzymywano, że i w tej sprawie ministrowie, jak w wielu innych, wbrew swemu lepszemu poglądowi, ulegli dworskiej intrydze, to nietylko nie łagodzi to surowości sądu o tem ministerjum marcowem, lecz jeszcze go zaostrza.

Bardzo prawdopodobnem jest jednak, że panowie Kampfhausen i Hansemann, jako prawdziwi dorobkiewicze chcieli, ażeby zapomniano o początku ich godności ministerjalnej, i że tym gorliwiej dopomagali wstecznictwu, że ich sumienie ustawicznie wyrzucało im fakt: iż jedynie rewolucja doprowadziła ich do foteli ministerjalnych.

Zresztą cała ta sprawa warta jest zaledwie wspomnienia, a bądź co bądź, nie zasługuje na gniew; gdyż czynności ministrów marcowych były tylko kurtyną, poza którą prawdziwa i rzeczywista prusakomanja załatwiała swą ważniej-

szą sprawę wysztywnienia króla, ażeby później, gdy czas nadejdzie, podnieść kurtynę, a wysztywniony król mógł wyjść naprzód sceny i powiedzieć:

— Tak chcę, i tak być musi.

— Precz!

Na demokratów są tylko żołnierze. (Gegen Demokraten helfen nur Soldaten). Ja rozkazuję; wy mnie słuchacie! Cel!

3.

Pruskie zgromadzenie narodowe, otworzone 22-go maja, stanowiło także tylko rodzaj kurtyny.

Było to już charakterystyczne, że ta konstytuanda pruska nie posiadała własnego dachu, lecz musiała najmować dla siebie lokal w akademji śpiewu, co służyć mogło niejako za symbol, że konstytucyonalizm miał spędzać czas na śpiewach, podczas gdy absolutyzm, odbywał swą kurację wysztywnienia.

Uroczystość zagajenia zgromadzenia odbyła się nader skromnie w białej sali pałacu zamkowego. Fryderyk Wilhelm IV-ty z wysokości swego tronu, zapewne z przykremi uczuciami, przyglądał się przedstawicielom swego ludu. Już sam widok tych mężów przybranych po mieszczańsku,—z których o grozo!—wielu nie posia-

dało nawet białych krawatów i kamizelek, musiał przekonać króla, że uleciały ukochane średnie wieki i tak miła romantyczność. Wszak w jednym rogu wspaniałej sali byli wieśniacy o długich, niewyczesanych brodach, chłopscy przedstawiciele z Poznańskiego i Szląska, przybrani w pantalony i kaftany ze zgrzebnego płótna. Jakże to wszystko odbijało od wspaniałości feudalnej z jaką niedawno zagajał sejm połączony. Jak to pięknie wówczas wszystko świeciło i błyszczało się średniowiecznie. Wówczas Fryderyk Wilhelm powiedział słynny frazes „o nagryzmolonej kartce papieru,“ i we wzniosłem uczuciu swej królewskości, wyraził się: „Żadnej potędze świata nie uda się postawić takiej kartki papieru, takiej konstytucji pomiędzy nim, a jego ludem.“ A teraz? Teraz istniała ta wstrętna kartka; pan prezydent ministrów, minister mieszczański miał już w kieszeni szkic konstytucyi.

Ironja historji jest niekiedy dyabelnie złośliwa. W takich chwilach uszy, które słyszeć mogą, słyszą śmiech ironiczny wszystkich demonów piekła Dante'go i Miltona.

Mowa tronowa, którą król przyjął z ręki Kampfhausena była tak trzeźwo napisana w stylu urzędowym, iż od razu można było poznać, że nie była dziełem tego, kto ją czytał. Zaledwie dotknięto w niej wielkiego pytania niemieckiego, i zakończono chłodnym frazesem:

„Jedność Niemiec jest moim niezmiennym celem; pewny jestem, że dopomożecie mi do jego urzeczywistnienia. Cała scena zagajenia, zamiast wywrzeć wpływ podniosły i pojednawczy, ochłodziła tylko, i zobojętniła obecnych. Odczuwano, że monarcha i zgromadzenie stają naprzeciw siebie, jeśli nie jako nieprzyjaciele, to przynajmniej, jak zupełnie sobie obcy.

Zgromadzenie ukonstytuowało się tymczasowo pod najstarszym wiekiem prezydentem, panem von Schön, szanowną ruiną z pruskich wielkich czasów z roku 1808 - 1815; potem ostatecznie pod prezydenturą pana Milde, właściciela fabryki w Wrocławiu. Wice-prezesami zostali panowie Esser i Waldeck. Zresztą narady od samego początku miały charakter zgiełkliwy, anarchiczny, z czego można było wnosić, że cała ta sprawa zły weźmie obrót. A jak ministerjum brakowało odwagi i zaufania do ludu, tak przeważnej większości pruskiego zgromadzenia narodowego, nie dostawało tego politycznego instynktu i taktu, który poniekąd zdołałby zastąpić brak doświadczenia. W rozstrząsaniach tego zgromadzenia nieraz wychodziła na jaw zielona niedojrzałość, która podzielała zdanie pewnych osób, że lud pruski nie jest zdolny do *self government;* lecz ciągle należy nim komenderować, a przeznaczeniem jego, — sztywna subordynacja. Tym jaskrawiej to raziło, że uliczne, demagogiczne ubóstwienie ludu przeszło także

do akademji śpiewu, oraz, że wciąż przechwalano się tu z 18-go i 19-go marca, gdy tymczasem poza murami akademji dawno już przebrzmiała burza marcowa.

Nie ulega wątpliwości, że brak jasnego poglądu, wielkiego rozpędu i silnej inicjatywy, jaki wciąż charakteryzował ministerjum Kampfhausen'a były także powodem szybkiego osłabienia ruchu berlińskiego, gdyż to samo działo się w Prusiech, co w całych Niemczech, to znaczy, że gdy lud przekonał się, iż jego przywódzcą opozycyjnym, przedmarcowym, stojącym u steru rządu brakowało talentu, odwagi, i ufności w siebie, począł te ideje i zasady jako też i ich przedstawicieli przyjmować najprzód obojętnie, a potem z pogardą, i z podwojonem uszanowaniem spoglądał na tych, którzy posiadali stanowczość i dążyli do ponownego zdobycia napół utraconej władzy; iżby użyć jej energicznie, choćby w kierunku wstecznictwym. Najprzód należało osłabić w klasach obywatelskich siłę ruchu, a ostatecznie zupełnie go sparaliżować; poczem trzeba było uspokoić i zastraszyć gadułów na pół, lub zupełnie obłąkanych marą komunizmu przekształconą z koźlęcia na krwiożerczego tygrysa. Wpływ tej fantastycznej mary, szczególniej uwidoczniał się w szeregach gwardji narodowej obywatelskiej, w tej instytucji, od której z początku tyle się spodziewano. Gwardja narodowa, zostająca pod dowództwem jenerała von

Aschoff, któremu zarzucano, iż był bardzo podatnem narzędziem wszelkich intryg wstecznictwych, stawała się coraz ospalszą. Wogóle w maju takie było usposobienie w stolicy pruskiej, że pan Fryderyk von Raumer, wówczas nie będący jeszcze tą śmieszną figurą, jaką się stał później, jako członek parlamentu we Frankfurcie, a ostatecznie jako poseł Rzeszy w Paryżu—mógł napisać 17-tego: „Mniej więcej dwa tygodnie po 18-ym marca prawie wszędzie mówiono tylko o nieśmiertelnych barykadzistach, którym nie było równych w całych dziejach świata, a w porównaniu z którymi; Leonides i jego 300 Spartanów byli tylko nędznymi fuszerami. Należałoby postawić im wieczny pomnik ze spiżu i marmuru i t. d. Wszakże od 4-ech tygodni nikt już nie mówi o *barykadach i bohaterskich barykadzistach.* Nikt nie wspomina już nawet 18-go marca, a w poufnych kółkach odsyłają do djabła bohaterów sławnej nocy. Tak to zmieniają się czasy, co jest prawdziwem szczęściem, gdy w najwyższym stopniu rozgniewani obywatele nie potrzebują strzelać do proletarjuszów dla przywrócenia porządku.

4.

Szkic konstytucji przedstawiony przez ministerjum był w głównych zarysach, rozumie się

skopjowany z konstytucji angielskiej. Wykazywał on dokładnie, jaką marę pozornego konstytucjonalizmu udzielał dwór już w maju, czując się silniejszym. Wszakże w kołach staro-pruskiego junkierstwa i ta mara spowodowała gniew gwałtowny,—o jej też zniesienie starano się wszelkiemi siłami. Ale i drugiej strony mara ta także zadowolić nie mogła; tak więc oba stronnictwa z pogardą popychały ten biedny płód poroniony, aż wreszcie zniknęło pozorne jego życie.

Gwardja narodowa berlińska miała, że tak powiem, być ojcem chrzestnym szkicu ministerjalnego konstytucji, miała potworne niemowlę ponieść do chrztu za pomocą tak zwanej parady zaufania, wyznaczonej na dzień 23-ci maja. Rzeczywiście parada ta nastąpiła, ale wypadła bardzo mizernie, i niezgrabnie. Wiele oddziałów gwardji narodowej wcale nie przybyło na ulicę: „Unter den Linden“, a inne stojące już na ulicy opuściły ją przeklinając, gdy dowiedziały się bliższych szczegółów o pojedyńczych paragrafach tej konstytucji. Król ukazał się w gali wojskowej, otoczony gęstym obłokiem jenerałów i adjutantów. Odbył przegląd w milczeniu i w galopie. Widocznie wszystko tak urządzono, ażeby gwardji narodowej okazać świetność i wspaniałość królewsko-pruskiego militaryzmu. Komiczna była postać jenerała von Aschoff, który jadąc przy boku króla wzrokiem, giestami

i znakami dawanemi pałaszem, starał się zniechęconą gwardją obywatelską pobudzić do okrzyku: „Hurra! Niech żyje Król! a musiano to uważać za złą wróżbę, gdy orkiestra ułanów, która stała przy moście zamkowym obok konnej gwardji narodowej, powitała króla dźwiękami rosyjskiego hymnu narodowego. Podczas gdy na „*Unter den Linden*“ odbywała się ta chłodna *parada zaufania*, która właściwie była wzajemną paradą nieufności, gdzieindziej demonstrowała część młodzieży akademickiej, która jako znak niezadowolenia z zarysu konstytucji zatknęła czarną flagę na budynku uniwersyteckim.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że stronnictwo wpływowe już w tym czasie przygotowało się do stanowczego kroku, który później wykonano w ostatnich dniach jesieni. Ale wątpić należy, czy później wykonany plan już wówczas krążył po głowie Fryderyka Wilhelma IV-go, choćby w niejasnych zarysach. To pewna jednak, że w maju król nie był jeszcze tak *wysztywniony*, iżby jawnych wstecznków upełnomocnił do stanowczego zerwania z rewolucją.

Silne poszlaki przemawiały za tem, ze Fryderyk Wilhelm rzeczywiście zamierzał zastosować się do nowego porządku rzeczy. Zamiar ten trwał istotnie dopóty, dopóki kolejno po sobie następujące wydarzenia podniecały i zajmowały fantazję króla; lecz gdy na miejsce niespodzianek i wzruszeń nastąpiło suche załatwienie spraw

konstytucyjnych, monarcha znudził się tą monotonną prawidłowością i odezwały się w nim wszystkie antypatje romantyka i absolutysty, a rozbolała rana, sprawiona cierniami dni i nocy marcowych, znów jątrzyć się poczęła.

Reszty dokonały ukradkowe spojrzenia, i ciche szepty otaczających go osób; szczególniej wówczas, gdy król przeniósł się z rewolucyjnego Berlina do Potsdamu, i znów zaczął oddychać atmosferę dworską absolutystyczno-pietystyczną. Było to jednym z największych błędów, jedną z najfatalniejszych słabości ministerjum Kampfhausena, że zgodziło się na ten wyjazd króla. Wszak w Potsdamie odbywało się wysztywnienie króla Fryderyka Wilhelma bez wszelkiej przeszkody z metodą i gorliwością, a bezstronny sędzia musi przyznać, że stronnictwo dworsko-wojskowo - mandaryńsko - bonzowsko - wstecznicze zabrało się do tej roboty z całą zręcznością i energją. Utwierdzali oni króla w mniemaniu bajecznem, iż rewolucja berlińska była głównie dziełem bandy złoczyńców: Francuzów, Polaków i Żydów. Gdy wmówiono w króla to mniemanie, łatwo już było rękom, które zajmowały się jego wysztywnieniem, pomiędzy któremi były bardzo miękkie i zwilgocone święconą wodą powoli, nieznacznie, przechodzić przez wszystkie stopnie, wmówić w niego i to przekonanie, że jego obowiązkiem królewskim, ba! nawet patrjotycznym jest, wyrwać swój dziedziczny kraj

i lud z rewolucyjnych pazurów djablich wzmiankowanej bandy.

Podczas, gdy Fryderyk Wilhelm IV przechodził różne stopnie wysztywnienia, dobry pan Kampfhausen, dla ktorego jego prezydentura ministerjalna była istotną męczarnią, zasługującą na najszczersze współczucie, pocieszał się, że ciągłemi ustępstwami, i pełną uszanowania względnością dla osób otaczających króla, uspokoi stronników dawnego porządku rzeczy. Lepiej niż on znała ludzi i stronictwa surowa palatynatka, Elżbieta Karolina d'Orléans: „Niedorzecznem jest, powiedziała — wierzyć, że można łagodnością zjednać sobie dworzan i księży. Trzeba im natychmiast przycisnąć oczy wielkim palcem.“ Wszakże panowie królewsko-pruskiego marcowego ministerjum nie umieli wcale przyciskać, dlatego też stali bardzo nizko w poważaniu swego władcy. Król, co do swej osoby już na początku lata o tyle wysztywniał, i chętnie widziałby, i nie gniewałby się, gdyby te wydarzenia, jakie nastąpiły w listopadzie teraz już dokonane zostały, o czem wspomina świadek zupełnie wiarogodny. Baron Fryderyk von Stockmar miał 10-go czerwca dłuższą audjencję u króla na zamku w Charlottenburgu. W przebiegu posłuchania dowiedział się baron, że król miałby wielką chęć raz wreszcie zakończyć „*całe to świństwo*“ rewolucyjne. Stockmar, który, jako człek rozsądny znał dobrze szarlatanerję tej re-

wolucji berlińskiej, doradzał stanowcze postępowanie.

Na co król:

— Zapewne, gdyby ministrowie nie byli takimi gałganami lub świniarzami (Solche Lumpe oder Schweinhunde, ale oprócz Schwerina wszyscy są tchórzami [1]). Zaiste miły to dowód wdzięczności monarszej za ich usłużność oddaną w marcu.

5.

Jeśli nad Szpreą stronnictwo wstecznicze było dosyć czynne, zarówno w kołach dworskich, biurokratycznych i obywatelskich, w świecie eleganckim, jak i pobożnym, i wciąż podsycało tęsknotę do reakcji, to wszakże nie mogło się mierzyć tak pod względem wpływu, jako i znaczenia z wstecznictwem, nadającem ton w mieście nad-dunajskiem. Wprawdzie i w Berlinie wiedziano, mówiono i skarżono się na potęgę kociej muzyki; lecz w Wiedniu przez czas pewien kocia muzyka na dobre się rozwielmożniła. Krzykliwość i hałaśliwość, które w ruchu niemieckim z 1848 r. wogóle, tak wielką odgrywały rolę, może w znacznej części przypisać należy

[1]) Denkwürdigkeiten z papierów barona Chr. Fr. von Stockmar (1872) str. 512 i następne.

przedmarcowemu państwu policyjnemu, ponieważ nietylko nie dbało o polityczne wykształcenie ludu, lecz zupełnie je tłumiło. Oddawna rozsypywane to nasienie zbytecznej kurateli obecnie wyrosło i zamieniło się na skandaliczne ziele ulicznych burd i rozruchów. Wszakże ta namiętność do hałasu miała jeszcze głębszą przyczynę: podsycał ją niemiecki humor knajpiarski, który niekiedy umie być bardzo miłym, lecz ponieważ ustawicznie chce górować, łatwo wpada w trywialność i niedorzeczność. To wieczne przebywanie w knajpach, jak wiadomo było wadą narodową Niemców od najdawniejszych czasów [1]) wada ta podnieca ustawicznem popijaniem do fałszywej i ckliwej *uczuciowości*, odzwyczaja od ścisłego i logicznego myślenia i przyzwyczaja do lekkomyślnego traktowania i prowadzenia rzeczy najpoważniejszych. Niemcy zatem łatwo do tego dochodzą, że rozważają sprawy publiczne ze stanowiska: „Vive la bagatelle!“ a politykę uważają za drobnostkę, która musi przedewszystkiem przyczynić się do miłego spędzania czasu. Więcej jeszcze, niż powierzchowne rozważanie, przyczyniła się do tak sromotnego przebiegu wydarzeń ta okoliczność, że bardzo wielu „*genjuszów knajpowych*“ uważało

[1]) „Diem noctemque continuare potando nulli probrum. Tacitus Germ. 22.

się za powołanych na przewodników ludu, i w tej roli zjednało sobie uznanie. Wpływało to równie szkodliwie, jak fakt, że wszyscy profesorowie niemieccy wyobrażali sobie, iż w jednej nocy zostali doświadczonymi mężami stanu...

Nie ulega wątpliwości, iż w Wiedniu większe było osłabienie państwa, psucie się maszyny rządowej, ogólny zgiełk i zamięszanie, udzielanie rad i swawola, niż w Berlinie. Z tego powodu położenie ministerjum Ficquelmont-Pillersdorff było znacznie trudniejsze, aniżeli Kampfhausen'a. W Berlinie trzeba było rozprawiać tylko z intrygą dworską, szepczącemi mukrami, wojskowymi przywódcami, demokratami, a wreszcie z Duńczykami i Polakami, ale w Wiedniu była robota z dworem, biurokracją i hierarchią, a oprócz tego z Włochami, Madziarami, Polakami, Czechami, Kroatami, Rumuńczykami, Rusinami, Serbami, Słowakami, Słoweńcami, i z legionem *akademickim*, który uważał się za strażnika i główną obronę *zdobyczy* marcowych. Ludność Wiednia pieściła go i głaskała. Zdawało się zatem ministerjum, że bomba leżąca mu na karku, każdej chwili grozi wybuchem.

Aula przez dłuższy czas była czynnikiem wydającym hasło w chaosie państwa austryjackiego, a ponieważ do akademickiego legionu należeli także nie austryacy, przeto podanie „*o cudzoziemcach, którzy zrobili rewolucję*“ większą mia-

ło podstawę w Wiedniu, niż w Berlinie [1]). Świadczy to o nieograniczonej nieporadności pierwszego odpowiedzialnego ministerjum w Austrji, że tak długo znosiło tę studencką dyktaturę, lub przynajmniej na nią zezwalało. Oczywiście, młodzieńczy dyktatorowie doszli do tego przekonania, że są sędziami Austrji, a przynajmniej, że powołani są do naprawy państwa, które wykoleiło się ze swego toru. Studenci pojmowali to, rozumie się, w swój sposób i nie tak skrupulatnie jak znany książę Danji, który studjował w Wittemberdze. Rzeczywiście entuzjaści i fantaści legionu w granatowej odzieży postępowali bardzo po burszowsku. Gdy Pillersdorff, chcąc zaradzić bardzo gwałtownej potrzebie, 31-go marca wydał tymczasowe prawo prasowe, piorunował na nie doktór Giskar w auli; aula oburzyła się, a mówiąc po studencku skazała na *infamię* to prawo, jako *zabijające wolność*. Biedny minister spraw wewnętrznych cofnął wkrótce przeklęte prawo, a anarchja prasowa, która zakradła się od 15-go marca trwała i nadal. Naturalnie ta nadzwyczajna słabość rządu wkrótce wydała owoce. Komitet studencki wyznaczony przez legion akademicki, stał się fak-

[1]) Depesza Effingera z dnia 8 maja; „Niejedno wydarzenie da się tem objaśnić, że do korpusu akademickiego należeli nietylko studenci uniwersytetu i politechniki, lecz i artyści, ostatni po większej części cudzoziemcy.“

tycznie najwyższą władzą wykonawczą stolicy i mięszał się do wszystkiego, a mięszać się musiał, gdyż przy tchórzostwie i sparaliżowaniu miejskich i powiatowych władz wszyscy we wszelkich sprawach zwracali się do panów z auli. Wszak nawet sprzeczki małżeńskie przedstawiano do rozstrzygnięcia komitetowi studenckiemu.

Tymczasem ministerjum zajęło się *przyrzeczoną konstytucją ojczyzny,* to znaczy pan von Pillersdorff sklecił konstytucją według wzoru belgijskiego, a gdy rada familijna cesarska ją aprobowała, została uroczyście ogłoszona 23-go kwietnia. To podstawowe prawo Austryi było jednem z tych dzieci kapryśnego kwietnia, nie rokujących długiego życia. Olbrzymia kocia muzyka spowodowała śmierć jego. Podobnie postąpiono z ministrem, prezydentem Ficquelmont, którego w drugiej połowie kwietnia wszystkie szpryce prasowe wzięły za ulubiony swój cel, i spłukały z urzędu. Resztę dokonało mianowanie spokrewnionego z nim hrabiego Latour ministrem wojny 30-go kwietnia. Nowego ministra wojny nienawidzono, jako arystokratę ścisłej reguły, i obawiano się go, jako zdolnego i energicznego jenerała. Ficquelmont miał, jak mówiono, odpokutować za to mianowanie, które nastąpiło z jego zalecenia. Wieczorem, 2-go maja grała kocia muzyka przed mieszkaniem prezesa ministrów, a następnego wieczoru, powtórzyła to *fortissime.* Było to wstrętne wyda-

rzenie, tem wstrętniejsze, iż oprócz motłochu wzięli w niem udział gwardziści narodowi i studenci. Dwaj ludzie, mianujący się *posłami ludu*, wtargnęli przemocą do kancelarji państwowej, i oznajmili ministrowi prezydentowi, że musi ustąpić ze swego urzędu, *ponieważ zdradził ojczyznę*. Biedny, stary, wyczerpany pracą, przerażony minister zadosyć uczynił woli ludzi, podających się za *posłów ludu*, i o godzinie 2-ej po północy podał się do dymisji. Pan von Pillersdorff został prezesem ministrów 5-go maja, a pan von Lebzettern objął kierunek spraw zagranicznych. Sceny przed kancelarją państwową, i w samej kancelarji w nocy z 3-go na 4-ty maja należą do najwspanialszych szalonego roku. Panowie koledzy hrabiego Ficquelmonta i wszystkie urzędy, a wreszcie wszystkie lepsze pierwiastki gwardji narodowej i auli bezczynnem swem przypatrywaniem się i nędznem *laisser aller*, stali się współwinnymi tego czynu tak hańbiącego.

6.

Ministerjum sądziło, że wzmocni się należycie, gdy przypuści do swego grona siły popularne. Dla uspokojenia czeskiej agitacji ofiarowano patryarsze Czechów w Pradze, Palackiemu, ministerjum oświaty, napróżno jednak, gdyż

uczony słowianofil oznajmił, iż wówczas wstąpi dopiero do gabinetu, gdy rząd przyjmie do swego programu system federacyjny. Napróżno również traktowano z panem Bach, który wówczas jeszcze odgrywał rolę radykalnego o przyjęcie jednego z portfelów ministerjalnych, ponieważ doktór przed czasem nie chciał się zużyć. Jedynie pan Doblhoff liberalny, przedmarcowy fabrykant, dał się namówić do przyjęcia ministerjum handlu, a gdy objął tekę ministerjalną, uważany był obok Pillersdorffa za głównego działacza w rządzie.

Jednocześnie z częściową reorganizacją ministerjum, rewolucyjny prąd lepiej się zorganizował, utworzywszy *centralny komitet polityczny*, który złożony z deputowanych komitetu studenckiego i gwardji narodowej, ukonstytuował się 9-go maja. Czy przytem, jak twierdzono przypomniała się pomimowolnie lub naumyślnie noc 10-go sierpnia 1792 r., — komuna utworzona przez deputowanych sekcji paryskiej, tego nie można z zupełną pewnością ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, Bądź co bądź, podobne reminiscencje rzadko kiedy na co się przydadzą. Centralny komitet wiedeński z 1848-go, miał się do paryskiej komuny powstańczej z 1792-go roku tak mniej więcej, jak się miał marszałek Wrangel z r. 1848-go do marszałka Vorwärts z 1813-go. Był to niejako przedruk na grubej bibule pełen błędów drukarskich.

Znów wyszło na jaw nadzwyczajne pomięszanie wyobrażeń, nadzwyczajne, śmieszne pomięszanie wyobrażeń, gdy komitet centralny zwrócił się do pierwszego ministra żądając, żeby go uznał za władzę legalną. Oczywiście pan von Pillersdorff musiał odrzucić to banalne żądanie, gdyż było rzeczą naturalną, że gabinet ministerjalny nie mógł się zgodzić na uznanie tej drugiej niby najwyższej władzy, która chciała stanąć obok niego, a nawet nad nim. Oczywiście wszystko zależało od tego, czy ministerjum było dostatecznie silne, żeby mogło stanowczo się oprzeć, i siłą przeprowadzić swą wolę. Pod obu temi względami wyglądało bardzo opłakanie. Pan von Pillersdorff i jego towarzysze nie byli ludźmi, którzy broniliby wyłomu do ostatniej kropli krwi. Także i pan hrabia jenerał Latour nie był bohaterem w tej sprawie, a zachowanie się jego było tak dziwne, iż ludzie podejrzliwi przypuszczali nawet, że minister wojny życzył sobie rozhulania się wszelkich namiętności ludowych, sądząc, że zamęt w Wiedniu musi dojść do ostateczności, zanim pomyśleć będzie można o jakim takim porządku. Wprawdzie siły wojskowe, jakimi rozporządzał jenerał były bardzo niedostateczne. Załoga stolicy okazała się zbyt słaba, a z okolicy nie można było ściągnąć znaczniejszych posiłków, jednak nie wskutek niedbalstwa ministra wojny; Latour nie był człowiekiem opieszałym,

przeciwnie był to mąż czynny i daleko widzący. Przekonaniem jego było, że ocalenie starej cesarsko-absolutystycznej Austryi, którą kochał całą duszą, polegało na wojsku. Liczył on przedewszystkiem na armję, ale armja musiała najprzód pokazać swą dzielność na równinie lombardzkiej. Tam, sądził minister wojny, leżało rozwiązanie zagadnienia i nie mylił się. Gdyby jenerałowi Radeckiemu powiodło się tam, to wpłynęło by to silnie na Wiedeń, całą Austryę—, ba! nawet na całą Europę; rozumie się, co się tyczy przywrócenia dawnego porządku rzeczy; zatem powodzenie we Włoszech Radeckiego było rzeczą najważniejszą, w porównaniu z nią, zamęt panujący w Wiedniu był rzeczą drugorzędną, wyjąwszy zawsze co do utrzymania dynastji. Zgodnie z tym poglądem działał Latour z największą konsekwencją i energią, całą zwracając baczność na wzmocnienie wojska stojącego nad Mincio, i wyekwipowanie go we wszystko, czego mu było potrzeba. Następstwa przekonały jak słuszny był pogląd Latour'a, lubo jego rozporządzenia tak dalece osłabiły załogę Wiednia, że nie można było myśleć o poskromieniu zbuntowanych mas ludu. Latour przyczynił się do tego stanu rzeczy, iż w Wiedniu powtórzył się dzień dziesiąty sierpnia dla dynastji cesarskiej.

Wszakże wiedeński *centralny komitet* nie

wywołał 10-go sierpnia, lecz tylko drugie bardzo poprawne wydanie ucieczki do Varennes.

7.

Dowódzca dziennej gwardji narodowej Wiednia, hrabia Hoyos ogłosił w dziennym rozkazie 13-go maja, że centralny komitet nie zgadza się z instytucją gwardji narodowej, gdyż ta nie może ani sama, ani przez swych przedstawicieli zajmować się interesami politycznymi. Bezzwłocznie potem udały się różne deputacje do prezesa ministrów, prosząc o cofnięcie tego rozkazu, którego naturalną konsekwencją było rozwiązanie centralnego komitetu, Pillersdorff wyrzekł wieczorem 14-go maja trochę kwieciste, ale bardzo wyraźne *nie*, zachęcała go do tego uwaga, że o ile mu wiadomo, spokojny obywatel nie pochwala działania komitetu narodowego, w którym widzi rodzaj komuny, albo *komitetu bezpieczeństwa*, i wogóle, że spokojny obywatel, który bardzo żałuje zwyczajnego trybu interesów, i zwyczajnych swych przechadzek poprostu nudzi się wolnością i równością rewolucji i jej zdobyczy. Zatem minister musiał sobie wyobrazić, że wspomniany spokojny obywatel, który zresztą przeważał w gwardj narodowej, w razie potrzeby poda rękę do powstrzymania różnych, mogą-

cych nastąpić zamieszek. Wszakże wypadło inaczej. Spokojny obywatel, jak to zwykle się zdarza w takich okolicznościach, albo wcale się nie przekonał, albo zamienił się z prostego popędu do naśladownictwa ze spokojnego na bardzo niespokojnego.

Nie wyrzeczone przez Pillersdorffa tak oburzyło *aulę*, iż zdawało się, że tego samego dnia wieczorem wybuch nastąpi. Dlatego wezwano wojsko i gwardzistów narodowych do strzeżenia wewnętrznych bram miejskich. Gdyby rząd był energiczniejszy, i postępował nadal bez żadnych względów, mianowicie, gdyby przystąpił do niezbędnych aresztowań, nazajutrz byłby panem położenia. Lecz ponieważ nie korzystano z chwili, w której działać było potrzeba, dano przeciwnikowi czas do poruszenia ludu, co gdy nastąpiło, znaczenie rządu upadło, i sprawa jego była przegrana.

W nocy z 14-go na 15-ty maja rozigrały się namiętności rewolucyjne, szczególniej, gdy lud spostrzegł wieczorem, że usposobienie gwardji narodowej, a nawet wojska nie skłaniało się do walki. Nie ulega wątpliwości, że i niemieckie uczucie wiedeńczyków dorzuciło wielkie polano do buchającego ognia, gdyż niefortunne powołanie Palackiego do ministerjum, a zatem schlebianie i głaskanie Czechów, którzy publicznie szydzili z ruchu wiedeńskiego, zniechęciło do reszty stronnictwo niemieckie. Przytem ogłoszona

konstytucja dawała dosyć wiele powodów do niechęci, mianowicie z tymczasowego prawa wyborczego do Sejmu austrjackiego. Prawo to ustanawiało wybory pośrednie, i prawo wyborcze uczyniło zależnem od cenzusu. Stało się to przyczyną wielkiego skandalu z 15-go maja, który rozwinąwszy się, odegrał się instynktowo i bez wszelkiego planu.

Rozpoczął się on 15-go maja w auli, gdy nie dzwonek prezydenta, lecz bęben regulował rozprawy, a mowy przesadzające się gwałtownością, że tak powiemy, pachniały prochem:

— Centralny Komitet nazywają nielegalnym? zawołał student Hreska.

Ale przecie wszystko, co działo się w marcu było nielegalne. Wszak i ministrowie są nielegalni, lecz tylko dlatego, że większość ludu jest im przeciwna.

Na to odrzekł drugi mówca:

— „Na cóżby się przydała dymisja obecnych ministrów? Austrja cierpi na zbyt wielką niemoc, nie może zatem znaleźć dzielniejszych mężów.“ Zdawało się, że szeroko-gębne rozprawy nie mają nic innego na celu, jeno czczą gadaninę, ponieważ nie powzięto żadnych postanowień.

Wtem dał się słyszeć bęben na ulicach, i przyszła wiadomość, że wojska zabierają swe wczorajsze stanowiska przy bramach miasta.

W jednej chwili zawołano wśród szalonego zgiełku:

— Do broni! Do broni! Widocznie chcą nas zaatakować, odciąć od naszych braci robotników na przedmieściach! Do Burgu! Do Burgu!

Widocznie rząd chciał zwołaniem wojska zaimponować rozruchom. Pochlebiał sobie, że to się uda, jak udało wieczorem dnia poprzedzającego. Omylił się jednak. Obecność siły zbrojnej nadała ostateczny impuls demonstracji, która mogła w mgnieniu oka zamienić się na rewolucję.

8.

Wieczorem Wiedeń przybrał fizjognomję bardzo podobną do tej, jaką nosił zrana 15-go marca. Legjon akademicki stanął pod bronią w pogotowiu do marszu. Rozesłano na przedmieścia posłańców dla zwołania braci robotników. Na znak bębna gwardziści narodowi bezzwłocznie przybyli, lubo w dosyć rozrzedzonych szeregach, niezdecydowani, czy mają stanąć po stronie rządu. „Spokojny obywatel“, o którym tyle mówiono, pozostał albo w domu, albo sam brał udział w demonstracji.

O godzinie 7-ej wieczorem udała się deputacja z auli do Burgu, gdzie zasiadała rada ministrów, ażeby wyrazić jej życzenia ludu. Pole-

gały one na razie na uznaniu i potwierdzeniu komitetu centralnego, zmianie prawa wyborczego i odwołaniu wojska z zajętych posterunków. Prezydent ministrów, chcąc zyskać na czasie, powiedział, co w danych okolicznościach było dosyć śmieszne, iż żąda, żeby te życzenia złożono mu na piśmie, lecz zastrzegł, żeby to jaknajprędzej nastąpiło. Legjon wyruszył z bronią w ręku, na której osadzono bagnety, na dwór i Freiung, ażeby przyjąć odpowiedź ministra. Legjonowi dodawała otuchy wiadomość, że robotnicy na przedmieściach wkrótce przybędą na pomoc swoim braciom z auli, że tysiące ich już się znajdują na Brigittenau. Tu i ówdzie błyszczały na ulicach jaskrawe płomienie pochodni, gdzieindziej znów czyniono przygotowania do budowy barykad. Niektóre osoby utrzymywały, iż słyszały okrzyki: „Niech żyje rzeczpospolita!“ i zaniosły straszne te wyrazy do Burgu.

W Burgu w jego przedpokojach i w apartamentach rodziny cesarskiej rozgościła się ta sama nieporadność, jak przed dwoma miesiącami w nocy z 14-go na 15-ty maja. Obecnie była tu taż sama bezcelowa gadanina i bieganina, dreptanina i przestrach dworzan. Ten radził to, drugi owo; ten nazywał biednego Pillersdorffa zdrajcą, ów zaproponował małą rewolucję dworską, abdykację cesarza na korzyść swego brata, do czego jednak półgłosem, ktoś trzeci dodał:

— Wielebyśmy na tem zyskali, zaiste!

Wspomniano także o ucieczce, ale wyraz ten, jak wiele innych padł na podłogę bez skutku, z całej tej czczej gadaniny nie było żadnej korzyści.

Ta smutna historja powtarzała się w salonie, w którym ministrowie odbywali naradę. Naradzano się nad tem, czy ustąpić, czy opierać się? Oczywiście chciano się opierać, ale czem? Quomodo quibus auxiliis? Ekscelencjo, rzekł minister prezydent do ministra wojny. Zdanie pana jest stanowcze. Co pan radzi? co robić?"

Pan minister wojny zastanawia się chwilę, potem wzrusza ramionami, i odpowiada:

— Ekscelencjo, pan wie, że Wiedeń nie ma wojska — i dlaczego? Nie mam tylu ludzi, żeby można zaryzykować walkę uliczną, tymbardziej, że nie wszystkim tym bataljonom, jakie posiadam zaufać można. Dziś właśnie węgierski, grenadjerski bataljon żądał, żeby go odesłano do Węgier; drugi oparł się karze dyscyplinarnej, jaką mu naznaczono.

Poczem nastąpiło ogólne wzruszenie ramionami, które jeden z panów przetłumaczył słowy:

— Nie możemy nic zrobić—trzeba ustąpić. Lud znajduje się na placu Burgu, na jego dziedzińcach, a nawet na korytarzach i w przedpokojach. Pomyśl pan o bezpieczeństwie Jego Cesarskiej Mości Cesarza i Jego rodziny. Niema czasu do stracenia.

— Prawda, wtrącił jeden z kolegów, ale pomyśl pan tylko, że ci niepoczciwi ludzie żądają, iżbyśmy zniszczyli własne nasze dzieło, — konstytucją kwietniową wraz z jej dodatkami. Ich żądania wzmagają się co godzina, niemal co minuta. Na czem to się skończy?

— Nikt tego nie wie — odpowiedział prezydent ministrów, ktoby to wiedział, mógłby się nazwać mądrym człowiekiem. Zresztą pewien polityk, nie należący do głupich, powiedział w Berlinie: w czasach ruchu, trzeba zawsze uprzedzać ruch o godzinę. Spróbujmy tego środka.

Jeśli, jak twierdzą, pan Pillersdorff odpowiedział na to postanowienie „lekkim uśmiechem“, to niezawodnie uśmiech jego nie należał do lekkomyślnych, lecz do kurczowo-bolesnych— sardonicznych. Biedny baron! skończył się jego dowcip, jak i jego siły fizyczne. Drżącemi rękami podpisał kartkę papieru, na której skreślono o ustąpieniu ministerjum, i rzucił ją w rozhukane fale wypadków, może przytem myślał: „Kawałek papieru więcej lub mniej, co to znaczy w takich czasach?

Wszakże przykre chwile czekały pana prezydenta ministrów, gdy około północy wszedł do przedpokoju napełnionego panami i damami, przechodząc do gabinetu cesarskiego, ażeby otrzymać sankcję i podpis poczciwego botanika Ferdynanda na tej kartce papieru. Dworzanie wy-

warli swój gniew na ministrze za jego nieporadność i bezczynność. Z różnych stron przedpokoju słychać było z ust panów i pań głośne i ciche oskarżenia i obwinienia. Najbardziej gniewały się panie,—musiał połknąć takie słodycze jak: „Zły doradca“—„Buntownik“, „Zdrajca“ „Zguba monarchji i dynastji“. Naglony do pośpiechu przez dwóch swoich kolegów: Latour'a i Doblhoffa nie mógł się usprawiedliwiać, co zresztą na nicby się nie przydało. Zarówno trudno jest pokonać nierozsądek przedpokoju, jak nierozsądek ulicy.

Jego Cesarska Królewska Mość bezwłocznie podpisał i zręcznie o ile tylko można. Poczem manifest zaniesiono zaraz do drukarni państwowej, a w kilka miesięcy później do magazynu makulatur dziejów świata, który w tym *szalonym roku* trzeba było znacznie powiększyć. Tłumy ludu oblegały drukarnię państwową do drugiej godziny zrana, kiedy wspomniany akt wyszedł z pod prasy. Na tem skończył się skandal, jednakże nie bez komicznego epilogu. Biednego, wyczerpanego do najwyższego stopnia Pillersdorffa, powracającego do domu, otoczył krzykliwy rój ludzi i narożny mówca Danton, właściwie nauczyciel języków Tausenau nauczał go o tem, czem być powinno wolne państwo w ogólności, a w szczególności konstytucyjne potrzeby Austrji.

9.

Ze świtem dnia rozszedł się po mieście manifest *cesarski*. Główną jego treścią było, że cofnięto rozkaz dzienny z 13-go maja, że odtąd odwachy przy bramach i w Burgu zajmować będzie wojsko i gwardja narodowa, oraz, że jedynie gwardji narodowej służy prawo wzywania wojska na pomoc. Następnie powiedziano: „Dla uniknienia wszelkich powodów niezadowolenia dodajemy jeszcze do tych postanowień, że nad konstytucją z 25-go kwietnia tymczasem Sejm naradzać się będzie ażeby proklamowanie tej konstytucji odbyło się w sposób najodpowiedniejszy. Postanawiamy dalej, iżby do pierwszego sejmu wybrano tylko jedną izbę, dlatego wybory nie zależą od żadnego *cenzusu*, a tak upadnie wszelka wątpliwość co do dokonanego wyboru.

Znów tedy cały worek zdobyczy! W pierwszej chwili dobrych wiedeńczyków zdumiał ten „ambarras de richesse.“ Nawet sam centralny komitet nie mógł wyjść z podziwienia. Wszak dwór i ministerjum wyprzedzili ruch, o jaką dobrą godzinę. Zdumienie powiększyło się jeszcze, gdy wieczorem urzędowa „Wiener Zeitung“ przyniosła wiadomość, że ministerjum dla ocalenia tronu i jedności monarchji, doradziło cesarzowi wydanie dzisiejszego porannego patentu,

za co też i przyjmuje odpowiedzialność na siebie, lecz ponieważ w ten sposób nie może być nadal podporą korony, dlatego prosiło o uwolnienie, i pełnić będzie swój obowiązek tylko do chwili utworzenia nowego gabinetu.

Centralny komitet wyraźnie teraz okazał, że nie jest komuną i komitetem „du salut public“, gdyż począł tak postępować, że sam jego prezydent proponował, żeby się rozwiązał. Na razie odrzucono tę propozycję, ale we trzy dni później przyjęta ona została. Za to centralny komitet postanowił 100 głosami przeciw 10-ciu adres zaufania do ministerjum z prośbą do cesarza, ażeby nie zgodził się na ustąpienie gabinetu, a dla uniewinnienia się z swego wczorajszego postępowania przytoczył różne drobnostki, o których nie warto wspominać, przyczem, jak twierdził, nadużyto imienia komitetu.

W Hofburgu nie uważano za dobre ufać i nadal widocznej nieporadności ministerjum, lub liczyć na dobrą wolę centralnego komitetu, i postanowiono uciekać. Było to łatwe do zrozumienia, iż tylko ludzie, którzy uważają się za prawdziwych mężów zasady i stronnictwa, gdy się odzwyczają od wszelkiego samodzielnego poglądu i samodzielnej myśli, uważają tę ucieczkę za dziwną i godną nagany. Nie dowiedziono dotąd że to nie było uwiezienie cesarza przez jego otoczenie; gdyż że to niebyła dowolna jego ucieczka, nad tem ani chwilę powątpiewać nie na-

leży. Zostało ono wykonane według głęboko obmyślanego planu wstecznego stronnictwa dworskiego, absolutystycznego i duchownego w celu sparaliżowania rewolucyjnego biegu rzeczy i zaprowadzenia gwałtownej reakcji. Za to bardzo jest prawdopodobne, że tylko prosta, czysta obawa myśl tę wywołała. Chciano poprostu cesarza i jego rodzinę wyprowadzić ze stolicy, i zawieźć do wiernego Tyrolu. Bardziej się jeszcze powiększyła obawa rodziny cesarskiej i dworzan, gdy gwardja narodowa zajęła w części odwach w Burgu. Okoliczność ta mogła obudzić przypomnienie, że osadzenie Tujlerów przez gwardję narodową było równoznaczne z uwiezieniem Ludwika XVI-go i Marji Antoniny. Wreszcie demagogja szynkowna i uliczna Wiednia rozwinęła taką ruchliwość od 15-go maja, że zapewne przedostały się do Burgu mordercze zamiary i plany buntownicze, które pobudziły dwór do szybkiego działania. Wszak bezstronni obserwatorzy, mieszkający poza Burgiem spostrzegli pewne znamiona świadczące, że demokraci knuli coś bardzo ważnego [1]). Słowem uwiezienie Ferdynanda I-go nie było wcale wynikiem żadne-

---

[1]) Depesza Effinger'a z 13-go maja: „Nie ulega wątpliwości, że po 15-ym maja pozostał tylko krok jeden do usunięcia w Wiedniu dynastji i ogłoszenia rzeczypospolitej. Wszakże większość mieszkańców Wiednia nie życzy sobie ani jednego, ani drugiego.

go planu systematycznego, podobnie jak przesiedlenie się Fryderyka Wilhelma IV-go do Potsdamu, co wszakże nie przeszkadzało, że w Wiedniu myśl uwiezienia cesarza przypisywano pewnym osobom, mianowicie pewnym damom [1]).

17-go maja cała cesarska rodzina wyjechała, jak to częstokroć się działo na wycieczkę do Schönbrunn'u. Gdy powozy stanęły w tej miejscowości, rozkazano zdziwionym woźnicom, iżby jechali do Sankt-Pölten, poczem pojechali dalej przez Ens, Wals, Salzburg, wreszcie zatrzymali się w Insbrucku. Z drogi posłano szambelana do Wiednia, ażeby oznajmił ministrowi wojny, że cesarz ze względu na swe zdrowie postanowił udać się w okolice górskie Tyrolu, a przy nim pozostała jego rodzina, dla opiekowania się nim w czasie choroby. Po szczęśliwem przybyciu do Salzburga, mówiono już wyraźniej w proklamacji skreślonej przez hrabiego Bombelles, w której potępiono dzień 15-ty maja, ogłoszono: „Że Jego Cesarska Królewska Mość

---

[1]) Effinger 20-go maja: Okoliczność, że cesarz nie pozostawił w Wiedniu żadnego dokumentu, który wskazywałby jaką przyjmuje rolę, utrwala przeważające mniemanie w Wiedniu, że ucieczką rodziny cesarskiej kierowały cesarzowa i arcyksiężna Zofja. W tejże samej depeszy poseł tak się wyraża: „Gdyby 15-go maja przypadkiem wystrzelił jaki karabin, to nawet uniwersytet nie zdołałby obronić Burgu od rabunku rozgorączkowanych proletarjuszów, zgromadzonych na Glacis.

Cesarz, z powodu tak gwałtownego, nieprawnego ruchu postanowił opuścić swą rezydencję, i udał się do Insbruku. W Insbruku stanął cesarz ze swym orszakiem w nocy 19-go maja. Religijni Tyrolczykowie, wierni swemu cesarzowi powitali go z uniesieniem, wyprzęgli konie z jego powozu, i wśród okrzyków radości, zaciągnęli do Burgu. Tak więc uwiezienie monarchy, spowodowane obawą, stało się kapitałem reakcyjnym, gdyż nie ulega żadnej wątpliwości, iż podczas pobytu dworu w Insbrucku wstecznicze układy ze Słowianami gorliwiej były prowadzone.

Wieczorem 17-go maja rozeszły się już w Wiedniu głuche wieści o wyjeździe cesarza, a urzędowa gazeta wiedeńska uważała za konieczne zaprzeczyć im, i ogłosić tonem wyroczni: „wyjazd cesarza byłby tem samem, co ucieczka Ludwika XVI-go. Ostatni dzień pobytu w Wiedniu Jego Cesarskiej Mości byłby pierwszym dniem rzeczypospolitej“. Wspomniany artykuł ukazał się zrana 18-go maja, gdy nie było już żadnej wątpliwości, że cesarz opuścił stolicę.

Wszakże słowa wyroczni zrobiły fiasco. Wiedeńczycy nie byli paryżanami z 1791-go roku, dla których ucieczka króla, jak wiadomo była zupełnie obojętna. Nikomu nie przyszło na myśl ogłoszenie rzeczypospolitej, z wyjątkiem dwóch nędznych ludzi. Pierwszym był mały, garbaty, ochrypły gazeciarz Häfner, który był

poprzednio czeladnikiem kapeluszniczym, a teraz odgrywał nędznie Marata, drugim równy mu kolega Tuwor. Ci dwaj nędznicy wzywali robotników na przedmieściu Maria Hilf, żeby weszli do miasta i ogłosili rzeczpospolitą. Lud jednak pochwycił ich, a niestety trzeba przyznać, iż z trudnością zdołano go tylko powstrzymać gdyż gotów był sam ukarać ich po amerykańsku; na szczęście jednak znaleźli się ludzie, którzy tych nędzników z ich rąk uwolnili. Z wiarogodnego źródła wiemy, że lud gniewając się z powodu uwiezienia cesarza wymyślał tylko, i przeklinał, nie przebierając w wyrazach cesarza i całą jego dynastję, Wszakże wobec obywatelstwa mężowie ruchu nie śmieli pójść za daleko, żądali zatem jedynie ustanowienia rządu tymczasowego z arcyksięciem Janem na czele. Energiczne postępowanie studentów i gwardji narodowej przeszkodziło większym skandalom [1]). Zresztą dotychczasowe usposobienie obywateli stanowczo złagodniało, poczęli oni

---

[1]) Depesza Effinger'a z 18-go maja: „Dziś zrana przebiegała miasto niespodziewana wiadomość, że cesarz opuścił Wiedeń. Przerażenie było powszechne. Słyszano na ulicach przekleństwa na cały dom cesarski, i można było być przygotowanym na największe nieporządki. Tymczasem silne stanowisko studentów i gwardzistów narodowych przeszkodziło wybuchowi. Próbowano wszakże za pomocą plakatów, zwiastować utworzenie rządu tymczasowego z arcyksięciem Janem na czele.

tęsknić do dawnych swych stosunków wiernopoddańczych; a jak poprzednio każdemu wyprawiano skandale, tak obecnie z wszelkiem uszanowaniem spoglądano na barwy czarno-żółte. Maska wolności upadła, a *dobrodzuszna* filisterja, którą nieobecność Cesarza przejmowała przerażeniem, równającem się końcowi świata, w zupełności na jaw wyszła. Komitet centralny narobiwszy tyle hałasu, stał się ofiarą zniechęcenia lojalnego, i musiał się rozwiązać. Niewiele brakowało, a tenże sam los spotkałby legjon akademicki. Do najszaleńszych, niepojętych rzeczy *szalonego roku* należy to, że obywatelstwo wiedeńskie wyraźnie upraszało o utrzymanie nadal legjonu, wówczas, gdy samo po większej części odwróciło się tyłem do ruchu. Obok filistra wyjącego o pokój biadał fanatyk porządku. Wszyscy patrolowali, czuwali, i odgrywali rolę policji, i zmieniali w banku pieniądze papierowe. Wszyscy, nawet kobiety wysłały deputację do Insbrucku, błagając o powrót cesarza. Zaiste trzeba było wiele nierozsądku i niezręczności, wielkiego fałszu, obłudy i podstępu ze strony niepoprawnej Kamarylli, ażeby tę z gruntu poddańczą, i tak łatwo dającą sobą powodować ludność, znów pchnąć na drogę buntu.

V.

Co się działo w kościele ś-go Pawła.

I.

Tegoż samego 18-go maja 1848-go roku, który w Wiedniu mógł sprowadzić kataklizm rewolucyjny, lecz tylko dopomógł do ujawnienia się starodawnej świadomości poddańczej, tegoż samego maja, o 3-ej godzinie po południu odbyło się polityczne widowisko we Frankfurcie, na które z uniesieniem i nadzieją zwracały się oczów miljony, jako na jedno z największych szachrajstw, które rozpoczęło się od wielkiej fanfary trąb i kotłów z towarzyszeniem gromkich okrzyków narodu. Ten sam parlament po upływie roku zakończył się po cichu, haniebnie, wobec zupełnej obojętności tłumu niezdolnego do wydania jakiegokolwiek sądu, tego samego wykształconego i niewykształconego gminu, który

przed 13-tu miesiącami przyklaskiwał rozpoczynającemu się sejmowi państwa.

Oczywiście parlament nie udał się. Tem samem, jak to uczy moralność naszego najlepszego ze światów—świata rzeczywistego, nie zaś moralność katechizmowa — wydał na siebie wyrok potępienia; zatem nie warto byłoby już więcej mówić o parlamencie. „Le succés justifie tout“, powiedział Napoleon, gdyż świat mówi, że niepowodzenie bezwarunkowo godne jest potępienia! Do licha zatem z niemieckim parlamentem! Zapomnijmy o nim zupełnie!

Tymczasem niedorzeczni ideologowie, którzy mają zwyczaj „niepraktyczny“ zapytywać się się dlaczego? dlaczego? nie zadawalają się jeszcze tem, lecz sądzą, że parlament nie mógł mieć żadnego powodzenia, ponieważ był żelaznym nożem, któremu brakowało klingi, t. j. był sprzecznością w samym sobie. Nie mógł mieć żadnego powodzenia, nietylko z powodu swego postępowania, lub nie postępowania, lecz już z powodu samego swego składu.

Dwie drogi leżały przed parlamentem: jedna wiodła na lewo, druga na prawo. Parlament mógł najprzód odegrać rolę konwentu, i niemiecką rewolucją, która osiadła na ławie piasku, znów zepchnąć na prąd i zamienić na całą rewolucyą. Zebrać naokoło siebie wszystkie siły czynne pchające i prące naprzód, stawić wszystko na kartę, ażeby wszystko wygrać

i w zapędzie na złamanie karku przyczynić się do narodowego odrodzenia Niemiec. Znany nieprzyjaciel nienawidzący Niemców, naczelnik Czechów Palecki uderzył w samo sedno, powiedziawszy w słynnym liście do komitetu 50: „Wszystkie projekty do zreorganizowania Niemiec na podstawie narodowej nie dadzą się przeprowadzić i utrzymać na dłuższy czas, jeśli nie ośmielicie się na prawdziwe cięcie cesarskie, ogłoszenie rzeczypospolitej niemieckiej. Wszystkie przepisy o podziale władzy pomiędzy panującymi a ludem przypominają teorję falansteru, który również wychodzi z zasady, że uczestnicy jego są niejako cyframi w zadaniu rachunkowem, i nie będą posiadali pretensji do innej wartości nad tę, jaką teorja im naznaczy. Jeśli zastosujemy te słowa Palackiego do większości zgromadzenia narodowego, to ujrzymy, iż brzmią jak ostre szyderstwo, gdyż ta większość składała się z liberalnych, poprostu z kwiatu niemieckiego liberalizmu,—zatem byłoby wielką naiwnością przypuszczać, że ci ludzie zgodziliby się na takie cięcie cesarskie. Lub też parlament powinien był nie zwracać się na lewo,—tym bardziej, że jego istotna bierność zabraniała mu wszelkiej wielkiej próby na lewo,—powinien otwarcie i poczciwie pójść drogą wiodącą na prawo, to znaczy powinien zaprzestać haniebnego flirtowania ze zwierzchnictwem ludu, uznać równouprawnienie panujących i ludu i całe swe

dzieło ograniczyć na ułożeniu dla Niemiec konstytucji związkowej na podstawie wzajemnego porozumienia się rządów i ludów. Wszak jedynie ta droga była możliwa, w obec tego, że masa ludu bezczynnie przypatrywała się wzniesieniu hufców republikańskich w Badeńskiem, a w swej tępej głupocie nawet temu przyklaskiwała,—była to jedyna droga możliwa; tym bardziej, że dwa wielkie państwa niemieckie wyraźnie oznajmiły, iż chcą, żeby parlament poszedł tą drogą; a z matematyczną dokładnością przewidzieć było można, że wszyscy średni, mali, i najmniejsi książęta aż do kogucika, gdy dostatecznie odrośnie im grzebień, pójdą w ślady Prus i Austrji.

Pomimo tego zarozumiałość liberalna, której przedstawicielami była większość parlamentu doktrynaryzowała, natężała sobie głowę, nad wynalezieniem średniej drogi pomiędzy prawicą a lewicą, której wcale nie było, lecz istniała tylko w wyobraźni niepraktycznych uczonych. Stąd wola połowiczna i całkowita niemoc, stąd zarozumiałe pomijanie stosunków rzeczywistych, a bezpośrednio tchórzliwa obawa, ażeby się z niemi nie spotkano, stąd też stronnicze zaślepienie, które mniemało, iż posiada całą mądrość i spoglądało z daktrynarską zarozumiałością na wszystkich działających bez porozumienia się z niemi. A jednak ci sami daktrynerzy kładli się na brzuchu, udając konających, gdy panują-

cy skrępowani, jak mniemano pajęczyną śmiesznej teorji, pogrozili im palcem.

Tej połowiczności, obłudzie, temu macaniu, lataniu i pełzaniu, słowem całemu temu liberalizmowi zawdzięczamy przeważnie to nędzne nieudanie się pierwszego niemieckiego parlamentu.

Co się tyczy mniejszości demokratycznej, owej nieokrzesanej lewicy, jak ją nazywali liberalni najlepsi i najpoczciwsi, to trzeba przyznać, że ta natychmiast poznała zakres niedorzeczności, w jakim kręciła się większość, jak małpa w kółku. Ale i mniejszość demokratyczna miała swój: „circulus vitiosus,“ zgniły kompromis otrzymany w spadku od parlamentu, wstępnego pomiędzy legalnością a nielegalnością. Ten kompromis wyssał lewicy najlepsze jej soki życiowe; tymbardziej, że utraciła żywotną swą energię wskutek polityki, jakiej trzymano się w kościele Ś-go Pawła, co widział, każdy, kto chciał; pomimo tego lewica nadal bawiła się tam gadaniną, zamiast gromadnem opuszczeniem kościoła ś-go Pawła we właściwej chwili, obrzydzić ludowi nędzną tę farsę parlamentarną.

Ależ w owem mieście nad Menem spędzano chwile bardzo przyjemnie. Ileż to odnowiono dawnych braterstw knajpowych, ile zawiązano nowych! Na tem polu dały się nawet nawiązać z prawicą stosunki międzynarodowe, lubo nie bardzo trwałe, gdyż jak wiadomo, gdzie znajdą

się razem trzej niemcy, mają niezawodnie cztery zdania. Ale jeśli jeden powie: „Chodźcie, pójdźmy na kufelek piwa! to pewno wszyscy się na to zgodzą i zjednoczą, szczególniej dopóki nie wypiją pierwszego kufelka. Przytem młodszym, a nawet starszym panom z lewicy było bardzo przyjemnie, że ładne i mniej ładne próżniaczki wypełniające galeryę dla dam przeznaczoną, a dla których byłoby zdrowiej, gdyby w domu pełniły swe obowiązki żon i matek, podziwiały wielkich mówców wolności, ażeby się spełniło, co stary wikwintny Owidjusz śpiewał:

„Spectatum eunt, ut spectentur et ipsae.“

Jako gospodynie domu i dobre matki mogłyby zapewne więcej przysłużyć się ojczyźnie, aniżeli jako muchy parlamentarne. Miałyby tam mniej może świetne, ale pożyteczniejsze stanowisko, a pozostałoby im jeszcze dosyć czasu do zajęcia się rzeczami godnemi myślenia np.: czy godzi się i wypada patrjotkom niemieckim naśladować wszelką modę paryską? Niezawodnie należy to do najwstrętniejszych zjawisk drugiej połowy 19-go wieku, że kobiety bardzo płytkiego rozumu rozprawiają o najtrudniejszych zagadnieniach, i najważniejszych sprawach publicznych.

2.

Wybory do parlamentu przypadły w czasie, gdy po upadku huczku Hecker'a w południowo-zachodnich Niemczech wiódł rej liberalizm, a nikt mu nie śmiał zaprzeczać. Pomimo tego południowo-zachodnie Niemcy, oprócz przewodników liberalizmu, posłały do Frankfurtu znaczny zastęp demokratów z południo-zachodu, Saksonji, Turyngji, z niemieckich prowincji Austrji, z prowincji nadreńskich, i z różnych dzielnic północnych Niemiec i wschodu. Główny hufiec parlamentarny, zasiadający *w środku*, służył jak wiadomo pod chorągwią liberalną, i wysunął swe nieliczne forpoczty ku lewicy, liczniejsze ku prawicy, gdyż jak wiadomo, nigdy nie było bardziej rozciągliwego kauczuku jak kauczek liberalizmu. Najbardziej blademi figurami liberalizmu i niemieckiego patrjotyzmu z odcieniem junkiersko-parlamentarnym i mistyczno-absolutystycznym, byli jako figury typowe z jednej strony pan von Vinoke, z drugiej pan von Radowitz. Zresztą znajdowali się na prawicy mandaryni pruscy i austrjaccy o guzikach czarno-żółtych i czarno-białych, katoliccy i protestanccy Jezuici o długiej i krótkiej sutannie, brutalni wojskowi pobrzękujący szablą i uszczypliwi tłumacze „corpus juris," ultramontanie i pietyści, żyjący ze sobą po bratersku.

Na wyborach ukazał się wyraźnie pietyzm niemiecki; ale właśnie on najbardziej zaszkodził. Wszak wyborcy wypróżnili prawie kamerę narodowych notablów i osobliwości, i całą jej zawartość posłali do Frankfurtu. Wszak podrzędną było rzeczą, że tam było potrzeba ludzi czynnych, energicznych, a nie dobrze myślących starców, i zadowolonych ze siebie inwalidów. Wszak z tych wszystkich słynnych siwoszów, jeden tylko Uhland, zyskał wieniec w koście ś go Pawła, obok którego zasługują na wspomnienie jedynie jako czcigodni starcy o świeżem sercu i niewzruszonem męstwie; słynni obrońcy ludu: Itzsztein z Badenu, Schott ze Szwabii, i Mohr z Hesji. Bardzo przykry przedstawiał widok ojciec Jahn schlebiający obecnym w swym brudnym kołnierzu od koszuli i kokietowanie białogłowego ojca Arndta na drugiem posiedzeniu parlamentu. Wygłaszał on z mównicy oklepane komunały nie mające żadnego związku. Niemiłe zdziwienie przeszło po całem zgromadzeniu, a dla zapobieżenia przykrej demonstracji trzeba było przypomnieć, iż on to napisał: „Vaterslandlied“ nawiasem mówiąc, rzecz dosyć rozwlekłą i nudną. Ach jaka to bieda, gdy człowiek przeoczy, że czas jego już minął, oraz gdy pomimo sędziwego wieku, chce jeszcze odgrywać jakąś rolę w ojczyźnie, i coś dla niej uczynić, a nie wie, iż najlepiej byłoby, gdyby milczał.

Zgromadzenie narodowe przedstawiało pra-

wie wszystkie stany zamożne i oświecone. Byli tam książęta i rzemieślnicy, milionerzy i hołysze, fabrykanci, kupcy i gospodarze rolni, oficerzy i urzędnicy, prałaci, proboszcze wiejscy, literaci, adwokaci i 118 profesorów. Br! Br!

Br! mówili i mówią żartownisie, 118 profesorów „unusquisque cathedram suam posteriori affixam secum portans.“ Br! poraz trzeci! Wszakże to nie przeszkadza, ażeby nie powiedzieć tym żartownisiom, że nigdy może zgromadzenie parlamentarne nie skupiło w sobie tyle poważnej wiedzy i wiadomości, jak ten pierwszy niemiecki parlament, a mianowicie skupił w sobie tylko wskutek obecności tych 118 profesorów. Tylko „simplicius simplicissimus“ mógłby przypuścić; że tych 118 profesorów przybyło do Frankfurtu z nieczystemi zamiarami. Wszak nie można rzucić nawet cienia podejrzenia na takiego Dahlmann'a, który był niejako typem profesora, gdyż w każdym fibrze był synem swej ojczyzny i przyjacielem swego ludu.

A pomimo tego nie wyszłoby to na szkodę, gdyby ci wszyscy profesorowie parlamentu pozostali w domu wierni swoim badaniom naukowym. Gdyż do rozwiązania zadania, do jakiego powołani zostali przez wyborców nie dostawało im — (nieznaczna mniejszość nie może tu pójść w rachubę) — prawie wszystkiego! nieugiętości względem swych najwyższych i osobistej gotowości do ofiary z siebie, znajomości sposobu

myślenia ludu, jego uczucia, i szkód, jakie wyrządza błędny system polityczny i ekonomiczny, wreszcie zdolności praktycznej do odróżnienia rzeczy istotnych od przypadkowych, koniecznych od dowolnych. Bądź co bądź nie można rzucać na nich odpowiedzialności za wszystko, co uczynili niewłaściwego, gdyż wypłynęło to z ich doktryny stoczonej liberalizmem, oraz ze stanowiska, jakie zajmowali na świecie. Uczony niemiecki zwyczajnie należy do klasy niezamożnej i pospolicie postępuje za młodu drogą zasianą ostem i cierniami, i dopiero wówczas, gdy przeminie rzeźwość młodzieńcza, dochodzi do stanowiska, na którem o jutro troszczyć się nie potrzebuje. Potem żeni się, i jak czuły małżonek płodzi zwykle znaczną liczbę dzieci, które trzeba wychować odpowiednio do stanowiska, jakie zajmuje, ale żony uczonych zwykle są tego zdania, iż pani radczyni, albo pani tajna radczyni brzmi lepiej, aniżeli pani profesorowa. Jestto mała okoliczność, lecz złe języki twierdzą, iż niekiedy bywa bardzo wielka. Zatem w tych samych Niemczech, w których mówimy to na hańbę narodu, zbyt lekceważą pracę umysłową, wyjąwszy, gdy państwo ją opłaca; jest ta praca ze wszystkich prac najmniej wdzięczna, i najmniej korzystna. W tych Niemczech uczony, który z trudem dochrapał się urzędu i godności, w razie niezgodności jego poglądu z poglądem rządowym, i jego działalnością i wolą; naraża

swe stanowisko, urząd i godność, dobrobyt swej rodziny, i przyszłość swych dzieci. Czy zatem podobna, żeby w swej karjerze; w karjerze niemieckiego uczonego, mógł przyswoić sobie to niezbędne męstwo, tę siłę charakteru zdolną oprzeć się wszelkim przeciwnościom! Zaiste niemiecki filister, przypuściwszy nawet, że oburza się na zarozumiałość, i wyobrażenia niektórych profesorów, nie ma ani odrobiny słuszności, zowiąc uczonych ludźmi serwilnymi, pozbawionymi wszelkiego charakteru. Tak jest, cały lud niemiecki nie ma prawa tak sądzić uczonych, gdyż sam powinien okazać siłę charakteru, i gotowość do ofiar na większą skalę.

3.

17-go maja zebrali się w sali Römer, we Frankfurcie, członkowie zgromadzenia narodowego w liczbie 330, ale w ciągu tego dnia było już ich 550. Wyborem prezydenta kierował stary Schott, jeden z najpoczciwszych ludzi, a ponieważ 73-ch letni bawarczyk Behr, prześladowany przez bawarskiego króla, znawcę i śpiewaka Loli, Ludwika, zrzekł się zaszczytu przewodniczenia, obrano prezesem 70-letniego hanowerczyka Lang, który poprowadził całe zgromadzenie z gołemi głowami z Römeru, przez górę Römer i przez Neue Kräme do kościoła ś-go Pawła.

Był teraz czynny cały aparat, jakiego zwykle używają w podobnych sprawach państwowych, zatem: bicie w dzwony, salwy armatnie, wieńce, powiewanie chorągwiami, chustkami, i okrzyki nawet, jak zwyczajnie. Wśród tysiąców, jakie się o tej godzinie pełnej radości i nadziei, ukazały na ulicach Frankfurtu, nikt zapewne nie przypuszczał, że wszystkie te wzniosłe nadzieje 18-go maja, zakończą się haniebnym 18-ym czerwcem roku 1849-go, gdy marcowe ministerjum ostatnich mężów wiernych złożonej przysiędze kazało w Stutgardzie rozpędzić ułanom.

Nie ulega wątpliwości, że w tym orszaku, idącym z Römer do kościoła ś-go Pawła znajdowało się wielu najlepszych mężów, będących zaszczytem narodu, ale wśród nich było i wielu najgorszych, za których wstydzić się musiał. W tej godzinie jednak liczba dobrych, przewyższała liczbę złych. Już to samo było wielkiem wydarzeniem, że poraz pierwszy, od kiedy istniała nazwa Niemców, zebrali się przedstawiciele całego narodu, mający się naradzać nad losami Niemiec. Był to tak wzniosły widok, że nawet najpospolitsze dusze nie mogły się oprzeć jego wrażeniu. Pewną jest rzeczą jednak, że głębiej przewidujący absolutyści odrazu poznali, iż parlament może im posłużyć za narzędzie, przy pomocy którego, będą mogli powstrzymać ruch niemiecki i ostatecznie wstecz cofnąć. Lecz pod-

czas zagajenia sejmu nie przyszło na myśl najbardziej zatwardziałemu naczelnikowi biura, a nawet Kettelerowi, i zacofanemu partykularyście, oraz stronnikowi ludu, ba nawet panu von Schmerling, żeby przyczynić się do tego, iżby najpiękniejsze nadzieje narodu zamieniły się na jego zgubę. Gdy poczęto rozprawiać, gdy jasnem było, że większa część zgromadzenia nie pojmowała swego zadania, i pojąć nie chciała, wciąż wahała się; raz była śmiała teoretycznie. to znów, gdy przyszło do praktyki, obawiała się swego cienia; raz chciała władzy; to znów publicznie niemoc swą wyznawała; wówczas wstecznictwo użyło maszyny parlamentarnej z zamiarem i świadomością, ażeby nią kierować na swą korzyść i w swoim interesie. Wstecznictwo umiało wkrótce zrobić z parlamentu, to co w grze młynka zowie się rozsuwanym młynkiem, t. j. sparaliżowało postęp ruchu w pojedyńczych państwach przez parlament; a postęp parlamentu, przez rządy pojedyńczych państw. Namawiało demokratów, iżby w pojedyńczych państwach wywarli nacisk na rządy, ażeby te wprowadziły w życie zdobycze marcowe, i starą, zużytą organizacją zastąpiły nową. Tak np. marcowe marjonetki ministerjalne tłumaczyły reakcji: „Nie można tak postępować, trzeba zaczekać dopóki parlament nie ukończy głównych zarysów konstytucji niemieckiej, w której będą mogły się pomieścić konstytucje i urządzenia

pojedyńczych państw niemieckich. Gdy zaś demokracja wywierała nacisk w parlamencie na większość, ażeby ukończono główne zarysy konstytucji rzeszy, odpowiadano: „Tak, ale tego nie można; rządy pojedyńczych państw stawiają nam zbyt wiele przeszkód. Na tem upływał czas, a każdy dzień strwoniony na niczem, przynosił tylko korzyść wewnętrznym, i zewnętrznym nieprzyjaciołom Niemiec; zatem rozsuwany młynek działał wybornie.

4.

Pierwsze posiedzenie parlamentu wskutek podeszłego wieku prezesa zeszło tak hałaśliwie, iż przypominało frankfurcką szkołę żydowską dawnej daty. Nie należy wszakże zbyt surowo sądzić późniejszych nader zgiełkliwych narad parlamentu, gdzie bowiem Niemcy mogli byli się nauczyć szyku i taktu parlamentarnego? Wszak i tak biedni od kilku stuleci musieli chodzić z ustami zamkniętemi na rygle. Cóż dziwnego, że teraz, gdy te rygle odsunięto, każdy uważał za swój obowiązek mówić, jak się podobało, śpiewać lub gwizdać zależnie od budowy ust swoich.

Pobożny biskup Müller z Monasteru wniósł, ażeby przed rozpoczęciem czynności, zanieść modły do Boga, opierając się na orzeczeniu pisma

Świętego: „Jeśli Pan nie zbuduje domu, to budowniczowie napróżno go budują“. Mniej pobożny Franciszek Raveaux z Kolonji pokonywał ten wniosek słowy: „I ja przytoczę znane orzeczenie: „Dopomóż sam sobie, a Bóg ci dopomoże.“ Jak wiadomo burżuazja nie jest szczególnie pobożna, lecz udaje pobożną, gdy to zgadza się z jej interesami. Większość parlamentu była wyrazem burżuazji, podzielała zdanie Raveaux i pominęła wniosek biskupi. Wszak łut niewiary i funt niekościelności stanowią część „wykształcenia“ tak też myślał liberalizm.

Wkrótce tak mocno odczuto potrzebę silniejszego kierowania parlamentem, że już dnia następnego przystąpiono do wyboru rzeczywistego prezydenta. Na tę godność obrano 305 głosami na 397 barona Henryka von Gagern, który zaraz oznajmił, iż dla tej godności zrzecze się swego darmsztacko-hesskiego ministerstwa. Wybrany był nietylko najbardziej poważnym człowiekiem w zgromadzeniu, lecz i najodpowiedniejszym na przewodniczącego. Jego następcą został pan von Soiron, który za zerwanie z republikanizmem, zasługiwał na wynagrodzenie. Pan von Gagern przy objęciu swego urzędu, wygłosił mowę, która pod względem historycznym, pozostanie osobliwością, ponieważ ten dokument przekonywa, że liberalizm niemoralną swą zabawkę ze zwierzchnictwem ludu, który już potajemnie zdradził, i którego się zaparł pu-

blicznie dalej jeszcze prowadził; powtóre, że niejasny, nielogiczny liberalizm sądził, iż zasadę zwierzchnictwa będzie można pogodzić z zasadą porozumienia się z rządami, a przynajmniej udawał, iż uważa, że według niego nastąpić to może, gdyż powiedział pod koniec swej mowy: „Mamy do rozwiązania jedno z największych zadań; mamy utworzyć konstytucję dla Niemiec, dla całej Rzeszy. „Powołanie“ i „pełnomocnictwo do tego działania“ opierają się na „zwierzchnictwie ludu“. Trudność tę złożono w nasze ręce. Słusznie przeczuwał wstępny parlament trudność porozumienia się rządów i dlatego nadał nam charakter „konstytuandy“. Niemcy chcą stanowić jedno państwo, państwo którem rządzi wola ludu, przy współdziałaniu wszystkich panujących. Otrzymanie tego współdziałania rządów państw pojedyńczych jest zadaniem tego zgromadzenia.“

Zatem znów dawna piosnka: chcemy zasady zwierzchnictwa ludu, lecz chcemy także zasady porozumienia się z rządami. Jeśli lud miał mieć zwierzchnią władzę, to na co przydało się mandatarjuszom ludu współdziałanie „rządów państw pojedyńczych“, to znaczy panujących? Jeśli zaś wola ludu zależała, że tak powiemy, od przyzwolenia na nią panujących, to jak można było mówić o zwierzchnictwie ludu? Wszak nie można było uważać pana Gagern'a i jego stronników za tak naiwnych, żeby na serjo wierzyli,

iż wielbłąd namydlony politycznie, da się przeciągnąć przez ucho od igły tej sprzeczności. Zaiste nie myśleli o tem, i tego się nie spodziewali, lecz chcieli przedewszystkiem zyskać na czasie, chcieli, żeby najprzód spłynęły ostatnie fale marcowej powodzi, a tymczasem dopomagali sobie frazesami. Wszak znali potęgę frazesu; wiedzieli, że najniejaśniejszy poprostu bezsensowy frazes posiada największą powagę u ludzi, gdy wskutek ustawicznego powtarzania stanie się zdawkową monetą w obiegu u wszystkich, a przynajmniej u bardzo wielu. Rzeczywiście w zupełności to się im udało. Ale jeśli tak, to nie powinniby oskarżać swych przeciwników demokratów o to, że chodzą po obłokach; gdyż demokraci mogliby odpowiedzieć liberalizmowi, że jest połowiczny oraz, że podobnie stąpa po obłokach, i zastawić się przed nim cytatą Göthego:

„Kennst du den Weg und seinen Wolkensteg?
Das Maulthier sucht im Nebel seinen Weg?.....

5.

„Najlepszą polityką jest polityka najpoczciwsza.“ To jedno z tych twierdzeń, które zawsze pozostanie świeże, błyszczące, niezabrukane, gdyż leży w magazynie moralności pod kloszem szkla-

nym, albowiem nikt go nie używa. W danej okoliczności politycy wszelkich stronnictw wskazują na tę sztukę niezabrukaną; wszakże nikt jej z pod klosza nie wyjmuje.

Ze strony liberalizującej większości zgromadzenia narodowego najpoczciwszą, zatem najlepszą polityką byłoby, gdyby zamiast mglistego, niejasnego określenia kompetencji parlamentu, jaką dał pan von Gagern w mowie zagajającej, postawił ściśle oznaczony program działania: Nie możemy, i nie chcemy nic uczynić bez porozumienia się z panującymi. Trony pozostały; przeto musimy się o nie oprzeć, inaczej będziemy bujali w powietrzu. Dlatego nasze zgromadzenie nie jest wcale konstytuandą, lecz tylko zgromadzeniem naradzającem się, a co najwyżej postanawiającem. Właściwie zatem ten frazes o zwierzchnictwie ludu lub narodu, należy raz na zawsze odsunąć i to jaknajprędzej, a tym sposobem postawić trwały grunt i podmurowanie, na którem wznosić się ma niemiecka konstytucja. Zatem porozumienie się z panującymi będzie punktem wyjścia naszych narad. Jeśli tego nie uczynimy, to jeszcze raz budować będziemy w obłokach. Nie zrobili jednak tego, zatem zbudowali znów coś bardzo niepraktycznego.

I lewicy nie można zupełnie uwolnić od zarzutu mglistości i bujania w powietrzu. Tak z lewicy, jak i z prawicy postępowali jednakowo. Uważali, że nieco dyplomacji, to znaczy nie-

poczciwości należy do niezbędnego bagażu *polityki*. Dyplomacja lewicy polegała na tem, że udawała, jakgdyby wierzyła we frazes zwierzchnictwa ludu, jak we fakt nieomylny, z którego należało wyciągnąć konsekwencje, leżące w jego naturze, a powtóre dlatego, że korzystała ze wszelkiej sposobności, ażeby osiągnąć, idąc po manowcach to, czego nie można było osiągnąć, idąc prostym gościńcem, to znaczy, że chciała parlament — ciało poprostu naradzające się zamienić na zgromadzenie wykonawcze, konwent nietylko dekretujący nową ustawę Niemiec, lecz dozorujący jej wykonanie, albowiem wyraz konwent najlepiej określa ich dążenia. Stąd pochodziło usiłowanie lewicy, żeby zrobić ze zgromadzenia Narodowego nietylko potęgę słowną, lecz i czynną, która zdolna byłaby swoim postanowieniom nadać niezbędny nacisk materjalny. Naturalnie wszystkie usiłowania do utworzenia wojska parlamentarnego, zorganizowania rzeczywistej, a nie malowanej obrony ludu; wszystkie te dążenia lewicy do wzmiankowanego celu spełzły na niczem z powodu niewolniczości i tchórzostwa większości liberalnej. Tacy mężowie, jak pan von Vincke et consortes wołali szyderczo do zgromadzenia narodowego, ilokroć to chciało wystąpić z jakiemś innem postanowieniem: „Wszak nie macie siły egzekucyjnej!“ Wszakże ci Vinckowie i cała banda mniej lub więcej udających liberałów, panów *von* i nie *von*

należeli do tych, którzy z prawdziwym fanatyzmem pozbawiali parlament wszelkiej możliwości utworzenia siły wykonawczej...

Już pierwsze posiedzenia zgromadzenia podały stronnictwom liczną sposobność do zmierzenia sił swoich. Tak, gdy pułkownik Zitz z Moguncji opowiadał o krwawej burdzie, jaka 21-go maja nastąpiła pomiędzy gwardją obywatelską a pruską załogą, i wniósł o wydanie rezolucji, która zwracała się bezpośrednio przeciwko pruskiemu gubernatorowi twierdzy związkowej, a pośrednio przeciw militaryzmowi wogóle;—większość wietrzyła zaraz w tym wniosku chęć zaprowadzenia konwentu, i postanowiła przejść do porządku dziennego. W tych rozprawach wszedł poraz pierwszy na scenę parlamentarną aktor, który odtąd, jako prawdziwy wartogłów, skory każdej chwili do walki z prawicą wiele sprawiał hałasu w kościele św. Pawła. Był nim książe Feliks Lichnowski, dwuznacznej pamięci od 19-go marca berlińskiego — aktor, którego zniknięcie ze sceny parlamentu i ze sceny świata miało stać się jednym z najbardziej opłakanych epizodów roku 1848-go; nie z powodu osobistości księcia [1]) lecz, że jego za-

[1]) Najsurowiej ocenili księcia Lichnowskiego nie jego przeciwnicy demokratyczni, lecz jego koledzy: pan Aleksander von Sternberg (Erinnerungsblätter II—138). Kto odwiedzał w Berlinie hrabinę Hahn po roku 40-ym, znajdował tam

mordowanie przez wściekły motłoch dostarczyło wstecznictwu pożądanego powodu do zagrożenia chwiejnym filistrom nowem straszydłem, ponieważ zabójstwo bez względu na wszelkie okoliczności jest zabójstwem, to znaczy obrzydliwym bestjalskim czynem.

Przed debatami nad mogunckiemi wydarzeniami, 19-go maja, na wniosek Raveaux rozprawiano o pytaniu, które dotknęło słabej strony parlamentu, to znaczy o jego niejasnem, niedostatecznie określonem stanowisku, kompetencji, i fikcji jego zwierzchnictwa, pomimo tego, że co chwila napotykał on faktyczną siłę partykula-

---

zwykle nieznośnego gbura, księcia Lichnowskiego. Książe ten nie miał wówczas jeszcze żadnego znaczenia, lubo starał się wszelkiemi siłami, ażeby o nim mówiono. Z początku uważał za najwłaściwszy środek do dopięcia tego celu swe zuchwałe, grubjańskie występowanie. Mężczyźni prawie w inny sposób rozmówić się z nim nie mogli, jak końcem szpady lub pistoletami, dlatego też kobiety wogóle go unikały; zawsze były dla niego nieobecne; wszakże nie zawsze się to udawało. Często odpychał służących i przemocą wchodził do pokoju. Zuchwały i bezczelny w wyrazach, był takim samym w giestach i ruchu. Doświadczył on już tego wszystkiego, co zowią wyższemi i nie wyższemi występkami. Młode, czerstwe jego ciało znosiło to wszystko bez wielkiej szkody. Nie tak dobrze powodziło się jego workowi; wypróżnił go zupełnie, wskutek czego był bardzo pociągającą osobą dla swych wierzycieli. Tak daleko już zaszło, że miał zostać przykutym Prometeuszem, aliści dla zaradzenia temu, zawiązał stosunki z pewną boginią (starą, bogatą utrzymanką).

ryzmu. Raveaux żądał, ażeby postanowiono, że niemiecki parlament nie ma zajmować się konstytucjami pojedyńczych państw, zanim nie ukończy ustawy całego państwa niemieckiego. Myśl ta praktyczna miała odrazu usunąć sprzeczności zajść mogące pomiędzy ustawą całych Niemiec, a ustawami pojedyńczych państw. Konsekwencje tego wniosku były jeszcze znacznie donioślejsze. Zamierzał on wywołać uroczyste oznajmienie, iż parlament uznaje postanowienia wydane przez wstępny parlament: „Że zatem obradowanie nad przyszłą konstytucją Niemiec, i ostateczne o niej postanowienie przysługuje jedynie zgromadzeniu narodowemu wybranemu przez lud“. Lewica mniemała, że tym sposobem usunie zasadę porozumienia się z panującymi; wszakże nie zdołała przeprowadzić tego wniosku. Z prawicy mówili pan von Vincke i jego towarzysze, iż są pewni, że wszystkie niemieckie państwa przystaną na podporządkowanie partykularnych ustaw pod ustawę narodową. Przecież całe dzieje Niemiec okazały, jak „niesłuszne“ było takie zaufanie. Nieświadomy tylko chłopiec mógłby mówić „o takiem zaufaniu“ junkra westfalskiego — ale było jeszcze co innego, mianowicie list odmowny pruskiego partykularyzmu, nie uznający zasady „zwierzchnictwa narodowego“. Być to może, a nawet jest bardzo prawdopodobne, gdyż Raveaux postawił swój wniosek dla za-

bezpieczenia się od chytrości Kampfhausen'a i kompanji, którzy chcieli niezależnie od zgromadzenia narodowego niemieckiego, zasiadającego we Frankfurcie, utworzyć pruskie „Zgromadzenie Narodowe“ w Berlinie. Wszakże prawica tak bezczelnie dała poznać przez swoich mówców swe wsteczne uczucia wogóle, a w szczególności junkierskie, pruskie zachcianki, iż nie mogła również przeprowadzić wniosku, ażeby przejść do porządku dziennego. Występowała wogóle w tak wstecznym kierunku, że sejm obobsypał oklaskami Roberta Bluma, który zmiażdżył na proch argumenty tych mówców. Ostatecznie przyjęto jeden z tych wniosków pośredniczących, które nigdy jeszcze nie wyprały futra, gdyż nie ośmielały się go zwilgocić. Wniosek ten był następny: „Zgromadzenie narodowe ogłasza, że wszelkie postanowienia pojedyńczych niemieckich konstytucji, które nie zgadzałyby się z ogólną opracowywaną konstytucją powinny być przyjęte o tyle, o ile się z nią zgadzają, bez względu, iż były dotąd uważane za obowiązujące.

Liberalni obchodzili głosowanie nad nim 27-go maja wieczorem w swoich klubach odkorkowaniem mnóstwa butelek wina reńskiego i szampańskiego, jakgdyby odnieśli świetne zwycięstwo! I słusznie. — Wszak uratowali fikcję zwierzchnictwa parlamentu, i wzbogacili świat jednym frazesem. Wszakże, jeśli to sądzić bę-

dziemy, nie ze stanowiska najlepszych i najzacniejszych mężów, to uznamy, że ta uroczystość nie powinna była dawać powodu do pękania tylu butelek, i innych objawów radości, lecz raczej stwierdziła mniemanie, że kościół św. Pawła jest prawdziwą budą gadulstwa, i nigdy czem innem nie będzie.

Mówiąc prawdę, 27-go maja parlament powinien był postanowić jedno z dwojga, czego później nie mógł był już uczynić. Albo uznać rzetelnie zasadę porozumienia, i otwarcie ogłosić, zatem zrobić to, co tylko było można, ażeby przynajmniej z najpotężniejszemi rządami niemieckiemi dojść do ścisłego, rzetelnego i stałego porozumienia. Drugiem *albo* było, nie zważając na panujących, którzy jeszcze przez czas długi nie powrócili do dawnego, swego znaczenia, podać szczerze, i otwarcie rękę ludowi, puścić w pełen bieg ruch narodowy, i podnieść do takiego natężenia, żeby wobec konstytucji niemieckiej mógł się oprzeć wszelkiemu oporowi dynastycznemu i partykularnemu.

Parlament w większości swej był zbyt liberalny, to znaczy zbyt zarozumiały, żeby mógł zdecydować się na jedno *albo*, a zbyt liberalny, to znaczy tchórzliwy na drugie *albo*.

Zatem muł stąpał wciąż dalej po ścieżce w chmurach.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

6.

Jeśli w rozprawach 25 i 27-go maja rozłam stronniczy pokazał już swe najciemniejsze przepaści, to znów podczas rozpraw nad utworzeniem niemieckiej floty wojennej, której brak wykazała niedawno tak dotkliwie wojna z Danją, przepaść się zamknęła. Zgromadzenie powstało odrazu prawie jednomyślnie, i zgodziło się na udzielenie na początek 6 miljonów talarów. Poczem energicznie wzięto się do dzieła, które pomyślnie się rozwijało, ale, jak wiadomo, smutnie się zakończyło. Nawet zazdrosna Anglja nie dopuściłaby się tak okrutnego szyderstwa, ażeby zaledwie zbudowane, uzbrojone okręty wojenne, z których masztów poraz pierwszy powiewała flaga czarno - czerwono - złota tak shańbić, jak związek Rzeszy przebudzony z letargu przez Prusy i Austrję, oddawszy je pod młotek licytacyjny pana Hanibala Fischera. Że ludność niemiecka przyjęła spokojnie ten żart sromotny, przekonywało to zupełnie stanowczo, iż już nic takiego nie podobna było wymyślić, na coby się nie zgodził ten naród, gdyby tylko jego dziedziczni panujący tego zażądali.

Już w 5 dni, po 14-ym czerwca, w którym tak jednomyślnie zgodzono się na flotę, otworzyła się dawna przepaść w całej swej szerokości, głębokości i brzydocie, mianowicie, gdy

19-go czerwca postanowiono utworzyć tymczasową władzę wykonawczą Rzeszy, albo jak nazywano tę rzecz, gdy przyszła na porządek dzienny „Tymczasową władzę centralną“. Kluby miały już wówczas wielkie, stanowcze znaczenie, a rozprawy w kościele św. Pawła były już tylko echem poprzednich debat klubowych. Lewica pod kierownictwem Bluma, a po jego zamordowaniu, pod kierownictwem Vogta, założyła swą główną kwaterę w restauracji: „Deutscher Hof“. Odgałęzienie tego stronnictwa, tak zwana krańcowa lewica zasiadała w Donnersberg. Przewodniczył jej najprzód Ruge, później Simon. Cechą odróżniającą obie frakcje było, że zasiadający w Deutscher Hof wprawdzie przyznawali się do rzeczypospolitej w przyszłości, obecnie jednak zadawalali się „Monarchją demokratyczną“, — ale pod tą nazwą każdy mógł sobie wyobrażać, lub nie wyobrażać, co chciał; gdy przeciwnie zasiadający w Donnersbergu żądali przekształcenia Niemiec na *federacyjną rzeczpospolitą*. Rozgałęzienie lewicy w prawą stronę, tak zwana umiarkowana lewica, której przywódcami byli: Raveaux, Henryk Simon i Schoder przebywał w Westendhall. A bardziej jeszcze nieco na prawo zasiadał klub w „Wirtemberger Hof“, gdzie rej wodzili Riesser, Robert Mohl, Biedermann, Herrmann, Giskra i Kirchgessner. Ta frakcja lewego centrum zgadzała się we wszystkich głównych pytaniach z frak-

cją prawego centrum, a oba centra razem stanowiły znaczną większość.

Panowie z prawego centrum, których mieszkaniem klubowem było *Kasino*, posłuszni byli swemu głównemu, doktrynerowi, najwyższemu profesorowi Dahlmann'owi, któremu w roli adjutantów dopomagali: Stenzel, Drojsen, Waitz, Beseler i inni. Najczynniejszymi w nim byli: Mathy, Bassarmann i Jürgens. Kasyno było miejscem urodzenia, i stało się właściwą ojczyzną bardzo osławionego profesorstwa rzeszy, odmianą rodzaju „homo," o której nie marzył ani Buffon, ani Blumenthal. Profesor rzeszy, było to dwunożne zwierzę, nienależycie dotąd zdefiniowane pod względem zoologicznym. Na teraz jest on tylko zdefiniowany poetycznie [1]).

Frakcja Kasyna, do której zaliczał się także pan von Schmerling stała tymczasowo w zażyłych stosunkach z klubem specyficznym prawicy, która najprzód zasiadała w „Hirschgraben," potem w „Steinernen Haus," wreszcie w „Kaffee Milani." Mówcami, których słuchano jak wyroczni, byli tu pan von Radowitz i pan von Vincke. Rozwielmożniło się tu junkierstwo pruskie, tu oddali sobie wzajemnie pocałunek

---

[1]) Mianowicie przez zbyt wcześnie zgasłego, złożonego w grobie amerykanina Reinholda Solgers „Reichs professor" autora najlepszej dotąd politycznej komedji, jaką posiada literatura niemiecka.

seraficzny: jezuityzm południowo-niemiecki, i pietyzm północno-niemiecki. Tu podał rękę do zgody ultramontanin Lassaulxe procentowiczowi Merckiemu. Klub „Milani“ miał także swego, nadwornego błazna, takiego błazna, któremu równego nigdzie byś nie znalazł, garbatego Detmolda z Hanoweru, najwstrętniejszego warchoła owych czasów. Był on dowcipnym autorem „przygód pana Pipmajera.“ Wogóle parlament przysporzył i spożył wiele dowcipu i humoru, może nawet zbyt wiele. Obie strony ustawicznie kreśliły karykatury, pisały ironiczne wiersze, dowcipy, na co zużyto wiele talentu i czasu.

Oprócz *Pipmajera* zasługują na wzmianką pochodzące z prawicy „Epistolae novae virorum obscurorum,“ a z lewej „Epistolae virorum dextrorum,“ i kronika rymowana księdza Maurycjusza.

7.

Ponieważ zgromadzenie narodowe nie chciało posiadać władzy wykonawczej, przeto trzeba było otworzyć organ, któryby takową przedstawiał. Ta sama władza centralna tymczasowa miała objąć wojskowość, i reprezentować całe Niemcy wobec zagranicy.

Rozważano już tę sprawę w komitecie 50, i tam wszedł na stół projekt tak zwanego

„Stryjostwa.“ Miano zatem utworzyć dyrektorium rzeszy, składające się z książąt: austrjackiego, pruskiego i bawarskiego: arcyksięcia Jana, księcia Wilhelma i księcia Karola, z których pierwszy był stryjem cesarza austrjackiego, drugi stryjem króla bawarskiego. Stąd wszystkich razem zwano „Trzema stryjami.“ Po zebraniu się parlamentu wstecznicy tak zwanej surowej reguły, chcieli utrzymać sejm rzeszy z tymczasową władzą wykonawczą; wszakże nie wypadało tego uczynić, gdyż sejm rzeszy nie posiadał miru u liberałów, a tymbardziej u demokratów.

Trzeciego czerwca wybrał parlament komitet 15-tu, który miał zdać sprawę o 16-tu wnioskach dotyczących urządzenia tymczasowej władzy centralnej—później przybyły jeszcze 23-y wnioski—zatem miał wszystkie rozpatrzyć, i ogłosić o nich sprawozdanie. Początek rozpraw naznaczono na dzień 17-ty czerwca, bezzwłocznie też zapisało się 189 a nawet 223 mówców. Jeśli grunt ś-go Pawła był i pozostał bezpłodny, to bądź co bądź, nie można tego rzucać na karb braku pracowników.

Tymczasem pan von Vincke trafił w samo sedno, gdy już na kilka dni przed rozpoczęciem się rozpraw, żądał, ażeby starannie splątany węzeł rozpraw przeciąć jednym zamachem, gdy już 31-go maja w klubie „Hirschgraben“ wnosił, ażeby ten na czele swego programu zamie-

ścił „konieczność“ przeniesienia na Prusy dziedzicznego cesarstwa [1]). Zaiste takie rozwiązanie uważane z punktu monarchicznego było bezwątpienia najwłaściwsze. Wszak w umysłach większości zgromadzenia narodowego, ostatnim celem i dążnością było Cesarstwo pruskie, a z przeniesieniem natychmiastowem centralnej władzy niemieckiej w dom Hohenzollern, uniknęłoby się tego pod każdym względem niewłaściwego zawiadywania państwem przez Jana bez ziemi. Wielkie jednak zachodzi pytanie, czy przyjętoby ten projekt? Na to pytanie trudno odpowiedzieć zarówno twierdząco jak przecząco w owym czasie, gdy uroczyste ogłoszenie Fryderyka Wilhelma IV-go, że chce stanąć na czele Niemiec, i że Prusy znikną w Niemczech jeszcze tak było nowe, tak świeże, i zawróciło głowy wszystkim liberałom całkowitym i częściowym. Wszyscy oni byli pełni ufności, i że tak powiem, chorowali na delirium bojaźni monarchicznej. Jedno z przysłów dosyć powszechnych mówi: „Bis dat, qui cito dat,“ według wszelkiego prawdopodobieństwa korona, którą w kwietniu w 1849 odrzucono w Berlinie, w 1848-ym w maju albo czerwcu byłaby zapewne przyjęta wraz ze słynną kroplą „demokratycznego balzamu“ Uhlande przy niej zawisłą.

Wszakże panu Vincke udało się to tak, jak

[1]) Raumer: Briefe aus Frankfurt und Paris I—37.

często się zdarza przywódzcom stronnictw. Zaproponuj niedorzeczność bezcelową, poprostu głupstwo, a możesz być pewny, 99 razy na 100, że stronnicy twoi się zgodzą ale jeśli żądasz rzeczy rozsądnej, słusznej, odpowiedniej celowi, to zapewne na 10 razy — 9 razy nie przejdziesz ze swą propozycją, lub pośredniemi drogami będziesz musiał dążyć do celu. Nawet najposłuszniejsi giermkowie westfalskiego rycerza uważali jego wniosek za niemożliwy, niegodny przedstawienia, nie mogło być zatem mowy o jego przyjęciu. Prawda, że nawet sami czarno-biali drżący węgorze à la Fryderyk von Raumer, uważali jak sam R. opowiada: „Przeniesienie Cesarstwa na Prusy wobec krążących poglądów było niepodobieństwem. Zrazu jednak zdawało się, że żądanie to było zupełnie słuszne. Prawda, że gdy naiwny pomorzanin, pan Braun z Köslina wniósł 18-go czerwca w kościele ś-go Pawła, żeby Prusom powierzono tymczasową władzę centralną, całe zgromadzenie głośnem parskęło śmiechem, tak głośnem, że sam nawet wnioskodawca musiał roześmiać się tak głośno. że aż w Potsdamie usłyszano echo tego śmiechu. W Potsdamie dobrze to zanotowano, i podkreślono trzy razy czerwonym atramentem. Wskutek tego, następnego roku, 3-go kwietnia. gdy deputacja parlamentu poniosła cesarką koronę do zamku berlińskiego, Fryderyk Wilhelm IV za ten śmiech w kościele ś-go Pawła srogo się zemścił.

Lecz pomimo tego, nie przestaje być prawdą, że dla konserwatywnych i liberalnych stronników Cesarstwa, najpoczciwszą, zatem i najlepszą byłoby polityką, gdyby w maju lub czerwcu 1848-go zapisali otwarcie na swej chorągwi: Cesarstwo pruskie. Któż na Styksa, i z czem by wystąpił przeciw tej cesarskiej koronie, gdyby król zgodził się i powiedział: Amen. Może Austrja? Ta dogorywała. Rosja? Ta nie myślała o tem. Francja? Ta miała pełno roboty, przygotowując się do rzezi czerwcowej w swoim własnym kraju. Anglia? Tak, gdyby grubjańskie artykuły Times'a były mieczami. Książęta niemieccy? Ach ci byliby zadowoleni, gdyby pruski cesarz zasłonił swoim płaszczem ich listy cywilne, ich dobra i apanaże. Niemiecka demokracja? Wobec armat i bagnetów wyrazy są tylko wyrazami. Lud niemiecki? Ten nigdy nie miał swej woli, lecz tylko „pobożne życzenia," a gdyby mu zakomenderowano z pewnym taktem, wydałby okrzyki radości na cześć swego cesarza, wyprzągłby jego konie, jak Tyrolczykowie wyprzęgli swemu cesarzowi. A gdyby Fryderyk Wilhelm IV zgodził się w maju, albo w czerwcu i powiedział amen na wybór parlamentu? Odpowiedź na to podaje list króla datowany z 13-go grudnia 1848-go, zatem z epoki, gdy jego obiór na cesarza Niemiec uznała większość w kościele ś-go Pawła. Jestto list do Bunsen'a, który 6-go grudnia doradzał królowi

przyjęcie korony cesarskiej. Fryderyk Wilhelm tak pisał do swego powiernika: „Rozumiem pana i pańskie argumenty, lecz pan nie rozumie moich, inaczej nie mógłbyś tak pisać; a ogromnych przeszkód, jakie stoją pomiędzy mną, a *koroną cesarską*, nie nazwałbyś lekkimi, i dającymi się łatwo usunąć. Pan mówi (dosłownie jak pan Gagern mi zakomunikował 26 i 27 przed południem), pan żąda zgody panujących? Rzecz to słuszna, ta niezawodnie nastąpi.“

Ależ mój najdroższy przyjacielu w tem właśnie sęk (da liegt der Hund begraben) nie chcę ani *zgody* panujących, ani *korony*. Czy rozumie pan wyrazy podkreślone? Postaram się rzucić na to światło, o ile można krótko i jasno. Najprzód ta *korona* nie jest taką koroną, jakąby mógł nosić Hohenzollern, *gdyby* okoliczności uczyniły to *możliwem*, nie jest taką koroną, choćby nawet panujący zgodzili się na nią, gdyż pochodziłaby przecie z władzy zgromadzenia wyrosłego z nasienia rewolucyjnego (dans le genre de la couronne des pavées de Louis Philippe). Koronę, którą nosili Ottonowie, Hohensztaufowie, Habsburgowie, może oczywiście nosić także Hohenzollern, zaszczyca ona go dostatecznie tysiącoletnią świetnością. Lecz ta, o której pan myśli bezcześci ogromnie swą podłą wonią rewolucji z roku 1849-go, najgłupszego, najniedorzeczniejszego, najgorszego, lubo dzięki Bogu nie najzłośliwszego tego wieku.

Czy taką obrączkę wypaloną z błota i gliny ma pozwolić sobie włożyć na głowę prawowity król i to jeszcze król pruski z łaski Bożej, który cieszy się tą wyższością, że nosi jeśli nie najstarszą, to najzacniejszą koroną, nikomu nie skradzioną. Mówię poprostu, że jeśli tysiącoletnia korona narodu niemieckiego, która spoczywała przez 42 lata ma znów uwieńczyć głowę; ofiarować ją mogę tylko ja, lub moi równi. Biada bowiem temu, kto rości pretensje do tego, co do niego nie należy“ [1]).

Tak czuł, myślał i pisał Fryderyk Wilhelm IV-ty, i takiego króla, który tak czuł, myślał i pisał *politycy* kościoła ś-go Pawła spodziewali się nakłonić do włożenia na swe skronie *korony wypalonej z błota i gliny*. Tak niedorzecznym mógł być tylko liberalizm państwowy!

8.

Większość komisji 15-tu sformułowała wniosek. Mianowane być ma dyrektorjum związku złożone z trzech osób, które prowadzić będzie wszystkie wspólne sprawy narodu. Rządy nie-

---

[1]) Briefwechsel Friedrich mit Bunsen S. 233 und folgende.

mieckie wskażą tych trzech członków, którzy po otrzymaniu przyzwolenia zgromadzenia narodowego (nie mającego się naradzać nad wybranemi osobistościami) zostaną mianowani. Dyrektorjum związku wykonywa najwyższą władzę za pośrednictwem ministrów odpowiedzialnych wobec zgromadzenia narodowego [1]). Urzędowanie jego kończy się z doprowadzeniem do kresu niemieckiej konstytucji, której jednak opracować nie ma prawa.

Obie frakcje lewicy w komitecie 15-tu przedstawiali tylko Blum i Adolf von Trütschler. Obaj byli Saksończykami i obaj przeznaczeni do położenia głowy za demokrację; pierwszy proletarjusz i robotnik z urodzenia, drugi szlachcic i milioner; obaj wiernie umarli za swe przekonania, a tylko nędznicy dworscy liberalni, a nie mężowie piastujący jakiekolwiek stanowisko politycznie ośmielają się zaprzeczyć im sławy męczeńskiej. Blum i Trütschler zastosowali do

---

[1]) „Odpowiedzialność ministrów“ jest także jednym z tych koni paradjerów konstytucjonalizmu, które po bliższem przyjrzeniu się podobne są do zwyczajnych osłów. Gdzie i kiedy frazes „odpowiedzialność ministrów“ stał się rzeczywistością w systemacie konstytucyjnym? Gdzie i kiedy nieodpowiedzialność monarchy nie uczyniła iluzyjną odpowiedzialności ministrów? Prawda, że Strafford w 1641, a Polignac w 1830 zostali pociągnięci do odpowiedzialności i kary; ale czy to uczynił konstytucjonalizm? Nie — rewolucja.

praktyki teorję zwierzchnictwa zgromadzenia narodowego, jako organu zwierzchnictwa ludu, i dlatego wnieśli poprawkę mniejszości: „zgromadzenie narodowe konstytucyjne“ wybiera absolutną większością głosów jednego ze swych członków na starszego komitetu wykonawczego. Ten *starszy* przybiera sobie 4-ch kolegów. W ten sposób utworzony komitet wykonawczy przedstawia państwo niemieckie wobec zagranicy, wykonywa postanowienia parlamentu, jest przed nim odpowiedzialny. Parlament może go rozwiązać, i zastąpić nowym. Komitet wykonawczy dzieli sprawy państwa według swego uznania pomiędzy swych członków, i dopóty odbywa swą czynność, dopóki zgromadzenie narodowe nie utworzy ostatecznej władzy związkowej.

Ze strony lewicy wyszła poprawka tej treści „że sejm rzeszy“ ma natychmiast zawiesić swe urzędowanie, ma przestać istnieć, a zastąpić go ma rząd tymczasowy złożony z pięciu członków wybranych z pomiędzy siebie przez zgromadzenie narodowe. Jemu ma być powierzona najwyższa władza wykonawcza w całych Niemczech, odpowiedzialna parlamentowi. Zaiste ta poprawka lewicy przypominała dosyć wyraźnie konwent i komitet bezpieczeństwa. Lecz jeśli przesłanka „o zwierzchnictwie ludu,“ którą przecie pan von Gagern wyraźnie uznał w imieniu liberalizmu, miała coś znaczyć, to i temu wnioskowi demokratycznemu nie można było

uczynić żadnego zarzutu pod względem logicznym. Ale, jak wiadomo, światem nie rządzi logika, lecz konwencjonalność (Konvenienz), a ta dała wkrótce poznać lewicy parlamentarnej, że nie wypada występować z tak spóźnionemi życzeniami, lubo był to dopiero koniec czerwca 1848-go roku.

17-go czerwca złożył Dahlmann swe sprawozdanie komisji; rozpoczęła się tedy wielka walka na słowa, trwająca przez całe dni 8. Położyła ona na polu walki wielu szermierzy. Czyny zwycięzców i zwyciężonych śpią snem historycznym w sklepieniach stenograficznych protokułów parlamentarnych! Niech spoczywają w pokoju! Pierwszą nagrodę w tej sprzeczce słownej odnieśli w owych dniach Blum i Radowitz, drugą Raveaux; wszakże stanowcze słowo wypowiedział pan von Gagern dopiero 24-go czerwca. Wówczas to uczynił słynny swój śmiały krok, do czego pierwszą myśl podał mu wniosek Mayer'a, ażeby wspólnie z rządami wybrać *zawiadowcę* państwa. A gdy wykazało się w ciągu rozpraw, że lubo wnioski lewicy nie mogły liczyć na przyjęcie, a i projekt większości komitetu 15-tu nie był pewien większości, to nie można zaprzeczyć, że mowa Gagerna z 24-go marca była najświetniejszym czynem w życiu publicznem tego męża.

— Kto ma utworzyć władzę centralną? zapytał. Bardzo byłoby mi przykro, gdyby mnie-

mano, że rządy mieszać się nie powinny do tej sprawy, gdyż ze względu na cel zupełnie innego jestem zdania aniżeli większość komitetu.—Otwarcie powiadam: sami musimy utworzyć tymczasową władzę centralną.“

Było to ustępstwo dla lewicy, która je oczywiście natychmiast przyjęła. Mówca mówił o jedności proponowanej władzy, i powstawał przeciw trójce władzy wykonawczej; poczem tak rzecz swą prowadził:

— Jeśli większość żąda jednego przedstawiciela władzy centralnej, to przedstawicielem tym może być tylko mąż wysoko położony, zupełnie odpowiedni do zajęcia tego stanowiska. W obecnych okolicznościach niema drugiego prywatnego męża odpowiedniejszego do objęcia tego urzędu. Nie będzie to wyrzeczeniem się zasady zwierzchnictwa ludu, gdy powiem, że taką osobą powinien być książę, co też i panowie zapewne przyznacie, dodał, (zwracając się do lewicy). Nie przedstawiam go dlatego, że jest księciem, lecz, że chociaż jest księciem. To ustępstwo uczynione zasadzie „Zwierzchnictwa ludu“ wywołało olbrzymie oklaski.

Następnego dnia głosowano nad prawem utworzenia tymczasowej centralnej władzy wykonawczej. Główną treścią jego było: „Władza Wykonawcza posiadać będzie zwierzchni kierunek nad całą siłą zbrojną narodu, oraz wyko-

nywać reprezentację prawną i handlowo-polityczną Niemiec. Władzę tę sprawować będzie nieodpowiedzialny zawiadowca Rzeszy, wybrany przez zgromadzenie narodowe, który władzę swą wykonywać będzie za pomocą przez siebie mianowanych ministrów odpowiedzialnych przed parlamentem. Z rozpoczęciem się urzędu Zawiadowcy Państwa przestaje istnieć sejm Rzeszy..... Całe to prawo przeszło 450 głosami przeciw 109. Największa liczba przeczących głosów należała do skrajnej lewicy--ale było też i wiele z lewego środka. Ze skrajnej lewicy oponowali temu prawu tylko trzej członkowie. Uchwalenie tego prawa dla demokracji było wielką klęską o tyle, że nerw całego projektu, dodatek do drugiego paragrafu: „Tymczasowa władza centralna ma ogłaszać i wykonywać uchwały zgromadzenia narodowego, został odrzucony 277 głosami przeciw 261.

Lecz, ażeby tu mówić o nerwie lub nie nerwie, trzeba wyjść poprostu z punktu widzenia fikcji parlamentarnej, gdyż spoglądając bez wszelkiej iluzji chodziło tu, jak zwykle w polityce nie o kwestję prawną lecz tylko o kwestję władzy. Zatem wielka bitwa słowna, dotycząca tymczasowej władzy centralnej, była znów niedorzecznością. Wszak władzy nie posiadało ani zgromadzenie narodowe, ani zawiadowstwo Rzeszy. Zatem 25-go czerwca matka „Omdlenie“ powiła córkę „Niemocą“ zwaną.

9.

29-go czerwca po południu, o 3-ej godzinie odbywała się znów w dobrem starem mieście Rzeszy, nad żółtym Mainem, wielka uroczystość: nie brakowało tu odgłosu dzwonów, salw radosnych i okrzyków: „Niech żyje!“ krótko mówiąc, była tu uciecha, radość w najwyższej potędze. W tej chwili, w kościele Św. Pawła obrano 436-ciu głosami na Zawiadowcę Państwa niemieckiego Arcyksięcia Jana. Pan von Gagern miał 52 głosy, Itzsztein 32 głosy; 27-miu członków z krańcowej lewicy wcale nie głosowało.

Arcyksiąże Jan odegrał, lubo w sposób najłagodniejszy rolę froudeura przeciw systemowi Metternicha, mianowicie przeciw najwyższemu policjantowi Siedlnickiemu. Była to wojna prowadzona dowcipem; z tego powodu naraził się na nienawiść swego brata, cesarza Franciszka. Na tem opierała się jego opinja liberalnego, i patrjotycznego księcia niemieckiego. Wiedziano o nim jeszcze i to, że przez swoje, jak się zdaje naumyślne spóźnienie się pod Wagram, przyczynił się do przegrania tej bitwy, i że później, we Wrześniu 1842-go, na bankiecie króla pruskiego nad Renem wzniósł (napół mityczny) toast:

— Niemasz Prus i niemasz Austrji, tylko jedne wielkie Niemcy wolne, jak ich góry!

Wiedziano jeszcze coś więcej o nim; mianowicie, iż w roku 1828 poślubił dziewczynę z ludu piękną, moralną córkę poczthaltera, zatem zrobił legalną swoją małżonką, zamiast uczynić tylką swoją metresą. W oczach poczciwych Niemców nadawało mu to wielki urok, co posłużyć może za dowód, jak dalece haniebne małpie gospodarstwo metres tylu książąt niemieckich obniżyło uczucie moralne ludu, że księcia, który poczciwą mieszczańską dziewczynę wziął za żonę, zamiast ją shańbić, podziwiano jako osobliwość, i poprostu uważano za niezwykłego męża.

Wszakże arcyksiąże Jan nie był pod żadnym względem niezwykłym mężem. Był to człowiek wykształcony, dobrze myślący, który łatwo się unosił, a jak to zwykle czynią ludzie wrażliwi sam temu wierzył, co mówił, co wszakże nie przeszkadzało, iż po upływie godziny zapominał o tem, co powiedział. Jeśli wogóle kierował się jaką zasadą, to ta nie przekraczała interesu domu lotaryńsko-habsburskiego. Czy udał się do Frankfurtu w tym tylko interesie? Zapewne nie. Przyjął na siebie zawiadywanie Rzeszą z dobrym zamiarem, ażeby zrobić, co można najlepszego dla Niemiec. Lecz przebieg wypadków okazał mu wkrótce, co też poznał nieba-

wem, iż zawiadowca Rzeszy jest właściwie tylko arcyksięciem austrjackim. Niedługo mógł książe odgrywać podwójną swą rolę, gdyby nawet posiadał większy talent i silniejszy charakter. Dla Austrji, to znaczy domu lotaryńsko-habsburskiego, odgrywał arcyksiążę swą rolę dosyć nieźle, lecz zawiadowstwo jego dla Niemiec było wielkiem nieszczęściem, już choćby dlatego, iż pomimo urzędowej zgody w Berlinie, zawiadywanie państwem przez lotaryńsko-habsburczyka przyczyniło się ogromnie do wzmocnienia stronnictwa staro-pruskiego w Potsdamie, i pobudziło hohenzollersko-pruski partykularyzm do podwójnie sztywnego występowania. A przy partykularyzmie pruskim wysztywniły się partykularyzmy bawarski, wirtemberski, hanowerski i inne, i podniosły do całej swej wysokości.

Dlaczegoby nie miały?—musimy znów powrócić do poprzedniego pytania, jeśli chciano i musiano mieć księcia, dlaczego nie wybrano najpotężniejszego króla pruskiego?—Cóż bowiem mógł zrobić Jan bez Ziemi, przypuściwszy nawet najlepsze jego zamiary i najpoczciwszą wytrwałość? Co mógł wykonać zawiadowca, który od pierwszej chwili wyłącznie zależał od dobrej, lub złej woli rządów niemieckich?

Słowem: pan von Gagern śmiały w pomysłach, niekoniecznie dobry miał pomysł 24-go

czerwca 1848-go roku, a ten pomysł jego tak jest podobny do pomysłu Schmerlinga, jak jedno zgniłe jaje do drugiego. Rzeczywiście zdaje się, że widzimy przed sobą żywego pana Schmerlinga, prezesa sejmu Rzeszy, jak swą twarz lisią z rysem szyderstwa wychyla z pod zasłony intrygi i ściska rękę ogłupiałemu Gagernowi, winszując mu jego śmiałego pomysłu! Całą większość, która głosowała za zawiadowstwem arcyksięcia, wodził Schmerling na swej obróży, ale najgorzej wodził dawne burszenszafty pruskie, które w dobrej wierze przyłączyły się do tej większości. Ze swego t. j. austrjacko-arystokratyczno-partykularystyczno-biurokratycznego stanowiska miał zresztą pan von Sahmerling zupełną słuszność, starając się oszukać tych wszystkich mężów stanu i profesorów kościoła Św. Pawła. Dlaczego byli tak prostoduszni, iż dali się oszukać?

Jednak bądź co bądź, nic na tem nie zależało, jak wypadło ostateczne postanowienie. Wszak kościół Św. Pawła nie był miejscem, na którem rozstrzygały się losy Niemiec i Europy? Podczas gdy w mieście nad Mainem padały frazesy; w mieście nad Sekwaną padały kości żelaznego losu; a gdy tam słowami walczono o brodę cesarza; walczono tu żelazem i krwią o istnienie lub nieistnienie starego społeczeństwa.

Tak, w tych samych dniach kiedy we Frankfurcie huczała wielka walka wyrazowa; w Pa-

ryżu wrzała straszna walka czynów czerwcowych, i na starej scenie rewolucyjnej odgrywał się pierwszy akt dziejowej tragedji, której ostatniego żaden wiek nie ujrzy.

Nowożytny Spartakus—proletarjat walczył i przegrał pierwszą swą otwartą bitwę. Stare towarzystwo zwyciężyło, ale za jaką cenę!?

Uderzenie na trwogę dzwonów paryskich czerwcowych dni walki było podzwonnem, dzwoniącem na śmierć wiośnie europejskiej z roku 1848-go. A jednak rzecz dziwna! Tak silnie były rozgrzane języki w kościele Św. Pawła, że na okropności, jakie podczas tej walki językowej działy się w Paryżu z początku prawie wcale nie zważały.

Statyści i państwowi profesorowie, zasiadający w kościele Św. Pawła bardzo powierzchownie spoglądali na ten bunt paryski; a przeceniając swe wysokie znaczenie zwrócili całą swą uwagę na tę „chwilę nadzwyczaj ważną“ na pierwszy wielki czyn sejmu niemieckiego, to znaczy na przyjęcie prawa o władzy centralnej, i wybór arcyksięcia na zawiadowcę. Tak mniemały nietylko pojedyncze osobistości, nietylko ta lub owa frakcja, lecz znaczna większość zgromadzenia narodowego nie chciała widzieć tego, co w czerwcu wydarzyło się w Paryżu, i nie zważała na to, co działo się w tymże miesiącu w Lombardji na polach bitwy. Zajęła się tedy z wielkiem zadowoleniem i ufnością kręceniem

śruby bez końca praw zasadniczych i ustawy Rzeszy, które tak słusznie wywołały szyderstwo poety:

„Fünfhundert Narrenschellen
Zu Frankfurt spielen die Melodie:
Das Schiff streicht durch die Wellen
Der deutschen Phantasie [1]).

---

[1]) W Frankfurcie przygrywa melodję
Pięćset błazeńskich dzwonków
A okręt płynie po falach
Niemieckiej fantazji.

VI

Bitwa czerwcowa.

1.

Kto ze współczesnych w lecie 1848-go znajdował się w wieku, w którym poczyna się myśleć, i chciał spożytkować swą zdolność myślenia, przypomni sobie zapewne wrażenia posępne, jakie sprawiały gazeciarskie wiadomości o przebiegu i końcu strasznej paryskiej bitwy ulicznej z 23, 24 i 25-go czerwca.

Republikanie przeczuwali, że w tej walce pokonano rzeczpospolitą; wstecznicy--że ograniczony żołnierz Cavaignac dla nich odniósł zwycięstwo, że zatem przyszedł czas zakończyć raz ze wszystkiemi iluzjami lutowemi i marcowemi. Lecz smutek pierwszych, a radość drugich zeszły na plan drugi wobec silniejszego i dotkliwszego uczucia. Zdawało się, jakoby przed nogami obu stronnictw z hukiem grzmotu nagle

otworzyła się przepaść gotowa oba je pochłonąć i wogóle wszystko, co istnieje porwać w ciemną swą otchłań całą społeczność europejską.

2.

Nie ulega wątpliwości, że jedną z materji fermentujących, która wydała czerwony pęcherz powstania czerwcowego, był socjalizm. To marzenie majaczące po wszystkie czasy po głowach ludzkich w coraz nowej formie o „tysiącoleciu“ pokoju i radości, tym łatwiej zawróciło głowy paryskiemu proletarjatowi, i oszołomiło go, gdy przypomniał je sobie po upływie „trzech miesięcy głodu,“ jakie pozostawił do rozporządzenia Rzeczypospolitej, tymbardziej, że nie dokonano organizacji społeczeństwa, o jakiej w lutym mówiono. A imbardziej przekonano się, iż ta nowa postać społeczeństwa była niepodobieństwem, tym chciwiej łaknęły jej masy cierpiące niedolę. Głód budzi niepokój, nie dozwala myśleć z zastanowieniem, nie oblicza tak przezornie, jak „nasycona cnota i moralność wypłacalna.“

24 lutego rząd tymczasowy miał dla ludu przynajmniej dobrą wolę i sympatyczne słowa. Komisja wykonawcza wyznaczona przez zgromadzenie narodowe, jakie się zebrało 4-go maja,

a które zastąpił rząd tymczasowy, nie miała już nawet dobrej woli, i przychylnych wyrazów. Z pięciu członków tej komisji: Arago, Garnier-Pagès, Marie, Lamartine i Ledru-Rollin, żaden nie odznaczał się wybitną zdolnością. Był to rząd, a raczej nierząd niemocy, wolne masoństwo mierności, które stało na równi ze współczesnemi niamieckiemi marcowemi ministerjami. To wolne mularstwo, otwierające loże wszędzie, gdzie tylko mogło, nadawało w roku 1848-ym ton podstawowy. Po siostrzanemu wtórowało mu urzędowe wolne mularstwo, które w drugiej połowie 19-go stulecia stało się narzędziem wstecznictwa: „Rozsądek staje się nierozsądkiem, dobrodziejstwo klęską.“ Z „Wielkich Orientów,“ których wielkimi mistrzami bywali książęta z rodu Bonapartego i marszałkowie, nie można było spodziewać się, ani obawiać nowego światła. Czasy nasze poniżające wszystko, i szerzące wszędzie martwotę ducha, okazały na tej z początku tak wzniosłej instytucji, swą siłę korupcyjną.....

Przeważna wiekszość proletarjatu chciała, żeby na serjo pomyślano i urzeczywistniono „prawo do pracy“ zagwarantowane w imieniu narodu przez rząd tymczasowy. Ci ludzie w bluzach, którzy w lutym okazali tyle wspaniałomyślności, tyle władzy nad sobą i wstrzemięźliwości, iż zniewolili najzaciętszego procentowicza do oddania im sprawiedliwości i głośnej pochwały,

i najbezczelniejszego jezuitę, chcieli pracować, i utrzymywać się jedynie ze swej pracy. Wszakże nie wiedzieli niebaczni, że tak zwane „prawo do pracy“ było od samego początku bezmyślną niedorzecznością. Gdy obywatel Trélat, w ministerjum utworzonem przez komisją wykonawczą mianowany ministrem robót publicznych, w zapale zacnego uniesienia zawołał do zgromadzenia narodowego: „Powinniście zadekretować pracę, tak jak niegdyś konwent zadekretował zwycięstwo!“ — niezawodnie dzielny ten człowiek szczerze o tem myślał. Atoli niezawodnie sam by się oburzył na konsekwencje, jakie wyprowadzono z tego zdania. Z konieczności można było zadekretować zwycięstwo, to znaczy konwent dopóty posyłał swoich jenerałów w objęcia gilotyny, dopóki nie znaleźli się tacy, którzy nauczyli się zwyciężać. Czy można było podobnie postępować z kapitalistami? ażeby dostarczali pracy?— Niedorzeczność! — Praca, to wzajemny stosunek produkcji i zużycia, — popytu i podaży; nie słucha żadnego rozkazu, gdyż polega na zaufaniu, które znów tak jest dobrowolne, że przymusowe zaufanie jest taką niedorzecznością, jak wiele innych uderzających niedorzeczności.

Robotnicy powiedzieli do komisji wykonawczej.—

— Burżuazja — kapitaliści nie chcą rozpocząć interesu:—zatem ty dostarcz nam pracy!—

— Czy tak sądzicie? odpowiedział rząd? — Najprzód nie mam pieniędzy, zatem nie mogę wam zapewnić zapłaty; powtóre nie wiedziałbym co począć z waszemi wyrobami, i komu je sprzedać; po trzecie,—gdybym nawet to uczynił — niewielce przysłużyłbym się wam, gdyż wówczas przemysł prywatny nie wytrzymałby naszej konkurencji państwowej, a skutkiem tego, cała masa robotników żądałaby także od nas pracy.

— A zatem weź na siebie cały przemysł, cały handel, a nawet rolnictwo!—

— Ależ na nieba! byłby to czysty komunizm, czy podobna, żebyśmy go zaprowadzali wobec zgromadzenia narodowego, którego większa część sprzyja rojalistom i Jezuitom?

— Zatem przynajmniej daj nam kredyt, pożycz nam kapitału!

— Nie mam, jak już powiedziałem pieniędzy, a gdybym nawet miał, cóż dacie na zastaw? —

— Cóż znów?—Puść w obieg pieniądze papierowe, brać je będziemy, i postaramy się o to, żeby wszyscy je brali.

— Zatem asygnaty z kursem przymusowym? Ach kochani ludzie w przeciągu trzech miesięcy wasze papierowe pieniądze straciłyby swą wartość, a zatem wasza nędza tylkoby się powiększyła.

— Nic więc nie możesz nam dopomódz?

Zatem rewolucja lutowa spełzła bez znaczenia. Musimy więc zginąć za to, że ją zrobiliśmy.

— Biedne bluzy, rzeczywiście musicie za to zginąć. Państwo nie mogło wam dotrzymać tego, co przyrzekło 25-tego lutego („rząd tymczasowy Rzeczypospolitej francuskiej zobowiązuje się zapewnić istnienie robotnika dostarczaniem mu pracy. Zobowiązuje się dostarczać pracy wszystkim obywatelom“). Na tę utopję wystawiliście swój weksel głodu z trzechmiesięcznym terminem. Teraz powinien być wypłacony, jednakże nie został wypłacony, nie mógł być wypłacony.

Wszakże zarówno w komisji wykonawczej, w ministerjum, w zgromadzeniu nie brakowało ludzi życzliwych, którzy próbowali różnych sposobów zapłacenia wystawionego wekslu. Mówiono o ustanowieniu systematu kas, któreby dostarczały zasiłku i wsparcia, o organizacji stowarzyszeń robotniczych, kolonizacji nieuprawnych obszarów gruntu w Algierze. Ale środki te nie obiecywały na razie żadnej pomocy. Przyjęcie ich nie mogło zdziałać tego, co większość zgromadzenia narodowego, jako wyrażenie burżuazji chciała szybko wykonać. Szło tu przedewszystkiem o opróżnienie warsztatów narodowych ze stu tysięcy robotników zarabiających na swe utrzymanie. Do rozwiązania warsztatów pobudzały nie koszta tych bezpłodnych, niefortunnych zakładów, lecz zupełnie słuszne przeko-

nanie, że warsztaty, a raczej nie warsztaty były właściwie narzędziem tendencji socjalistycznych,—a te 100 robotników byli właściwie każdej chwili gotowi do walki za teorje utopistów. Pan kapitał zatem miał zupełną słuszność, gdy uniesiony gniewem żądał, żeby rozpuszczono tę armję socjalizmu, i zniesiono warsztaty narodowe.

Wszystkie pasożyty, korzystające z dotychczasowego porządku społecznego, porozumiały się z zamożną burżuazją. *Poczciwi* republikanie stanęli na czele, za nimi szli rojaliści, jezuici stanowili straż tylną. Ograniczenie pierwszych, mściwość drugich i obłuda trzecich, wydały wspólnie okrzyk wściekły, szalony: Kres temu położyć należy!

Bardzo jest prawdopodobne, że główna siła wstecznikow łudziła się nadzieją, iż po zniesieniu warsztatów narodowych, t. j. pokonaniu, zakneblowaniu, i rozproszeniu proletarjatu łatwiej będzie poradzić sobie z poczciwą rzeczą-pospolitą, tak łatwo, że z całą tą „farsą republikańską“ załatwić się będzie można przed uchwaleniem konstytucji republikańskiej. Z początku jednak nie ośmielono się jeszcze powiedzieć do robotników, przebywających w warsztatach narodowych:

— Idźcie precz, wyrzucamy was poprostu na ulicę! lecz usiłowano ich zachęcić do odejścia dobrowolnego, przedstawiając im dwie drogi: al-

bo wejść do szeregów stojącej armji, lub udać się do Sologne, gdzie znaleźć mogą zajęcie przy osuszeniu moczarów. Łatwo pojąć, że ostatnia praca nie podobała się szczególniej robotnikom wyrabiającym przedmioty zbytkowe i artystyczne (ouvriers-artistes). Pracę w Sologne nad odbłotnieniem gruntu uważano poprostu za łagodny sposób skazania na śmierć, z powodu malarji panującej w tej okolicy, a służbę żołnierską za niewolę. Oczywiście niechęć proletarjatu do takiego pokrycia jego wekslu głodowego z trzech miesięcznym terminem bardziej jeszcze powiększyła gniew burżuazji, tak dalece, że zamienił się na nienawiść, z jaką później wystąpił pan Falloux, główny jezuita i arcyfanatyk wstecznictwa w czerwcu w swem sprawozdaniu o warsztatach narodowych.

Wszakże na te wybryki wstecznicze nie zdobyłoby się zapewne zgromadzenie narodowe, gdyby nie nastąpiło szalone wyzwanie i zbezczeszczenie, jakie wyrządził jej socjalizm 15-go maja pod pozorem okazania sympatji dla Polski, przywołując ludzi ze wszystkich sekt na ulicę. I tu okazało się, jak wiadomo, że stronnictwo postępowe działało bez wszelkiego planu i organizacji. Tak zwani czerwoni republikanie, marzycielscy socjaliści i nieokrzesani komuniści żądali zupełnie czego innego — tego 15-go maja. Przywódzcy wzajemnie sobie nie wierzyli, nie chcieli się zrozumieć, i porozumieć, dlatego też

tylko wzajemnie się paraliżowali. Ledru kopał dołki pod Blanc'iem, Blanc pod Caussidière'm, Causidière pod Barbès'em, Barbès pod Blanqui, Blanqui pod wszystkiemi,—a wszyscy pod nim. Z tego powodu olbrzymia demonstracja 15-go maja, która z początku rzeczywiście bardzo impunująco wyglądała, zamieniła się na dziwne zamięszanie, i roztrzaskała się na kawałki, świadczące o zupełnej bezradności; łatwo zatem było paryskiej gwardji narodowej zamienić ten dzień groźny bardzo niebezpieczny na dzień zwycięstwa. Od dnia tego ludzie obdarzeni dobrym wzrokiem datują upadek rzeczypospolitej francuskiej. Zgon jej miało poprzedzić jeszcze straszniejsze konanie.

Zaiste 15-ty maj był jakoby wyzwanie, które stare społeczeństwo przyjąć musiało, jeśli nie miało zupełnie zwątpić o sobie; zdawało się, że nic nie pozostawało, jeno bronić się, lub upaść!

W godzinach popołudniowych dnia tego nawet silne i odważne umysły musiały uwierzyć, że wyłoniło się całe piekło czerwonego straszydła z roku 1793-go, lub że wkrótce wybuchnie. Wtargnięcie mas ludu do sali zgromadzenia narodowego przywołało na pamięć inne sceny z owych czasów. Lamartynie, ty biedna wyciśnięta cytryno! Pokonani w lutym w kąt cię już odrzucili, a dziś, 15-go maja toż samo uczynili zwycięzcy. W sali „Pas Perdus“ wystąpił

Lamartine na spotkanie ludu ze słowami: Nie idźcie dalej, nie wchodźcie do sali posiedzeń!

— Na mocy jakiego prawa Pan nam zabrania?—zawołał obywatel Laviron. Jesteśmy ludem. Dosyć już nam pańskich pięknych frazesów. Lud wymaga teraz innych rzeczy. Chce udać się do zgromadzenia narodowego, ażeby mu oznajmić swą wolę.“

Tłum wszedł do sali, wypełnił ją po brzegi. Począł w niej gotować się chaos, podobny do tego, jaki dział się 24-go lutego, po południu. Barbés mówił tak głośno, tak krzyczał, że płuca omal mu nie pękły. Z okrzykiem: „Vive Barbés zmieszało się szalone wołanie: „Gdzie Blanqui? Blanqui niech wejdzie na mównicę“. Spiskowca, którego tak się obawiano, wniesiono, a raczej wrzucono na mównicę. Stanął tedy na trybunie antychryst francuskiej burżuazji, belzebub tchórzliwego filisterstwa, wielki kofta warchołów, zresztą mały, mizerny, chudy, suchy człowieczek, o włosach czarnych, szczecinowatych, posępnej twarzy, wykutej jakby z żółtego marmuru, z czarnym krawatem na szyi, w czarnych rękawiczkach, w zapiętym po szyję czarnym tużurku. Mówił głosem ostrym, jakby kamiennym:

— „Lud chce, żeby zgromadzenie narodowe postanowiło, iż Francja nie włoży swej szabli do pochwy, dopóki Polska, cała Polska przywrócona nie zostanie“. Poczem żądał, ażeby ca-

łe zgromadzenie natychmiast („immediatement) zajęło się „dostarczeniem pracy“ i szeroko rozwodził się nad przyczynami zła społecznego. Citoyen Sobrier przerywa mu, wołając:

— „Obecnie nie o to idzie. Mów o Polsce, tylko o Polsce!“ wszakże Blanqui ciągnął dalej swe wywody. Przecie z takiej kazalnicy nigdy dotąd nie głosił swej ewangelji. Bardzo mu na niej wygodnie.

Blanc i Barbés są w rozpaczy. Dozwolić na to, ażeby lud nawykł do przewodniczenia Blanqui'ego, znaczyło toż samo, co wyrzec się nadziei, iżby można jeszcze było pogodzić burżuazję z rzecząpospolitą i demokracją. Barbés, który oprócz tego widzi w Blanqui'm nędznika, zdrajcę, łotra, który za czasów Ludwika Filipa oddawał potajemne usługi rządowi, jako wywiadowca, donosiciel, mniema, iż należy chwycić się ostateczności, i dlatego rzuca wniosek zgromadzeniu, ażeby natychmiast uchwalono wyruszenie armji do Polski („de voter le depart immédiat d'une armée pour la Pologne“). Gdy jednak spostrzega, że to dziwactwo nie sprawia żadnego wrażenia, dodaje jeszcze większe, i żąda, ażeby zgromadzenie narodowe uchwaliło nałożyć podatek na bogatych w wysokości jednego miljarda („un impôt d'un milliard sur les riches“).

Ale podczas, gdy czyni ten szalony wniosek, słyszy odgłos bębna na ulicy. „Co to zna-

czy?“ — „Pobudka“. „Pobudka na co? Zdrada! Precz ze zdrajcami! Banicja na tego, kto każe bębnić pobudkę!“

Szalejący lud tłumnie otacza biuro, i woła na prezesa Bucher, którego posądza niestety słusznie o wydanie rozkazu do uderzenia pobudki. Różni ludzi otaczają go, przypadają do niego z pięściami, obsypują złorzeczeniami. Bucher tym mężniej nie schodzi z fotelu, że pan Dagousée w tejże chwili sepcze mu do ucha:

— Za kwadrans będzie gwardja narodowa. Trzeba zatem jeszcze nieco podstępu dla zyskania na czasie, a zgromadzenie narodowe będzie ocalone!“

Całe szeregi wściekłych Rolandów demagogji cisną się na mównicę, i spychają na dół. Ponad balustradą widać pomieszany kłąb twarzy spoconych, o oczach błyszczących z wściekłości, pieniących się wargach, i ściśniętych pięściach wymierzających razy naokoło.

— Na nieba! woła prezydent Bucher do warchoła Hübera, którego spostrzega niedaleko siebie: „Uwolnij nas pan od tych scen z domu obłąkanych!“

Warchoł Hüber widocznie czekał na to wezwanie, w jednej chwili wbiega na mównicę i krzyczy głosem stentorowym:

— Obywatele, ponieważ zgromadzenie narodowe nie chce uchwalić żadnego postanowienia, więc ogłaszam w imię ludu oszukanego

przez jego przedstawicieli zgromadzenie narodowe za rozwiązane!“

W tejże chwili uderza na zegarze $3^1/_2$ a z nią nowa scena tak szybko, ładnie i składnie, że z pewnym pozorem prawdopodobieństwa można było twierdzić, że cały 15-ty maj został wywołany przez reakcję i wprowadzony w ruch za pomocą sztuczek policyjnych, ażeby faktem przekonać burżuazję, iż na razie należy zakończyć sprawę z socjalnemi demokratami.

Szalone zuchwalstwo Hübera wydaliło na chwilę z sali członków zgromadzenia narodowego, w której pozostał lud szalejący. Lud pod prezydencją Lavirona naśladujący 24-go lutego, chciał znów proklamować rząd tymczasowy barwy socjalistyczno-komunistycznej, lecz okrzyk: „Idzie Gwardja Ruchoma!“ rzucił postrach paniczny na cały ten motłoch szalejący, i rozpędził go na cztery wiatry.

Podobnie działo się wszędzie. Nigdzie demonstracja nie mogła zamienić się na powstanie. Wszędzie ustępowała przed energicznym wystąpieniem gwardji narodowej i gwardji ruchomej. Toż samo działo się w Hotel de Ville, dokąd pośpieszył Barbès, i gdzie tylko miał czas do zebranego ludu na placu Grêvé powiedzieć z peronu smutne wyrazy: „Gubicie rzeczpospolitą!“ Zanim noc zapadła był on uwięziony w forcie Vincennes, a ten sam los spotkał tego samego dnia i następnych: „Raspaila, Sobrier'a,

Hüber'a, Blanqui'ego, i innych naczelników klubów. Kilka klubów, jak: „Klub Blanqui“ i „Klub Praw człowieka“ zostały natychmiast zamknięte. Blanc oczyścił się z zarzutu udziału w demonstracji przed rozgniewanem zgromadzeniem narodowem, które wieczorem, 15-go maja dalej prowadziło swe posiedzenia. Poważniejsze oskarżenie ciążyło na Caussidière'rze. Na nic się nie przydało jego uniewinnienie, gdy twierdził, że 15-go maja zapobiegł temu „iżby jedna połowa Paryża nie uwięziła drugiej“ i bezczelnie utrzymywał: „Za pomocą nieporządku przywróciłem porządek.“ Caussidière'a uwolniono z prefektury policji, i zastąpiono bankierem Trouvé-Chauvel. Wszystkie wydarzenia 15-go maja świadczyły o tem, iż nastąpiło cofanie się wstecz i to tak otwarcie, że różne frakcje wielkiego stronnictwa reakcyjnego nie uważały nawet za potrzebne ukrywać, iż zniesienie rzeczypospolitej jest jedynie kwestją czasu, i polityki oportunistycznej. To przedwczesne zwycięstwo wstecznictwa musiało koniecznie w umysłach mas zamienić się na truciznę, i rzeczywiście się zamieniło. Socjalizm przyszedł do przekonania, że niedorzecznie postąpił spodziewając się, iż za pomocą spokojnych demonstracji, otrzyma to, co da się jedynie wywalczyć siłą. Zbierał tedy wszystkie swe siły, uzbrajał się.

A jako kusiciel szatański zbliżył się teraz

bonapartyzm do rozgniewanego i dyszącego zemstą, szepcząc mu do uszów:

— Uczynię ci poddanemi państwa tej ziemi, jeśli mi się pokłonisz.

Tak jest, zaiste, drugim materjałem fermentacyjnym, który wytworzył czerwony pęcherz powstania czerwcowego, był Bonapartyzm.

3.

„Kto mieczem wojuje, od miecza ginie“. Bonapartyzmem grzeszyła Francja, bonapartyzmem miała być ukarana.

Wyjąwszy grona fanatycznych wojowników, którzy odwykli od życia obywatelskiego, wogóle od życia spokojnego w r. 1814-ym, wszyscy we Francji powitali z radością upadek tyrana Napoleona. Nietrudno to zrozumieć! gdyż nigdy jeszcze większa bieda, większe klęski nie spadły na Francję, jak za panowania tego genjalnego, lecz niesumiennego, zimnego despoty. Dlatego też nietylko junkrowie i księża, lecz wszyscy poczciwi, i rozsądni Francuzi uważali sprzymierzone wojska ze swych oswobodzicieli i wybawicieli z nieznośnego jarzma. Wszakże głupota Burbonów pod względem państwowym i kościelnym postarała się, jak wiadomo o to, że anty-

napoleońskie usposobienie we Francji znacznie złagodniało, aż wreszcie zamieniło się na sympatję. Zaledwie spostrzegł to liberalizm, pośpieszył przystroić swe ubóstwo myśli szmatami sławy napoleońskiej. Pamiątki bonapartyzmu stały się głównym środkiem opozycji, oczywiście po nadaniu im nowego kroju, zupełnem ich wygładzeniu i odpoliturowaniu. Sztuka czerpała wszystkie swe motywy z czasów Napoleona. Malarstwo, rzeźba, muzyka, poezja i retoryka współubiegały się w sławieniu wielkiego człowieka *par excellence*. Nadworny poeta francuskiego ludu Beranger skreślił w całym szeregu pochlebnych śpiewak rodzaj mitologji napoleońskiej, a łechcąc zręcznie próżność narodową, przygotował kult Napoleona dostępny dla ludu. Toż samo uczynił pan Thiers, zarówno zręczny, jak bezczelny fałszerz historji dla koszar, szkół, biur i salonów, a nawet i dla Niemiec, który historję Napoleona zamienił na XX-to tomowy romans skreślony świetnym stylem, i tym XX-to tomowym kłamstwem przywabił niezliczonych dudków.

Tak więc w trzecim i czwartym dziesiątku lat grunt był już przygotowany, na którym trzeci syn Hortensji Beauharnais, książe Ludwik Napoleon Bonaparte miał odgrywać rolę synowca stryja. Wprawdzie początek w roli synowca wypadł nieszczególnie. Przygody Ludwika Napoleona w Strasburgu i Bulogne nie przyniosły mu żadnej korzyści, lecz wobec potęgi, jakiej nabył

myt Napoleona, utraciły nawet swą śmieszność. La belle France wciąż dalej flirtowała z bonapartyzmem, choćby dla tego, żeby sprawiać przykrość, i gniewać chytry Louis-Filipizm. Ale stara kokietka otrzymała słuszną zapłatę za swe flirtowanie.

W 4-ym i 5-ym dziesiątku lat bonapartyzm nie był już stronnictwem, lecz czemś znacznie silniejszem, sektą, której apostołowie wraz z fanatyzmem rozwinęli całą przebiegłość sekciarstwa, dążąc wciąż do ściśle oznaczonego celu— przywrócenia cesarskiego despotyzmu. Takimi niezmordowanymi apostołami byli: były porucznik Laity i były feldfebel Fialin, który później sam się nobilitował i tytułował panem de Persigny. Ten apostoł bonapartyzmu dopiero wynalazł im zbawcę w synu Hortensji na zamku Arenenberg w r. 1834, gdy zwiedzał Szwajcarję. Odtąd pan Fialin był najwierniejszym i najbardziej niezmordowanym giermkiem „idei Napoleona". Podrzędnego, ale bardzo gorliwego, i czynnego ajenta znalazła idea napoleońska w niejakim Lahr, który w czasie, gdy książe Louis Bonaparte odsiadywał karę w Ham, pełnił obowiązek artylerzysty w tamtejszym garnizonie. Lahr powróciwszy do Paryża otworzył handel win, a gdy zbankrutował, napozór został mularzem, rzeczywiście zaś, zaopatrzony w pieniądze, działał wśród proletarjuszów, jako ajent Bonapartego.

Po wybuchu rewolucji lutowej sekta bona-

partystowska żywiła najśmielsze nadzieje; podwoiła zatem swą czynność, i niebezskutecznie. Wszakże większe upowszechnienie, i wpływ znaczniejszy, to znaczy więcej widoku na praktyczne powodzenie w najbliższej przyszłości otrzymała ewangelja Napoleona dopiero po 15-ym maja. Powszechne niezadowolenie zapewniło dobre przyjęcie temu nowemu fermentowi. Rzeczywiście wszyscy byli zniechęceni po tym dniu majowym. Rojalizm i jezuityzm miały zły humor, ponieważ nie mogł się jeszcze uważać za panów położenia; poczciwy republikanizm miał zły humor, ponieważ nie udało się mu wcisnąć do komisji wykonawczej swoich stronników, jak Marrasta i innych poczciwych. W komisji wykonawczej w złym humorze był Lamartine i Ledru, ponieważ uważali, że koledzy ich zdradzili, a przynajmniej tak mniemali. Burżuazja wogóle była w złym humorze, gdyż się obawiała, że w razie rzeczywistego powstania proletarjatu, nie będą mogły jej bronić dostatecznie, ani komisja wykonawcza, ani zgromadzenie narodowe. Armja była w złym humorze za to, że rzeczpospolita nie czyniła żadnego przygotowania do rozpoczęcia nowego wojennego kankana sławy ani w Niemczech, ani we Włoszech, lub gdziekolwiek indziej. Duchowieństwo było w złym humorze, ponieważ niezupełnie wierzyło w pobożność rzeczypospolitej; wreszcie lud był w złym humorze ponieważ poznał, lub zdawało mu się,

że poznał, iż jak w lipcu 1830-go roku tak i w lutym 1848-go został oszukany, oraz że wolnością, równością i braterstwem nie można wydostać z pieca piekarskiego ani jednego bochenka chleba. Zatem zły humor na górze, w środku i na dole; zły humor na prawo i na lewo, zły humor wszędzie i wszędzie!

Nic też dziwnego, że wielu ludziom przyszła chętka powiedzieć: „Burbonowie gniewali nas, orleaniści drwili z nas, rzeczpospolita zrobiła z nas małpy, spróbujmy zatem raz jeszcze z bonapartyzmem!

Spróbujcie, kochani ludzie! śpiewała w najczulszych tonach prasa bonapartystowska, — gdyż istniała już taka prasa, — a popularni ajenci, pozostający na żołdzie sekty, jak Lahr i jego towarzysze potroili swe tajemne intrygi na korzyść „księcia.“ Miał on wystąpić nie jako „cesarz“ broń Boże! lecz „jako prezydent rzeczypospolitej z woli narodu“, miał ocalić Francję i uszczęśliwić lud biedny. Opłaceni kataryniarze przeciągali ulicę, grając melodję, której wiersze brzmiały:

Napoléon rentre dans ta patrie;
Napoléon, sois bon républicain!“

Na drogach krzyżowych mówcy brukowi deklamowali o księciu Ludwiku Bonapartym, jako przyjacielu ludu, którego z tego tylko powodu prześladował Ludwik Filip i prześladuje

burżuazja. Wszędzie, gdzie tylko było można pokrywano plakatami ściany i mury, na których olbrzymiemi literami było napisane: „Louis Bonaparte“. Tysiącami rozrzucano ryciny, wyobrażające starego Napoleona, jak przedstawiał Francji swego synowca. W koszarach jedni żołnierze sławili przed drugimi zalety synowca Napoleona I-go, a w warsztatach toż samo czynili wybrani robotnicy. Nawet wśród członków „parlamentu robotniczego“ zasiadającego w Luksemburgu misjonarze bonapartystowscy głosili nową naukę napoleońską, a misjonarki bonapartystowskie przebiegały przedmieścia, i w imieniu synowca rozdzielały jałmużnę gotówką, przyrzekając w przyszłości dać jeszcze więcej. Nie zaniedbano nic takiego, coby mogło korzystnie wpłynąć na wyobraźnię, łatwowierność i rozpacz ludu; tresowano nawet jasnowidzące, żeby przepowiadały bliski powrót Napoleona.

W salonach wiedli propagandę bonapartystowską panowie: Veillard, Heeckeren, Abattucci i Ney. Ostatni werbował mu zwolenników nawet pomiędzy dymisjonowanymi gwardzistami municypalnymi, jenerał Piat pomiędzy gwardją narodową, a naczelnik bataljonu Aladenise pracował pomiędzy gwardją ruchomą. Emil Thomas, dyrektor warsztatów narodowych otwarcie popierał w warsztatach knowania bonapartystowskie, a pan Fialin, przyjąwszy tytuł de Persigny, schlebiał arcy-szarlatanowi panu Emilowi de Gi-

rardin, i wznowił swe dawne stosunki z głównym jezuitą de Falloux. Tym dwom panom przedstawiono oczywiście bonapartyzm z innej strony, niż przedstawiali go mówcy narożni, którym polecono sławić „synowca“, „jako człowieka antycznej poczciwości“, który sam tylko był zdolny do utworzenia demokracji bez anarchji.

Tymczasem burżuazja nie pochwyciła przynęty bonapartystowskiej, przynajmniej nie w sferach panujących. Ani konstytucyjni, ani rojaliści, ani lojaliści nie chcieli nic wiedzieć o „synowcu“. Wszyscy ci panowie bardzo mądrzy byliby roześmieli się w oczy każdemu, ktoby im wspomniał o prezydenturze lub cesarstwie więźnia z Ham. A jednakże zdarzyło się to, co często się wydarza i wydarzać się musi.

„Wierz śmiało temu, co najgorsze, najgłupsze, najwstrętniejsze,
Gdyż niezawodnie nastąpi“.

Rzeczywiście już 5-go czerwca ukazał się wyraźny prognostyk, że to nastąpi, gdyby poczciwi augurowie republikanizmu i konstytucjonalizmu raczyli widzieć; w tym dniu bowiem odbyły się dodatkowe wybory do zgromadzenia narodowego. Jedenastu nowo-wybranych tworzyło bardzo mieszane towarzystwo. Socjalna demokracja stała jeszcze mocno, skoro wybrano czterech jej kandydatów: Caussidière'a, Leroux, Lagrange i Proudhon. Za wybrańca poczciwego

republikanizmu można było uważać Wiktora Hugo, Moreau i Boissel, ale wybory Thiers'a i Changarnier'a były widocznym tryumfem wstecznictwa. Wstecznictwo miało więc już obecnie kierownika parlamentarnego i jenerała. Wszakże daleko ważniejszym wyborem, niż powyżej wzmiankowany był wybór księcia Ludwika Bonapartego. Synowca wybrano nietylko w Paryżu, lecz jednocześnie w trzech departamentach. Zatem konszachty bonapartystowskie czynniejszemi były na prowincji, aniżeli w stolicy, gdzie mówiono już o tem, ażeby na miejsce Barbès'a mianować księcia pułkownikiem 12-go legjonu gwardji narodowej. Niezależnie zaś od tego deputacja robotników z przedmieścia Villette prosiła zgromadzenie narodowe, ażeby synowca cesarza ogłoszono konsulem. Jednocześnie dziennik: „Le Napoléonien“ głosił zuchwale, że wybór księcia ma zupełnie inne znaczenie, aniżeli wybór zwyczajnego reprezentanta ludu, — prawdopodobnie czeka go wyższa kandydatura.

„Poczciwy republikanizm okazał się przy tej sposobności w całym blasku swego ograniczenia. Gniewał się z powodu wyboru bohatera mównicy Thiers'a, a zupełnie lekceważył wybór synowca, lubo wiedział, i powinien był wiedzieć, iż obok okrzyku: „Niech żyje Barbès, biedny lud przedmieść wołał coraz głośniej:

— Vive Napoléon!

Proudhon, który ilekroć przetarł sobie oczy

od dymu filozoficznego arcy-ciemnego Hegla, spoglądał bardzo jasno, tak się wyraził w swoim dzienniku: „Le représentant du peuple“ pod datą 7-go czerwca: „Przed ośmiu dniami obywatel Bonaparte był jeno czarnym punktem na rozpłomienionem niebie; przedwczoraj był zaledwie balonem wydętym parą; dziś jest chmurą burzliwą, noszącą w swym łonie błyskawice i pioruny!

Przewodnicy ruchu bonapartystowskiego prowadzili dalej swe machinacje bardzo pilnie i zręcznie. 10-go czerwca zebrały się w pobliżu pałacu Burbonów liczne tłumy proletarjuszów, ponieważ wieść się rozeszła, że synowiec wybrany 5-go czerwca przybędzie z licznym orszakiem na zgromadzenie narodowe. Ale ten, którego oczekiwanego nie przybył, gdyż uważał to jeszcze za przedwczesne. Znał on sztukę czekania, i pozwolił czekać na siebie. On i jego podkomendni wiedzieli dobrze, że przedwczesne ukazanie się na scenie świata w Paryżu, mogłoby mu zaszkodzić. 12-go czerwca „książe-kuzyn“, Napoleon Hieronim Bonaparte, którego Korsyka wysłała do zgromadzenia narodowego, był zniewolony do formalnego zaprotestowania przeciw temu, jakoby knuto intrygi na szkodę rzeczypospolitej. Intrygi te, mówił on, chcą użyć imienia Bonapartego za drążek wstrząsający rzeczącpospolitą“.

Następnego dnia zgromadzenie poczęło roz-

bierać ważność wyboru Ludwika Bonapartego. Komisja wykonawcza żądała, ażeby uchwalono postanowienie nieważności kandydatury księcia, ponieważ ten na mocy prawa został wygnany z Francji; była to jednak tylko przyczyna pozorna, właściwie zaś dlatego tylko, że wybór jego powitano hasłem: „Vive l'Empereur!“ i ponieważ wybrany nie był przedstawicielem ludu, lecz pretendentem do tronu, który dotąd nie uznał nawet rzeczypospolitej. Wszakże właśnie dla tego, że komisja wykonawcza przez usta Lamartine'a, który postradał całą dawniejszą swą powagę i Ledru nienawidzonego za to, że był stanowczym republikaninem żądała nieprzypuszczenia księcia, — zgromadzenie większością $^2/_3$ głosów zawotowało wybór i dopuszcznie wybranego, w którym uważano tylko awanturnika ze Strasburga i Boulogne. Ale większość nie zważała na to, że gdy lud zgromadzony w pobliżu dowiedział się o tej uchwale, zawołał:

— Niech żyje Napoleon!

Atoli apostołowie i misjonarze bonapartyzmu byli ludźmi doświadczonymi, nie przeceniali więc tego powodzenia. Panowie Fialin i Laity udali się natychmiast do Londynu, ażeby powstrzymać księcia od zbyt pośpiesznego kroku.

— „Monseignieur“, powiedzieli do niego— niechaj Wasza Książęca Mość nie da się złudzić

i zwabić głosowaniem z 13-go czerwca. Większość zgromadzenia narodowego nie głosowała właściwie za księciem, lecz raczej przeciw komisji wykonawczej. To prawda, że *prawica* życzy sobie jaknajśpieszniejszego przywrócenia monarchji, ale monarchiści chodzą na pasku Thiers'a i Falloux, a pierwszy chce Orleanów; drugi zaś Henryka V-go. Na razie zatem nie można się od nich niczego spodziewać. Również nie radzimy Waszej Książęcej Mości wejść do zgromadzenia narodowego, znoszonoby tam tylko księcia, a może spoglądanoby tylko przez ramię. Gdyby Wasza Książęca Mość chciała rozpocząć przedwczesną walkę, niezawodnie poniosłaby klęskę. Gdyby zaś Wasza Książęca Mość okryła się milczeniem, to przepadłaby w tłumie współreprezentantów, i straciła cały swój urok. Zatem hasłem naszem jest: „Czekać cierpliwie, ażeby jabłko państwowe dojrzało".

Monseigneur skinął na dowód zgody, usiadł i napisał list do zgromadzenia narodowego, w którym oznajmił, iż woli pozostać na wygnaniu, aniżeli zezwolić, żeby jego wybór stał się powodem opłakanych zamieszek i smutnych pomyłek („sert de prétexte à des troubles déplorables et á des erreurs funestes"). Jego imię jest symbolem porządku, narodowości, sławy, dlatego nadużywane być nie powinno. Następne zdanie było najważniejsze z całego listu: „Gdyby lud miał na mnie włożyć obowiązki, to

będę umiał je wypełnić („si le peuple m'imposait les devoirs, je saurais les remplir").

Gdy na posiedzeniu z 15-go czerwca przeczytano list księcia, ostra woń tego otwartego, zarozumiałego frazesu niemile podrażniła nosy członków zgromadzenia, tym niemilej ze zewnątrz dały się słyszeć okrzyki ludu: „Vive l'empéreur!" oraz, że dowiedziano się, iż przy Tujlerach zgromadziły się luźne tłumy, które żądały, żeby ogłoszono Ludwika Bonapartego pierwszym konsulem. Kilku deputowanych ostro się uskarżało na intrygi bonapartystowskie, a jenerał Cavaignac, zwrócił uwagę na to, iż w liście księcia starannie unikano wyrazu rzeczpospolita.

— „Monseigneur", napisz pan natychmiast rozumniejszy list", telegrafowali apostołowie do Londynu. Tak więc, podczas gdy zgromadzenie narodowe zastanawiało się nad pretensjami synowca, nadszedł powtórny list do prezesa zgromadzenia, w którym pomiędzy innemi stały te wyrazy:

— Życzę porządku i utrzymania rzeczypospolitej rozumnej, wielkiej, rozsądnej, a ponieważ wbrew mej woli staje się powodem nieporządku, z wielkiem ubolewaniem składam mój mandat w ręce pańskie. Spodziewam się, że wkrótce nastąpi przywrócenie spokojności, a ja będę mógł powrócić do Francji, jako prosty obywatel (comme le plus simple des citoyens).

W ten sposób pod względem parlamentar-

nym sprawę załatwiono, istotnie zaś i rzeczywiście dopiero się ona rozpoczęła [1]).

Bonapartyzm, którego chorągiew obecnie już zatknięto, z każdym dniem stawał się coraz większą potęgą. Począł on już działać na burżuazję jak serwasser, to znaczy przyczynił się do jej rozłamu, gdyż właściwi procentowicze z całym orszakiem giełdowych spekulantów zdawali się sprzyjać „synowcowi stryja“, słusznie wietrząc nosem, że pod rządem despotycznym spekulacje ich będą się wybornie udawały.

Przeciwnie, jądro solidne burżuazji skupiło się około jenerała Cavaignac, jako przed przyszłą głową państwa przez siebie wybraną. Ważniejszą jednak aniżeli skłonność baronów do ażiotażu, była ta okoliczność, że w masach zaszczepiono truciznę bonapartystowską, która coraz bardziej w nie przesiąkała.

4.

Niebiescy republikanie, orleaniści, burboniści i jezuici, wszyscy wspólnie mniemali, że 15-go

[1]) Spostrzegli to bezwłocznie rozsądni i bezstronni obserwatorowie. Tak pisał sprawujący intercsy w Szwajcarji Barmann w swej depeszy do Sejmu związkowego 17-go czerwca. „Dymisja Ludwika Napoleona Bonaparte, jako reprezentanta ludu, usunęła jeszcze jeden przedmiot będący przyczyną irytacji, jednak wiele osób mniema, że ten pretendent byłby daleko mniej niebezpieczny, gdyby na niego spoglądano zbliska, i przypatrywano się jego działaniu.

maja pokonali czerwcowych na swój rachunek, a tymczasem pracowali tylko dla bonapartyzmu.

Bonapartyzm zaś włożył obecnie na siebie czerwoną maskę i formalnie wściekał się w swoich dziennikach na „niebieskich“ i wogóle na burżuazję. „Napoléon republicain“ codziennie drukował od początku czerwca najdziksze artykuły podszczuwające. W numerze tego pisma z 11-go czerwca czytano: „Ludu, jeśli twoi przedstawiciele i urzędnicy (tes commis) przekraczają swój mandat, to przypomnij sobie o chorągwi czerwonej, i odwadze twoich braci z roku 1793!“

Pięciu członków komisji wykonawczej nazwano w tem piśmie tylko „pięciu inwalidami“, z których każdy otrzymuje miesięcznie po 25 tysięcy franków“. Numer z 16-go czerwca mieścił w sobie odezwę do gwardji ruchomej, że powinna objaśnić o tem żołnierzy linjowych, iż przestrach burżuazji („la terreur bourgeoise“) chce uczynić żołnierzy katami swych braci.

W innem piśmie wydawanem przez znanego bonapartystę, Klawela („L'organisation du travail“), — widzimy hasła, które ajenci Bonapartego zapożyczyli wprost od socjalizmu. Nazwano tam członków zgromadzenia narodowego próżnującemi mandatarjuszami z płacą dzienną 25 franków i tem rzucano ich na pastwę nienawiści ludu, który, gdy żąda chleba, podają mu kamienie. Dzienniki podobnej tendencji już samemi swemi tytułami wywołały najposępniej-

sze przypomnienia, i najżywsze obawy burżuazji. Takiemi były: „Robespière“, „Père Duchésne“, „Karmagnole“, „Jouarnal de la Canaille“ i „dzwon na trwogę“ robotników„. Także i do tych gniazd gazeciarskich miał bonapartyzm składać swe jajka bazyliszkowe, a jeszcze bardziej dziko, i mniej zgrabnie, niż w Paryżu, intrygował i podszczuwał na prowincji. Tam powstawał na członków rządu tymczasowego, szczególniej z powodu zaprowadzenia podatku 45-cio centymowego, i ogłaszał, że „synowiec cesarza“ zapłaci ze swej szkatuły, albo sprawi to, że Anglicy je zapłacą. Wskutek tego w wielu miejscowościach chłopi odmówili płacenia podatku wołając: „Vive l'empéreur“. Propaganda bonapartystowska puszczała w obieg wieści najmniej prawdopodobne robiąc większe zamieszanie w umysłach, i coraz więcej rozgrzewając fantazję ludową. W jednej okolicy głoszono, że synowca obrano prezydentem rzeczypospolitej; gdzieindziej, że proklamowano go cesarzem, oraz, że na czele wielkiej armji maszeruje na Paryż z wozami pełnemi pieniędzy. Chytrzy spiskowcy musieli wszystko spożytkować do swego celu. Gdy np. w tymże czasie, w południowej Francji, w Tuluzie i Nîmes wybuchły dawne nierozsądne sprzeczki pomiędzy katolikami a protestantami, misjonarze bonapartyzmu rzucili w tę sprzeczkę teologiczną hasło: „Vive l'empéreur!“ jakgdyby chcąc pokazać zwaśnionym drogę, ja-

ka z tego zamętu jedynie wyprowadzić ich zdoła.

Propaganda bonapartystowska zwracała największą uwagę i gorliwość na proletarjat paryski, mianowicie na mieszkańców warsztatów narodowych. Wielu przełożonych oddziałów (brigadiers) należało do tajemnych ajentów bonapartyzmu dobrze zaopatrywanych pieniędzmi. Jeden z tych biednych ludzi pokazywał, pewnego dnia sumę osiem tysięcy franków w biletach bankowych, a na zapytanie, w jaki sposób przyszedł do posiadania takiej sumy,—odrzekł:

— Służę panu, który jest hojniejszy, niż rzeczpospolita.

Biorąc wszystko to na uwagę, nie można było wątpić, że spisek bonapartystowski wpływał na masy ludu i za nos je wodził i systematycznie zniechęcał je do republikańskiej i rojalistycznej burżuazji, a wreszcie metodycznie pobudzał do wywołania kryzysu, — do kryzysu, którego ze smutkiem wyznać trzeba życzyła sobie również zaślepiona burżuazja zachęcana przez przebiegłych parlamentarzystów, jak Thiers, i przez obłudnych jezuitów jak Falloux. Zawołali więc w uniesieniu, krzycząc straszliwie:

— Trzeba raz z tem skończyć.

Burżuazja rozdarta w sobie, nic o tem nie wiedziała, co miało później nastąpić, ale wiedział o tem bonapartyzm. Tak jest, wiedział do-

kładnie, czego chciał: mianowicie ze szlamu anarchji, która według jego obliczenia miała wyłonić się z ostrego spotkania się burżuazji z proletarjatem, miał wyciągnąć koronę cesarską.

5.

Na posiedzeniu zgromadzenia narodowego, 15-go czerwca, pan Goudchaux, jako tuba burżuazji, oznajmił z mównicy:

— „Warsztaty narodowe muszą zniknąć natychmiast (immédiatement). Nie można zamykać ich stopniowo, muszą natychmiast odrazu być zamknięte. Powinniście to natychmiast uchwalić, gdyż i tak zmarnowaliście już wiele czasu. Cały grunt pod waszemi nogami jest podminowany".

Napróżno błagał minister Trélat zgromadzenie, iżby zbyt szybko nie załatwiało tej sprawy. Napróżno chciał przekonać, że żądania robotników są słuszne, nie przesadzone, gdy wymagali, żeby za pomocą skutecznej kontroli zabezpieczano ich od wyzyskiwania majstrów (patrons) i przedsiębiorców, żeby z czystego dochodu przeznaczano im skromną cząstkę, i żeby im dozwolono tworzyć stowarzyszenia. Większość zgromadzenia nie chciała nic o tem wie-

dzieć i słyszeć i zawołała z obranym sprawozdawcą, panem Falloux:

— Trzeba położyć kres temu!

18-go czerwca robotnicy warsztatów narodowych wystosowali podanie do pana Gouchaud, w którem powiedzieli: „Nie brak nam woli do pracy, lecz brak nam pracy pożytecznej, odpowiedniej naszej zdolności i zręczności. Życzymy jej sobie z całego serca. Pan żąda natychmiastowego rozwiązania warsztatów narodowych, lecz cóż się stanie ze 100 tysiącami robotników, którym za jedyny środek utrzymania służy skromna płaca dzienna. *Czy chcecie ich oddać na pastwę złemu doradcy głodowi, pokusom rozpaczy? Czy chcecie oddać ich na łup intrygantów burzycieli?*

— Naprożno, wszystko naprożno! trzeba raz to zakończyć!

21-go czerwca na mocy rozkazu komisji wykonawczej, minister pracy wydał polecenie, ażeby robotnicy, albo zaciągnęli się natychmiast do wojska lub przygotowali się do odjazdu na prowincję, gdzie wyznaczone im będą roboty ziemne według umowy.

Uchwała ta wykazała zupełne bankructwo rządzącego liberalizmu; A może dekret z 21-go czerwca leżał w planie Thiers'a, Falloux i C-ie trzeba zrobić koniec? A może konstytucyjne półgłówki lojolici wysunęli komisję wykonawczą,

ażeby pobudzić proletarjat do stanowczego powstania?

Rzeczywiście wierzyćby temu trzeba, gdyż zdaje się to potwierdzać fakt niezaprzeczony, że bynajmniej nie przeszkadzano robotnikom czynić przygotowania do walki ulicznej. Nie ulega też wątpliwości; że z początku łatwo można było stłumić walkę, ale nie przystępowano do jej stłumienia, dozwolono jej wzmocnić się należycie, ażeby zwycięstwo było tym większe, tym bardziej stanowcze, zgubne dla robotników.

Jenerał Cavaignac, wódz, którego wybrało sobie wstecznictwo, był człowiekiem zupełnie do tego odpowiednim, dał w siebie wmówić tę myśl, i urzeczywistnił ją. Tym bardziej był on do tego odpowiednim, według zdania prawdziwych twórców tej myśli, tych lisów konstytucyjnych, i wilków jezuickich, że uważano go za republikanina, ponieważ zmarły jego brat Godefroi był także republikaninem. Zresztą, jak wiadomo, Cavaignac należał do jenerałów *afrykańskich*, których sława wojskowa znacznie przewyższała ich zasługę. Wszyscy ci panowie: Bugeaud, Changarnier, Lamoricière, Bedeau, Cavaignac i t. d. nigdy nie przekroczyli pod względem umysłowym miary zwyczajnego normalnego kaprala, a przytem prowadzenie wojny w Algierze bynajmniej nie było szkołą, w której możnaby się nauczyć szanowania obywatelskiej wolności, lecz raczej szkołą brutalnego milita-

ryzmu, w której i Cavaignac uczestniczył i w niej znieczulił swe serce. Był to człowiek ciasnych, małych pojęć, wykształcenie jego i pogląd polityczny równały się zeru; postępował on tak surowo, jak surową, suchą i drewnianą była jego postać o twarzy pokrytej zmarszczkami. Wogóle był to odważny żołnierz podrzędnej inteligencji, który sobie wyobrażał, iż był samodzielnym bohaterem, a tymczasem był tylko drążkiem wstecznictwym w rękach przebiegłych, bezsercowych intrygantów,--odważną pustą głową, która, jak wiarogodnie zapewniają, mniemała, że stacza straszną bitwę lipcową za rzeczpospolitą, gdy rzeczywiście staczała za tyranję za bonapartyzm.....

Tymczasem robotnicy podjęli rękawicę owiniętą dekretem z 21 go czerwca.—Tegoż samego dnia, w którym ją rzucono, skupiły się na ulicach i placach liczne gromady proletarjuszów, śpiewając marsyljankę, lecz pomiędzy strofami hymnu rewolucyjnego, wołali ludzie przybrani w bluzy, podobni do prawdziwych robotników:

— Niech żyje Napoleon!

Tejże nocy zeszli się na naradę deputowani warsztatów narodowych, i rozwiązanego parlamentu robotniczego w Luksemburgu, i uchwalili na dzień następny olbrzymią demonstrację przeciw dekretowi zgromadzenia. Demonstracja wypadła w święto Bożego Ciała, 22-go czerwca, około 10-ej przed południem. 1500 robotników

z rozwiniętemi chorągwiami pod dowództwem ulubionego proroka klubu, i brukowego mówcy Pujola, dążyło do Luksemburga, gdzie urzędowała komisja wykonawcza.

Pujol z 4-ma deputowanymi wszedł na wschody, chcąc rozmówić się z obywatelem Marie. Gdy stanął przed nim, przybrał odpowiednią pozyturę i poczyna mówić:

— Obywatele, przed rewolucją lutową...

— Pardon, przerywa mu Marie—zdaje się, że cofnęliśmy się za daleko. Pamiętaj pan, że czas mój drogi.

— Pański czas nie należy do pana, lecz do ludu.

— Obywatelu Pujol, znamy pana już oddawna, i mamy pana na oku.

— Nic to nie znaczy, od dnia, w którym poświęciłem się sprawie ludu, nawykłem nie obawiać się żadnej groźby. Grozi mi pan zatem zupełnie napróżno, czy zechce pan nas posłuchać?

— Ponieważ pan jesteś tu, więc mów pan.

Pujol powtórzył wówczas z odpowiednim patosem protest robotników przeciw dekretowi z dnia poprzedzającego.

Na co Marie:

— Rozumiem, lecz uważaj pan, że jeśli robotnicy dobrowolnie nie zechcą odjechać na prowincję, to zmusimy ich siłą. Siłą, czy pan rozumie?

— Siłą? to bardzo ładnie! Zatem wiemy teraz to, co chcieliśmy wiedzieć. Bywaj zdrów obywatelu!

Na dole robotnicy z wielką niecierpliwością oczekiwali powrotu swych deputowanych. Pujol poprowadził cały tłum na plac św. Sulpicjusza, gdzie stanąwszy na brzegu studni, miał mowę, której treść była następna:

— Nie możemy się niczego spodziewać od rządu, zatem musimy radzić sami sobie i zakończył. Dziś wieczorem, o 8-ej godzinie przy Panteonie!“ Poczem tłum rozszedł się zgiełkliwie grupami, dążąc przez nadbrzeże do placu Grêvé, i dalej aż do przedmieścia św. Antoniego. Wśród tłumu dawały się słyszeć głosy:
„Vive Barbés!“ i Vive Napoléon!“ zmieszane ze sobą, a dziwnem tem połączeniem socjalnego demokratyzmu z imperjalizmem, budziły niepokój i przestrach.

Wiec ludu na placu Panteonu o 8-ej godzinie wieczorem, liczył już kilka tysięcy. Hasłem było: „Pracy albo chleba! poczem rozbrzmiewały w powietrzu dzikie groźby:

— Ponieważ znów nas chcą zdradzić, jak zdradzili w 1830-ym roku, to zdusimy zdradę w krwi naszych nieprzyjaciół.“ Pujol zagadnął:

— Czy przysięgacie na to?

— Przysięgamy.

— Dobrze, zatem jutro, o 6-ej godzinie zrana na stanowiskach.

Naoczni świadkowie upewniają, że ten wiec proletarjuszów przy Panteonie wyglądał dosyć poważnie. Świadkowie ostrowidzący, nie bardzo sympatyzujący z ludem zgadzają się na to, że było tam około 4-ch tysięcy robotników, których nędza poprostu doprowadzała do rozpaczy. Nikt zaprzeczyć temu nie może, że wielce przyczyniły się do wywołania katastrofy mrzonki socjalistyczne, intrygi bonapartystowskie, ale najwięcej przyczynił się głód! Tak jest, głód,— tym nikczemniej zatem było, że zwycięzcy w bitwie czerwcowej nietylko później okrutnie postępowali ze zwyciężonymi, co można poniekąd wytłumaczyć wzburzeniem nieodłącznem od wszelkiego zwycięstwa, lecz później rzucali na nich wyrafinowane oszczerstwa, czynili im niesłuszne zarzuty. Samo twierdzenie, iż liczba powstańców wynosiła do 100 tysięcy ludzi, było niesprawiedliwą przesadą. Mówiono dalej, że ta horda stutysięczna szalonych robotników rzuciła się na bogatych z brutalną chciwością; oraz, że te sto tysięcy barbarzyńców złożonych z wyrzutków ludzkiej rasy powstało tylko dlatego, ażeby dopuszczać się w Paryżu mordów, pożarów, i wszelkiego rodzaju zbrodni. Następnie, iż w szeregach powstańców walczyło przeszło 20 tysięcy galerników i więźniów, a zatem wśród mętów społeczeństwa jeszcze drugie gorsze męty; wreszcie, iż powstańcy bronili się środkami

niedozwolonemi: sikawkami napełnionemi witryolejem, podrzucali zatrutą wódkę i t. d.

Były to wierutne kłamstwa i oszczerstwa, po części niedorzeczne. Liczba walczących w czerwcu wynosiła 40 tysięcy, a co najwięcej 50 tys. To prawda, że do nich przymięszały się nieczyste pierwiastki, może nawet paręset zbrodniarzy, lecz kiedy to nie przyłączają się nieczyste pierwiastki do wszelkiego walczącego, lub niewalczącego stronnictwa. Niechaj wreszcie raz przecie przejrzą swe szeregi baronowie ażiotażu, i rycerze oszustwa giełdowego, a niezawodnie znajdą, że złodzieje, rozbójnicy, fałszerze, i inni złoczyńczy niezawsze mieszkają w jaskiniach łotrów i domach kary, lecz i gdzieindziej—mianowicie w domach bardzo poważnych. Wszakże jak wiadomo wielkich złodziei nie każe się szubienicą, a jeśli przypadkiem tu i ówdzie jeden taki złodziej dostanie się na stryczek, to cała klasa należąca do tych respektablów w całej Europie do tego stopnia płacze ze współczucia, że aż oczy jej się czerwienią. Dwa główne grzechy wyrzucano powstańcom czerwcowym; śmierć arcybiskupa Affre, i zamordowanie jenerała Bréa. Pierwszy grzech nie od nich pochodził; dowiedzioną bowiem jest rzeczą, iż czcigodny prałat zraniony został kulą żołnierza, nie zaś powstańca; drugi grzech jest jednym z najwstrętniejszych,—mord Bréa, lecz szczególne światło rzu-

ca na to ten fakt, iż znaczną odgrywał rolę w tem zabójstwie ajent bonapartystowski Lahr [1]). Wyrok bezstronny, zupełnie sprawiedliwy, wolny od wszelkich uprzedzeń kastowych i stronniczych namiętności o czerwcowem powstaniu brzmi, jak następuje: „było ono zbrojnym protestem za złamanie obietnic danych ludowi w lutym, a pomimo kalających go pojedyńczych wybryków, zostało ono przeprowadzone z prawdziwem bohaterstwem i energją; a dalej, że powstańcy czerwcowi w ogromnej swej większości nie byli hordą barbarzyńców, ani bandą zbrodniarzy. Gdyby byli takimi, to przez dni kilka nie mogłyby znajdować się w ich mocy wielkie dzielnice Paryża bez naruszenia własności, życia mieszkańców i czci niewieściej. Jest zaś niezaprzeczonym faktem, że nigdzie nie spostrzeżono podobnych wybryków, czemu nawet nie ośmieliła się zaprzeczyć okrutna wściekłość tchórzliwych filistrów. Nie, nie barbarzyńcy, ani zbrodniarze rozpoczęli walkę czerwcową, lecz zrozpaczeni nędzarze, którzy apelowali do żelaza, ażeby urzeczywistnić swój program wcale nierozkoszny lecz bardzo skromny. Program, o którym śpiewał w lutym poczciwy i bardzo uzdol-

---

[1]) Bonapartystowska jego agentura nie ochroniła go od tego, iż zginął na gilotynie 17-go marca 1849-go, jako jeden z czterech zbrodniarzy przekonanych o morderstwo Bréasa.

niony czeladnik stolarski Leroy: „oto czego żą damy od dalekiej przyszłości; żebyśmy mieli pracę i chleb, żeby nasze dzieci uczyły się w szkole, a starcy nasi, żeby nie potrzebowali wyciągać ręki po jałmużnę.

6.

W piątek 23-go czerwca, około 6-ej zrana zebrało się na placu Panteonu blisko 8 tysięcy robotników. Pujol przemawiał do nich ze stopni Perystylu:

— Obywatele, jesteście dziś tymi samymi, jakimi byliście wczoraj. Dziękuję wam. — Naprzód!

Robotnicy uporządkowali się według wskazań przywódców, których jedyną oznaką była zawiązana na rękawie bluzy biało-czerwona przepaska; a utworzywszy silną kolumnę, podążyli z rozwiniętemi chorągwiami na plac Bastylji, gdzie złożyli rodzaj ofiary za umarłych, walczących z 1789 i 1830-go roku. Poczem wyruszyli dalej na bulwary do wylotu ulicy Saint-Denis, prowadzącej do Sekwany. Tu pochód się zatrzymał w milczeniu, co trwało jedną minutę. Potem zagrzmiała komenda:

— Do broni! Na barykady!

Możnaby się tu zapytać, dlaczego nikt nie ostrzegał robotników ani wczoraj, ani dziś. Dla-

czego nikt temu nie przeszkadzał. Dlaczego? — Niedorzeczne pytanie! — gdyż chciano robotników kartaczować, rozstrzeliwać i deportować; chciano raz zrobić koniec!“

O godzinie wpół do jedenastej wznosiły się już na ulicy Bonne Nouvelle trzy wysokie barykady, na których szczytach powiewały trzy trójkolorowe chorągwie z napisem: „Chleba albo śmierć!“ O tejże godzinie, gdy tu rozpoczęto budowę barykad, stanęły podobne szańce na przedmieściach: Saint-Martin, du Temple, Ś-go Antoniego, Poissoniere i na placu Bastylji. Również ochoczo poczęło działać powstanie na lewym brzegu Sekwany. W jego rękach były: Panteon z okolicą, przedmieście Saint-Jacques, Cité, słowem wszystkie dzielnice bardzo odpowiednie do wojny barykadowej.

Dopiero o 11-ej godzinie uderzono w bębny. Była to pierwsza oznaka, że powstańcy mieli coś podobnego do rządu, władzy bezpieczeństwa, władzy zbrojnej. Jeśli ówczesne osoby stojące u władzy możnaby uniewinnić za to, że naumyślnie pozwoliły wzrosnąć powstaniu, to chyba tem, że mniemały, iż posiadają dostateczne zbrojne siły pod ręką, ażeby stłumić je szybko i stanowczo. Minister Cavaignac miał na razie do rozporządzenia 20 tysięcy wojska linjowego, t. j. całą załogę Paryża, 16 tysięcy ludzi gwardji ruchowej, 2600 gwardji republikańskiej, i 2500 miejskich policjantów. Liczył przytem na

to, że z najbliższych garnizonów będzie można ściągnąć w przeciągu kilku godzin, około 15-tu tysięcy wojska linjowego. Wreszcie jenerał słusznie się spodziewał, że paryska gwardja narodowa, przynajmniej w znacznej większości, okaże się taką, jaką się okazała 15-go maja, to znaczy, ochoczo dopomagać będzie rządowi.

Rząd jednak był niezgodny co do planu, w jaki powstanie stłumić należy. Ledru-Rollin, do którego przyłączył się Arago, ze względu ludzkości i zdrowej polityki zalecał, iżby wszelkiemi siłami powstrzymano wybuch wojny domowej, i dlatego żądał, żeby przeszkadzano budowie barykad. Wszakże argumenty rozsądku i ludzkości nie znalazły przystępu do czaszki Cavaignac'a. W jego czaszce zagnieździło się wyobrażenie, że paryskie walki uliczne z lipca 1830-go, i z lutego 1848-go, podkopały godność armji, zatem obecnie przywrócić ją należy. Stało się to u niego zupełną idée fixe, i dlatego w żaden sposób nie chciał zezwolić na to, iżby wymknęła się mu piękna sposobność obmycia we krwi powstańców splamionej chorągwi armji. Zatem, nie należało zapobiegać walce, przeciwnie zezwolić, ażeby zapłonęła na jaknajwiększej przestrzeni, żeby się rozszerzyła, a to ku większej sławie szabli.

Dlatego Cavaignac pozostawił proletarjuszom w dzielnicach przez nich zajętych na razie zupełną swobodę działania;

— Gwardja narodowa, powiedział z czysto afrykańską przechwałką — niech broni, jak chce swych domów i sklepów.

I o tym to prototypie kaprala, słabe głowy twierdziły, że może stanie się francuskim Washingtonem! Jakby z takiego materjału można było rzeźbić Washingtonów! A przytem francuski Washington?—Stupiditas-stupiditatum!

Plan jenerała był następny: Podstawą operacji miały być Tujlerie, w których jenerał postanowił trzymać znaczną liczbę wojska. Mniejsze zaś oddziały znajdowały się na placu Zgody, na polach Elizejskich, esplanadzie Inwalidów, w pałacu Burbonów, ażeby ubezpieczyć zgromadzenie narodowe od wszelkiej napaści. Nie chciał on rozdrabniać wielkich mas wojska, postanowił uderzać na powstańców znacznemi kolumnami, tak jednak, żeby kolumny atakujące pozostawały w ciągłym połączeniu z główną siłą. Myślał zatem o stoczeniu formalnej bitwy. Czy przytem popłynie wiele krwi francuskiej, nie troszczył się o to trawestowany Washington. Szło mu głównie o ścisłe wykonanie tego planu, który istotnie został wykonany. Wszak czuł się już dyktatorem, i mógł już uważać się za takiego, ponieważ „poczciwi republikanie“, których przywódcą był pan Marrast dwukrotnie żądali 19-go i 22-go czerwca, ażeby komisja wykonawcza złożyła całą swą władzę w ręce jenerała. Było to zbyteczne żądanie,—ponieważ Ca-

vaignac, jako naczelnik wojskowy faktycznie posiadał już tę władzę.

Czy powstańcy mieli najwyższego kierownika? Czy walczyli według pewnego planu? Na pierwsze pytanie bezwarunkowo przeczącą trzeba dać odpowiedź. O Pujolu nie może być nawet mowy, gdyż przepadł bez wieści w chwili gdy rozpoczęto budowę barykad, ale walczyli według pewnego planu i wykonali go systematycznie. Nie ulega też wątpliwości, że większa część naczelników barykad składała się z wysłużonych żołnierzy. Proletarjat obrał sobie za pole walki gęsto zaludnione wschodnie dzielnice miasta. Powstańcy mogli tu liczyć na współczucie i pomoc ludności, przytem sprzyjały im tu labiryntowe uliczki, w których niepodobna było użyć wielkich mas wojska, lub przynajmniej z wielką trudnością. Chcieli oni pomału rozszerzyć i na inne zachodnie dzielnice miasta oczka sieci barykad, która objęła już wschodnie dzielnice miasta. Dlatego też przedewszystkiem zwrócili uwagę na te dwa punkty: ratusz i prefekturę policji. Gdyby się udało opanować te dwa punkty, postąpiliby dalej, i z obu stron rzeki zbliżyliby się do Tujlerów, oraz pałacu zgromadzenia narodowego (pałac Burbonów). Z początku 4-ry główne punkty powstańców były równomiernie rozłożone po obu stronach Sekwany. Na prawej stronie stała jedna ich główna siła na przedmieściu Temple z główną kwa-

terą w klasztorze św. Łazarza, druga od ulicy Saint-Antoine do kościoła Saint-Gervais z główną kwaterą na placu Bastylji. Na lewym brzegu stały ich posterunki łączące się z główną kwaterą w Panteonie przez ulice Saint-Jacques i de la Cité, aż do mostu Saint Michel i Petit-Pont, podczas, gdy druga siła zajmowała most Hôtel-Dieu, plac Maubert i ulicę Saint-Victor.

Jenerał Cavaignac obrał swą kwaterę w mieszkaniu prezydenta zgromadzenia narodowego. Przy nim przebywało kilkunastu członków komisji wykonawczej. Gdy uderzono ogólną pobudkę, a wojska linjowe i gwardja narodowa stanęły na swych punktach zbornych jenerał Cavaignac przywołał do siebie jenerałów: Bedeau, Lamoricière, Damesme, Foucher, Lebreton i innych, i każdemu powierzył oddzielną komendę: Bedeau otrzymał rozkaz poprowadzenia dywizji na ratusz. Lamoricière'owi rozkazano zająć drugą dywizją linję bulwarów od Château d'Eau, aż do kościoła św. Magdaleny. Damesme na czele 3-ej dywizji miał zająć lewy brzeg Sekwany, szczególniej pałac Luksemburski, gdzie przebywała część komisji wykonawczej.

Takie były przygotowania do nieszczęsnej *walki czerwcowej.*

Walka rozpoczęła się odrazu na dwóch punktach: przy Panteonie, i przy bramie Saint-Denis.

Cześć staremu Arago, który, jako członek

rządu tymczasowego i komisji wykonawczej bardzo mało, albo może nic nie działał, a teraz ośmielił się spróbować, czy nie da się jeszcze powstrzymać wybuchu okropnej wojny domowej. Gdy bowiem powstańcy zbudowali cztery wielkie barykady na Pantonie, mer cyrkułu (arrondissement) kazał uderzyć w bęben. Posłuchało go jednak tylko trzydziestu gwardzistów narodowych. Wobec tego mer zaczął parlamentować z barykadzistami:

— Czego właściwie chcecie?

— Nie chcemy udać się do Sologne na jej błota, ale żądamy pracy.

Tymczasem zbliżył się stary Arago, który chciał przekonać się własnemi oczami, jak rzeczy stoją. Przybył on na plac Panteonu z Luksemburga. Za nim maszerowała kolumna złożona z gwardzistów narodowych i wojska linjowego, zaopatrzona w artylerję, którą dowodził pułkownik Quinel. Mer biegnie do niego, i zaklina go, żeby nie rozpoczynał walki. Wojsko zatrzymuje się przed barykadami, poza któremi ukazują się ich obrońcy z bronią gotową do strzału. Znakomity uczony zbliża się do nich.

— Dlaczego powstajecie przeciw prawu i rządowi rzeczypospolitej? — Czemu stoicie na barykadach?

— Dlaczego — odpowiadają — dlatego panie Arago, dlaczego ty sam roku 1832-go stałeś

z nami na barykadach. Czy pamięta pan walkę przy klasztorze Saint-Merry?

— Tak jest, ale obecnie nie macie żadnego słusznego powodu do buntu.

— Panie Arago, jesteś poczciwym obywatelem, bardzo cię poważamy, lecz wyrzuty twoje są niesłuszne. Nigdy nie doświadczyłeś, co znaczy głód, nigdy nie zaznałeś nędzy.

— Rząd ma najlepsze zamiary, kieruje nim chęć szczera, ażeby zadosyć uczynić waszym słusznym żądaniom.

— Tak, wiele nam przyobiecano, ale nic nie dotrzymano.

— Zrobiono, co było tylko można.

— To nieprawda.

— Łajecie mnie, z takimi ludźmi nie chcę dłużej mówić.

Choleryczny starzec sam daje znak wojskom do walki, która po gorącej potyczce, i znacznych obustronnych stratach na tem się skończyła, że wojsko utrzymało się na placu Panteonu, a jenerał Damesme objął tu swe stanowisko. W tymże czasie, gdy tu strzelano z karabinów, i walono z dział, wybuchła walka na bulwarach. Drugi bataljon gwardji narodowej uderzył w biegu na pierwszą ze zbudowanych tam barykad, która stała na wysokości Porte Saint Denis, lecz został odparty. Wtem naczelnik barykady, który stojąc wysoko na przewróconym wozie, kierował walką, pada śmier-

telnie ugodzony. Mniemano, że ten cios zniechęci obrońców, — ale oto młoda, piękna dziewczyna z rozpuszczonemi włosami biegnie do zabitego, chwyta chorągiew, której on z rąk nie wypuścił, wdrapuję się z nią na barykadę, porusza chorągwią jakby wyzywając wojsko, i zachęca barykadzistów wzrokiem i słowy. Kula godzi w piersi biedną dziewczynę, i ona pada wznak poza barykadę. Ale w tejże chwili znalazła się druga kobieta przy jej boku, jedną ręką stara się ją podnieść, drugą zaś powiewa chorągwią. Po nowej salwie wojska, bohaterska kobieta pada nieżywa na zwłoki towarzyszki. Ale w dym prochowej, morderczej walki pada jasny promień bohaterskiego poczucia obowiązku. Lekarz bataljonu gwardji narodowej wdrapuje się na barykadę bez względu na świszczące koło niego kule, ażeby ratować obie kobiety, a przekonawszy się, że już nie żyją, powraca do rannych swego oddziału. Zdobyto wreszcie barykadę, reszta obrońców biegnie w kierunku przedmieścia Saint Denis.

Teraz właśnie, o wpół do trzeciej po południu, początek kulumny pod wodzą Lamoriciére'a wchodzi na bulwary. Jenerał ma polecenie stłumienia powstania na przedmieściach: Poissonière, Saint Martin, Saint Denis i du Temple. Zadanie bardzo trudne, gdyż w tych dzielnicach powstańców bronią bardzo silne barykady. Bardzo trudne, gdyż jego kolumny złożone z woj-

ska liniowego, gwardji narodowej i gwardji ruchomej, wynoszą zaledwie 5 tysięcy ludzi. Nie może on liczyć na żadne posiłki; wszak wie, że Cavaignac trzyma się uparcie swego planu, i nie chce osłabić swej silnej rezerwy, stojącej przy Tujlerach. Aż nadto było widoczne, że właśnie ten system dozwolił wzrosnąć powstaniu. Wszak rozkaz Cavaignac'a, ażeby dwa ostatnie bataljony linjowe stojące przy Luksemburgu zajęły pałac Burbonów, tak ogołocił z wojska dzielnicę na lewym brzegu Sekwany, że i ją zajęli powstańcy. Naprożno merowie, i dowódzcy różnych oddziałów gwardji narodowej wysyłali jednego posła po drugim prosząc ministra wojny o przysłanie posiłków w celu zapobieżenia rozszerzeniu się sieci barykad.

— Nie chcę rozrzucać moich sił wojskowych, zawsze odpowiadał jenerał.

Pomimo tego musiał na niejaki czas ogołocić z wojska pałac Burbonów i plac Zgody, ażeby wysłać posiłki Lemoricière'owi, znajdującemu się w bardzo trudnem położeniu. Osobiście zaprowadził kolumnę posiłkową na bulwary w towarzystwie Lamartine'a. Lamoricière obrał swą główną kwaterę w kawiarni na rogu bulwarów i ulicy Saint Denis, i tu złożył raport ministrowi wojny z tego, co dokonał, a raczej, czego nie dokonał.

Powstanie, mówił on, ma w sobie coś dziwnego, tajemniczego, nie wiadomo, do czego dąży.

Dotąd nie widziano na barykadach żadnej innej chorągwi oprócz chorągwi narodowej, trójkolorowej; nie słychać żadnego wołania, żadnego imienia, któreby zdradziło, czego właściwie chcą powstańcy. Ta tajemniczość niemało podwyższa siłę powstania, przynajmniej w oczach żołnierzy.

Niebawem Cavaignac miał otrzymać dowód tej siły. Rozmówiwszy się z Lamoricière'm kazał pójść do ataku 7-iu bataljonom, które przywiódł ze sobą, wkrótce jednak przekonał się, że dalszy pochód tamuje mu straszna barykada, albo raczej cały system barykad, które zamykały wyloty ulic: Saint-Maur, Trois-Couronnes, i Trois-Bornes. Na nic się nie przydał dwukrotny atak pod dowództwem samego jenerała, wojsko poniosło ciężką klęskę, a szaniec został zdobyty dopiero po pięciogodzinnym ogniu działowym. Tymczasem zaszła noc, nie można więc było korzystać z tej przewagi. Upadły na duchu Cavaignac powrócił do hotelu prezydenta „zgromadzenia narodowego."

Szczęśliwszy był od niego jenerał Badeau. Zebrawszy swe siły w pobliżu Hotel de Ville, uderzył na wyspę Cité. Wojska jego podzielone na dwie kolumny zaatakowały most Notre-Dame i most Arcôle, a po bardzo uporczywej walce, utorowały sobie drogę przez Cité, przeszły Petit-Pont, i doszły do ulicy Saint Jacques wiodącej do Panteonu. Bedeau nie mógł dalej postę-

pować już to z powodu nocy, już z powodu zupełnego wyczerpania wojska.

Wogóle korzyści odniesione w powstaniu z 23-go czerwca były mało znaczące. Nazajutrz okazało się, że powstanie w nocy bardzo się rozszerzyło- i umocniło; pomimo tego jeszcze 23-go czerwca było kilka oznak przekonywających, iż ostatecznie wojsko zwycięży. Oznaką taką było, iż mężowie, o których usposobieniu republikańskiem nie można było wcale powątpiewać, zewsząd przybywali z ofiarowaniem swych usług rządowi. Wymowną też było oznaką, iż ucząca się młodzież nie walczyła po stronie powstańców; tudzież, że na barykadach nie było widać ani jednego munduru uczniów politechniki, tak ulubionych przez lud. Wreszcie obawa, że gwardja ruchoma przejdzie do powstańców płonną się okazała. Kiedy, jak powiedziano, wojna domowa w różnych dzielnicach miasta poczęła już zbierać swe krwawe żniwo, — w pałacu Burbonów uchwalono ważne postanowienie.

Zgromadzenie narodowe rozpoczęło swe posiedzenie o pierwszej godzinie. Zdawało się, że popsuł się cały mechanizm parlamentarny, gdyż wszyscy członkowie, należący do gwardji narodowej lub do wojska, stawili się w mundurach wbrew zwyczajowi. Różni mówcy wchodzą kolejno na mównicę; widać ich tylko, ale nikt ich nie słucha. Prezydent Senard spogląda ponuro,

i nie wie co począć. Ale na ławkach i w korytarzach mówią głośno o konieczności usunięcia komisji wykonawczej, przelania całej władzy cywilnej wraz z wojskową w ręce jenerała Cavaignac'a, jakgdyby biedna komisja wykonawcza była także winną tego powstania proletarjatu, którego w tej chwili tak wyłącznie nazywać się nie godzi. Wszak w dzielnicach zajętych przez powstanie, przyjęła w nim udział prawie cała ludność, i znaczna część gwardji narodowej. Tem tylko objaśnić można, iż straszny ten opór trwał tak długo—przez całe dwa dni...

Flocon zwraca chwilowo na siebie uwagę zgromadzenia, rzucając z mównicy te słowa: „Powstańcy chcą anarchji! Było w tem trochę prawdy. Gdyby udało się pochwycić nić sprzysiężenia, przekonanoby się, że snuje je ręka pretendenta. Głośno to ogłaszam, ażeby słyszano mnię tu i poza zgromadzeniem. Knowania te, te nieporządki, to powstanie mają jedno tylko na celu; zniesienie rzeczypospolitej, i przywrócenie dyspotyzmu,“ Wzruszenie i zgiełk. Pan de Falloux ukazuje się na mównicy ze zwitkiem papieru w ręku.

— Ach! wołają, sprawozdanie, sprawozdanie o warsztatach narodowych!

— Protestuje przeciw temu woła pan Raspail z ławki, sprawozdanie to zupełnie nie na czasie, a nawet niebezpieczne.

— „Ale nie! wołają z prawej.“ Czytaj pan! Czytaj pan!

Falloux rozpoczyna upewniając, że w obecnym kryzysie rolniczym, handlowym i przemysłowym jedynym środkiem zbawienia jest natychmiastowe rozwiązanie warsztatów narodowych, i kończy wnioskiem wydania bezzwłocznego dekretu, mocą którego „to ognisko bezpłodnej agitacji natychmiast znieść należy.“ Deputowany Korbon, sam rzemieślnik, protestuje przeciw temu wnioskowi, jako niepolitycznemu, okrutnemu i poprostu wyzywającemu, co jednak nie zostaje uwzględnione, tym bardziej, iż obecnie członek komisji wykonawczej, pan Garnier-Pagés staje na mównicy, ażeby oznajmić: „Rząd przedsięwziął energiczne środki; a jeśli się okaże potrzeba, chwyci się jeszcze energiczniejszych „trzeba raz zrobić koniec.“ *Jestto ustawiczna zwrotka chóralna burżuazji w tej tragedji czerwcowej!* Konsiderant wnosi, ażeby zwrócić do robotników proklamację objaśniającą i ugodowa, skreślona przez niego i Blanc'a „Nie potrzeba“ woła Base.

„Pozwólcie działać jenerałowi Cavaignac.“

Caussidière żywo popierając wniosek Konsideranta:

„Na nieba! nie pozwólcie na to, ażeby Paryż wzajemnie się mordował. Wiedźcie, że kluby w rozpaczy ogłosiły się za nieustające...

Zakrzyczano mówcę słowami: „Mówi pan, jakbyś do nich należał. Do porządku!

Większość zgromadzenia przyjmuje proklamację wniesioną przez Senarda treści nader wyzywającej.

Cavaignac wchodzi na mównicę o dziesiątej godzinie w nocy i oznajmia: Nie stłumiono dotąd powstania, dla stłumienia go, potrzeba ściągnąć z prowincji wojsko i gwardję narodową. Zgromadzenie rozchodzi się w największej rozpaczy; Jednak znów zebrało się dnia następnego, 24-go czerwca o 8-ej godzinie zrana. Przez całą noc wszystkie stronnictwa parlamentarne były czynne. Republikanie jak: Senard, Marrast, Bastide naradzali się i rozprawiali z Orleanistami, Burbonistami i Lojolitami jak: Thiers, Berryer i Falloux: i zgodzili się na „Stan oblężenia i dyktaturę wojskową!“ Tymczasem powstańcy z prawego brzegu Sekwany zamierzają uderzyć na ratusz. Z tej strony dochodzi do uszów huk dział i strzały karabinowe. W tej chwili Paskal Duprat wnosi, żeby zgromadzenie narodowe uchwaliło ogłoszenie stanu oblężenia w całym Paryżu i mianowanie jenerała Cavaignac'a dyktatorem. Bastide, chcąc przyspieszyć tę uchwałę, wyje poprostu na mównicy ze strachu. Wniosek zostaje przyjęty wszystkiemi głosami przeciw 60. W godzinę później komisja wykonawcza, którą wczoraj obarczano wyrzuta-

mi, przysyła swoje uwolnienie. Była to czcza i zbyteczna formalność.

Żyjemy w czasach elektryczności i pary. I dzieje przyśpieszonym postępują tempem; wszak mają na swe usługi telegrafy i koleje żelazne. Pierwsza rewolucja francuska wymagała ośmiu lat zanim doszła do dyktatury wojskowej; druga dokonała tego w przeciągu czterech miesięcy.

8.

Dyktatura Cavaignac'a była wynikiem konszachtów socjalistów i Jezuitów, nie zaś, jak wmawiano ograniczonym republikanom jedynym środkiem ocalenia rzeczypospolitej. Powyższe stronnictwo, którego przywódzcami byli Thiers i Falloux mogło się cieszyć z tego wszystkiego, co zaszło od lutego, gdyż to było następstwem jego zręcznych intryg. Za pomocą komisji wykonawczej dali szach-mat pierwiastkom socjalno-demokratycznym w rządzie tymczasowym; za pomocą Cavaignac'a rozpędziło komisję wykonawczą, a teraz w cichości przygotowywało się usunąć jenerała za pomocą Ludwika Bonapartego, który znów miał służyć jako pomost wiodący do panowania Burbonów albo Orleanów,

Ludwik Napoleon nie pozwolił z siebie żartować i oszustów zamienił na oszukanych.

Przedewszystkiem Bonapartyzm starał się o to, żeby w tych dniach strasznych o nim nie zapomniano. Wszędzie, gdzie tylko chwycimy za kłębek bitwy czerwcowej), wszędzie widzimy nić żółtą jak siarka—sprzysiężenia bonapartystowskiego. Zaledwie „książe“ dowiedział się o tem, co się gotuje w Paryżu, gdy 22-go czerwca napisał list z Londynu do Paryża, do jenerała Rapatel. Stały tam te wyrazy: „Jenerale, znam pańską przychylność dla mojej rodziny. Jeśli wydarzenia wezmą przebieg dla niej pomyślny, zostaniesz ministrem wojny.“ Rapatel pokazał ten list 25-go czerwca pułkownikowi Charras, którego dyktator Cavaignac mianował swoim zastępcą w ministerjum. Wobec wielkiego zajęcia nie było w tym dniu czasu do rozpatrzenia tej sprawy; wszakże list księcia może posłużyć za jeden jeszcze dowód, że bonapartyzm już przez potok krwi bitwy czerwcowej szukał drogi do Tujlerów, którą atoli miał znaleźć dopiero po potoku krwi rzezi grudniowej...

Noc nie położyła kresu walce, która zrana 24-go czerwca wznowiła się ze świeżą siłą i zażartością. Działa otworzyły paszcze już o 4-tej godzinie zrana. O 5-tej godzinie naczelnik bataljonu Dupont z 12-tej legii gwardji narodowej, żądał posłuchania u Cavaignac'a, który jeszcze wypoczywał. Gdy wprowadzono go z kil-

ku towarzyszami do sypialni jenerała, ten rzuca mu pytanie, spoczywając w łóżku:

— Czego pan chce?

— Przychodzę prosić pana o wycofanie wojsk z 12-go cyrkułu, któremi jest przepełniony. Ręczę za spokój tego cyrkułu.

— Niepodobna. Trzeba walczyć.

— Tak jest, ten ograniczony umysł żołnierski chciał walki, i musiał mieć walkę. Około 10-tej godziny walka uliczna znów zawrzała w całej sile, na tych miejscach, w których wczoraj się zakończyła: — w Cité, gdzie powstańcy w ciągu nocy napowrót pozdobywali wszystkie te stanowiska, z których dnia wczorajszego zostali wyparci przez Bedeau; a dalej na wysokości przedmieścia Sain Denis i Poissoniére, oraz na lewym brzegu rzeki w okolicy Panteonu. W tymże czasie powstanie opanowało całe przedmieście ś-go Antoniego, przedmieście Villette, w którem najdłużej się trzymało, dopóki nie spożyło ostatniego bochenka chleba, i nie wystrzelało wszystkich nabojów.

Dopiero po południu, 24-go owładnęła powstańcami istna chęć mordu, mianowicie wówczas, gdy dowiedziano się o uchwale zgromadzenia narodowego. Doskonale zrozumiano za barykadami, że uchwała ta była poprostu wyzwaniem do walki na życie lub śmierć. Obecnie też walka przybrała straszny, ponury charakter. Z barykad zniknęła chorągiew trójkolorowa; na

jej miejscu powiewała chorągiew czerwona. Posępne hasło powstańców: „Chleb albo śmierć!“ wyraźnie świadczyło, że była to już nie walka polityczna, lecz społeczna. Poraz pierwszy wydano wojnę klasie społecznej; poraz pierwszy otwarcie i poczciwie. Burżuazja i proletarjat, kapitał i praca poczęły orężny, morderczy taniec.

Oba stronnictwa przeprowadziły go po bohatersku. Niedźwiedzie czapki i bluzy, gwardja narodowa i barykadziści, żołnierze i jenerałowie walczyli ze sobą, pozwolili się zabijać, jak przystoi mężom zdecydowanym na wszystko. Fakt ten jest prawdziwie, boleśnie tragiczny, że gwardja narodowa, która zarówno walczyła po stronie powstańców, jak po stronie wojska, walczyła z pogardą śmierci, i w swej znacznej większości szczerze wierzyła, że walczy za utrzymanie rzeczypospolitej. Niemniej tragicznym jest fakt, że robotnicy przedmieścia ś-go Antoniego byli mocno przekonani, iż walczą za Rzeczpospolitą, którą zniszczyć chcą rojaliści. Dlatego też nie mogli wyjść z osłupienia, gdy gwardja narodowa i gwardja ruchoma z hasłem: Vive la république! uderzyła na barykady.

Wściekły gniew gwardzistów ruchomych na powstanie stanowczo się przyczynił do jego pokonania. Gwardziści ruchomi, te bataljony ulicznikόw paryskich walczyly jak bohaterowie, ale szalały jak tygrysy. Były zupełnie odurzone dy-

mem prochowym, wrzawą walki, jako też wódką zmięszaną z prochem, były odurzone do szaleństwa. Napadła na nich wściekłość mordu podobna do tej, jaka napada malajską ludność wschodnio-indyjskiego archipelagu. Współubiegając się z kilku liniowemi pułkami, które walcząc w Afryce, przyzwyczaiły się do niezważania na żadne względy ludzkości, bez litości zabijały swych jeńców. Widziano nawet jak jeden z tych tygrysich uliczników, zwrócił się na placu walki do swego najulubieńszego towarzysza i rzekł: „Poczekaj, zabiję cię jak psa! i przeszył mu głowę kulą, a potem rzucił się, łkając z rozpaczy na zabitego.

Kanibalizmy dokonywane w ciągu „trzech dni“ przez afrykanów i gwardją ruchomą nie uniewinniają bynajmniej powstańców za ich okrucieństwa; wszakże poniekąd ich tłumaczą. Najciemniejszą hańbą powstania, przez której ciemność snuła się, jak wspomniano, znana nić siarkowo-żółta, było 25-tego czerwca zamordowanie zwabionego jenerała Bréa i jego adjutanta Maugina, przy rogatkach Fonteneblau. Dla objaśnienia tego mordu należy jeszcze wspomnieć, że dnia poprzedniego, na ulicy St. Jacques, jeśli nie z rozkazu, to przynajmniej w oczach jenerała bezlitośnie rozstrzelano ujętych powstańców. Ale śmierć arcybiskupa Affre otacza świetne gloriola, ten, chcąc zażegnać walkę bratobójczą, idąc na przedmieście ś-go Antoniego

otrzymał ranę, wskutek której we dwa dni później zakończył życie. Napróżno Cavaignac ostrzegał prałata, że naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, arcybiskup nie posłuchał ostrzeżeń i odrzekł prosto, lecz wzniośle „Życie moje znaczy tak mało,“ („ma vie est si peu de chose!“). Kula śmiertelna, która trafiła przyjętego ze czcią wielką przez powstańców arcypasterza, nie wyleciała z lufy barykadzisty, lecz przez pomyłkę z lufy żołnierza. Zaświadczył to wyraźnie jeden z towarzyszów prałata, jego wikarjusz generalny Jaquemont („qu'il na pas eté frappé par ceux, qui defendaient les barricades.“

Zbyteczną byłoby rzeczą szczegółowo opisywać okropną trzydniową bitwę tak pod względem strategicznym jak i taktycznym. Głównym wypadkiem walki z 24-go czerwca było, że ostatecznie wyparto powstańców z nader ważnego stanowiska w Panteonie, i jego okolicy. Uważano to za tak ważne zwycięstwo, że sfery rządowe o godzinie 4-tej mniemały, iż wojsko jest już panem całego położenia. Nie zgadzało się to z rzeczywistością, a dnia następnego ponura fizjognomia Paryża świadczyła, że stan rzeczy był groźniejszy niż kiedykolwiek. Po południu mówiono otwarcie w sferach rządowych o tem, że dla opanowania powstania, trzeba będzie wysadzić w powietrze Przedmieście ś-go Antoniego; wszakże wkrótce potem ogło-

szono, że przygaszono ostatnie ognisko buntu [1]). Była to wiadomość przedwczesna, zbyt pośpieszna, gdyż powodzenie wojska 25-ego czerwca było właściwie tylko odporne, polegało bowiem na utrzymaniu się wojsk na ratuszu. Wreszcie 26-ego odniósł dyktator walne zwycięstwo na przedmieściu ś-go Antoniego i Villette, które zajął po poprzedniem bombardowaniu. Dopiero o 7-ej wieczorem poddało się przedmieście Villette, po zdobyciu przez wojska ostatniej barykady.

W godzinę później, wice-prezes zgromadzenia narodowego, pan Korbon, czytał na mównicy ten dopisek Cavaignac'a:

— Obywatelu prezesie! Dzięki zachowaniu się gwardji narodowej i armji, stłumiono powstanie („la révolte est detruite"). W całym Paryżu skończyła się walka. Gdy się przekonam, że udzielone mi pełnomocnictwa nie są już po-

---

[1]) Depesza Barmana 24-go czerwca wieczorem—4-ta. „władza jest panem położenia, ale wiele przelano krwi.

Z 25-go czerwca: Paryż przedstawia wciąż ponurą fizjognomją; wszyscy wiedzą że nie idzie już o stronnicze opinje, lecz o istnienie samego porządku społecznego." O 2-ej. Zdaje się, że na wszystko są zdecydowani, byleby przywrócić porządek, a w razie niezbędnej potrzeby wysadzić w powietrze przedmieście Ś-go Antoniego. W tym celu wezwano już saperów. O wpół do trzeciej: „Donoszę, że ostatnie ognisko powstania zostało przytłumione."

trzebne, zwrocę je z uszanowaniem w ręce zgromadzenia...

Rzeczywiście, 28-go czerwca Cavaignac zwrócił swe pełnomocnictwa zgromadzeniu narodowemu. Zgromadzenie narodowe postanowiło ogłosić, iż jenerał dobrze się zasłużył ojczyźnie, i mianowało go natychmiast „naczelnikiem władzy wykonawczej.“ Takiego użyto wyrażenia, nie chcąc go poprostu nazwać dyktatorem. Jenerał wezwał do swego ministerjum po większej części „poczciwych“ republikanów: Bastide, Carnot (którego zastąpił Baulabelle), Senard, Rekurt, Bethmont (którego miejsce zajął niebawem Marie), Goudchaud, Touret. Lamoricière został ministrem wojny, admirał Leblanc, — ministrem marynarki, jenerał Changarnier, — dowódzca paryskiej gwardji narodowej. Zniesiono merostwo Paryża, a na przywróconą godność prefekta Sekwany, mianowano Trouve Chauvel. Prefektem policji został Dukoux. Tak więc rozdano i dobrze obsadzono role, to znaczy utworzono rząd lubej, utykającej, nudnej mierności, która nic takiego nie uczyniła wewnętrznej polityce, coby zasługiwało na wzmiankę; a w sposób zupełnie niedorzeczny nietylko lekceważyła interesy ludów, lecz dopomagała do ich zdrady. Zupełna niezdolność polityczna Cavaignac'a i jego współ-poczciwców zrobiła z tego rządu epizodycznego zasłonę, poza którą rojalizm, bona-

partyzm i jezuityzm w najbezczelniejszy sposób gotowały się do nowego wystąpienia.....

Z początku ciążyła na Paryżu nieopisana żałoba. Dotąd dokładnie nie oznaczono liczby zabitych i rannych w bitwie czerwcowej. Według raportu prefekta policji Dukoux złożonego w październiku, zginęło wogóle 1460 ludzi, których $^2/_3$ było żołnierzy i gwardzistów narodowych. Pomiędzy poległymi byli jenerałowie i dwóch członków zgromadzenia narodowego, 6-ciu jenerałów odniosło rany. W różnych szpitalach miejskich pielęgnowano 2529 rannych; wszakże z pewnością więcej niż dwa razy tyle rannych leczyło się w domach prywatnych. Walki rewolucyjne z czerwca 1830-go i z lutego 1848-go nawet w przybliżeniu nie były tak krwawe. Według raportu jenerała Lamoricière'a rozdano pomiędzy żołnierzy na bitwę czerwcową 2,100,000 patronów karabinowych, a podczas dni walki wystrzelano z dział 3300 razy.

9.

O godzinie 7-ej wieczorem, 26 czerwca, gdy zdobyto ostatnią barykadę, zniknął francuski proletarjat ze sceny rewolucji francuskiej z roku 1848-ego. Burżuazja odniosła całkowite zwycięstwo, odtąd od niej jedynie zależał dalszy

przebieg rzeczy. Po zwycięstwie rozpoczęło się dzieło zemsty, jakto zwyczajnie na świecie: „Biada zwyciężonym!“

27-go czerwca, i jeszcze kilka dni następnych Paryż przedstawiał obraz miasta zdobytego szturmem przez nieprzyjaciela. Największemu zniszczeniu uległy dzielnice, w których walka wrzała. Wszędzie widać było dymiące zgliszcza w Citè, niedaleko Panteonu, na drogach wiodących do ratusza, i przy bramie Saint-Denis. Przedmieścia ś-go Antoniego i Temple, gdzie ogień działowy najdłużej szalał, podobne były do miejscowości dotkniętych trzęsieniem ziemi. Podczas bitwy, pomimo strasznego huku, Paryż przedstawiał wielkie opustoszenie, ponieważ oprócz walczących na ulicach, wszyscy przesiadywali w domach. Obecnie niektórzy tylko ciekawi ośmielili się wyjść na ulicę. Na ulicach i placach widziano jedynie grona jeźdźców, zaprzężone armaty, kolumny piechoty, bataljony gwardji narodowej, a pomiędzy niemi setki, tysiące jeńców.

Mury domów pokrywały następne proklamacje: Naczelnik władzy wykonawczej do gwardji narodowej i armji! Obywatele! żołnierze! Zatryumfowała święta sprawa Rzeczypospolitej. Wasza gorliwość, wasze niewzruszone męstwo zniweczyło złe zamiary, i położyło kres smutnym błędom. W imię ojczyzny, w imię ludzkości przyjmijcie podziękowanie za swe trudy, i bądź-

cie błogosławieni za to konieczne zwycięstwo. W czasie walki gniew wasz był słuszny i niezbędny; teraz bądźcież również wielkiemi w panowaniu nad sobą, jak byliście wielkimi w męstwie. W tym Paryżu widzę zwycięsców i zwyciężonych. Nie chciałem widzieć żadnych ofiar, a gdybym zgadzał się na nie, niechaj imię moje będzie przeklęte! Niech sprawiedliwość dokona reszty! Niech działa! Taka jest wasza, taka jest moja wola.

Jenerał E. Cavaignac.

Jakżeż zgadza się z temi słowy to, co się stało w Paryżu 27 czerwca, i dni następnych? Jak zemsta usposabia do zgody? Czy Cavaignac nie mógł wykonać tego, co przyrzekał? — to wielkie pytanie, albowiem wolny był teraz bojaźliwy, tchórzliwy filister, jak wiadomo jedna z najokrutniejszych bestji, i chciał pomścić przestrach, jakiego doznał. Pewną jest jednak rzeczą, że jenerał słów swoich nie dotrzymał.

Jeśli, czemu bynajmniej zaprzeczyć nie można, we wściekłości i gorączce bitwy ulicznej wojska gwardji narodowej i gwardji ruchomej natychmiast rozstrzelały około 150-ciu bezbronnych powstańców, jeśli nawet w tej strasznej szermierce kobiety, które swym walczącym mężom przynosiły posiłek, i córki, które dla swych rannych ojców skubały szarpie, bez żadnego względu zabite zostały, to wprawdzie było to wielkie okrucieństwo, lecz musimy je przypisać go-

rączce bitwy. Jakie jednak przytoczyć można uniewinnienie na to, że już po ukończeniu walki, wciąż rozstrzeliwano jeńców na równinie Grenelle, na cmentarzu Mont-Parnasse, w łomach Montmartre, i przy klasztorze Saint-Benoît. Czem to usprawiedliwić, że w jednej piwnicy Tujlerów, od strony wody, napełnionej błotem zamknięto 500 jeńców, oraz, że z zewnątrz stojące szyldwachy, gdy jeńcy duszący się brakiem powietrza, cisnęli się do okratowanych okien, ażeby pochwycić trochę powietrza, strzelali do nich, włożywszy lufy do piwnicy. Cóż wreszcie na to, że 27-go czerwca, zatem w pierwszem uniesieniu, w najgorętszej chęci zemsty zgromadzenie narodowe powzięło postanowienie, że wszyscy jeńcy przekonani o udział w powstaniu — było ich niemniej 25 tysięcy w kazamatach fortów paryskich, bez wszelkiego procesu i wyroku deportowani zostaną do Cayenny, oraz, że to postanowienie, świadczące o potwornej pogardzie prawa i nieludzkości, zostało wykonane na blisko 16-stu tysiącach jeńców.

Cóż powiedzieć o tem wszystkiem? „Vae victis!“ Burżuazja umiała zwyciężyć, i ukarać buntowniczy proletarjat; zatem uważała, że ma prawo. Tak było zawsze, i tak zawsze będzie!

6-go lipca urządził rząd wspaniały pogrzeb dla poległych obrońców sprawy porządku. Ce-

remonja była sztywna, przymuszona, zimna pomimo upału lipcowego, zimna aż do zamarznięcia. Burżuazja obchodziła swą uroczystość zwycięstwa w niemiłej prawie ciszy, albowiem lud świecił nieobecnością. Prawda, że tej uroczystości liczne towarzyszyły emblematy republikańskie i symbole. Czytano wszędzie dewizę: „Wolność, równość i braterstwo“, lecz każdy czuł, że to tylko już gorzka ironja!

— Tak jest, rzeczpospolita już nie żyła, lubo stronnictwo republikańskie przez czas niejaki bawiło się jeszcze jej mumją, aż wreszcie z jej powijaków bonapartyzm wykroił płaszcz cesarski!

Przeznaczeniem świata jest porządek moralny, ale on nie istnieje. Jestto ideał, a nie fakt. A jednakże wciąż coś prze nas do niego, czy to nazwiemy rozkaźnikiem kategorycznym, czy inaczej. To coś zmusza nas do wiary w moralny porządek świata, i zniewala dążyć do jego urzeczywistnienia.

Scherr.

VII.

Marsz Radeckiego.

1.

Pewnego poranku grudniowego, r. 1845-go, przybył do pałacu królewskiego w Turynie mąż, który później stał się bardzo sławnym w dziejach Włoch, a dotąd znany był, jako mierny malarz i rozwlekły nowelista. Był to markiz z Massimo d'Azeglio. Król sardyński udzielił mu posłuchania, o które prosił, wyznaczywszy mu na nie 6-tą godzinę zrana, — jakto było zwyczajem Karola Alberta. Lubo całe miasto było jeszcze w śnie pogrążone, pałac był oświetlony. Tak w pałacu, jak i poza nim, nikt nie przewidywał, wyjąwszy dwóch osób, że ta chwila jest godziną dziejową wielkiej doniosłości.

Signore Massimo oczekiwał zaledwie kilka minut w przedpokoju, gdy kamerdyner otworzył drzwi, i poprowadził go przez salę audjen-

cjonalną do gabinetu królewskiego. Carlo Alberto stojący przy oknie, odpowiedział grzecznem pochyleniem głowy na ukłon szlachcica piemonckiego, postąpił parę kroków naprzeciw prosił, żeby usiadł, i zapytał bardzo grzecznie o jego zdrowie.

Dobry Massimo, któremu przebaczyć należy z powodu jego szczerej miłości Włoch strasznie nudne romanse, połajanki na Niemców i mdły liberalizm, spojrzał na wysokiego, chudego, bladego monarchę, który podczas rozmowy tak łagodnie spoglądał a „głos jego tak mile dźwięczał“ i w tej chwili przypomniał sobie, jak tenże człowiek bezwstydnie i haniebnie dwukrotnie zdradził sprawę Włoch (1821 i 1832-go roku) pomimowolnie więc rzekł do siebie:

— Massimo nie wierz mu! [1]).

---

[1]) Imię Karola Alberta, a raczej księcia Karignano, gdyż ten tytuł nosił wówczas zdrajca z 1821-go roku, było, jak wszystkim wiadomo, w trzecim i czwartym dziesiątku lat przekleństwem w ustach każdego włoskiego patrjoty. Najsilniej wyraził to przeklenstwo genjalny, wysokomyślny romansista Giovanni Berchet w jednej strofie swej „Klariny“.

Esecrato o Carignano
Va il tuo nome in ogni gente!
Non vé elima si lontano
Ove il tedio, lo squallor
La bestemmia d'un fuggente
Non ti annunzi traditor.“

— Jak się pan ma? powtórzył Carlo Alberto.

— Dobrze, co się mnie tyczy.

— To dobrze, skąd pan przybywa?

— Wasza Królewska Mość, powracam z objazdu po Włoszech, zwiedziłem jedno miasto po drugiem. Prosiłem o audjencję Waszej Królewskiej Mości, chcąc Ją zapytać, czy pozwoli mi skreślić obraz obecnego położenia i usposobienia Włoch, oraz, żeby pomówić o różnych poglądach politycznych, jakie słyszałem, a i o tem, co rozmawiałem z mężami zajmującemi różne stanowiska społeczne.

Rzeczywiście markiz d'Azeglio dopiero, co powrócił z objazdu politycznego, który przedsięwziął z polecenia włoskiego liberalizmu, a którego następstwa były bardzo dalekonośne. Szło tu bowiem o paraliżowanie agitacji republikańskiej Mazziniego, i w tym celu ogłaszał wszędzie jedynie zbawczą naukę o monarchji konstytucyjnej, proklamował króla sardyńskiego, jako przyszłego zbawcę Włoch, ażeby zorganizować zjednoczenie Włoch całych, co w 15 lat później naśladowano w Niemczech utworzeniem związku niemiecko - narodowego („Nationalve-

---

Wielu przeklina twe imie o Karignanie
Na całej ziemi niema takiego miejsca,
W którym nie dokuczyłyby ci wyrzuty sumienia,
Wychodźcy z rozpaczą na twarzy przeklinają cię
[zdrajco!

rein"). Włoski związek narodowy, który ostatecznie zorganizowany został przez markiza w „Terni", zwał się „La trafila" a jego uczestnicy (trafilotori). Liberali włoscy wydali hasło: „Włosi powinni być spokojni". Nie trzeba pozwolić, żeby napróżno trwonili swe siły, nie powinni bawić się w przedwczesne i beznadziejne powstania. Trzeba ich przekonać, że tylko w wielkim ruchu europejskim, który niebawem nastąpić musi, nadejdzie stosowna chwila, w której naród włoski powstać może. Następnie przekonać należy włoskich patrjotów, że jedyną formą przyszłego rządu półwyspu, ma być monarchja konstytucyjna, a wreszcie przelać w nich to przekonanie, iż koniecznie oprzeć się należy na królu sardyńskim, jako jedynym punkcie zaczepnym. Na ostatni paragraf programu nie wszyscy się zgadzali, był on przedmiotem wielu wątpliwości i zaprzeczeń. W różnych miastach Włoch z goryczą zapytywano:

— Jakto, liczycie na Karola Alberta?

Na co markiz:

— Jeśli nie chcecie na niego liczyć, to nie liczcie, ale wówczas musicie porzucić wszelką nadzieję, i poddać się losowi.

— Ale 1821 i 1832?

— I mnie się nie podobają, atoli posłuchajcie przypowieści. Jeśli wmawiacie złodziejowi, że jest człowiekiem porządnym, honorowym, a on przyrzeka, że takim będzie, to macie słusz-

ny powód do powątpiewania, czy dotrzyma danego słowa; lecz jeśli zachęcicie złodzieja do rabunku, a on przyrzecze, że zrobi to, do czego go namawiacie, nie potrzebujecie powątpiewać, że dotrzyma danego słowa...

Przypowieść ta niebardzo pochlebna dla Carlo-Alberta wskazuje dosyć drastycznie, jak liberalizm włoski myślał rzeczywiście o swym „Zbawcy“. Lecz co dalej? — Jak wiadomo liberalizm jest praktycznym człowiekiem i dobre robi interesy; zatem wie, że dziejowa firma „Gałgan i Kompanja“ przez pesymistów zwana „Sociétas humana“ przedewszystkiem posługuje się oszustami i hultajami.

— Mów pan, z przyjemnością słuchać będę, rzekł król do markiza, poczem ten objaśnił, dlaczego niedawno zorganizowało się stronnictwo narodowo-liberalne, ażeby przeciwważyć stronnictwu narodowo-radykalnemu. Członkowie tego stronnictwa są przekonani, że nic nie da się osiągnąć temi drogami, na które weszli zrozpaczeni patrjoci we Włoszech od 1814-go roku. Wierzą, że bez siły nic nie da się wykonać, oraz, że bez niej nie będzie można złamać jarzma obcych panujących. Narodowo-liberalni wiedzą, że we Włoszech sam jeden Carlo Alberto posiada siłę, lecz, że dopóki Europa będzie spokojna, liczyć na tę siłę nie można.

Mówca zakończył temi słowy:

— Trzeba dalej pracować, za pomocą no-

wej idei powstrzymać dawną rozpacz i wskazać jej właściwą drogę. W tym celu zwiedziłem całe Włochy; wszędzie umawiałem się, namawiałem, i otrzymałem już pewne rezultaty. Teraz od Waszej Królewskiej Mości, chcę dowiedzieć się, czy pochwala to, co uczyniłem, i czy słuszne są nadzieje, jakie Włochy pokładają w Waszej Królewskiej Mości.

Król bezzwłocznie odrzekł, utkwiwszy wzrok w pytającego:

— Powiedz pan tym panom, żeby się zachowali spokojnie, żeby nie narażali się, gdyż na razie nic zrobić nie można. Wszakże uwiadom ich również, że gdy tylko wydarzy się stosowna pora, oddam na usługi Włoch życie moje, życie synów moich, moje pieniądze i mój oręż, armję moją,—słowem wszystko. Markiz głęboko wzruszony i zachwycony tą prostą, otwartą, stanowczą odpowiedzią, mógł zaledwie powtórzyć szeptem, to, co słyszał, poczem dodał, a więc powiem tym panom, że i t. d.....

Carlo Alberto skinął potakująco; potem powstał, i pożegnał naczelnika Trafila, ściskając go i całując. Uścisk ten, mówi Massimo, miał w sobie coś chłodnego, przymuszonego, a nawet posępnego, a w sercu mojem znów odezwał się głos: „Nie wierz mu!“ lecz głos ten szybko pokonałem. W tym zatem poranku zimowym zawarła związek burżuazja włoska, do której należała

wielka, a nawet większa część szlachty z domem sabaudzkim [1]).

Carlo Alberto kłamał w roku 1821 i 1832, ale nie skłamał 1845-go roku, lecz rozumiał tylko pod „Sprawami Włoch“ interesy domu sabaudzkiego. Ale frazesy muszą być w użyciu, szczególniej w okolicznościach, gdy monarchizm i liberalizm wzajemnie chcą się oszukać. Zresztą w związku zawartym na zamku turyńskim był warunek przez liberałów postawiony w milczeniu, i w milczeniu przyjęty przez Karola Alberta, warunek następny: „że przyszły „Re d'Italia“ pozwoli tańczyć konstytucyjnym marjonetkom i kręcić się bąkom parlamentaryzmu. We trzy lata później król sardyński zastosował się rzeczywiście do tego warunku, ogłaszając 5-go marca 1848-go roku „Statuto“, t. j. konstytucję państwa.

Związek włoskiego liberalizmu z dynastją domu sabaudzkiego był, jak wszystkim wiadomo trwały i skuteczny. A co rozpoczął człowiek poczciwy, Massimo d'Azeglio, to wykończył o tyle o ile mądry Cavour; o ile wszelkie dzieło można nazwać ukończonem, które po odrzuceniu na bok wszelkich draperji frazesowych zdjęło z karku biednej Italji jarzmo lotaryńsko-

---

[1]) Wszystkie te szczegóły odwiedzin wyjęte są z pamiętników (i miei ricordi 1868). Massimo d'Azeglio, a zatem ze źródła, którego czystość nie ulega żadnej wątpliwości.

habsburskie, ażeby włożyć jej tak zwane bonapartystowskie.

Ale „świat lubi, żeby go oszukiwano“ dlatego dozwólmy radować się włoskiemu liberalizmowi, niech się cieszy, że oswobodził i uwolnił swój kraj. Prawdą jest niezaprzeczoną, że najszlachetniejszy zapał i poświęcenie nie mogłyby wykonać tego dzieła, — oraz, że dzieje rewolucji włoskiej, - jeśli wogóle tak ją nazwać można przekonywają najwyraźniej, jak mdłemi są potęgi idealne wobec stosunków realnych, jak wielką słuszność miał stary Oxjenstjerna mówiąc:

— „An nescis mi filii quantilla sapientia regitur orbis“.

Rzeczywiście z jednej strony ograniczenie zadowolone z siebie, rzeczy zwyczajne, mierne,— są tem, co ludzie zowią umiarkowanem—z drugiej zaś, jak węgorz gładkie oszustwo, chciwe łotrostwo o czole brązowem, te dwie potęgi wspólnie rządzą światem. Śmiesznem byłoby żądać, lub oczekiwać, żeby prawda, prawo, bezinteresowność, i inne ideały większe miały znaczenie w towarzystwie ludzkiem, takiem, jakie jest obecnie. Powodzenie lub niepowodzenie, oto jedyny sprawdzian, jedyna słuszność lub niesłuszność. Ideały w budowie społecznej zawsze będą miały znaczenie dekoracyjne, a dla większości nieopierzonych dwunogów, pozostaną niezrozumiałe i obojętne. Zaiste, są wyjątki, ale te wy-

jątki świadczą jedynie o istnieniu reguły. A biada tym wyjątkom! Całe dzieje są tylko poświęceniem się tych biednych, zawiedzionych idealistów i entuzjastów. Toż samo powtórzyło się podczas wielkiej rewolucji. Wszyscy wielkomyślni, zapaleni entuzjaści Żirondy i Góry ponieśli swe głowy na szafot za swą wiarę i ideały, a łotry i gałgany, namydleni niesumiennością: Talleyrand, Cambacerés, Fouché i consortes zostali wielkimi panami i miljonerami.

2.

Tak jest, pesymizm ma słuszność; ale ze słusznością niedaleko się zajedzie. Nikt nawet napół przyzwoity człowiek nie zaprzeczy, iż Włoscy patrjoci roku 1848-go mieli słuszność. Wszakże stary Radecki dowiódł z naciskiem w bitwach pod Santa Lucia, Kustozza i Novara, że słuszność ta była tylko chimerą. Marsz Radeckiego zagłuszył swojemi bębnami i trąbami hymn włoski Sorgete-Italiani.

82-letni austrjacki feldmarszałek, hrabia Józef Radecki, Czech z rodu i pochodzenia, ale zniemczony, a przynajmniej zaustrjaczony w ciągu długiej służby wojskowej, urodził się w roku

1766-ym w Trzebnicy w Czechach. Jestto zaiste jedna z najpoważniejszych dziejowych osobistości *szalonego roku*. Z pośród gęgających wówczas gaduł kobiecych, ten sędziwy mąż czynu wznosił się, jak olbrzym. Był to złowrogi człowiek dla Europy, ale bądź co bądź, był to mąż znawca i działacz. Widok jego wobec tylu poczciwców, ludzi nie posiadających żadnej woli, orzeźwia znużone oko i miłe sprawia wrażenie. Nie był to żarcik, ale ogromna, rozpaczliwa praca, gdy Radecki z ciężarem 82 lat na grzbiecie rozpadającą się Austrję lombardzkiemi swemi zwycięstwami, na dawne pchnął tory przy najnieprzyjaźniejszych okolicznościach. Cześć zatem energicznemu Hamletowi, a raczej nie Hamletowi w marszałkowskim białym mundurze. Powtarzamy raz jeszcze cześć Radeckiemu, choćby to nawet było nieprzyjemne i nieznośne wszystkim radykałom i liberałom z tej i z tamtej strony Alp... W 1787-ym Radecki złożył przysięgę na wierność chorągwi czarno-żółtej, jako kadet kirasjerów. Pierwszą woń prochu poczuł w wojnie tureckiej 1789-go roku pod dowództwem Laudona, a potem ćwiczył się w szkole wojen austrjackich z rzecząpospolitą francuską i cesarstwem. Będąc rotmistrzem, walczył 1794-go roku pod Clerfayt we Flandrji, jako jenerał-sztäbler 1799-go roku pod Melasem we Włoszech, pod Marengo był już pułkownikiem kirasjerów, a pod Aspern i Wagram jenerałem kawalerji. W la-

tach 1813-ym i 1815-ym piastował już wysoką godność w świecie wojskowym: był naczelnikiem sztabu księcia Szwarcenberga, oraz jednym z trzech mężów, którzy 3-go lipca 1813 go roku skreślili w Trachenberg słynny plan wojenny przeciw Napoleonowi (ze strony Austrji — Radecki, ze strony Prus Knesebeck, ze strony Rosji Toll) ów plan, którego systematyczne wykonanie przyprowadzało do szaleństwa cesarza Napoleona:

— Te bydlęta nauczyły się czegoś (ces animeaux ont compris quelquechose"). Tak jest, nauczyły się, ale trzeba dodać, że zbyt długo się uczyły. Wszakże cesarz Napoleon, jeśli jenerał Jomini zasługuje na wiarę, nie miał wielkiego wyobrażenia o zdolnościach Radeckiego („il n'avait pas l'experience d'une pareille charge"). Tymczasem marszałek został jenerałem dowodzącym na Węgrzech i na Morawach, w 1831-ym powierzono mu dowództwo wojska austrjackiego we Włoszech, a w r. 1848 i 1849-ym, jako strategik i taktyk złożył egzamin „rigorosum" z takim postępem, że gdyby żył Napoleon musiałby go uznać za należycie uzdolnionego. Marszałek był to człowiek rozsądny, przewidział więc zbliżającą się katastrofę, i przygotował się do niej dokładnie, badając teren, na którym, jak przewidywał, wkrótce walczyć mu przyjdzie, a jednocześnie wyrabiał sobie podkomendnych jenerałów (Gorzkowski, Wratisław, d'Aspre, Thurn,

Welden, Nugent). Zjednał on sobie serca wszystkich żołnierzy, zaszczepił w nich ufność do siebie i przywiązanie, począwszy od oficera aż do ostatniego furgonisty. Radecki posiadał w najwyższym stopniu magiczną władzę za pomocą której słynni znakomici kondotjerowie dawnych czasów: Sickingen, Frundsberg, umieli najsprzeczniejsze pierwiastki jednoczyć w harmonijną całość. Dlatego też czarno-żółta chorągiew w rękach marszałka była palladium, fetyszem, któremu wszystkie te różnobarwne narodowości składające armię austrjacką, – nie wyłączając nawet narodowości włoskiej, sprzyjały z bezmyślnym fanatyzmem.

Słowem: nie był to człowiek zwyczajny, lecz bardzo znakomity polityk i dzielny wódz, o wiele wyższy pod każdym względem od swego głównego przeciwnika, króla sardyńskiego. Podobnież i jenerałowie Karola Alberta, Bawa, Sonnaz, Salasko, Chiodo i inni byli niższymi od jenerałów Radeckiego. Wprawdzie żołnierze piemontcy należeli do najdzielniejszych, i najlepiej wyćwiczonych we Włoszech, i mężnie się bili, lecz gdy maszyna wojskowa sardyńska poczęła być czynna, okazało się, że nie funkcjonowała należycie. Niezdolności dowódzców odpowiadała niedostateczność uzbrojenia, a wogóle wadliwa organizacja, której nie ulepszyła mieszanina nieświadomości i niesumienności, panująca w różnych gatunkach broni. Wobec nieprzyja-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow

ciela, oficerowie głównego sztabu okazali się tem, czem istotnie byli; ignorentami, paniczykami, a podkomendni oficerowie, poczynając od majora do pułkownika, podobni byli co do joty do pruskich półinwalidów, i zupełnie głupich pasibrzuchów, majorów i pułkowników, którzy w roku 1806-ym pod Jena mniemali, że biją, a tymczasem otrzymywali płazy od nieprzyjaciela. Nawet pod względem liczebności, z początku wojska sardyńskie stały nieświetnie. Wprawdzie udało się podnieść siłę armji do 60-ciu tysięcy ludzi, a nawet poza tę cyfrę, lecz tylko na papierze. Przyrost, jaki wojsko sardyńskie otrzymało przyłączeniem wolnych hufców lombardzkich i innych był dosyć znaczny, faktycznie jednak nie miało to prawie żadnego znaczenia. Kampanja włoska z 1849-go, jak o tem przekonały wydarzenia z roku 1848-go i 1849-go jasno przekonała, że w pierwszym ogniu zapału rewolucyjnego wolne hufce powstałych miast mogą walczyć z wojskiem linjowem, a nawet zmusić je do cofania, ale nie mogą stawić czoła w otwartem polu porządnym, o tyle o ile dobrze prowadzonym wojskom, a bądź co bądź nie zdołają uczynić nic takiego, coby zasługiwało na dziejowe wspomnienie. Za przykład tego może posłużyć cały przebieg działań największego dowódzcy wolnych hufców naszego stulecia,—działania Józefa Garibaldi.

3.

Gdy pierwsze wiadomości o paryskich dniach lutowych i wiedeńskich dniach marcowych doszły do Turynu, powiedział Carlo Alberto to, co wówczas śpiewały setki — tysięce Włochów: „Il gran momento e venuto!“ Ale stary Radecki po mozolnem wycofaniu się z Medjolanu, rejterując za Adygę i Mincio, myślał inaczej: „Zobaczymy, czy rzeczywiście nadszedł!“ — Czy nadeszła wielka chwila, gdy barwa czarno-żółta będzie musiała cofać się za Alpy przed barwą zielono-biało-czerwoną.

Wprawdzie 22-go marca ministerjum konstytucyjne Karola Alberta dało piśmienne zapewnienie posłowi austrjackiemu, użalającemu się, że w Turynie i jego pobliżu gromadzą się wolne hufce, zachęcające do powstania przeciw austrjakom, że rząd sardyński zadosyć uczyni wszystkiemu, co przyczynić się może do wzmocnienia przyjaznych stosunków z sąsiadem swoim Austrją. Lecz już dnia następnego po południu hrabia Balbo, i jego współkoledzy mniemali, że nadeszła „wielka chwila“, w której należy wystąpić w pole z krzyżem sabaudzkim przeciw dwugłowemu orłowi austrjackiemu. Wszak medjolańscy „trafilatori“ zawiadomili już o tem „Spada d'Italia“, iż Radecki i jego głupi Kroaci opuścili już Medjolan i żądali, żeby wzmianko-

wana, ukoronowana szpada przybyła czemprędzej do Stolicy Lombardji, na czele rozumie się swej niezwyciężonej armji. W przeciwnym bowiem razie ci niegodziwi mazziniści mogliby do istniejącego usposobienia monarchicznego dolać fermentującej trucizny republikańskiej. Wszystko przecie było możliwem w bezgranicznem zamieszaniu, jakie w owych czasach wstrząsało półwyspem apennińskim. Cierpiał on na kurcze rewolucyjne od Mont-Cenis do południowego krańca Kalabrji.

Chcąc być sprawiedliwym, nie trzeba brać bardzo za złe liberałom włoskim, że w tym kryzysie chaotycznym płodzili głupstwa po głupstwach, i źle prowadzili sprawy swego kraju. We Włoszech liberalizm był taki sam, jak wszędzie. Jako prawdziwa mierność, a była taką, nigdy do tego nie dojdzie, ażeby jednym rzutem oka objąć wszelkie sprawy, a tym mniej należycie je prowadzić. Czuje on się tylko u siebie w parlamentarnej budzie gadaniny. Biedny ten doktryner w ostrym wietrze życia rewolucyjnego staje się konfusius-konfusiorum, a nawet zakłopotanym Confusionasinusem, który na wszystko jest gotów, byle zostawiono go w spokoju. Krzycy tak, jak osieł krzyczy, gdy pożąda ostu. Wreszcie i to należy dodać dla uniewinnienia włoskich liberałów, że jeśli wietrzyli niebezpieczeństwo dla swej konstytucyjnej zabawki ze strony strasznego Mazziniego, i straszniejszego

jeszcze mazzinizmu, to mieli słuszniejszy powód do obawy, aniżeli niemieccy liberalni, którzy wobec trzech tuzinów republikanów, gdyż nie więcej było ich w Niemczech w roku 1848-ym, drżąc z płaczu, tulili się do domina Monarchia wołając:

— „Mamo, broń nas na miłość Boga od tego czerwonego straszydła!“

Wieczorem 23-go marca postanowiono w Turynie skorzystać z wielkiej zbliżającej się chwili, ażeby dynastję sardyńską zamienić na dynastję Włoch całych; szczególniej, gdy z Medjolanu przybyli panowie Martini i Vimarketi, prosząc o pomoc w imieniu medjolańskiego rządu tymczasowego. Dawne hasło domu sabaudzkiego: „Lombardja jest karczochem, który trzeba jeść liść po listku“ — uważano już obecnie za przestarzałe. Spodziewano się, że karczoch za jednym zamachem będzie można wsunąć do żołądka sabaudzkiego, a jednocześnie w postaci sosu wlać do niego Parmę i Modenę. Karol Albert czuł zapewne, że należało połączyć przyjemność z pożytkiem, to znaczy, żeby przy tej okoliczności wywabić tę brzydką plamę, jaką pozostawiła po sobie dwukrotnie dokonana przez niego zdrada sprawy włoskiej. Wszakże ze względu na istniejące knowania republikańskie, trzeba było pokryć cel dynastyczny łudzącym płaszczem narodowym.

Postanowiono zatem wkroczyć do Lombar-

dji, powoławszy pod broń całą prawie armję. Odwaga, jak wiadomo nie jest jednym z głównych przymiotów liberalizmu; – wszakże pewien jej gatunek posiada on w wysokim stopniu,— mianowicie odwagę wystawienia się na śmieszność. Okazali ją ministrowie Karola Alberta, motywując postanowienie wydania wojny Austrji tem, że Austrja za pośrednictwem najświeższych swoich traktatów (z grudnia 1847-go) zawartych z panującymi w środkowych Włoszech, wbrew prawu, rozszerzyła sferę swego wpływu do morza śródziemnego.

Dnia następnego (24-go marca) przed wyruszeniem do Lombardji, wydał król manifest.

We dwa dni później weszła do Medjolanu pierwsza brygada wojska piemonckiego. Karol Albert ze ściągających się dopiero wojsk, zabrał ze sobą te, które były już gotowe do marszu w liczbie 24 tysięcy ludzi; przekroczył Po i podążył do Medjolanu. 29 go marca powitali go w swem mieście deputowani Medjolanu, i innych miast lombardzkich. Ale z jakim tytułem?

O tem z obu stron nie wspomniano. Król nie miał odwagi przyjąć tytułu króla włoskiego; również tego nie chcieli liberalni, co posłużyć może za dowód, iż rojalizm nie stanowił ogromnej większości, jak utrzymywali panowie „Trafila“ i chcieli wmówić swoim współziomkom. Nic zatem dziwnego, jeśli w burzliwych tych

dniach, ani słaby Karol Albert, ani jego stronnicy nie umieli obrać właściwej drogi, i nie umieli stanowczo postępować. Szczęście zupełnie niespodziewanie uśmiechnęło się Włochom. Wycofanie białych mundurów z Lombardji sprawiło zupełne odurzenie. Włosi nie przypuszczali nawet, żeby czarno-żółta chorągiew miała znów powiewać z tumu medjolańskiego. Wiadomość o zwycięskiem powstaniu Wenecji; wszystkie te wiadomości cudowne z Paryża, Modeny, Florencji, Rzymu i Neapolu, zamieniły odurzenie na delirium. A gdy się przytem dowiedziano, że nietylko ze wszystkich krajów włoskich wyruszały wolne hufce do górnych Włoch, neapolitański pod dowództwem księżniczki Beligioso, lecz, że i książęta włoscy zasiadający jeszcze na tronach opuścili Austrję, i ujęli się za sprawą Włoch, a nawet Leopold Toskański, papież Pius IX, i Ferdynand, król neapolitański, gotowali sią wysłać wojska, ażeby przyłączyły się do piemontczyków i lombardczyków dla zupełnego wygnania z Włoch „niemieckich barbarzyńców“ i tych „białomundurowych pożeraczy łoju“; kiedy nadto rozeszła się wieść, że namiestnik Chrystusa z balkonu kwirynału udzielił błogosławieństwo (lubo bardzo w dwuznacznych wyrazach) udającym się do Lombardji wojownikom, do których szeregu weszli dwaj jego synowcowie, a z podnóża Wezuwjusza doniesiono, że teraz król usposobiony dobrze dla Włoch

konstytucyjnych ma wysłać korpus 15-to tysięczny pod dowództwem Guglielmo Pepe, słynnego z dawna żołnierza wolności, dla dopomożenia dobrej sprawie, to dziwić się nie można, że wszystko to razem sprawiło zupełny szum w uszach, które siedziały w głowach gorących południowców. Było to w zupełnym porządku, że głowy doznały poprostu zawrotu, a patrjoci, na których barkach siedziały te głowy, zapomnieli zupełnie o tem, co przedewszystkiem powinni byli uczynić, lecz fantazjowali tylko i deliriowali; że należy nietylko wypędzić wspomnianych „barbarzyńców“, „pożeraczy łoju“ z całych Włoch, tak, iżby nigdy już nie powrócili, ale wygnać ich z Istrji, Ilirji, włoskiego Tyrolu, i Dalmacji, a te kraje połączyć z oswobodzonemi Włochami.

Nie ulega wątpliwości, że Karol Albert i jego doradzcy nieco trzeźwiej spoglądali na tę sprawę. Ale czy można było, czy wypadało do tego płomiennego żaru zapału dolewać chłodnego, politycznego prądu wody, że dla domu sabaudzkiego przedewszystkiem idzie o połknięcie wspomnianego karczocha? Zaiste nie było można. Król sardyński zatem wypowiedział w jednej ze swoich proklamacji, „jako szermierz sprawy włoskiej, popychany ręką Boga“ i z całą skromnością dał do zrozumienia, że spodziewa się, iż we właściwym czasie przychylna mu będzie wola narodu, to znaczy włoży mu

na skronie koronę Włoch całych. W tejże samej proklamacji, wydanej z Lodi—przepowiadał Karol Albert z zupełną pewnością:

— Włosi, niebawem ojczyzna wasza wolną będzie od nieprzyjaciół. Mój oręż skróci walkę. Wasze zwycięstwo jest niezawodne!"...

Były to zwyczajne proroctwa szalonego roku. Więcej było wówczas takich proroków, niż psów rudych, lubo odzywali się tu i ówdzie rzeczywiści, prawdziwi prorocy, ale tych było niewielu, którzy przepowiadali, że całą tę sprawę czeka koniec opłakany. Ale oczywiście nikt temu nie wierzył. Wszak okłamywanie zarówno przyjemne jest w miłości, jak i w polityce. Prawda jest wstrętna!

4.

Podczas gdy król sardyński oddawał się proroczym ćwiczeniom stylu, stary Radecki poprowadził swoje nieliczne wojsko najprzód za Adygę, potem za Mincio. Radecki nie mógł utrzymać swego stanowiska na lewym brzegu Adygi z 20-ma tysiącami ludzi, gdyż nie więcej miał ich pod ręką 24-go marca, gdy dowiedział się, że Wenecja odpadła od Austrji. Wprawdzie w następnych dniach ściągnął już załogi z miast leżących na drodze, co powiększyło jego siły o kilka tysięcy, lecz ponieważ miał wyższe wy-

obrażenie o sile nieprzyjaciela, do czego może się przyczyniła straszna wrzawa, z jaką ze wszystkich miejscowości wolne hufce ciągnęły w pole, — przeto poszukiwał silnego punktu oparcia, i znalazł go już wówczas w słynnym czworoboku fortec, pomiędzy Mincio i Adygą: Peschiera, Mantua, Werona i Legnano. Tam zwrócił swój pochód, ale lubo na razie był tu dostatecznie zabezpieczony, nie łudził się wcale; wiedział dobrze, że położenie jego było rozpaczliwe. Wszak zdawało się, iż całe Włochy były przeciw niemu, wciąż się obawiał, że odcięty zostanie od swej linji odwrotu do Alp; kasa jego była prawie wyczerpana, siły wojskowe bardzo rozproszone. A przytem ponieważ osławiony pęcherz meternichowskiej mądrości politycznej pękł, a znana banda literatów, adwokatów, i innych łotrów rządziła Wiedniem, musiał na razie zrzec się nadziei otrzymania stamtąd jakiejkolwiek pomocy. Trzeba zatem było trzymać sztywno kark 82-letniemu starcowi, i starzec trzymał go sztywno, sztywniej może niż ktokolwiekbądź w owym czasie.

Jedno tylko mogło go pocieszać, i dodawać otuchy w jego djabelnie ciężkim interesie. Wprawnemu wzrokowi marszałka, znawcy ludzi, i ich nędznego postępowania nie uszło, że w całem tem powstaniu włoskiem po pierwszem uniesieniu było więcej hałasu niż dzielności, rzeczywiście tak było. Ruch włoski z roku 1848-go

więcej okazał uniesienia, chęci do walki i poświęceń aniżeli ruch niemiecki, ale i on miał tę samą wadę, cały naród nie powstał. I wówczas pomimo przeciwnego twierdzenia fantastów, brakowało we Włoszech całej świadomości narodowej, jak w Niemczech. Antypatje prowincjonalne istniały poza Alpami tak wielkie, jak z tej strony Alp. Neapolitańczyk tak uważał za obcokrajowca piemontczyka, jak Tyrolczyk Fryzyjczyka, a romagnole miał się do Sycylijczyka tak niesympatycznie, jak nadreńczyk do Pomorzanina. Niechęć municypalna Florencji do Sienny, Pizy i Liworno i t. d. nie była mniejsza, niż niektórych miast niemieckich. Zupełnie jak w Niemczech duch narodowy we Włoszech nie był rośliną naturalną, lecz produktem sztuki utworzonym przez znakomity szereg poetów patrjotycznych i myślicieli, poczynając od Dantego do Gioberti. Tylko wykształcony Włoch czuł się Włochem. Tak było w wiekach średnich, tak było i teraz. Krzewieniem idei wolności i jedności włoskiej zajmowały się wyłącznie wykształcone klasy ludności miejskiej i ci tylko, tylko ci, to znaczy obywatelstwo miejskie i część szlachty z nią połączona wywołała ruch włoski z 1848-go roku. Rdzeń ludu, chłopi nie brali w tem żadnego udziału. Cóż mogli wiedzieć oni, oni wiodący życie wegetacyjne w najgłębszych ciemnościach nieświadomości, w fetyszyzmie, szczególniej zaś ci, którzy nie posiadali ża-

dnej własności? Żyli oni w ciężkich stosunkach dzierżawnych przy niedostatecznym posiłku, wyzyskiwani przez próżniaczą szlachtę i tłustych mieszczuchów. Cóż mogli wiedzieć o Włoszech biedni chłopi w pocie czoła uprawiający rolę? Nic. Czem było dla nich „Unita e Libertà?“ Wyrazami bez znaczenia. To pewna, że chłop włoski, o ile brał udział w ruchu z r: 1848-go bardziej sprzyjał austryjakom, niż swym Padronom. Dla czego? Ponieważ chłopi radowali się z przykrości wyrządzanej ich Padronom przez austryjaków, którzy tak postępowali z ich Padronami, jak Padroni z nimi. Prawdą jest zaiste, że tępa obojętność stanu wieśniaczego nigdy jeszcze nie przeszkodziła wybuchowi rewolucji, ale niemniej jest prawdą, że z powodu tej tępej obojętności upadła już niejedna rewolucja. Włoska burza powstańcza z 1848-go przeciągnęła zaiste po całym półwyspie wzdłuż i wszerz, lecz dotknęła tylko jego powierzchni, nie poruszyła mas ludowych. Chłopi nie brali udziału w powstaniu. Z radością spostrzegł to stary Radecki, i słusznie począł na to liczyć: „Bylebym zdołał stawić czoło pierwszemu krzykowi i hałasowi, pierwszym warczeniom bębna, i pierwszej strzelaninie, to niezawodnie tęgo wytrzepię austrjackim kijem kapralowym tużurki tych Signore Italiani i Italianissimi.

Z początku oczywiście nie szło mu o trzepanie, tylko o to, żeby go nie wytrzepano. Za-

iste wytrzepanoby Radeckiego, tak sądzą ludzie znający się na wojnie, gdyby Karol Albert ze wszystkiemi siłami wojskowemi, jakie mógł zebrać na razie, przekroczył Po w kierunku Mantui, t. j. gdyby się był rzucił na tyły swego przeciwnika, i gdyby np. z Padwy otoczył czworobok twierdz. Ale król sardyński nie myślał o tem, działał on według z góry powziętego planu. Chciał więc austrjakom odciąć drogę nie do Wenecji, odnośnie do Ilirji, lecz linję odwrotu do Tyrolu. Usiłował zatem pochwycić byka za rogi, to znaczy zaatakować z przodu równoległobok twierdzy.

Zdawało się z początku, iż to się nie uda, ale był to tylko pozór. Przednia straż włoska złożona z wolnych hufców z Genui i Medjolanu, jako też Piemontczyków, Bersaglierów i żołnierzy floty, uderzyła 8-go kwietnia przy moście, niedaleko Goito, nad rzeką Mincio, na austrjacką straż tylną, brygadę Wohlgemuta, i zmusiła ją do odwrotu. Nastąpiło to jednak dopiero wówczas, gdy most zajęty przez jedną kompanją „tyrolskich cesarskich strzelców“ po dzielnej 4-o godzinnej obronie, podczas której zginęli po bohatersku dwaj wnukowie Andrzeja Hofer'a, dostał się w ich ręce. Pierwsze to niewielkie powodzenie, zasługujące zaledwie na wzmiankę, rozradowało Włochów, aż do szaleństwa. Wielu, bardzo wielu Włochów na wieść o tem krzyczało, skakało i tańczyło, jak barany

w kołowaciźnie. Upojenie ich zwycięstwem było tak wielkie, jak gdyby cała kampańja już się zakończyła, i ostatni biały mundur znikał za Alpami. Włoscy dziennikarze byli prawdziwymi mistrzami w stylu biuletynowym. Kłamali więcej, niż Napoleon I, a pod względem prawdomówności zbliżyli się poniekąd do Napoleona III. Jenerał-adjutant Radeckiego, jenerał Schönhels, który będąc już „weteranem“ opisał tę kampańją, przytacza z jednej włoskiej gazety—(szkoda, że nie wymienia z której)—małą próbkę podobnych biuletynów, — sprawozdanie o zwycięstwie pod Goito: — „Niemasz już armji austrjackiej! Czterdzieści tysięcy jeńców upadło na twarz przed wielkim mieczem Włoch. Radecki, któremu obie nogi strzaskano, przywiązany do ogona końskiego, został powleczony po ziemi przy aplauzach armji. Werona poddała się: zabrano wszystkie nieprzyjacielskie działa, bagaże... „Niepodobna obliczyć liczby zabitych.“ Jestto jakgdyby wycięte z „Bramarbas'a“ Plautusa, albo z „Zenobji“ Kelderona, gdy wielki kapitano Persius opowiada swe cudowne czyny bohaterskie. Wszakże trzeba mieć nieco względu na rozhukaną fantazję Włochów. Prawdą jest tylko, że Włosi, o ile w Goito byli w ogniu, walczyli z wielkiem męstwem, a przedewszystkiem hufce wolne. Zresztą, wszystkie te wolne hufce nie miały wielkiego powodzenia. Nie posiadały one odpowiedniej organizacji, kierownictwa i karno-

ści. W wolnych hufcach było niemal więcej jenerałów, pułkowników, i innych oficerów, aniżeli zwyczajnych szeregowców, a ukazanie się ich przeszkadzało raczej powstaniu ludu, wybuchowi wojny ludowej, ponieważ niekarność tych hufców powstrzymywała chłopa od udziału w sprawie narodowej. Feldmarszałek dla zabezpieczenia sobie odwrotu do Tyrolu włoskiego—wysłał z Werony 4 tysiące ludzi pod dowództwem Zobla, na którego bezwzględnej energji mógł polegać. Zobel, zająwszy Trydent, strzelał z dział i z zamku trydenckiego, wskutek czego, tamtejsi Italiani i Italianissimi musieli siedzieć cicho.

Zobel zasłynął swemi okrucieństwami w Lombardji. Jego raporty bywały zwykle krwią pisane, przytaczamy jeden z nich, jako przykład: „13-go w Kastel Doblino, Kazałem natychmiast rozstrzelać ujętych dezerterów. Podobnie uczyniłem z siedmiu zamożnymi obywatelami i właścicielami ziemskiemi z Medyolanu i Bergamo.“ Chwała niech będzie Włochom, szczególniej wolnym hufcom, iż nie naśladowali tak okrutnego przykładu, ale i cześć staremu Radeckiemu, że nie pochwalał takiego barbarzyństwa; nie dozwalał on rozstrzeliwać jeńców, a nawet dezerterów, a jedynie upoważniał do wykonania kary śmierci na przekonanych o szpiegostwo. „Starzec, którego tak łajano, ale też i podziwiano,“—tak go określał jeden z jego rozsądnych nieprzyja-

ciół hrabia Balbo pod względem zabijania bezbronnych jeńców, nie podzielał wcale poglądów Windischgrätz'a ani Haynau'a. Gdy pod koniec jesieni w 1848-ym dowiedział się o zamordowaniu Bluma na mocy sądu doraźnego, powiedział głośno: „Szkodzi to więcej Austrji, niż bitwa przegrana!“

6.

Po „wielkiem zwycięstwie“ pod Goito, wojska włoskie przekroczyły Mincio, ścigając austrjaków. Piemontczykom nadeszło już tyle posiłków, iż w połowie kwietnia król sardyński miał do rozporządzenia około 42 tysiące wojska regularnego ze 120 działami a nieco później około 60 tysięcy wojska, nie licząc hufów wolnych lombardzkich, modeńskich, oraz tych, jakie przybyły z państwa kościelnego, z Toskanji i Neapolu, które razem wynosiły od 25 do 30 tysięcy ludzi. Znacznie słabsze w tym czasie było wojsko austrjackie. Liczyło ono, co najwięcej 57 tysięcy ludzi, z czego jednak wojska linjowego było zaledwie 18 do 20 tysięcy ludzi, gdyż większa część powyższej cyfry stanowiła załogę forteczną, lub zajmowała różne posterunki, Wszakże tę liczebną nierówność, pomijając już przymioty wojska, równoważyło to, że austrjakami dowodził Radecki, a Włochami Karol Albert.

Karol Albert, jako człowiek i polityk, był tylko Hamletem rzeczywistości, to znaczy był człowiekiem słabym, pozbawionym wszelkiej stanowczości, był człowiekiem, który zawsze chciał, a nigdy nie mógł wykonać tego, co chciał. Widoczne było, że był to człowiek, na którego karku dzieje złożyły ciężar zbyt wielki. Nie można zaprzeczyć, że królowi Sardynji nie brakowało męstwa osobistego, owszem przy każdej sposobności tak się narażał, poszukiwał najgorętszej walki, że możnaby przypuszczać, iż Hamlet sardyński czując swą niezdolność do urzeczywistnienia tego olbrzymiego zadania, poszukiwał śmierci zaszczytnej. Pewną jest rzeczą, że król wcale sobie nie ufał, a zatem na dowódzcę posiadał tyle zdolności, jak profesor niemiecki na męża stanu, przez co jednak nie chcemy powiedzieć, że wzmiankowanym mężom nie dostaje ufności w siebie. Wówczas można było jeszcze spróbować z pewną szansą powodzenia, czy nie uda się otoczyć ze wschodu równoległoboku twierdz; wszakże Karol Albert trwał w swym zamiarze, ażeby uderzyć z zachodu, a przedewszystkiem odebrać Peschierę, leżącą na południowym krańcu jeziora Garda. Uważał on ją za punkt bardzo ważny pod względem strategicznym. Chciał ze wszech stron otoczyć tę twierdzę, a następnie uderzyć na Weronę, z której upadkiem (ale nie upadła)—przerwałby austrjakom połączenie z Tyrolem. Pod ko-

niec kwietnia główna siła włoska stała na południe od Peschiera, skąd usiłowała pomaszerować w kierunku północno-wschodnim, i rozwinąć się należycie, podczas gdy jenerał austrjacki, uważając Weronę za podstawę swych działań, zachowywał tylko stanowisko obronne. W ostatnich dniach miesiąca toczono krwawe potyczki. 30-go kwietnia uderzyli włosi na Pastrengo, gdzie stały dwie brygady austrjackie. Austrjacy musieli cofnąć się przed przemocą nieprzyjacielską, i przedostali się ze stratą 800 ludzi z prawego brzegu Adygi na lewy [1]). Większym stratom Austrji w tym dniu, zapobiegło tylko wyjście marszałka z Werony, który powstrzymał dalszy pochód włochów. Powodzenie włochów dnia tego ograniczyło się na zajęciu stanowiska pomiędzy Peschierą a Weroną. Teraz dopiero mogli przystąpić do oblężenia twierdzy nad jeziorem Garda. Gdy zastanowimy się, że dawniej, na początku trzeciego i czwartego dziesiątka lat z taką łatwością przyszło austrjakom stłumić narodowe

---

[1]) Nie mogę ręczyć za straty poniesione z jednej i drugiej strony, ponieważ zupełnie niepodobna na pewno dowiedzieć się w każdej walce a zatem, i w tej, o stratach obustronnych. Od najdawniejszych czasów biuletyny wojenne były arcykłamliwemi. Już starożytni znali się na tej sztuce. Za przykład posłużyć może biuletyn o bitwie pod Magnesią przeciw Antjochowi III 190 r. przed Chrystusem, według którego ze strony nieprzyjaciół Rzymu miało zginąć 50 tysięcy, a ze strony rzymskiej zaledwie 324 ludzi.

powstanie Włochów, to należy oddać sprawiedliwość, że w roku 1848-ym, aż do maja, ruch włoski wciąż się powiększał, a włosi nietylko z honorem walczyli z armją austrjacką, lecz i odnosili znaczne rezulaty. Wszakże podwyższona świadomość narodowa w chwili obecnej, wcale się tem niezadawalała. Rozbujała fantazja patrjotyczna pożądała czynów na wielką skalę. Przeklętych „meladetti austriaci“ chciano wygnać z ziemi włoskiej, wymieść jak wir wiatru pył wymiata. Żądano wielkich ciosów, ciosów wstrząsających do szpiku kości, podobnych do trzęsienia ziemi. Po co tyle ceremonji z temi barbarzyńcami Niemcami. Dlaczego nie możnaby ich wygnać po bohatersku z równoległoboku twierdz i odeprzyć za Alpy?

Oczywiście wszystkie te podobne niedorzeczności i gadaniny przyjęto w głównej kwaterze piemonckiej tak, jak na to zasługiwały? Doskonale tam wiedziano, że austrjacy tak łatwo wyprzeć się nie dadzą. Znano też tych krzykaczy podnoszących głos tak wrzaskliwie. Byli to wykwintni paniczykowie, tam poza placem boju w Medjolanie, młodzi nobili i synowie kupców handlujących jedwabiem. Oni to przebudowywali świat w swoich kółkach, a poza nimi patrjotki z pałającym wzrokiem, trelujące z Normy arję zemsty Orowista, a pozatem młodzież wszelkiego stanu przybrana w mundury wolnych strzelców dumnie brzęczała swemi szabelkami

po ulicach, łając „powolny pochód“ piemontczyków obawiała się wyjść z Medjolanu i wyruszyć na austrjaków. Wiarogodni, naoczni świadkowie upewniali nas, że z 20 tysięcy lombardczyków, którzy się zapisali do wolnych hufców, zaledwie 6 tysięcy przyłączyło się do powstania.

Oczywiście Karol Albert i jego ministrowie nie brali wcale do serca tych patrjotycznych śmieci. Te wartogłowy nie potrzebowały ich zachęcać do wymierzania wielkich ciosów. Wszakże co innego ich zniewalało do walk szybkich, stanowczych. Gdyby siła sardyńska nie okazała się dostateczna, i niedosyć energiczna do najszybszego wygnania austrjaków z Lombardji, to nieudałoby się połknąć karczocha. Albowiem obok stronnictwa monarchicznego, które uważało połączenie (fusione) Lombardji z Piemontem pod berłem konstytucyjnym Karola Alberta za rzecz zupełnie naturalną, działało również stronnictwo republikańskie, które nic wiedzieć nie chciało o tem zjednoczeniu, i nie chciało przebaczyć zdrajcy z roku 1821 i 1832. W tym czasie przybył do Medjolanu Mazzini, ażeby się przekonać, czy teren dostatecznie jest przygotowany do urzeczywistnienia ideału swego życia, ogłoszenia rzeczypospolitej włoskiej. Wkrótce jednak poznał, że grunt nie był jeszcze należycie przygotowany. Rzeczypospolitej nie robi się z trelującemi, wykwintnemi, brzęczącemi szablą

młodzikami; na to potrzeba ludzi, jakich niegdyś miał pod swą chorągwią Cromvell, a później Washington. Filistrowie w Medjolanie, a więcej jeszcze w innych miastach lombardzkich nie chcieli nic słyszeć o rzeczypospolitej i jej trybunie, ale przysłuchiwali się chętnie fuzjonistycznym kazaniom opata Gioberti, który, dopuszczając się plagjatu na Lafajecie, wodzonym za nos roku 1830-go nieustannie zapewniał, że najlepszą rzecząpospolitą będzie konstytucyjny Karol Albert. Gdyby Mazzini użył wszystkiego, co tylko było można, to zapewne zburzyłby monarchiczną Filisteę, ale nie był on tak nierozsądny, wiedział bowiem, że bez pomocy króla sardyńskiego, austrjacy z Włoch wypędzić się nie dadzą. Może zresztą i z tego powodu nie chciał tych wszystkich środków, ażeby nie skompromitować przyszłej rzeczypospolitej nieudatną próbą, która w obecnym stanie rzeczy, nie mogła spodziewać się długiego życia. Z tego też powodu trybun napomniał tylko swoich ziomków, ażeby byli cierpliwi i zgodni, tymbardziej, że przed ostatecznem ukończeniem wojny, nie można było myśleć o wewnętrznej organizacji Włoch. Widać stąd, że Mazzini liczył się z okolicznościami, a tego nie powinien czynić prawdziwy prorok i apostoł, jeśli chce, iżby mu się powodziło. Prawdziwy prorok i apostoł musi po wszystkie czasy być o tyle głupi, iż powinien sam wierzyć temu, co głosi. Na wiosnę

1848-go Mazzini nie wierzył, iżby można było ogłosić rzeczpospolitą włoską. Zatem to pytanie na razie rozstrzygnięte zostało, a trybun mógł pójść, skąd przyszedł. 19 te stulecie jest przeważnie stuleciem burżuazji, zarówno w dobrem, jak w złem znaczeniu tego wyrazu, i dlatego przed jego ukończeniem trudno będzie, żeby gdziekolwiek rzeczpospolita w Europie trwale się usadowiła i odniosła górę nad monarchją. Główną tego przyczynę wykazał już Brissot, mówiąc 26-go czerwca w 1792: „Les hommes attachent au mot de Roi une vertu magique, qui preserve leur propriété.“

Wszak w głównej kwaterze piemonckiej wciąż uważano Mazzinizm za silniejszy, niż był w istocie, i dlatego z przestrachem na niego spoglądano. Mniemano, iż zadawaniem wielkich ciosów wrogowi, uczyni się Mazziniego najmniej szkodliwym. Ciosy te miały wykazać zalety monarchizmu konstytucyjnego Karola Alberta, który już 23-go kwietnia kazał ogłosić medjolańczykom „że dzielnemu ludowi lombardzkiemu służy prawo określić formę swego rządu,“ -- co nawet najbardziej zapamiętałemu republikaninowi podobać się musiało. Do przyspieszenia tych ciosów zachęcały Karola Alberta z jednej strony ruchy we Włoszech, a przynajmniej w górnych Włoszech, oraz ta uwaga, że korzystać należy z chwili zanim dyplomacja europejska nie wścibi swego nosa i rąk swoich, które nietylko nie

rozwikłałyby węzła politycznego, lecz bardziejby go jeszcze splątały, a wreszcie szło o to, żeby niemiłe wrażenie, wywołane nową demonstracją papieża, przygłuszyć wrzawą wojenną.

W tym czasie Pius IX z „angelo di Vaticano“ stał się zwyczajnym Namiestnikiem Chrystusa. Nie jego było to winą, że miljony głupców wierzyło w najśmieszniejsze ze wszystkich kłamstw, mianowicie, iż papież może być *liberalnym*. 29-go kwietnia Pius, jak twierdzą bez wiedzy swych ministrów *konstytucyjnych*, miał allokucją do kollegjum kardynałów. Zaprzeczył on tu najwyraźniej istniejącemu jakoby związkowi stolicy ś-go Piotra z rewolucją włoską, a dalej utrzymywał, że bynajmniej nie pochwala powstania włoskiego przeciw austrjakom, albowiem takie uznanie mogłoby skłonić Niemców do oderwania się od kurji papieskiej. W dalszym ciągu wyraził papież swe niezadowolenie z wojennych działań w górnych Włoszech, gdzie wówczas stało pod bronią przeciw Austrji 7 tysięcy ludzi regularnego wojska papieskiego pod dowództwem jenerała Duranda i około 10 tysięcy hufców wojennych z państwa kościelnego pod dowództwem Ferrari. Durando ze swoim korpusem, posłuszny rozkazowi Karola Alberta, przekroczył rzekę Po 21 kwietnia, podążył w górę rzeki Piawea a za nim cały wolny hufiec Ferrari'ego naprzeciw austrjackiemu korpusowi, który zeszedł z Friulu pod dowództwem

jenerała Nugenta, ażeby otoczyć Wenecję ze strony lądu. Po przybyciu wiadomości o przejściu Duranda przez rzekę Po, *konstytucyjne* ministerjum papieża doradziło mu jednogłośnie, żeby nietylko pogodził się z faktem dokonanym, lecz stanął, że tak powiem na czele wojny za niezależność narodową. Toż samo doradzał kardynał Antonelli, późniejszy główny minister reakcji byłego anioła Watykanu, a wówczas jeszcze minister „konstytucyjny.“ Nietylko przyłączył się on do zdania swoich kolegów lecz dodał, że jedynie kardynalska jego purpura jest przyczyną, że sam nie przypasał szabli w sprawie włoskiej... Wreszcie Papież oznajmił w swej allokucji, że kazał pomaszerować swym wojskom na granicę—(wszakże były już zagranicą)—jedynie w celu obrony granic Państwa Kościelnego. Przytem dodał: „jeśli obecnie niektórzy żądają, żebyśmy wraz z innymi panującymi i ludami Włoch wydali wojnę austrjakom, to musimy oznajmić jasno i otwarcie, że to nie jest wcale naszym zamiarem, ponieważ zgodnie z naszem najwyższem dostojeństwem apostolskiem, darzymy jednakową ojcowską miłością wszystkie plemiona, ludy i narody. Gdyby jednak znaleźli się wśród naszych poddanych tacy, którzy daliby się porwać przykładem innych Włochów, to znajdziemy środki do poskromienie ich zapędów.“

Temi słowy skazał się Pius IX, jak to się później dowiemy na banicją. Wszak „rok sza-

lony“ wśród wielu budujących widowisk, miał przedstawić uciekającego namiestnika Chrystusa.

6.

Dlatego to Carlo Alberto i jego „trafilatori“ musieli wymierzać wielkie ciosy, ażeby oczekiwana radość ze zwycięstwa przytłumiła tak nie na czasie przybywającą wiadomość o allokucji papieża, którego nazwisko lud niebardzo dowcipnie zamienił z Pio Nono (Pius IX) na Pio No! No!

W tym celu postanowiono z wysokości Somakampagna, gdzie stało wojsko sardyńskie uderzyć na stanowisko austrjaków, którzy zajmowali wzgórza tarasowate, leżące na zachód i na południowy zachód od Werony. Spodziewano się, iż uda się zniewolić ich do cofnięcia się z tego płaskowzgórza, i wepchnąć do twierdzy. Spodziewano się jeszcze więcej, mianowicie, iż w zamięszaniu przypuszczalnego cofania się będzie można uderzyć nawet na Weronę, do czego mieli im dopomódz sami mieszkańcy Werony. Były to wszystko szczęśliwe przypuszczenia. Szkoda tylko, że stary Radecki dodał do nich swe uwagi. Feldmarszałek zbyt dobrze znał wyższość, jaką zapewniała mu jego pozycja, dlatego też żadną miarą nie chciał z niej ustąpić. Nie dał też się zaskoczyć z nienac-

ka, lecz przygotowywał się oględnie do ataku Włochów, który chciał przyjąć w małej wiosce Santa Lucia. Wioska ta, leżąca na południe-zachód od twierdzy, służyła za punkt oparcia lewemu skrzydłu Austrjaków, i była niejako kluczem całej ich pozycji. Od tej wioski pochodzi nazwa bitwy, którą stoczono 6-go maja z bardzo nierównemi siłami, albowiem Austrjacy, nie licząc Werony, rozporządzali zaledwie 30-to tysięcznym korpusem, w samej bitwie mieli tylko 16—18-tu tysięcy, gdy Włosi stopniowo wprowadzili w ogień 33 do 35 tysięcy ludzi.

Król sardyński wspomnianego dnia uderzył ze swemi wojskami od wschodu. Środek miał uderzyć na Santa Lucia z Somakampagna, prawe skrzydło z Villa-Franka. W Santa-Lucia stało z początku zaledwie 5—6 tysięcy Austrjaków z 12-tu działami. W tej liczbie, zauważyć to należy, był jeden bataljon grenadjerów włoskich, który dnia tego z nadzwyczajnym męstwem walczył ze swoimi ziomkami i „fratelli“ i na okrzyk Piemontczyków wydany pośród najgorętszej walki „Bracia, przejdźcie pod chorągiew Włoch! zawołali, dając ogólną salwę — „Avanti! Avanti!“ Radecki, dziękując za tę wierność chorągwi, mianował ją swoją gwardją przyboczną.....

Plan Karola Alberta nie udał się po części dlatego, że jego kolumny przybyły do Santa-Lucia nie jednocześnie, a przynajmniej nie w chwi-

li, kiedy ich najbardziej potrzebował. Prawe skrzydło stało tak daleko od środka, że w chwili stanawczej nie mogło z całą siłą przyjść mu z pomocą. Lewe zaś skrzydło, napotkawszy na drodze Austrjaków, musiało walczyć z nimi, a później całkowicie odparte zostało, skutkiem czego nie mogło podjąć walki w chwili stanowczej. Zdawało się jednak, że te strategiczne błędy pokona ogniste męstwo Włochów. Z hasłem: „Italia i Carlo Alberto! przypuściły pułki szturm na Santa-Lucia. Ale Austrjacy żelazną wytrwałością utrzymywali się na pozycji. Najzaciętsza walka wrzała na cmentarzu, którego pułkownik Kopal z dwiema kompanjami strzelców bronił prawdziwie po bohatersku. Naprożno! gdyż po 1-szej godzinie po południu cmentarz był w rękach Włochów, a zatem cała pozycja Santa-Lucia zajęta została przez Włochów.

Gdyby Włosi ściągnęli wszystkie swe siły i szybko a energicznie uderzyli na nizinę, a potem na Weronę, to prawdopodobnie Austrjacy ponieśliby wielką klęskę, która równałaby się istotnej katastrofie dla Austrjaków, a dla Włochów byłaby ogromną wygraną, płodną w nieobliczone następstwa. Wszakże wojska piemonckie były już zupełnie wyczerpane długą, ciężką walką o posiadanie Santa-Lucia. Lewe skrzydło armji włoskiej nie stanęło jeszcze na polu bitwy, a sam Karol Albert nie był mężem, któ-

ryby stawił wszystko na jedną kartę. Zatem jak wszystkie połowiczne natury, kontentował się połowiczną pomyślnością, to znaczy chciał zatrzymać zdobytę pozycję, i sądził, że uczynić to zdoła.

Przyjrzyjmy się położeniu starego Radeckiego. W Burgu wiedeńskim największy wpływ na sprawy miała nadworna klika złożona z miejscowych, wysoko arystokratycznych zer, które swój rodowód wywodziły aż od oślicy Baleama. Klika ta składała się z don Ranudos, zebranych ze wszystkich krajów i innych pieczeniarzy, drzemiących stronników legitymizmu o zmiękczonym mózgu i starych kokot, przemienionych na siostry miłosierdzia. Była to ta sama klika, której później w roku 1849-ym przypisać należy utratę przez Austrję Lombardji. Nazywała ona w latach 1848 i 1849-ym starym osłem sędziwego jenerała Radeckiego. Ale ten stary, niby niedołężny Radecki, doskonale wiedział, że dnia 6-go maja należy zwyciężyć lub zginąć, gdyż szło tu nietylko o Austrję, lecz o Włochy. Nie mógł zatem być pokonany, gdyż wszystko byłoby stracone. Nie miał w czem wybierać, trzeba było odzyskać Santa-Lucia, a Piemontczyków zniewolić do odwrotu poza wzgórza. W jednej chwili wydał odpowiednie rozkazy, rezesłał cwałem swoich adjutantów, a z Werony nowym brygadom kazał uderzyć na wzgórza. Wioska, a raczej kupa gruzów przedstawiających obecnie

Santa-Lucia, stała się w jednym dniu poraz drugi przedmiotem ataku. Pierwsze ataki Austrjaków podjęte niedostatecznemi siłami całkowicie odparli Włosi. Wówczas Radecki rzucił kość ostatnią, ściągnąwszy z Werony całą piechotę i pchnął ją na wzgórze. Atakowi Austrjaków dopomagał ogień baterji dział dwunastofuntowych. Powiodło się to wyśmienicie, a Włosi w Santa-Lucia dowiedzieli się tymczasem, że lewe ich skrzydło odparte zostało od Kroce-Bianka i zmuszone przez Austrjaków do pośpiesznego cofania się, podobnego do ucieczki.

Wieczorem o 4 ej godzinie Karol Albert wydał rozkaz opuszczenia Santa-Lucia i nakazał odwrót. Przed nocą oba wojska zajęły dawne swe stanowiska. Biuletyny austrjackie kłamały twierdząc, iż Austrjacy mieli w tym dniu 72 zabitych, 190 rannych, 87 stracili jeńców, rzeczywiście bowiem utracili 900 ludzi, a Piemontczycy 1300, a może 1500. Lubo i piemonckie biuletyny kłamały, utrzymując, że utracili tylko 757. Według raportów austrjackich w bitwie pod Santa Lucia odgrywały rolę „słynne maski djabelskie“. Przednie szeregi żołnierzy piemonckich, przebrano za djabłów z rogami, „pazurami i ogonami dla przestraszenia głupich Kroatów. Przeszło 60 podobnych masek zebrali Austrjacy na polu bitwy [1]). Materjalne korzyści dnia krwawe-

[1]) Zasłużony autor „Storia militare di Piemonte“ Pi-

go pod Santa-Lucia były niewielkie, ale moralne bardzo wielkie. Carlo Alberto nie zwyciężył, przeciwnie został zmuszony do odwrotu, za co jego ziomkowie rzucili na niego odpowiedzialność. Radecki nie dozwolił wrogowi wykonać jego planu, bitwą 6-go maja przywrócił swemu wojsku ufność w siebie, i wykazał czczość włoskiej przechwałki. Wszakże doznał sardyński król, lub jeśli wolimy, doznała sprawa narodowa włoska później jeszcze tu i ówdzie chwilowego uśmiechu fortuny; atoli pierwsze cofnięcie się chorągwi sardyńskiej przed austrjacką 6-go maja, zwiastowało zwrot na niekorzyść Włoch, co było tym szkodliwsze, iż w tymże czasie w Rzymie i Neapolu albo już przygotowywały się groźne zwroty, albo nastąpiły; a fakt, iż Włochy znikąd nie mogą spodziewać się czynnej pomocy, coraz bardziej się uwydatniał.

7.

Nie tak prędko poznano z tej strony Alp, że z dumnym hasłem: „*Italia fara da se*“ po upływie kiku tygodni nie wiele już dało się

---

nelli utrzymuje, że ta niesmaczna historja o maskach djabelskich wynalezioną została przez austrjackiego weterana Schönhels, ale zaprzecza jej z takim gniewem, iż usposabia nas do przypuszczenia, iż tak było w istocie (p, III z 3).

zrobić, a gabinet wiedeński niesłusznie się obawiał, że powstaniu włoskiemu może przyjść pomoc ze strony Francji, Szwajcarji i Anglji.

Co się tyczy Francji, rząd tymczasowy pseudo-rzeczypospolitej z lutego okazał względem ruchu włoskiego tę samą nieudolność i nieporadność, jakie znamionowały wogóle jego urzędowanie i znany dobrze egoizm francuski. Nawet polityczny liryk i liryczny polityk Lamartine nie życzył sobie, żeby na granicy Francji powstało wielkie państwo włoskie „dochodzące niemal do bram Ljonu“, a ponieważ całe to państwo mogłoby kiedyś znów dostać się pod moc austrjacką, to dobrze uczyni Francja zapewnieniem sobie z góry posiadania Sabaudji i Nizzy tytułem zastawu. Wprawdzie nie przyszło do tego, lecz zmieniający się naczelnicy rządu w Paryżu spoglądali na utworzenie się państwa włoskiego temi samemi zazdrosnemi oczami, jakimi spoglądali jednocześnie na usiłowania Niemców do utworzenia jednolitego państwa.

Gdy minister Cavaignac'a, Bastide został ministrem spraw wewnętrznych, zawiadomił francuskiego posła w Turynie oczywiście, żeby upowszechnił tę wiadomość, że „rzeczpospolita lombardzka i wenecka“ —to znaczy, bezsilne małe państewka — mogą liczyć na *protekcję* Francji. Było to dosyć wyraźne: Cavaignac i jego ministrowie zarówno nie chcieli silnych Niemiec. Wprawdzie zgromadzenie narodowe fran-

cuskie już 24-go maja wypowiedziało się za niezawisłością Włoch, lecz było to i pozostało tylko frazesem. Tymbardziej, że później w Sierpniu dyktator Cavaignac wobec zgromadzenia wykazał, iż Włosi nietylko nie prosili o pomoc Francji, lecz wyraźnie zastrzegli sobie, żeby ta nie nastąpiła. Co było tego powodem? Włosi nie mogli jeszcze zapomnieć, jaką to wolność i równość“ przynieśli im Francuzi pod koniec XVIII-go wieku.

Szwajcarja nie uważała za swój obowiązek i nie miała żadnego powodu mieszać się do spraw włoskich. Wszak Szwajcarowie nie bawią się w kosmopolitykę. Rewolucyjne ruchy z roku 1848-go były bardzo dla nich dogodne; lecz tylko dlatego, że wobec nich mogli spokojnie, bez przeszkody przeprowadzić reformę swego związku. Prawda, że kilkuset Szwajcarów utworzyło wolne hufce po większej części z kantonu Tessino i walczyło w szeregach Lombardów i Wenecjan; lecz związek szwajcarski, jako taki nie myślał wcale o pośredniczeniu w tym, lub innym kierunku, i ściśle przestrzegał neutralności. Gdy zatem król sardyński przedstawił Szwajcarji 6-go kwietnia zupełnie formalny traktat odporny i zaczepny, sejm szwajcarski odpowiedział grzecznie, lecz stanowczo *nie*. Być może, iż mężom stanu kierującym związkiem sprawiało poniekąd przyjemność sprawienie nieprzyjemności królowi, który przed kilku miesiącami dopomagał jezuickiemu zonderbundowi w Szwajcarji.

Zatem Włochy nie mogły się spodziewać żadnej pomocy od swych sąsiadów wschodnich i zachodnich. Zato Anglja ujęła się w swój sposób za sprawą włoską, to znaczy usiłowała pośredniczyć dyplomatycznie pomiędzy Włochami a Austrją, zalecając obu stronom wojującym umiarkowanie i pokój; a za to dozwoliła skorzystać z zamieszania włoskiego swoim fabrykantom i spekulantom. Sprawa włoska była dla arcy-humbugisty Palmerston'a rządzącego w Anglji prawdziwą gratką; zabrał się zatem do niej, zacierając ręce. Wszak można było znów zasłynąć w Europie bez wszelkiego ryzyka, bez wielkich kosztów wymienić godło „liberalnego męża stanu“ dawnego „sprzymierzeńca Austrji“ kopnąć nogą a przytem okazać się „podporą“ konserwatywnych interesów wogóle, i zbawcę dawnego sprzymierzeńca w szczególności. Głównym punktem dla całej polityki angielskiej było zaś to, żeby nie dozwolić na utworzenie się żadnej rzeczypospolitej we Włoszech, a Austrją pozostawić, o tyle o ile, w dosyć znośnem stosunku do (nieco powiększonej) Sardynji i wogóle do całej narodowości włoskiej, a na tej podstawie, o ile możności szybko przywrócić pokój w górnych Włoszech, zatem w ten lub inny sposób zapobiedz zbrojnemu wmieszaniu się Francuzów. W tym celu Palmerston rozesłał swoim ajentom politycznym odpowiednie instrukcje, a ci, szczególniej posłowie angielscy w Wiedniu (Ponsonby)

i w Turinie (Aberkromby) wzięli się do dzieła, które tym lepiej udać się było powinno, że austrjacki gabinet (Ficquelmont) wyraźnie prosił o pośrednictwo angielskie.

Hrabia Ficquelmont, który znał dokładnie stosunki włoskie z własnych spostrzeżeń, bezwątpienia był przekonany, że prędzej czy później Włosi zrzucą z siebie jarzmo austrjackie opierające się jedynie na sile szabli, że zatem było to tylko kwestją czasu. Wśród niezliczonych kłopotów, jakie charakteryzowały jego rządy, był gotów na wielkie, a nawet na największe ustępstwa dla Włoch. Miał on zupełną słuszność ze swego stanowiska, chciał więc skorzystać z chwilowego powstrzymania walki przed równoległobokiem fortec, uważając tę chwilę za właściwą do przywrócenia szczerego pokoju pomiędzy Austrją a Włochami. W tym też celu wysłał dwa poselstwa; hrabiego Hummelauera do Anglji, a hrabiego Hartiga do Włoch. Hartig wydał już 19-go kwietnia w Görz odezwę do Włochów w imieniu cesarza oddychającą pokojem i zgodą lecz napróżno! Hummelauer wyjechał z Wiednia do Londynu 14-go maja, ażeby prosić o pośrednictwo gabinetu londyńskiego t. j. lorda Palmerstona na podstawie instrukcji według których Ficquelmont chciał zamienić Lombardo-Wenecję na królestwo zostające pod zwierzchnictwem cesarza Austrji, zresztą zupełnie niezależnie z reprezentacją narodową.

Do tego królestwa miały być przyłączone księstwa Parmy i Modeny. Arcyksiąże, jako wicekról miał być przedstawicielem tej unji osobistej górno-włoskiego królestwa z domem Lotaryńsko-Habsburskim. Palmerston, usłyszawszy tę propozycję, pokiwał głową. Na co Hummelauer, wyjąwszy z kieszeni tajemne instrukcje oznajmił, że posiada jeszcze inne pełnomocnictwo, że Austrja chce się zrzec Lombardji, pod warunkiem, żeby Lombardja przyjęła na siebie część długu państwowego Austrji; zato Wenecja miała pozostać przy Austrji, lecz jedynie połączona Unją osobistą z dynastją austrjacką, jako kraj samodzielny, rządzony przez Włochów. 3-go czerwca oznajmił Palmerston, którego wielkość, jako męża stanu jest jedną z mitycznych baśni XIX-go wieku, że Anglja przyjmuje na siebie pośrednictwo w tej sprawie.

Ale podczas, gdy stary Palmerston tak rozumował, przewróciła się karta na widowni wojennej górnych Włoszech, i na całym półwyspie tak dalece, że baron Wessenberg, który zajął miejsce wygnanego kocią muzyką Ficquelmonta, 16-go czerwca mógł już napisać do Londynu, iż nie może przyjąć warunków podanych przez swego poprzednika w ministerjum, oraz, że nie może przystać na pośrednictwo Palmerstona.

8.

Zapewne do tak smutnego ukończenia farsy pośrednictwa Palmerstona, najbardziej przyczynił się stary Radecki. Po bitwie pod Santa-Lucia marszałek wciąż posyłał do Wiednia jednobrzmiące depesze, których treścią było: „Przysyłajcie posiłki, a ręczę za to, że orzeł dwugłowy nie wypuści Włoch ze swych szponów. Jak już wspomniano, minister wojny Latour doskonale pojmował, jak wielkie ma znaczenie wytrwałość Radeckiego dla domu lotaryńsko-habsburskiego, czynił więc wszystko, co tylko mógł, ażeby zaspokoić życzenia marszałka, i tak mu dopomódz, żeby z wojny obronnej mógł przejść do zaczepnej.

Przyjrzawszy się tym sprawom ze stanowiska sprawiedliwości historycznej, trzeba przyznać, że w roku 1848-ym pomiędzy sługami wzmiankowanego domu cesarskiego obok bardzo wielu zer, ujawniło się także wiele dzielnych cyfer. Taką cyfrą, lubo niewielką, był feldzeugmeister hrabia Nugent, który dowodził posiłkami zebranemi w Görz dla Radeckiego, i miał je poprowadzić do Werony. Wyruszył on 16-go kwietnia z 22-ma lub 24-ma tysiącami ludzi i 65-ciu działami, przekroczył Isonzo, zmusił do kapitulacji zbuntowane miasteczko Udina, przeszedł przez Tagliamento 25-go kwietnia, i stanął

w Bellino 30-go. Pobił zatem cały Friul. Nad doliną Piawe stały wolne hufce z Państwa Kościelnego pod wodzą Ferrari i wojska papieskie pod Durando, razem 15 tysięcy ludzi. Chciały one zamknąć drogę Nugentowi, dążącemu do Treviso. Wskutek nieporozumień powstałych pomiędzy Ferrari i Durando, ten ostatni nie przybył mu na pomoc. Durando więc musiał cofnąć się. Nugent zajął Treviso, lecz gdy zachorował, musiał oddać dowództwo hrabiemu Thurn, który, po otrzymaniu rozkazu, pośpiesznym marszem podążył do Radeckiego. Czoło kolumny Thurna połączyło się z armją feldmarszałka 22-go maja. Radecki popełnił wielką pomyłkę, rozkazawszy wojsku wyczerpanemu marszem odebranie miasta Vicenza, zajętego przez Duranda. Vicenza, przy pomocy oddziałów szwajcarskich i papieskich, do których przyłączyli się dzielni mieszkańcy tego miasta, mężnie się broniła. Korpus Thurna cofnąć się musiał, i 25-go maja wszedł do Werony. Marszałek rozporządzał obecnie korpusem liczącym 50 tysięcy ludzi i 151 działami, a w osobie niedawno przybyłego felzeugmeistra Hess'a miał dzielnego jeneralnego kwatermistrza. 82-letni wódz sądził teraz również, że nadeszła chwila wymierzania wielkich ciosów, lecz omylił się, chwila ta jeszcze nie nadeszła. Jeszcze szczęście wojenne sprzyjało jego przeciwnikowi, królowi sardyńskiemu, ale nie na długo.

Po bitwie pod Santa-Lucia, Karol Albert

popełnił wielki błąd spędziwszy bezczynnie na swej pozycji w Sommakampagna całe trzy tygodnie. Mniemał on, że dostatecznie działał, bez przerwy oblegając Peschierę, gdy tymczasem głównem jego zadaniem być powinno przeszkodzić Radeckiemu połączyć się z Thurnem i Nugentem. Austrjacki feldmarszałek, dowiedziawszy się o posłannictwie Hummelauera, obawiał się, że jeśli szybko działać nie będzie, to wszystkie jego usiłowania utrzymania przy Austrji Włoch górnych mogą pójść na marne za pośrednictwem szybkiego, a według jego zdania haniebnego pokoju. Postanowił więc wydać Włochom bitwę stanowczą, która miała spędzić wojska sardyńskie z zajmowanego stanowiska, uwolnić Peschierę od oblężenia, zabezpieczyć mu bezpośrednią komunikację z Tyrolem przez dolinę Adygi. Plan strategiczny, skreślony przez Hesa, nie ulegał żadnej naganie, lecz wykonanie jego było wadliwe, i bitwa nie udała się.

Wieczorem, 27-go maja wyruszyli Austrjacy, z Werony w sile 40 tysięcy ludzi z 140 działami prawie wobec wojska piemonckiego przy Somakampagna, wykonali marsz flankowy na zachód, a następnego wieczoru byli w Mantui. W świcie Radeckiego jechał podczas tego marszu młody, zaledwie wyszły z lat chłopięcych arcyksiąże Franciszek Józef synowiec biednego, niepoczytalnego cesarza Ferdynanda, który tym-

czasem w zamku swoim w Insbruku podlewał kwiaty od czasu do czasu kiwając głową, ponieważ nie mógł pojąć, dlaczego kazano mu odbyć tak długą przechadzkę z Wiednia do Insbruku. Z Mantuy Austrjacy zamierzali uderzyć najprzód na korpus toskański, stojący na zachód od twierdzy, który lewem skrzydłem opierał się o Kurtatonę, prawem o Montanara w sile 8000 ludzi, pod dowództwem dzielnego jenerała Laugier, blokującego tę twierdzę. Gdy się udało otoczyć i rozbić ten korpus, zamierzył uderzyć na armję piemoncką z lewego boku i z tyłu. Pierwszy zamiar udał się, drugi nie udał, dlatego, iż Toskańczykowie, wyjąwszy kawalerji, która zachowała się bardzo nędznie, stawili silniejszy opór, niż się spodziewano. Tegoż dnia, t. j. 29-go maja oddziały studentów, i chorągwie gwardji narodowej, z których w znacznej części składał się korpus jenerała Laugier przekonały się, gdy Austrjacy w przeważnej sile z Mantuy na nich uderzyli, że wojownicy, ożywieni wielką myślą i służący pod dzielnym wodzem, nie potrzebują długoletnich ćwiczeń wojskowych, ażeby dzielnie walczyć, i sławnie umrzeć. Również włoscy profesorowie pojmowali swój obowiązek nieco inaczej, aniżeli ich 118-tu niemieckich kolegów, którzy w kościele św. Pawła prawili swe mówki, ale nie wypowiadali tego, co myśleli. Podczas szturmu Austrjaków na Kurtatonę, zginął słyn-

ny profesor neapolitański Pilla na czele chorągwi studenckiej, którą dowodził, a koń kolegi jego Montanelli, otrzymał ciężką ranę.

Wogóle sprawiedliwość każe wyznać śmiało i otwarcie, iż w latach 1848 i 1849 liberalizm we Włoszech, nawet w swych bledszych odcieniach przeciętnie okazał znacznie więcej męstwa i gotowości do ofiar, aniżeli w Niemczech. A przecież niemiecki, ówczesny liberalizm nie upadł był jeszcze tak nizko, jak później, czego zresztą można było się spodziewać po tak praktycznym geszefciarzu. Oczywiście w jego ślady poszła literatura, i tam uprawiała patrjotyzm, który nie był wcale niebezpiecznym, ba! nawet przynosił korzyści!

Zdobycie Kurtatony, w którem jenerał książe Szwarcenberg — później pierwszy minister i główny prowodyr wstecznictwa—odznaczył się męstwem, wypadło na korzyść Austrjaków, co zresztą w istniejących okolicznościach, inaczej wypaść nie mogło. Lecz wytrwała, pełna poświęcenia obrona, jaką młodzież włoska w tym dniu stawiła przeważnym siłom nieprzyjacielskim podnosi ten dzień 27-go maja 1848-go roku do najchwalebniejszych dla Włoch całych, a opór, jaki stawiono przy Kurtatone i Montanare był tak wielki, iż pokrzyżował plany Radeckiego, albowiem dał czas armji Karola Alberta przygotować się na spotkanie nieprzyjaciela. Gdyby armja Karola Alberta lepszych miała dowódz-

ców, zdążyłaby w sam czas na pomoc Toskańczykom.

30-go maja Austrjacy uderzyli na wojska królewskie w pobliżu Mincio, niedaleko Goito. Wszakże Włosi byli na to przygotowani, a oprócz tego nie zgadzały się ze sobą rozkazy do ataku pod wzlgędem strategicznym, i nie zostały pod względem taktycznym energicznie przeprowadzone. Ten 30-ty maj nie czyni zaszczytu staremu Radeckiemu, ani armji austrjackiej. Wojsko austrjackie chciało obejść nieprzyjaciela, co wyszło mu bardzo na złe.

Tak jest, *wielkie obejścia*, już za czasów dzielnego arcyksięcia Karola, były prawdziwą manją strategów austrjackich, i zawsze wypadały na niekorzyść Austrji. Korpus jenerała d'Aspre, wysłany dla obejścia prawego skrzydła Piemontczyków, zapędziwszy się zbyt daleko, w stanowczej godzinie nie mógł stanąć na polu bitwy, zatem Austrjacy przegrali tę bitwę; wówczas by ją tylko wygrali, gdyby zawładnęli Goito, był to bowiem *jeden z najważniejszych punktów*. Po nieudaniu się tego planu, Austrjacy oszańcowali się wobec nieprzyjaciela naokoło Rivalta, lecz w nocy z 3-go na 4-ty czerwca powrócili do Mantui. Piemontczykowie utrzymują, że zwycięstwo pod Goito opłacili stratą 400 ludzi, Austrjacy mieli stracić 1200, lecz Austrjacy zmniejszają tę liczbę do połowy. Wieczorem 30-go maja, król sardyński otrzymał wiadomość o no-

wem zwycięstwie,—poddaniu się twierdzy Peschiera, której załoga austrjacka nie mogła utrzymać z powodu braku zapasów żywności.

9.

Pobożny król sardyński kazał odśpiewać Te Deum, i na cześć zwycięstwa odprawił uroczystą paradę. Zresztą nie umiał skorzystać ze swego powodzenia. On, który pomimo całej swej pobożności znał dobrze Machiavellego, powinien był przypomnieć sobie, że stary mistrz polityki pokoju i wojny, tak kreśli ulotną boginię okoliczności:

Na tyle głowy nie mam włosów,
Dlatego napróżno starają się pochwycić mnie ci,
Którzy uciec mi dozwolili.
Okoliczność ta już nie powróciła,
Okoliczność pozbawiona włosów z tyłu głowy.

Bitwa 30-go maja pod Goito i wzięcie Peschiery były szczytem pomyślności wojennej Włochów. Szalona radość, jaka potem nastąpiła w całych górnych Włoszech, miała po kilku tygodniach ustąpić miejsca zupełnie innym uczuciom, a nadzwyczajną wesołość zamienić na krzyk rozpaczy.

Stary Radecki znajdował się znów w ciężkich opałach, gdyż trapiły go różne przykrości

bliższe i dalsze. Zaiste położenie jego w Mantui mogłoby się stać rzeczywiście rozpaczliwem, nawet musiałoby, gdyby Karol Albert zamiast modlić się, i odbywać paradę, był prawdziwym wodzem, który po odniesieniu zwycięstwa pod Goito, zrobiłby szybko i z naciskiem to, co zrobić był powinien: albo 30-go maja uderzyć energicznie na Austrjaków pod Rivalta, do czego jego wojsko nietylko miał chęć wielką, lecz i siłę potrzebną; albo, gdy Austrjacy powrócili do Mantui, rzucić się z całą siłą pomiędzy Weronę i tę twierdzę, ażeby zmusić w tej pozycji starego Radeckiego do bitwy. Ale jak można żądać, żeby wyschłe drzewo zakwitło, i przynosiło owoce? Karol sardyński był drzewem suchem, o którym dobrze widzący i rozsądny żołnierz major Pinelli zupełnie dostatecznie wykazał, że nie było w nim ani źdźbła tego materjału, jaki miał przedstawiać, i jakim być powinien, i co powinien był czynić. Cała osobistość Karola Alberta, o tyle była odpowiednia na narodowego wodza, o ile marcowi ministrowie niemieccy na mężów stanu, to znaczy, zupełnie był nieodpowiedni. Pinelli widział go 7-go kwietnia, gdy po wkroczeniu Piemontczyków do Lombardji, trzecia dywizja pod Azola stała w szyku bojowym, ażeby powitać przejeżdżającego króla. Gdy król ukazał się, zadrżało powietrze od okrzyku żołnierzy: „Evviva il re! Ale król, zamiast uśmiechnąć się do wojska, lub w jakikolwiek inny sposób okazać mu

swe zadowolenie, przejechał przed niem galopem blady, jak człowiek o nieczystem sumieniu, podobny raczej do uciekającego, niż do króla, a podczas całego trwania wojny, nie okazał nigdy słowem swego współczucia, ani pociechy dla cierpiących żołnierzy. Był zawsze blady i znużony, jego ukazanie się zamiast zachęcić żołnierzy, odbierało im odwagę, ponieważ podobny do upiora, był raczej zwiastunem nieszczęścia i klęsk.

Stary marszałek mógł tedy pocieszać się myślę, iż podoła takiemu przeciwnikowi, byleby inne troski nie przygniatały mu karku! Największą troską była wiadomość z Wiednia, iż narazie żadnych posiłków przysłać mu nie można, ponieważ jest nadzieja, że za pośrednictwem Anglji, będzie można zawrzeć pokój z królem sardyńskim. Z tą wiadomością przysłano polecenie Radeckiemu, iżby bezwłocznie rozpoczął rokowania z Karolem Albertem o zawieszenie broni. Było to tak przykre staremu Radeckiemu, że natychmiast wysłał księcia Szwarcenberga do Insbrucku z prośbą, ażeby uwolniono go od tak przykrego polecenia. Poczem zajął się bezwłocznie naprawianiem klęski doznanej w Goito, ażeby przekonać radujących się Włochów, że jeszcze nie wypędzili z Włoch barwy czarno-żółtej.

Rzeczywiście końcowe dni maja nie były tak nieprzychylne dla sprawy Austrji i wogóle cudzoziemców panujących na półwyspie ape-

nińskim, jak się zdawało, gdyż to, co sprawa Włoch zyskała wobec najnowszego bezowocnego, gdyż niewyzyskanego powodzenia oręża piemonckiego w górnych Włoszech, to istotnie utraciła w dalszych i średnich Włoszech. Wprawdzie wstecznicza allokucja papieża z 29-go kwietnia ukazała się nieco zawcześnie. Była ona niejako uderzeniom kija w gniazdo szerszeni, tym bardziej wyzywającem, że wiele rzymskich rodzin słusznie się obawiało, iż papieska allokucja pobudzi Austrjaków do uważania żołnierzy państwa papieskiego i wolnych hufców za bandytów, że zatem będą z niemi postępowali nie według prawa wojennego, lecz doraźnego. Dlatego to już 30-go kwietnia szerszenie poczęły unosić się w powietrzu, i brzęczeć gniewliwie. Deputowani 31 klubów przybyli do kwirynału, żądając odwołania allokucji, i dalszego prowadzenia wojny z Austrją. Eks anioł Watykanu już wówczas, nie wiedząc o tem, stał się tubą jezuitów w rękach ich jenerała. Udawał, to znaczy, że kazano mu udawać, iż jego allokucja jest zupełnie niewinna. Zgodził się nawet na odesłanie królowi sardyńskiemu noża Farini'ego, i w sposób urzędowy powierzył mu naczelne dowództwo nad wszystkiemi wojskami Państwa Kościelnego, przebywającemi na placu boju; wszakże już dnia następnego (1-go maja) „w przemowie do ludu rzymskiego groził, iż „w pewnych okolicznościach, może będzie zmuszony, użyć siły ducho-

wej, jaką Bóg złożył w jego ręce.“ Oczywiście nie można było wówcas działać całym średniowiecznym aparatem: banicją, interdyktem, błyskawicami i piorunami. Awanturniczą tę maszynę z kamery staroświeczczyzny rzucającą gromy, przyjętoby homerycznym śmiechem.

Dobrze o tem wiedzieli ludzie chytrzy, jak węże, którzy kazali tańczyć papieżowi, jakby jakiej marjonetce. Wiedzieli też i to, że dopóki nie nadejdzie czas odpowiedni, trzeba tę bardzo hałaśliwą i niemiłą publiczność szerszeniową zabawić błyskotką chorągwi trójkolorowej. Dlatego tymczasem zarzucono na barki papieża raz jeszcze bardzo już podszarzany płaszczyk narodowy.

2-go maja Pius napisał list do cesarza austrjackiego, w którym prosił go usilnie o położenie kresu wojnie, albowiem ta nie zjedna Austrji serc Lombardów i Wenecjan. We dwa dni później papież musiał uwolnić ministerjum Antonnelli i utworzyć nowe złożone nie z duchownych, na których czele stanął dawny karbonarzysta, hrabia Mamiani. Ustępstwa te jednak i pieszczoty papieża były jedynie pozornemi zwycięstwami sprawy włoskiej, albowiem tajni doradzcy liberalnego, bawiącego się w narodowość papieża, a w owym czasie już usposobionego nieprzyjaźnie względem ruchu liberalnego i narodowego oczekiwali tylko właściwej chwili, ażeby za te wszystkie naginania się i przystosowywania po-

mścić się należycie. Dowodził tego już sam fakt, że Napier angielski poseł w Neapolu mógł donieść już 4-go maja do Londynu, iż Pius IX kazał się zapytać króla Ferdynanda, czy znajdzie w neapolitańskiem przyjęcie i schronienie, gdyby widział się zmuszonym opuścić Rzym. Zatem doradcy papieża już w kwietniu powzięli zamiar, który w listopadzie miał wejść w wykonanie.

Słusznie zwrócono uwagę na związek, jaki zachodził pomiędzy reakcją rozpoczętą w Rzymie a reakcją w Neapolu, która już w maju nastąpiła, co zresztą wszystkim było wiadomo. Król Ferdynand II-gi łatwo mógł wnosić z tego zapytania, że Namiestnik Chrystusa, który od czerwca 1846-go usiłował okazywać się liberalnym i narodowym, przechodził do stronnictwa wstecznictwa, a może już przeszedł. Król wniósł stąd, że nieznośne, niemiłe dla niego udawanie konstytucyjnego patrjoty, wobec słabych swoich ministrów, datujące od stycznia, wkrótce się zakończy. Tymczasem przyznać trzeba, że wcale nieźle udawał. A liberalni panowie u stóp Wezuwiusza niemniej chętnie pozwalali się za nos wodzić swemu panu i władcy, jak kochani liberalni piwosze na północy Alp. Zatem Ferdynand czyhał tylko na odpowiednią chwilę, ażeby zrzucić maskę i życzeniami swemi powiązał, snujące się w kraju i zagranicą, liczne nici wstecz-

nictwa. Na pomoc tym życzeniom królewskim przybyły sprzyjające okoliczności.

Rewolucja neapolitańska nie usunęła żadnej sterty śmieci skupionych w kraju wskutek czterowiekowej tyranji. Gdy liberalizm stanął na wierzchu wykazał tu, jak wszędzie, swą impotentną naturę baranią. Na gruncie, który trzeba było najprzód oczyścić ogniem i żelazem, i należycie przeorać, wystawił swą konstytucyjną huśtawkę i oczekiwał, że ta maszyna cudów dokona. Tymczasem huśtawka podnosiła się i opadała; wszakże tym monotonnym ruchem nie przypadła do smaku ludowi, tak chciwemu drastycznych widowisk, jak lud neapolitański. Poczciwi patrjoci mieli wstręt do pracy radykalnej, którą bądź co bądź zrobić trzeba było, a może zrobić jej nie mogli, i nie umieli, następstwem czego było, że niepoczciwe intrygi, zatem brudny motłoch uliczny musiał przystąpić do tej pracy. Miasto Neapol stało się poprostu latryną, do której spływały z Włoch całych wszystkie nieczystości. Koniecznym tego następstwem było, że spokojny obywatel zamienił się na bojaźliwą kobietę, a każdy „właściciel“ począł „jęczyć“ i biadać, zatem wypadek był taki, że jeśli nie większość, to przynajmniej znaczna mniejszość burżuazji, nie mówiąc już o właścicielach ziemskich, szlachcie piastującej urzędy u dworu, służącej w wojsku i w biurach, potajemnie tęskniła do dobrych dawnych czasów

absolutyzmu. Król wiedział o tem, zanotował to sobie, i ażeby bojaźliwe kobiety uczynić jeszcze bojaźliwszemi, a jęczących właścicieli pobudzić jeszcze do większego jęku, kazał puścić w obieg bajkę o sprzysiężeniu komunistycznem.

15-go maja przyszło do wybuchu. Na ten dzień naznaczono otworzenie neapolitańskiego parlamentu, do którego przed miesiącem nastąpiły wybory. Jeszcze 10-go maja, gdy deputowani poczęli się zjeżdżać do miasta, Ferdynand wciąż odgrywał rolę króla konstytucyjnego i narodowego, gdyż w dniu tym rada ministrów postanowiła za wyraźnem zezwoleniem króla, ażeby w celu energicznego prowadzenia wojny narodowej o niepodległość przeciw Austrji, zawarto bezwłocznie z rządem sardyńskim przymierze zaczepno-odporne. W trzy dni później zgromadzili się deputowani na ratuszu (Monte Olivieto) na tymczasową naradę. Tu zaszły hałaśliwe, w gruncie śmieszne pytania, czy król, jak kazał ogłosić, zaprzysięże konstytucją, taką jaką ułożono 10-go lutego, lub też, jak ministrowie życzyli z zastrzeżeniem dalszego jej ulepszenia.

Zaiste Burbon mógł śmiać się z zadowoleniem w swoim pałacu, dowiedziawszy się o tej niedorzeczności. Następnego dnia też same sprzeczki na Monte Olivieto z większą tylko gestykulacją i krzykami. Deputacje udały się do ministrów i do króla. Ministrowie objaśnili, że i oni rozumieli, jak to już oznajmili przy objęciu swo-

ich urzędów pod konstytucją podaną do zaprzysiężenia taką, która dalej ulepszoną być może; król zaś powiedział, że nic nie ma przeciw dalszemu rozwojowi konstytucji, lecz nie widzi powodu, dlaczegoby on i deputowani nie mieli zaprzysiądz takiej, jaka jest ułożona. Deputacje i większość deputowanych parlamentu byli zadowoleni z tej nic nie znaczącej odpowiedzi. Tymczasem sprzeczka na zewnątrz Monte Olivieto przyjęła już inne formy nieparlamentarne, mianowicie barykadologiczne, a konstytucyjni konfuzjoniści zostali pokonani przez radykalnych „konfusissimi“, którzy przeważnie przybyli z Kalabrji, i marzyli o wznowieniu rzeczypospolitej Partenopejskiej—marzyli o republice i demokracji wśród narodu tak niewolniczo usposobionego, a rozgorąckowani swemi marzeniami zupełnie zapomnieli, że nienawidzony Burbon posiadał na swe usługi nietylko krajowe lecz i szwajcarskie pułki.

Podczas rokowań pomiędzy ratuszem a pałacem, tłumy ludu zgromadziły się około Monte Olivieto, a kalabryjscy antyburbonowie prawili tam o ewangelji barykad przy hucznych oklaskach i nie bezskutecznie, gdyż wkrótce na Toledo, tej najliczniej uczęszczanej ulicy Neapolu i sąsiednich ulicach poczęto wznosić „ultime populi rationes“. Francuzi z floty admirała Baudin stojącej w porcie, jak utrzymywano, dopomagali Neapolitańczykom znajomością budowy

barykad i swem doświadczeniem w tej sprawie. Ale tymczasem i w pałacu wrzała niezwykła czynność, król rozkazał wojsku zająć ważniejsze place miasta, oczekując zapewne z wielkiem zadowoleniem gwałtownego starcia, lecz był tak chytry, że chciał, iżby jego przeciwnicy najprzód rozpoczęli. Uczynił nawet próbę, czy nie da się uniknąć tego starcia, ponieważ wiedział, że nic nie ryzykuje, gdyż „działa“ były już w pogotowiu. W tym celu posłał jednego ze swoich ministrów do deputowanych, i kazał im powiedzieć, że gotów jest otworzyć parlament jeszcze tego samego dnia. Rota przysięgi deputowanych miała być następna:

— Przysięgam na wierność konstytucyjnemu królowi Ferdynandowi II i konstytucji, jaką obie izby wspólnie z królem rozwiną i przerobią“.

Przyzwolenie było mistrzowskim cugiem szachowym Ferdynanda, wiedział on, że tem zupełnie zadowolił stronników konstytucji, lecz, że tem samem wytrącił z ich rąk rękojeść, zatem nie mogą już powstrzymać wybuchów radykalnych, a więc z powodu ich niemocy ma pożądany powód do położenia kresu zarówno radykalizmowi, jak i liberalizmowi i może je pogrzebać w jednej i tej samej mogile. Król nie omylił się w swej rachubie. Konstytucyjni przez noc całą starali się wszelkiemi siłami powstrzymać budowę barykad, i przeszkodzić zaimpro-

wizowanemu uzbrojeniu ludu. Napróżno, 15-go maja musieli uznać swą niemoc tak dalece, że nieporadne ministerjum podało się do dymisji. Ferdynand nie zważał na to, gdyż postanowił postępować w swój sposób, bez ministrów. W tym zamiarze bardziej go jeszcze utwierdziła deputacja z lazaronów, która przybyła do pałacu, ofiarując mu swe usługi. Barykadziści sprawili mu rzeczywistą przyjemność, o 11-ej godzinie zrana zaczęli strzelać na wojsko królewskie stojące około zamku królewskiego z wysokiej barykady, wzniesionej na końcu Toledo, przy pałacu Cirella. Na ten ogień odpowiedział natychmiast bataljon gwardji neapolitańskiej, który z innemi bataljonami uderzył na barykadę w Toledo. Wszakże natarcie było zbyt słabe, a cała sprawa mogłaby mieć obrót bardzo niepomyślny dla Ferdynanda, gdyby nie miał pod ręką około 6 tysięcy najemnego wojska szwajcarskiego. Gdy Swajcarzy rozpoczęli walkę, a rozpoczęli ją natychmiast, była ona rozstrzygnięta, gdyż gwałtowny opór, jaki napotkali tu i ówdzie, jak np. w pobliżu pałaców, i w samych pałacach: Cirella, Bennuci i Gravina, powiększył tylko wściekłą energję tych najemnych żołdaków, którzy wskutek ochydzeń i wymysłów rzucanych na nich w ostatnich czasach, byli już bardzo rozdrażnieni. Rozsądni naoczni świadkowie, a nawet sami walczący utrzymują, że zupełnie niepotrzebnie król kazał strzelać z for-

tów na ulicę ciężkiemi działami. Ale kiedy to prawdziwy Burbon zdołałby się oprzeć sposobności, przy której w całym świetle może okazać swój burbonizm. Wszak Ferdynand II musiał zasłużyć na swój historyczny przydomek: „Re Bomba“, a nie mógłby na niego zasłużyć, gdyby nie użył bomb, granatów i kartaczy. Gdy ministrowie udali się do niego, ażeby go prosić o miłosierdzie dla miasta, wygnał ich z pałacu zasłużonem kopnięciem nogą, mówiąc, że minął czas miłosierdzia, a dla nich nadeszła godzina obrachunku. Liberalni prosili admirała Baudin o pośrednictwo. Odrzekł on, że jego instrukcje zabraniają wszelkiego pośrednictwa w tej sprawie. Francuska, bękarcka rzeczpospolita z roku 1848-go wszędzie zarówno, wewnątrz jak i zewnątrz, prowadziła nieudolną tchórzliwą politykę gałgańską.

Po zdobyciu barykad i przytłumieniu wszelkiego oporu, nastąpiło w całej świetności szczęśliwie przywrócone panowanie absolutne Jego Królewskiej Mości Króla Bomby. Lazaroni i rozkiełznana furja żołnierska tańczyli przez noc całą uroczystą tarantellę pełną mordu, rabunku i gwałtów. Następnego dnia, 16-go maja, otoczył się Ferdynand ministerjum złożonem z zer potakujących wszystkiemu, poczem odesłał do domu deputowanych parlamentu, o ile ich nie kazał uwięzić i rozpędził gwardzistów narodowych. Nałożył knebel prasie, ogłosił stan oblę-

żenia, i powołał do Neapolu swą armję z górnych Włoch. Dawny wojownik niegdyś rzeczypospolitej partenopejskiej, jenerał Pepe, który, jak wiemy, dowodził armją neapolitańską przybyłą do Bolonji, naprożno starał się przeprowadzić ją za Po, chcąc pomimo przeciwnego rozkazu króla przyjąć udział w wojnie za sprawę narodową. Zaledwie 1500 ludzi, i to po większej części wolne hufce, przebyły z dzielnym wodzem Po, i udały się do Wenecji. Przy bohaterskiej obronie tego miasta, zarówno ich dowodzący, jak i oni złożyli świadectwo, że i matki neapolitańskie umieją rodzić mężnych synów.

Obecnie, po zbombardowaniu nędznej chuśtawki, gdy olśnione oczy liberalizmu poznać musiały, że Ferdynand „jest całkowitym królem“ obecnie, gdy było już za późno, obecnie panowie liberalni chcieliby ostrze rewolucji, które tak skrupulatnie zagięli znów wyprostować, i pogodzić z czczą gadaniną konstytucyjną, ale to się nie udało. Powstanie, jakie przy pomocy Sylijczyków chcieli zorganizować w Kalabrji, nie podniosło się należycie; stłumiono je krwawo i szybko. Król Bomba okazał światu, w jaki sposób na „połowiczną“ rewolucję, odpowiedzieć trzeba „całkowitą“ reakcją, i stał się przedmiotem podziwu i sławy. Zasłynął on w całej Europie, jako herold kontr-rewolucji.

Biały burboński postrach położył swą okrutną wyrafinowaną rękę na kraju, i gotował się

do położenia jej na wyspie Sycylji przy pierwszej sposobności. Pan hrabia von Lebceltern, poseł austrjacki w Neapolu, który podczas tego epizodu chustawki konstytucyjnej, i kuglarstwa narodowego, przebywał w Neapolu, jako człowiek prywatny, mógł obecnie z radością zacierać sobie ręce. Nastąpiło zatem już pierwsze faktyczne i szczęśliwe wstrząśnienie wsteczne przeciw wielkiemu wstrząśnieniu z roku 1848-go.

8178
BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

H
110/VI
Biblioteka AP W
L 989/1/1

